

Jak odbudować **Sejm** | Marszałek **Hołownia?** | **Robaki** na stół | **Golda** i **Bibi**
Nasenne **uzależnienie** | **Póltawska**: duchowa siostra JPII | Horror **Britney Spears**

ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY

TYGODNIK, nr 46 (3439), 8.11–14.11.2023
Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195



**Nic już nie odmieni
politycznych
losów premiera
Morawieckiego**

**Ciao
Pinokio!**

USA 4,60 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO

ISSN 0032-3500
9 770032 350305 46>

SKI team®



Kupuj wygodnie
na skiteam.pl



ZIMACZAS START

NAJNOWSZA OFERTA

**ODZIEŻY ORAZ SPRZĘTU NARCIARSKIEGO
I SNOWBOARDOWEGO NAJLEPSZYCH MAREK ŚWIATA!**

ZIMOWE GODZINY OTWARCIA SKLEPÓW SKI TEAM

Poniedziałek - Piątek 11:00 - 20:00 | Sobota 11:00 - 21:00 | Wszystkie Niedziele 12:00 - 16:00 

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | WARSZAWA: ul. Toruńska 107b | POZNAŃ: ul. Bułgarska 117a

WROCLAW: CH Arkady Wrocławskie | KATOWICE: ul. Sportowa 20 (200m od CH Silesia)



12-24 WYBORY 2023:
jaki Sejm, jaki rząd



26 Bezsenna
Polska



40 Draka
o robaka

Wybory 2023



- 12 Anna Dąbrowska, Łukasz Lipiński
Jak uzdrowić parlament
- 15 Rafał Kalukin **Trzecia Droga na rozstaju**
- 18 Cezary Michalski **Ostatnia prosta Morawieckiego**
- 22 Ewa Siedlecka **Prawo do naprawy**



Społeczeństwo

- 26 Paweł Walewski **Uzależnieni od leków nasennych**
- 29 Violetta Krasnowska **Przebrani Piłsudzczy**



- 32 Joanna Podgórska **Wanda Półtawska, przyjaciółka papieża**
- 35 Katarzyna Kaczorowska **Współczesny Nikifor**
- 38 Agnieszka Sowa **Rachunek dla postanki Dziuk**

Rynek

- 40 Adam Grzeszak **Żywność z owadów**
- 43 Joanna Solska **Niewygodni związkowcy**

Świat

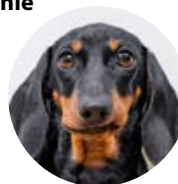
- 46 Konstanty Gebert IZRAEL
Golda i Bibi, premierzy trudnych czasów
- 49 Artur Domosławski EKWADOR
Republika bananowa



- 52 Ula Idzikowska GRUZJA
Rosjanie się panoszą

Nauka/projektpulsar.pl

- 60 Agnieszka Krzemińska **Kim byli pierwsi Słowianie**
- 66 Marta Alicja Trzeciak **Czego się wstydzą zwierzęta**
- 70 Dr inż. Adam Okniński, laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii Nauki Techniczne



Historia

- 72 Tomasz Gromelski **Życie codzienne plebsu**
- 76 Agnieszka Krzemińska **Dzieje muzeów według Pomiana**



Kultura

- 82 **Olga Drenda**, autorka książki „Słowo humoru”, o tym, z czego śmieją się Polacy
- 85 Aleksandra Żelazińska **Horror Britney Spears**
- 88 **Marco Bellocchio**, reżyser dramatu „Porwany” o uprowadzeniu i konwersji żydowskiego chłopca
- 92 Janusz Wróblewski **Kłęska Polańskiego?**
- 94 KAWIARNIA LITERACKA **Małgorzata Halber**



Ludzie i style

- 100-105 • **Zryw pokolenia Z**
- **Slash lub slesh**
 - **Światowa moda polska**
 - **Projekt Loesje**
 - **Udręki Taorminy**
 - **Żywiczna retsina**

Stałe rubryki

- **4** Mleczko i Mizerski
- **6** Przypisy
- **7** Ludzie i wydarzenia
- **78** Afisz
- **95** Koziołek
- **96** Lis
- **97** Hartman
- **99** Do i od redakcji
- **106** Polityka i obyczaje



www.mleczko.pl

GALERIA ANDRZEJA MLECZKI: KRAKÓW, UL. ŚW. JANA 14

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Ile jest Macierewicza w Macierewiczu

Japońscy eksperci sprawdzili przy użyciu sztucznej inteligencji, na ile pojawiający się publicznie Władimir Putin przypomina samego siebie. Wyniki są zaskakujące; z porównania rysów twarzy wyszło im np., że prawdziwy Putin oraz Putin, który w grudniu 2022 r. przejechał mercedesem przez most Krymski, są do siebie podobni zaledwie w 53 proc. Z kolei podobieństwo pomiędzy Putinem z mostu Krymskiego a tym, który odwiedził Mariupol, wyniosło tylko 18 proc., co zdaniem ekspertów wskazuje na prawdopodobieństwo istnienia co najmniej dwóch sobowtórów Putina.

Nie jestem ekspertem, ale uważam, że Antoni Macierewicz zapewnijający, że Hołownia jest ruskim agentem, „który długo pracował w TVN, gdzie go zwerbowano”, przypomina samego siebie w 100 proc. „To jest nieprawdopodobne. Ale tak naprawdę jest”, przekonuje Macierewicz, w opinii którego nieprawdopodobieństwo nie jest żadną przeszkodą uniemożliwiającą Hołowni bycie agentem. Nie mam wątpliwości, że 100 proc. Macierewicza jest również w Macierewiczu, który niedawno ogłosił, że upadek rządu PiS grozi wybuchem

trzeciej wojny światowej. Macierewicz straszący świat trzecią wojną to cały Macierewicz.

Wstrząsające słowa Macierewicza uświadamiają nam, jakie znaczenie ma dla świata istnienie rządu PiS. Trudno się dziwić, że chcąc przyjąć światu z pomocą, Duda z Morawieckim robią, co mogą, żeby PiS utrzymał władzę. Aby zapobiec trzeciej wojnie światowej, Morawiecki zapowiada, że zgodziłby się nawet na rząd PiS z premierem Kosiniakiem-Kamyszem na czele. Niestety, skupiona wokół Tuska opozycja w nieodpowiedzialny sposób upiera się, że będzie rządzić sama, spychając w ten sposób świat w otchłań katastrofy. Wszelkie namowy, żeby Tusk odpuścił światu, nie spotykają się jak dotąd ze zrozumieniem z jego strony.

Macierewicz nie wyjaśnia, co konkretnie wywoła wybuch zapowiadanej przez niego trzeciej wojny światowej, ale rozumiem, że po wyborze Tuska na premiera wystarczy jakieś głupstwo. Np. internetowe wpisy sędzi Pawłowicz, które – mimo że jej zdaniem zupełnie nieagresywne – spotykają się z rosnącym hejtem m.in. „ze strony widzów TVN”. Nie chcę być złym prorokiem, ale boję się, że jeśli Pawłowicz swoich nieagresywnych wpisów nie zaprzestanie, odurzeni wyborczym zwycięstwem i wspierani przez Stany Zjednoczone widzowie TVN, których liczba – jak wiadomo – idzie w miliony, mogą nie wytrzymać i wywołać jakiś globalny konflikt.



Angkor – imperium w głębi dżungli

Wycieczka śladami dziedzictwa kulturowego Khmerów przez Tajlandię, Kambodżę i Wietnam, zwiedzanie m.in. słynnego Angkor Wat oraz rejs rzeką Mekong.

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Bangkoku. **Dz. 2** Przyłot do Bangkoku. Zwiedzanie miasta. **Dz. 3** Bangkok. Wielki Pałac Królewski i Wat Pho. Przejazd do Chanthaburi. **Dz. 4** Chanthaburi – Battambang, Kambodża. Zwiedzanie miasta. Killing Caves (Jaskinie Zabijania). **Dz. 5** Battambang – Siem Reap. Świątynia Wat Phnom Banan. **Dz. 6** Siem Reap. Angkor Thom oraz Angkor Wat. **Dz. 7** Siem Reap – Phnom Penh. „Wioska Pająków” (Spider Village) oraz zwiedzanie miasta riksą rowerową. **Dz. 8** Phnom Penh. Zwiedzanie miasta, Pałac Królewski (Royal Palace), Muzeum Ludobójstwa Tuol Sleng i Pola Śmierci (Killing Fields). **Dz. 9** Phnom Penh, rejs rzeką Mekong do Chau Doc w Wietnamie. **Dz. 10** Chau Doc. Wycieczka rowerowa. Wypoczynek w Victoria Nui Sam Lodge. **Dz. 11** Chau Doc – Can Tho w Delcie Mekong. Wizyta na bazarze. Rejs. **Dz. 12** Can Tho – Ho Chi Minh. Pływający targ w Delcie rzeki Mekong. **Dz. 13** Ho Chi Minh, tunele Cu Chi, zwiedzanie miasta i kolacja pożegnalna. **Dz. 14** Ho Chi Minh. Spacer po mieście. Czas wolny. Wylot do Warszawy. **Dz. 15** Przyłot do Warszawy.

15-19 dni | Wyloty z Warszawy

14/03, 27/04, 04/06, 13/07, 07/11 2024, 25/02 2025

od **12.498,-**



Japonia z Albatrosem

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Tokio. **Dz. 2** Przyłot do Tokio, Japonia. **Dz. 3** Tokio. Świątynia Asakusa, wieża telewizyjna Skytree, park Ueno, targ Ameyoko, dzielnica sklepów Ginza, Tokyo International Forum i Pałac Cesarski. **Dz. 4** Pociągami Shinkansen do Hiroshimy. oraz wyspa świątyni Miyajima. **Dz. 5** Kopuła Bomby Atomowej, Park Pokoju, Muzeum Pokoju w Hiroshimie. Pociągami Shinkansen do Kagoshimy. Ogród Sengan-en. **Dz. 6** Kagoshima. Wulkan Sakurajima, Muzeum Kamikadze, dzielnica samurajów oraz kąpiel piaskowa w Ubuseki. **Dz. 7** Pociągami Shinkansen do Kioto. Targ Nishiki i uroczna dzielnica gejsz w Gion. **Dz. 8** Kioto. Wycieczka do Nary, Zamek Nijo, Ogród Ryoanji i Złoty Pawilon. **Dz. 9** Kioto. Dzielnica Arashiyama, świątynia Tenryu-ji i las bambusowy, świątynia shinto Fushimi Inari-taisha. **Dz. 10** Pociągami Shinkansen do Tokio. Świątynia shinto Meiji Jingu, Shibuya i wierny pies Hachiko oraz dzielnica Harajuku. **Dz. 11** Wycieczka do Parku Narodowego Hakone. **Dz. 12** Tokio, wylot do Warszawy. **Dz. 13** Przyłot do Warszawy.

13 dni | Wyloty z Warszawy

11/03, 12/05 2024

od **20.998,-**



USA w rytmie jazzu i country

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Atlanty. **Dz. 2** Atlanta. Zwiedzanie miasta, Statey Oaks oraz Muzeum Road to Tara. **Dz. 3** Atlanta – Montgomery – Birmingham. Zwiedzanie Montgomery. **Dz. 4** Birmingham – Lynchburg – Nashville. **Dz. 5** Nashville. Zwiedzanie miasta i Country Music Hall of Fame. **Dz. 6** Nashville – Memphis. Zwiedzanie Memphis i Sun Studios. **Dz. 7** Memphis. Graceland i czas wolny. **Dz. 8** Memphis – Clarksdale – Natchez. Muzeum Delta Blues oraz miasto Natchez. **Dz. 9** Natchez – plantacja Oak Alley – Nowy Orlean. **Dz. 10** Nowy Orlean. Spacer po French Quarter, jazzowy brunch i rejs po Missisipi. **Dz. 11** Nowy Orlean. Czas wolny. **Dz. 12** Nowy Orlean. Podróż powrotna. **Dz. 13** Przyłot do Warszawy.

13 dni | Wylot z Warszawy

21/04 2024

17.998,-



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: PL43

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

No to zaczynamy



Jerzy Baczyński

Jaka piękna była cisza po kampanijnym zgiełku. Aż drażniąca, zwłaszcza dla mediów, zmuszonych obracać bez końca te same pytania, spekulacje, rzekome pewne przecieki na temat koalicyjnych rozmów. Trzeba przyznać, że czwórka liderów oraz ich doradcy od początku zachowywali zupełnie niepolską dyskrecję i lojalność. Nawet TVP nie miała czym się pożywić, choć na słynnych paskach (może wkrótce poznamy nazwiska autorów?) wciąż suflowano tezę o kłótniach w opozycji i walce o stołki. Ale cisza powyborcza już się kończy. Prezydent właśnie odpowiedział na pierwsze pytanie: misja czy eksmisja dla Morawieckiego? Wybrał jednak zabawę w Morawieckiego. Trudno, przykro, choć w sumie bez znaczenia. Już w piątek mamy poznać umowę koalicyjną tworzącą fundament pod rząd Donalda Tuska. A w najbliższy poniedziałek odbędzie się inauguracyjna sesja nowego Sejmu i wtedy powinny zostać rozwiązane ostatnie powyborcze zagadki. Dowiemy się, czy PiS spróbuje wykonać jeszcze jakiś numer, aby przedłużyć swoją władzę? Czy Szymon Hołownia zostanie marszałkiem pełnym czy połówkowym (więcej na s. 15)? Jaki będzie ostatecznie kalendarz tworzenia nowego rządu i przekazywania władzy. Ile jeszcze potrwa czyszczenie dokumentów, jak długo będą podpisywane ostatnie kontrakty i przelewy? Rozstanie PiS z władzą na pewno będzie brzydkie i niehonorowe, pytanie tylko: ile żenady dostaniemy na koniec?

My już w tym numerze żegnamy Mateusza Morawieckiego, a o jego losie jako premiera i tak już przesądziły wybory, a o jego miejscu w historii on sam. Był szefem rządu długo, niemal równo przez 6 lat. Kiedy przychodził, przedstawiano go jako fachowca i technokratę, „europejską twarz PiS”, odchodzi ośmieszony bezsensowną nominacją, z wizerunkiem notorycznego konfabulanta, hipokryty, mitomana i radykała. Nie jest szanowany nawet w swoim obozie, co zresztą łączy go (a może i połączy politycznie) z inną marionetką Kaczyńskiego, czyli prezydentem Dudą. Morawiecki to postać (jak opisuje Cezary Michalski na s.18) rozdarta, na swój sposób może i warta współczucia, gdyby nie to, że ostatecznie okazał się człowiekiem nie tylko marnych kompetencji, ale też pozbawionym charakteru, gotowym do każdego kłamstwa i podłości. Mówi się jednak, że Kaczyński znów zapewne sięgnie po Morawieckiego, wykorzystając jego frustrację, chęć odwetu po porażce i obsadzi go w roli antytuska – głównego krytyka, recenzenta (przedrzeźniacza?) nowego premiera. Jeśli tak, to od Morawieckiego szybko się nie uwolnimy, choć pozbawiony stanowiska i dyspozycyjnych ekip TVP nie będzie już tak medialnie natrętny i toksyczny jak w ostatnich latach.

Wogóle ciekawe, jak będzie wyglądało to nowe „życie polityczne”, z wielką zamianą ról władzy i opozycji? Aż nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Jarosława Kaczyńskiego odpowiadającego w studiu (nowej) TVP na niezgodnione wcześniej pytania. Ale nie wiemy też, jaka będzie polityka komunikacyjna nowego koalicyjnego rządu. Za czasów PiS przestały istnieć – co jest kuriozum na skalę

światową – otwarte konferencje prasowe, władze odmawiały dostępu do informacji publicznych, blokowały dostęp dziennikarzy do posłów i ministrów, wytaczały procesy dziennikarzom. Nowa ekipa zapowiada tu radykalną zmianę, jednak musi się też liczyć z tym, że powyborczy okres ochronny szybko minie, że opozycja pisowska, ale też niezależne media, szybko zaczną rozliczać nową władzę, będą szukały rozbieżności w koalicji, będą nagłaśniały i podkreślały konflikty (choćby według klasycznej formuły „co pan/pani powie na to, co powiedział pański kolega/koleżanka?”).

A ponieważ, nawet przy najlepszej woli, napięcia między koalicjantami są nieuchronne, jedyna rada, jaką tu można dać, to aby mówić o wszystkim „jak do dorosłych ludzi”. PiS z komunikacji publicznej uczynił karykaturę, zamienił ją w tandetną propagandę, niekierującą się inscenizacją, mdlące, infantylnie samochwalstwo. Jedną z licznych nadziei, lokowanych w nowym rządzie, sprowadza się do tego, że będzie to ekipa „normalna”, gadająca ludzkim językiem, nieagresywna, gotowa – wreszcie, po 8 latach – do rzeczowej rozmowy na każdy temat. Duże wyzwanie.

Ciekawe, jak będzie wyglądał nowy Sejm, instytucja, którą PiS (jak wszystko, czego się dotknął) pozbawił ustrojowego sensu? (O dramacie polskiego parlamentarizmu piszemy na s. 12). Na merytoryczną współpracę nowej większości z klubem PiS nie ma co liczyć. Najłatwiej sobie wyobrazić, że PiS będzie proponował ustawy i poprawki do nich, mające przede wszystkim skłócić koalicjantów, skłonić jakieś części rządowej większości do głosowania razem z PiS albo chociaż przeciw pozostałym. (Na pewno celem takich zabiegów będzie PSL, a także ideowo niechętna kompromisom z „libkami” Lewica Razem). Więc i tu nowa większość z nowym marszałkiem szybko zostanie poddana testom spoiwości i lojalności. I znów najlepszą odpowiedzią będzie otwartość, uspołecznienie procesu legislacyjnego, szerokie konsultacje, wysłuchania publiczne. Demokracja musi wracać do Polski także przez Sejm. Cóż, że na końcu może być weto Dudy? Jeśli prezydent będzie blokował sensowne i dopracowane projekty, mocno obciąży hipotekę swojej formacji przed kolejnymi wyborami, łącznie z prezydenckimi. Nikt zresztą dziś nie powie, jak będzie wyglądała praktyczna kohabitacja nowego rządu z duetem Duda-Mastalerek – więc i tu pewnie trzeba dać szansę na nowe otwarcie. Choć decyzja Dudy o desygnowaniu Morawieckiego na niby-premiera jest złą prognozą.

Taki mamy moment – w krótkim antrakcie między wyborami a pierwszym posiedzeniem Sejmu – że zewsząd sypią się dobre rady dla przyszłego rządu Donalda Tuska: co musi, co powinien, w jakiej kolejności, a czego absolutnie nie może. Publikowane są sondáže, które już ustalają listy obywatelskich priorytetów, że np. najpierw pieniądze z KPO, po drugie – przywrócenie praworządności, potem odzyskanie mediów publicznych, podwyżki dla sfery budżetowej; a najlepiej wszystko naraz. Jest pełno sprzeczności wśród tych publicznie zgłaszanych postulatów. Jedni mówią, żeby skończyć z rozdawnictwem, inni żeby wypłacać wszystko, co obiecano, i nie przejmować się długiem, bo jeszcze mamy rezerwę. Koalicja powinna iść twardo w sprawach światopoglądowych, liberalizacji aborcji, ograniczenia wpływów Kościoła, ale też nie może drażnić ani upokarzać wyborców PiS. Przywracać praworządność, byle nie drogą na skrót. Trzeba rozliczyć odchodzącą władzę ze złodziejstw, ale „nie wolno brać odwetu”; zwalniać pisowskich aparatczyków, lecz dać ludziom szansę poprawy i pracy dla Polski. Itd.

Żaden rząd III RP, może poza tym pierwszym Tadeusza Mazowieckiego, nie zaczynał swojej misji wobec takiej góry oczekiwań i nadziei, w tak trudnej, realnie i moralnie, sytuacji. I w jakimś stopniu zadania są dziś podobne do tamtych: odbudowa państwa po latach autokratycznych, monopartyjnych rządów. Ale historia uczy, że aby uniknąć frustracji, my, wyborcy, musimy pamiętać, że 15 października wybraliśmy jedynie nowy demokratyczny, koalicyjny rząd – oby rozsądny i kompetentny – a nie magików i cudotwórców. Ci rządili nami przez ostatnie 8 lat.

Życie po mandacie

W poniedziałek 13 listopada ruszy Sejm X kadencji. W jego ławach nie zasiądzie jednak aż 144 posłów obecnej jeszcze IX kadencji, którzy odpadli w wyborach 15 października. To niemal co trzeci z dotychczasowych posłów. Takie obliczenia poczyniła na prośbę „Rzeczpospolitej” Kancelaria Sejmu. Z kolei prof. Jarosław Flis zauważył, że to największa wymiana w Sejmie od dwóch dekad. Zapytaliśmy kilkoro posłów i senatorów, którym nie udało się przedłużyć mandatu, co teraz planują.

– Poczekam, może Rzeczpospolita będzie miała dla mnie jakieś zadania – odpowiada **Robert Tyszkiewicz z KO**, posługujący nieprzerwanie od 2005 r., były przewodniczący podlaskiej PO, który tym razem na Podlasiu zdobył jedynie niespełna 6 tys. głosów (o 11 tys. mniej niż cztery lata temu). W mijającej kadencji był przewodniczącym sejmowej komisji łączności z Polakami za granicą. Ze swojego dorobku wymienia m.in. wspieranie przemian demokratycznych na Białorusi czy wywalczenie rekompensat dla przedsiębiorców turystycznych ze wschodniego pogranicza pokrzywdzonych przez zamknięcie przejść na polsko-białoruskiej granicy. – *Jeżeli państwo polskie będzie chciało skorzystać z mojego doświadczenia, będę do dyspozycji. Jeżeli nie – coś sobie znajdę* – deklaruje. I dodaje: – *Do polityki przyszedłem jako przedsiębiorca i zawsze mogę do tego wrócić. Wiedza zdobyta w parlamencie przyda się także na gospodarczym gruncie.*



Jan Maria Jackowski, który już niebawem przestanie być senatorem (do 2022 r. zasiadał w klubie PiS, potem został senatorem niezależnym), będzie żył z pisania. – *Tak się u mnie ułożyło, że największy wpływ na życie publiczne w Polsce miałem w czasach, gdy nie byłem parlamentaryzistą, a autorem głośniejszych książek – szczególnie w latach 90. – które wywołały ogromną debatę i miały bardzo istotny wpływ na formułowanie programów AWS Solidarność, a później PiS* – mówi. I dodaje, że nadal zamierza zabierać głos w ważnych sprawach dla Polski, tylko z pozycji pisarza i publicysty.



Iwona Śledzińska-Katarasińska z KO była posłanką od 1991 r. Jak tłumaczy, jej porażka miała związek z chorobą, która przytrafiła się jej w pierwszych dniach po ogłoszeniu listy wyborczej. – *Od tej pory zmianom tylko kuracje i szpitale* – mówi. – *Oczywiście mogłam zacząć się skreślić z listy, ale wydawało mi się, że przez te lata stałam się tak ceniona i szanowana przez moich łódzkich wyborców, że wybacz mi nieobecność w tej kampanii. Pomyliłam się – przyznaje z pewnym żalem. I dodaje, że w tej chwili ma jeden cel: wyzdrowieć. – Gdy to się wreszcie stanie, będę się zastanawiała, czy mam jakiegokolwiek plany.*



Na koniec warto zauważyć, że 144 zakończone mandaty to też cios w kieszenie podatników, którzy będą musieli zapłacić za odprawy parlamentarne. Łączna kwota będzie znana dopiero po zakończeniu kadencji, ale wiedząc, że jedna odprawa jest równa trzem uposażeniom poselskim (blisko 13 tys. zł brutto miesięcznie), można łatwo policzyć, że Sejm wypłaci odchodzącym posłom niemal 2 mln zł. (FRAŃ.)

Więcej na polityka.pl

Ile wazą małe partie

W wyborach do Sejmu próg wyborczy przekroczyło pięć komitetów wyborczych, na listach każdego z nich znaleźli się członkowie więcej niż jednej partii. Dzięki temu w ławach poselskich zasiadą reprezentanci aż 17 ugrupowań. I tak dla przykładu, poza partiami wchodzącymi w skład Koalicji Obywatelskiej – czyli PO, Nowoczesną, Inicjatywą Polską oraz Zielonymi – na listach komitetu znaleźli się także członkowie Agrounii. Sama Platforma Obywatelska zdobyła 23,12 proc. w skali kraju i 122 posłów, kandydaci Nowoczesnej – 1,74 proc., 6 posłów i Inicjatywy Polskiej – 1,17 proc., 3 posłów. Co może być ciekawe, szczególnie w obliczu tego, ile zamieszania wzbudziło zaproszenie Agrounii

na listy, to jej członkowie zdobyli niewiele mniej głosów niż reprezentanci Zielonych (0,25 proc. i tylko 1 poseł Michał Kołodziejczak vs 0,31 proc. i 3 posłów).

Na listach Trzeciej Drogi poza członkami PSL i Polski 2050 znaleźli się także reprezentanci: Centrum dla Polski (0,32 proc., 3 posłów), Unii Europejskich Demokratów (0,1 proc.), Porozumienia oraz Wolnościowców. Jeśli chodzi zaś o dwóch głównych koalicjantów, to członkowie PL2050 lub kandydaci popierani przez tę partię zdobyli 6,15 proc. i 31 mandatów, a członkowie PSL lub kandydaci przez PSL popierani: 5,4 proc. i 27 mandatów.

Z połączenia SLD i Wiosny powstała w 2021 r. Nowa Lewica (5,55 proc. i 19 posłów). Na listach tej partii znaleźli się także – i odnieśli względny sukces – członkowie Lewicy Razem (2,1 proc. i 7 posłów). Poza

tym z list tego komitetu startowali reprezentanci: Unii Pracy, Polskiej Partii Socjalistycznej oraz Socjaldemokracji Polskiej.

Zjednoczona Prawica była reprezentowana na listach PiS przez cztery partie. Poza PiS (29,12 proc., 157 mandatów) były to: Suwerenna Polska, Partia Republikańska oraz Kukiz'15. Zdecydowanie najlepszym wynikiem spośród mniejszych partnerów mogą pochwalić się ziobryści, którzy zdobyli łącznie 465 tys. głosów, co dało im 18 mandatów w Sejmie. Taki wynik w skali kraju przełożyłby się na 2,15 proc. Kandydaci Partii Republikańskiej zdobyli niecałe 0,5 proc. wszystkich ważnych głosów i 4 mandaty, a ci reprezentujący Kukiz'15 – 0,35 proc. i 2 mandaty.

Jeśli chodzi o Konfederację, to tutaj jasny podział poparcia utrudnia fakt, że Konfederacja Wolność i Niepodległość jako partia ma charakter federacyjny. I tak kandydaci startujący z tego komitetu wyborczego deklarowali przynależność zarówno do: Konfederacji Wolność i Niepodległość (7 posłów), jak i Konfederacji Nowa Nadzieja (6 posłów), Konfederacji Ruch Narodowy oraz Konfederacji Korony Polskiej (2 posłów), a także – po prostu – Nowej Nadziei czy Ruchu Narodowego. Próbując to jednak jakoś podsumować, to członkowie partii z Nową Nadzieją w nazwie zdobyli 2,56 proc., a ci z Ruchem Narodowym – 0,92 proc. (PJO)



Paliwo pokampanijne

Wielka przedwyborcza promocja paliwowa Orlenu, dzięki której polscy kierowcy mogli cieszyć się najtańszym paliwem w Europie, zakończyła się 16 października. Był to też wielki eksperyment ekonomii behawioralnej: na ile, sterując cenami, można oddziaływać na nastroje wyborcze. Efekt okazał się negatywny, dlatego w drugiej połowie października ceny zaczęły systematycznie rosnąć. Choć prezes Daniel Obajtek wcześniej zapewniał, że drożej nie będzie, benzyna i olej napędowy są już o ponad 0,5 zł/l droższe niż przed wyborami. Plus jest taki, że dystrybutorzy na stacjach, gnębione wcześniej „awariami”, dziś pracują bez zarzutu.

Według ekspertów firmy Reflex w najbliższym czasie ceny będą nadal rosnąć. Są wciąż poniżej poziomu tzw. paritetu importowego, czyli cen paliw u alternatywnych wobec Orlenu dostawców zagranicznych. W normalnych czasach to zawsze poziom cen w europejskich rafineriach (plus koszt transportu) określał, do jakiego poziomu Orlen może dojść. Koszt ropy czy kurs dolara – o których mówi się często – są ważne do oceny rentowności biznesu rafineryjnego, ale nie do kalkulacji cen paliw.

40 proc. paliw na polskim rynku musi być importowane, bo Orlen nie pokrywa zapotrzebowania. Niezależni importerzy



wciąż ograniczają zakupy, bo mało kogo stać, by kupować drogo, a potem sprzedawać po cenach, jakie dyktuje koncern Daniela Obajtka. Na szczęście wielkim importerem paliw jest też Orlen, a jego na to stać, bo ma pozycję prawie monopolistyczną. Kiedy koncern podał wyniki za III kwartał, można się było zorientować, ile w przybliżeniu kosztował pierwszy etap przedwyborczej promocji: zysk był o miliard złotych niższy niż w analogicznym okresie ubiegłego roku, choć sprzedaż wzrosła o 10 proc. Efekty październikowego finału promocji poznamy w wynikach ostatniego kwartału.

Koncern wydał oświadczenie, że działa w sposób rynkowy, „starając się ograniczać wahania cen paliw spowodowane niestabilnością sytuacji geopolitycznej i gospodarczej na świecie”. „Ceny paliw w Polsce niezmiennie pozostają jednymi z najniższych w Europie” – zapewnia Orlen, uprzedzając jednocześnie, że sytuacja na Bliskim Wschodzie powoduje, że ceny mogą wzrosnąć. Daniel Obajtek nie może sobie pozwolić na szybszy powrót do sytuacji *business as usual*, bo przyznałby się do politycznie motywowanej manipulacji rynkowej. Woli, żeby wziął to na siebie następca – sam zapewne chce być zapamiętany jako Daniel „wszystko mogę”, który mógł dać Polakom nawet tanie paliwo. Być może to zapewni mu paliwo do dalszej politycznej kariery. (AG)

Romowie kontra korporacje

Meta #StopRomofobii. Gdzie jest flaga romska w Twoich emoji? – billboard z takim pytaniem pojawił się w ubiegłym tygodniu nieopodal warszawskiej siedziby firmy Meta, do której należą Facebook i Instagram. Za przekaz odpowiada Centralna Rada Romów w Polsce, niezależna organizacja przeciwdziałająca zjawiskom romofobii i dyskryminacji. W tym przypadku chodzi o emotikonę – a raczej jej brak. **Flaga Romów** – czerwone koło (czakra o 16 promieniach symbolizująca odwieczną wędrówkę i indyjskie pochodzenie) na niebiesko-zielonym tle (symbol tułaczki pod niebieskim niebem, po zielonej ziemi) – została uchwalona na Pierwszym Światowym Kongresie Romów w Londynie w 1971 r. Dziś jest uznana przez wiele organizacji międzynarodowych, w tym ONZ. Nie ma jej jednak wśród 255 emotikonów flag dostępnych dziś na platformach Mety. Wśród nich znajdziemy m.in. tęczę, rajdową, a nawet piracką, ale flagi najliczniejszej mniejszości w Europie – nie ma.

Mało istotne? Zależy dla kogo. – *Bez niej czujemy się gorsi od innych, którzy mają swoje flagi. Nie możemy w pełni celebrować swojej narodowości oraz ważnych dla nas świąt* – mówi Karol i Karolina Kwiatkowski z CRR. Na co dzień szkołą różne organizacje i instytucje z komunikacji międzykulturowej. I widzą, że wiele z nich postrzega Romów przez pryzmat stereotypów. – *Dlatego skierowaliśmy*

naszą kampanię do dużych korporacji, które w swoich regulaminach odwołują się do integracji, tolerancji, inkluzywności, w rzeczywistości niekoniecznie stosując się do tych standardów – tłumaczy Karolina.

Billboardów jest więcej. Ten obok siedziby Google w Warszawie gani korporację, bo do tej pory żaden z jej doodle (graficzna kreacja zastępująca logo firmy) nie celebrował romskiego święta. To o tyle dziwne, że Google ma unikatowe, tymczasowe logo na niemal każdy dzień w roku dla uczczenia rocznic, zasłużonych ludzi, wydarzeń sportowych, a nawet napoju na bazie herbaty z kulkami tapioki. CRR zaproponowała na swoim billboardzie własny doodle na 5 listopada, czyli Międzynarodowy Dzień Języka Romskiego. Projekt konsultowany ze znaną romską artystką Małgorzatą Mirgą-Tas przedstawia Romów w tradycyjnych strojach bawiących się przy muzyce.

Jest i trzeci billboard, nieopodal siedziby Netflixu. Tym razem chodzi o serial „Infamia”, opowiadający o nastoletniej Romce marzącej o karierze hiphopowej. Zdaniem Karola Kwiatkowskiego, serial jest szalenie stereotypowy i przedstawia Romów jako kryminalistów handlujących własnymi córkami. Dlatego CRR wzywa na swoim billboardzie Netflixu: „Pokaż Romów bez stereotypów albo infamia”. Karolina Kwiatkowska dodaje: – Nie zamierzamy wstydić się, że jesteśmy Romami, mamy własną kulturę, język i obyczajowość. Chcemy się integrować, ale z poszanowaniem naszej godności. (FRĄT.)



Powyborcze (po)rachunki

Marek Borowski

Senator, ekonomista, marszałek Sejmu IV kadencji.



Rekordowa liczba wyborców głosujących za granicą (w 2019 r. – 313 tys., w 2023 r. – 569 tys.) zwróciła uwagę opinii publicznej na znaczenie tych głosów dla ostatecznego wyniku wyborów. Jak wiadomo, wszystkie te głosy oddawane są na listy w Warszawie, co – jak za chwilę zobaczymy – sprawia, że ich znaczenie jest bardzo ograniczone.

Równy rok temu PKW wystosowała do marszałek Witek pismo postulujące dokonanie ustawowych korekt w liczbie mandatów w 21 (na 41) okręgach wyborczych. Zgodnie z konstytucją wybory do Sejmu są proporcjonalne, co oznacza, że w każdym okręgu na jeden mandat powinno przypadać mniej więcej tyle samo mieszkańców. Jednak od dawna już tak nie jest. Migracja ludności spowodowała, że np. Warszawa, Poznań, Kraków czy Gdańsk powinny wybierać (każde) o jednego posta więcej, a np. okręg lubelski czy chełmski – mniej. Elżbieta Witek prawdopodobnie uznała, że takie zmiany przyniosłyby stratę dla PiS-u, dlatego zlekceważyła konstytucję i pismo PKW schowała na dno szuflady. Nowa większość parlamentarna powinna zatem szybko dokonać tych korekt. To konieczne, ale co zrobić z wyborcami za granicą?

Stosując się do wytycznych PKW, 569 tys. wyborców głosujących za granicą powinno mieć prawo wybrać 7 posłów, czyli liczba mandatów w Warszawie powinna być zwiększona do 27, a biorąc pod uwagę korektę proponowaną rok temu przez PKW – nawet do 28. Pozostawiono jednak 20 mandatów. Efekt? W wyborach ponad 400 tys. (!) głosów oddanych z zagranicy na opozycję demokratyczną dało jej tylko jeden dodatkowy mandat. Otrzymała go Lewica kosztem PiS. Taka sytuacja oznacza, że godna uznania wielka mobilizacja rodaków na świecie została przez system wyborczy faktycznie zlekceważona.

Ale, ale – powie przeciwnik dodawania Warszawie 7 mandatów – o ile wiemy, ilu mieszkańców albo ilu uprawnionych do głosowania

mieszka w każdym z okręgów wyborczych w Polsce, o tyle możemy tylko zgadywać, ilu Polaków zarejestruje się w komisjach za granicą. Jeśli na podstawie ostatnich wyborów dołożymy Warszawie 7 mandatów, a za cztery lata okaże się, że zainteresowanie wyborami spadło i zagłosuje znów tylko 300 tys. osób, to Warszawa będzie uprzywilejowana, a niektóre okręgi będą stratne, bo przecież w kilku z nich trzeba było liczbę mandatów zmniejszyć. Czy zatem jest na to sposób? Jest, ale tradycjonalści będą wybrzydzać. W trzech krokach wygląda to tak:

- 1 Sejm ustala w ustawie, że rejestracja wyborców za granicą kończy się na miesiąc przed wyborami.
- 2 Na tej podstawie PKW określa liczbę dodatkowych mandatów dla Warszawy.
- 3 Następnie wskazuje okręgi, w których dotychczasowa liczba mandatów ulega zmniejszeniu o jeden mandat, w sumie o tyle, ile dodano Warszawie.

Proste? Dosyć, ale już widzę te dyskusje. Oby nie skończyło się tak, jak w piosence Kuby Sienkiewicza: „Już każdy powiedział to, co wiedział/ Trzy razy wysłuchał dobrze mnie/ Wszyscy zgadzają się ze sobą/ A będzie nadal tak jak jest”.

Teraz taka ciekawostka. Na trzy dni przed wyborami rządowy CBOS dał KO, TD i NL łącznie tylko 33 proc. głosów (faktycznie było to prawie 54 proc.!). Chyba coś z tą instytucją trzeba zrobić – idą na nią nasze podatki.

I jeszcze kilka słów o pakcie senackim. Na kandydatów KO, TD i NL do Sejmu padło 11,6 mln głosów, a na kandydatów paktu do Senatu tylko o ok. 10 proc. mniej, co oznacza, że wyborca opozycji demokratycznej w sposób dość zdyscyplinowany głosował na kandydata paktu, nawet jeśli kandydat ten nie pochodził z partii, na którą ten wyborca głosował do Sejmu. Pozwala to z nostalgią myśleć o wspólnej liście, gdzie wynik mógłby być nawet lepszy, bo na takiej liście wyborca znalazłby przecież kandydata z preferowanej przez siebie partii. Ale cóż... Jak śpiewa Maryla (co ja znowu z tymi piosenkami!): „Ale to już było/ i nie wróci więcej”. Trzeba się więc cieszyć tym, co mamy. I – sorry, to z kolei Młynarski – nie spieprzyć tego, panowie!

1GA

Słodko-gorzki sezon **Iga Świątek** zwieńczyła mocnym akcentem. Przez turniej mistrzyń, z udziałem ośmiu najwyższej notowanych zawodniczek rankingu, szła jak burza, tracąc w kolejnych setach średnio po dwa gemy. Prestiżowo i symbolicznie najważniejsze było zwycięstwo 6:3, 6:2 z Aryną Sabalenką, która niedawno zastąpiła Ige na czele światowej klasyfikacji tenisistek. Finał, w którym zmierzyła się z Jessiką Pegulą, zakończył się już po zamknięciu tego numeru, ale tak czy inaczej, Iga Świątek, pokonując w Cancun bezpośrednio wszystkie zwyciężczynie turniejów wielkoszlemowych w 2023 r., potwierdziła, że królowa jest tylko jedna. Jak na plakatach kibiców: 1GA.

Przy okazji turnieju mistrzyń padły pytania, co kierowało władzami WTA, że na miejsce turnieju wybrały meksykański kurort Cancun. Tropikalna pogoda – ulewne opady i huraganowy wiatr – spowodowała turniejowy kalendarz, mecze się rwały, a tenisistki, opatulone ręcznikami,



czekały na decyzję grać/nie grać pod parasolami, które podmuchy wiatru wyrwały im z rąk. Nie jest żadną tajemnicą, że huraganowy sezon utrzymuje się w rejonie Cancun średnio do końca listopada, a ocieplony ponad miarę ocean potęguje wywrotowość pogody. Tymczasem turniej rozgrywano pod gołym niebem i na zbudowanym w ostatniej chwili korcie. Gdziekolwiek był pofałdowany i zdaniem

uczestniczek nadawał się co najwyżej na zawody regionalne.

Rzucone w takie warunki najlepsze tenisistki zgodnie stwierdziły, że to kolejny przejaw lekceważenia i dyktatu siły, jakich doświadczają ze strony szefostwa WTA. Do listy zastrzeżeń dołączyły również: przeładowanie kalendarza, ustawianie turniejowych drabinek pod dyktando mężczyznom, zbyt ciężkie piłki (powodujące kontuzje) oraz fatalny marketing. Iga Świątek wypowiada się w tych kwestiach niczym szefowa związku zawodowego, władze WTA rutynowo odpowiadają, że są otwarte na dialog. A Cancun jako lokalizacja wieńczącego sezon turnieju będzie epizodem, ponoć już dopinana jest umowa przekazująca na wiele lat prawo organizacji zawodów Arabii Saudyjskiej. Wielki sport jest dla naftowego królestwa kluczowy w budowie nowej narodowej strategii wizerunkowej i stało się to tak oczywiste, że niedawna wiadomość, iż to Saudowie będą gospodarzami piłkarskiego mundialu w 2034 r., przeszła właściwie niezauważona. (MP)



Brakuje artykułów niezbędnych do przetrwania, w tym wody, żywności, leków i paliwa napędzającego szpitalne generatory prądu, są przerwy w łączności telefonicznej i internetowej. Nie ma jak bezstronnie zweryfikować, kto wystrzelił daną rakietę, zrzucił bombę czy jakie straty dokładnie wyrządził. Niemniej każdy dzień ostrzałów, kolejne obrazy zakrwawionych palestyńskich dzieci, widoki leżących po bombach w obozach dla uchodźców zaostrza globalną krytykę przede wszystkim Izraela i podnosi – i tak już wysokie – napięcie na Bliskim Wschodzie.

Przez kilka dni podróżował po regionie kierujący amerykańską dyplomacją Antony Blinken. W Tel Awiwie namawiał do przerw w walkach, aby ułatwić dystrybucję pomocy. Od arabskich sąsiadów Izraela usłyszał, że ten popełnia zbrodnie wojenne i konieczne jest zawieszenie broni. Domagają się go we wspólnie wystosowanym apelu także szefowie oenietowskich agencji pomocowych, w tym UNICEF, WHO i Światowego Programu Żywnościowego. I przypominają, że już zginęło 88 osób pracujących dla ONZ. Natomiast Blinken ma nadzieję, że państwa arabskie przyjmą do wiadomości, że Izrael nadal będzie prowadził ofensywę. W tych warunkach nie ma mowy o jakichkolwiek ustaleniach odnoszących się do długofalowej przyszłości Palestyńczyków i uznaje za sukces, że konflikt nie rozlał się jeszcze na resztę regionu.

O Benjaminie Netanjahu i Goldzie Meir s. 46.

Miesiąc wojny

Rozbijemy Hamas, twierdzą po twierdzy, batalion po batalionie – zapowiada Jonathan Conricus, rzecznik armii Izraela, który w Strefie Gazy prowadzi akcję odwetową za masakrę z 7 października, w której zginęło 1,4 tys. osób, a ponad 200 porwano. Miesiąc wojny przyniósł – to dane gazańskich hamasowskich władz – 9,7 tys. palestyńskich ofiar cywilnych, w tym 3,9 tys. dzieci i 2,4 tys. kobiet. Izraelskie wojsko twierdzi, że jego żołnierze

dotarli do wybrzeża morskiego, przecinając terytorium na pół. Północ, jako matecznik Hamasu, pozostanie strefą intensywnych bombardowań i walk miejskich, toczonych także w sieci podziemnych kryjówek i tuneleli, które ciągną się kilometrami.

Każdego dnia rażone jest tam nawet 450 miejsc. Izrael niezmiennie wzywa mieszkańców tych terenów, by jak najszybciej uciekali na południe, gdzie ma być bezpieczniej i dokąd może dotrzeć pomoc humanitarna. Jednak także ta część Gazy jest ostrzeliwana, a po przesiedleniu tam ok. 1,5 mln osób zmagają się z dramatem humanitarnym.

Dożywocie dla króla

To było jedno z największych oszustw finansowych w historii USA. Nowyorski sąd 2 listopada uznał **Sama Bankman-Frieda**, jeszcze do niedawna najbogatszego 30-latką na świecie, zwanego też królem kryptowalut, za winnego zdefraudowania w sumie ponad 10 mld dol. Były to głównie fundusze powierzone mu przez inwestorów grających na jego kryptogieldzie FTX, która zbankrutowała w listopadzie 2022 r. Kilkanaście dni później Bankman-Fried został aresztowany na Bahamacach i od tamtego czasu przebywał w areszcie. Same przesłuchania świadków trwały zaledwie 15 dni, sąd debatował nad winą cztery godziny, wyrok zapadł w marcu przyszłego roku – Bankman-Friedowi grozi łącznie 115 lat więzienia.

Jego kryptogielda FTX była w pewnym momencie drugim największym tego typu biznesem na świecie. Pozwalała inwestorom m.in. handlować kryptowalutami bez udziału oficjalnych instytucji finansowych,



a więc poza państwową kontrolą. Same kryptowaluty, czyli w praktyce niezależne systemy księgowy, święciły na początku obecnej dekady rekordy popularności i wyceny. Opierają się jednak m.in. na zaufaniu do obracających nimi „maklerów”, którzy często mają dostęp do wirtualnych kont swoich klientów. Tym sposobem

Bankman-Fried wbrew przepisom wyprowadził z FTX ponad 8 mld dol. nie swoich pieniędzy do swojego funduszu inwestycyjnego Alameda Research. Kupował nieruchomości, papiery wartościowe, wspierał również finansowo polityków. O tym odpływie funduszy z giełdy FTX spekulowano przez wiele miesięcy. Ostatecznie zapalnikami okazały się wpisy na Twitterze współpracownika Bankmana-Frieda, który wątpił w wypłacalność FTX. W rezultacie wartość tej spółki w ciągu dwóch tygodni spadła z 32 mld dol. niemal do zera.

W trakcie procesu Bankman-Fried przyznał, że popełnił błędy, ale przekonywał, że wynikały po prostu z biznesowego ryzyka. Co innego twierdziła jego dziewczyna i jego najbliżsi współpracownicy, którzy poszli na współpracę z prokuraturą. Z ich zeznań wyłonił się obraz człowieka opętanego bogactwem (w pewnym okresie wydawał na zbytki milion dolarów dziennie) i przewrotną wizją ratowania ludzkości poprzez inwestowanie m.in. w plany kolonizacji innych planet.

Żal czy nie żal?

Australijczycy spierają się o **brumbies**. To dziedziczne konie, dalecy krewni tych, które sprowadzili Anglicy w 1788 r., kiedy zaczęli kolonizować wyspę. A ponieważ konie nie miały naturalnych wrogów, zaczęło ich szybko przybywać. Teraz ich wrogiem stał się człowiek, a konkretnie rząd Nowej Południowej Walii oraz naukowcy opiekujący się obejmującym Alpy Australijskie Parkiem Narodowym Kościuszki, prawdziwym klejnotem w koronie. Dzięki konie są tu tak liczne, że zdeptują przyrodę, zagrażając przetrwaniu wrażliwych ekosystemów i unikalnej fauny. Władze, po długich debatach, wspierane autorytetem 64 czołowych ludzi nauki, z prezesem Australijskiej Akademii Nauk Johnem Shine'em na czele, podjęły decyzję o drastycznym zmniejszeniu stada, do 3 tys. sztuk w 2027 r., poprzez odstrzał z helikopterów ponad 10 tys. koni. Można się domyślać, jak tę decyzję przyjęli obrońcy zwierząt z porozumienia organizacji przeciwnych zabijaniu koni (ABA) na czele.

Konie **brumbies**, obrazujące wolność i bezkresność odludzia oraz trud pionierów, to ważny element australijskiej mitologii, obecne są w literaturze i tęsknych balladach, na banknotach i w nazwach drużyn sportowych. Znamienne, że proporcje zwolenników i przeciwników tej drastycznej decyzji, 70 do 30 proc., pokrywają się z podziałem ludności miasto – wieś, teren. A miasto nie rozumie wsi, to wiadomo. Ale też w tę debatę wkroczył inny, bardzo gorący dzisiaj wątek powrotu do korzeni, poszukiwania tożsamości i obalania mitu, że kolonizatorzy zastali pusty kontynent. Jak to się stało, że pierwsi mieszkańcy potrafili zachować w równowadze wszystko to, co w trzy stulecia przybysze do tego stopnia zniszczyli. Czy to nie był najgroźniejszy gatunek inwazyjny?



Niepokonani

Kiedy 80 tys. widzów na paryskim Stade de France oglądało finał Pucharu świata w rugby i zwycięstwo 12:11 **drużyny Republiki Południowej Afryki** nad Nową Zelandią, zapachniała historia. Podobny finał, w mistrzostwach po raz pierwszy rozgrywanych w odrodzonej RPA, kiedy to biała drużyna gospodarzy (bo z dawnej epoki) pokonała w finale Nową Zelandię, a Nelson Mandela wręczał puchar w koszulce zwycięzców, stał się elementem narodowego pojednania. I inspiracją do pamiętnego filmu „Invictus”. Po drodze drużyna Springboków, jak się nazywają miejscowe antylopy, jeszcze dwa razy zdobywała puchar, w tym 4 lata temu, i teraz obroniła tytuł. Co w całej południowej Afryce wywołało podwójną euforię. Wielodniowy tryumfalny objazd kraju rozpoczął się na tarasie pałacu prezydenckiego w Pretorii – prezydent Cyril Ramaphosa odbierał zresztą w Paryżu puchar razem z zawodnikami. Zbiorowy amok i piski tłumu na trasie reporter BBC porównuje z reakcjami na Beatlesów. Co tym bardziej zrozumiałe, że poza wygraną nie bardzo jest się z czego cieszyć, bo tamtejsza codzienność to częste wyłączenia prądu, 42-proc. bezrobocie, wysoka przestępczość i korupcja. Tęczowa transformacja powiodła się na górze, ale na dole jest bezbrzeżne rozczarowanie.

Doskonałą tego ilustracją jest kapitan Springboków, Siya Kolisi, pierwszy o czarnym kolorze skóry, dziś bohater narodowy. Urodził się w czarnym biedamiasteczku Zwide, dokładnie wtedy, kiedy biały prezydent Willem de Klerk ogłaszał koniec apartheidu. Matka Kolisiego urodziła go jako nastolatka, wychowywali go dziadkowie i ulica, był głód, on od małego pił i ćpał, należał do lokalnego gangu. Uratował go odkryty talent do rugby, chociaż jego koledzy zostali w Zwide, wielu już nie żyje – wyznał w bardzo szczerej biografii.

Uroczystości potrwać do 15 grudnia, ogłoszonego przez prezydenta dniem wolnym od pracy, na chwałę zwycięstwa. A później wszystko wróci na starą ścieżkę.

Impas i upór

Ukraina zdecydowała się zdać Zachodowi relację z zaczętej pięć miesięcy temu ofensywy i otworzyć dyskusję, co dalej z wojną po niemal dwóch latach walki. Brytyjski „Economist” i amerykański „Time” zamieściły niemal jednocześnie teksty oparte na rozmowach z szefem ukraińskiego sztabu gen. Walerym Żałuznym i ludźmi z najbliższego otoczenia prezydenta Wołodymyra Zełenskigo. Wnioski są pesymistyczne: w wojnie zapanował trudny do przezwyciężenia impas, a ukraiński lider stracił moc przyciągania uwagi świata i pogrążył się w gniewie. Rzadko dzielący się przemyśleniami gen. Żałuzny stwierdza, iż po stronie Rosji i Ukrainy wyrównał się potencjał techniczny, taktyczny i zaangażowanych w walkę sił, co sprowadza wojnę

w okopy. Ocena ta nie jest nowa, ale wypowiedziana przez najważniejszego dowódcę w Europie stanowi boleśnie szczerzy rozrachunek z rzeczywistością, w której Ukraina nie ma sił ani środków, by tę wojnę zakończyć na własnych warunkach. Fakt, że nie umie tego również Rosja, nie jest pocieszeniem, bo – jak przypomina Żałuzny – to jego wrogowie mają większe zasoby i są w stanie dłużej to ciągnąć. Potwierdza to w najnowszych ocenach brytyjski wywiad: siły są wyrównane, lotnictwo niemal nieobecne, a wiodąca rola walk lądowych sprzyja stronie broniącej się. W dodatku rozciągnięcie frontu na 1200 km nie daje szans na skomasowanie sił niezbędnych do przełamania.

Nie znaczy to jednak, że na froncie jest cisza. Ostatnie dni to nasilenie taktycznych starć, ponowne uruchomienie okopowej „maszynki do mięsa”. Ukraińcy meldują

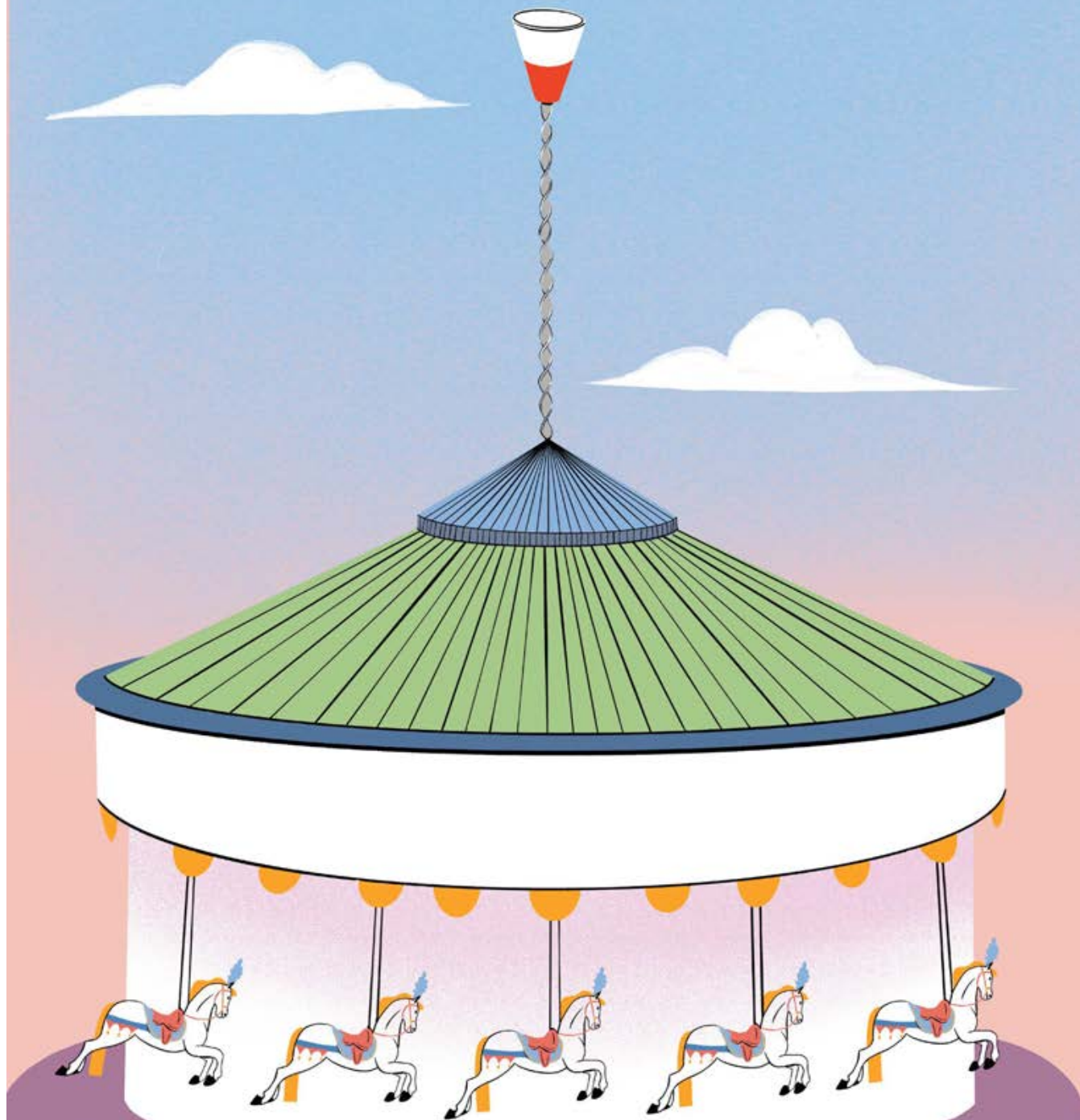
o rekordowych rosyjskich stratach rządu 800–900 żołnierzy dziennie. To głównie efekt nieudanych szturmów pod Awdijewką i Wielką Nowosyjką, gdzie teraz Ukraińcy muszą się bronić. Sami coraz skuteczniej naciskają Rosjan na lewym brzegu Dniepru pod Chersoniem, gdzie kilka tygodni temu utworzyli przyczółek. Wypadki na rosyjskie pozycje po zachodniej stronie podejścia na Krym czy ostrzał stanowiska dowodzenia to dokuczliwe nękanie przeciwnika, ale nie zapewnienia jego pokonania. Dlatego jedyną szansą według Żałuznego jest „wynalezienie prochu na nowo” – skok w nowoczesność, a nie tylko więcej czołgów i dział. By taki przełom był możliwy, potrzeba koncentracji zasobów technologicznych i ekonomicznych, zaufania i czasu, którego Ukraina wydaje się mieć dziś mniej niż do tej pory. Zwłaszcza kiedy uwagę świata przykuł Bliski Wschód.

MARKA ŚWIERCZYŃSKI

Powrót pośła

Zdegradowany i zamknięty dla obywateli Sejm stał się symbolem systemu budowanego w Polsce przez PiS. Czy partie opozycyjne zaczną kadencję od odbudowy jego znaczenia?

ANNA DĄBROWSKA, ŁUKASZ LIPIŃSKI



ILUSTRACJA BASIA POSPISCHIL



Na 13 listopada, poniedziałek po weekendowym w tym roku Święcie Niepodległości, Andrzej Duda zwołał pierwsze powyborcze posiedzenie Sejmu. Na początku będzie mu przewodniczył marszałek senior wybrany spośród najstarszych parlamentarzystów. Podobno to nie będzie żadne z trzech nazwisk najwcześniej urodzonych posłów – Antoni Macierewicz (75 lat), Jarosław Kaczyński czy Ryszard Terlecki (obaj 74 lata). Jeśli PiS nie przyszykuje żadnej niespodzianki, na pierwszym posiedzeniu ukonstytuuje się demokratyczna większość – 248 posłów Koalicji Obywatelskiej, Polski 2050, PSL i Lewicy, po czym wybierze Prezydium Sejmu; kandydatem na marszałka ma być Szymon Hołownia.

Lider Polski 2050 mówi, że ma swój plan na nowy Sejm: „Państwo zaczęło się w Polsce psuć od parlamentu. To tam się zaczęły procesy gnilne, które przez osiem lat sprawiały, że erodowały na wszystkich płaszczyznach. Od Sejmu trzeba to zacząć naprawiać; nie będzie dobrego rządu, jeśli nie będzie zdrowego Sejmu” – powiedział w TVN24. Pomysł Hołowni to przede wszystkim otwarcie nowego Sejmu na dialog, obywateli, organizacje społeczne – „odbarierkowanie” parlamentu, bo to postawione przy Wiejskiej płotki stały się symbolem tego, jak PiS postrzega parlament. Sejm ma się znów stać miejscem debat politycznych, a nie odgradzonym od Polaków walcem przeprowadzającym posłuszną wolę partii narzucaną z ul. Nowogrodzkiej.

Przed objęciem władzy zapowiedzi prezesa PiS były obiecujące. W ramach „pakietu demokratycznego” opozycja miała zyskać wpływ na porządek obrad, szefowie opozycyjnych partii mieli dostać „pewne przywileje”, a słynna sejmowa zamrażarka miała zostać zlikwidowana. W pakiet wpisany był pomysł, by na każdym posiedzeniu Sejmu odbywała się trzygodzinna debata bez cenzury, na której musiałyby się stawiać premier. Kaczyński przekonywał, że opozycja uzyskuje w ten sposób możliwość kontroli i dialogu z rządem oraz informację o jego bieżących pracach.

PiS bezskutecznie proponował pakiet jako partia opozycyjna, ale Kaczyński obiecał jego wprowadzenie już w wieczór po wygranych wyborach w 2015 r. „Musimy pokazać, że polskie życie publiczne może wyglądać zupełnie inaczej” – mówił prezes PiS. Podjęto nawet jakieś prace, zgłoszono projekt zmian, a potem szybko trafił do sejmowej zamrażarki. Opozycja dwa razy, w 2020 i 2022 r., wniosła do łaski marszałkowskiej pakiet PiS, ale nie doczekał się uchwalenia. Już w 2016 r. ówczesny marszałek Senatu Stanisław Karczewski wyjaśniał, że „trudno jest z opozycją totalną wprowadzać pakiet demokratyczny”. W 2018 r. z mównicy sejmowej z obietnicy prezesa wykręcał się wicemarszałek Ryszard Terlecki: „Teraz jest opozycja totalna, jest ulica i zagranica. I wy chcecie pakietu demokratycznego? Za granicą? Na ulicy? Nic z tego”.

W ciągu ostatnich ośmiu lat Sejm stał się maszynką do głosowania, która miała bezwzględnie realizować wolę centrali z Nowogrodzkiej. Brutalne deptanie procedur stało się ponurą normą, na którą opinia publiczna przestała już zwracać uwagę. Padły rekordy: przyjęcie ustaw wprowadzających w 2020 r. tzw. wybory kopertowe zajęło posłom 113 minut. Tyle zajęły trzy czytania, „debata” i głosowanie. Nowelizacja ustawy o IPN w sprawie „polskich obozów śmierci”, która doprowadziła do awantury z USA i Izraelem, została przegłosowana w trzy godziny. – *Naszemu elektoratowi ta skuteczność się podobała. Mówiło się naszym wyborcom, że zależy nam na tym, aby działało się szybko, bo zmiany są dla nich korzystne* – opowiada poseł PiS. W 2021 r. w ekspresowym tempie przeprowadzono tzw. Polski Ład, choć eksperci apelowali, żeby nad zmianami popracować dłużej, bo prawo podatkowe

musi być spójne, jasne i przewidywalne. Ostatnio posłowie PiS złożyli do projektu nowelizacji prawa oświatowego około setki poprawek, które parlament musiał uchwalić w dwie doby.

Gdy sejmowa maszynka się zacięła, dyspozycyjni marszałkowie Marek Kuchciński i Elżbieta Witek głosowanie powtarzali. „Elżbieta, jest prośba od szefa, bo chyba reasumpcję trzeba będzie zrobić” – takie słowa ministra kultury Piotra Glińskiego wyłapały w grudniu 2020 r. sejmowe mikrofony. Wtedy chodziło o poprawki Senatu do ustaw covidowych, innym razem o procedowanie ustawy medialnej wymierzonej w TVN. Witek zapewniała, że przy lex TVN rzekomo zasięgnęła opinii pięciu prawników (wśród nich był podobno minister Przemysław Czarnek), i reasumpcję zarządziła. Podobnie było w komisjach; posłowie żartowali, że do regulaminu można wpisać zasadę, że PiS głosuje do skutku, aż wygra.

Jeszcze nigdy Sejm nie zbierał się tak rzadko, jak w ostatniej kadencji. Tylko 81 posiedzeń, najmniej od 1991 r. (przed 2015 r. liczba posiedzeń zawsze przekraczała setkę). Dni sejmowych było tylko 194. – *Jarosław nie lubił, jak zjeżdżaliśmy się na Wiejską, wolał jak pracujemy w terenie, a nie knujemy w Sejmie. Poza tym opozycja i nasi mniejsi koalicjanci mieli okazję do lansu na konferencjach prasowych* – opowiada poseł PiS. Krótsze obrady nie oznaczały zatrzymania biegunki legislacyjnej, nowelizacji było coraz więcej, przy tym – zdaniem ekspertów – gorszej jakości. Z raportu serwisu Prawo.pl i LEX wynika, że 2022 r. był rekordowy pod względem zmian w prawie. Opublikowano 127 tys. nowych aktów prawnych, a przynajmniej raz zmieniono 25 tys. aktów. W jednej ustawie łądowały wrzutki, które zmieniały inne, które z bazową ustawą nie miały wiele wspólnego. Takie upychanie do jednej ustawy przepisów zmieniających kompletnie inne dziedziny stało się normą.

Posiedzenia plenarne to rodzaj teatru, w którym politycy prezentują wyraziste poglądy i budują więź z wyborcami. Jednak w komisjach sejmowych powinni ucierać poglądy, wypracowywać sensowne rozwiązania, także wyłapywać absurdy legislacyjne. Przez ostatnie osiem lat nic takiego się nie działo. Rząd, chcąc uniknąć konsultacji, korzystał z szybszej ścieżki i dawał posłom ustawy, aby zgłaszali je do łaski marszałkowskiej jako swoje. – *To było nagminne, że na etapie prac komisji sejmowej jakiś minister przynosił stosy poprawek, bo coś im się w ministerstwie przypominało, a posłowie, którzy teoretycznie zgłaszali projekt, nie mieli pojęcia o co chodzi. Nagły projekt zmieniał się nie do poznania* – opowiada urzędnik sejmowy związany z Wiejską od wielu lat. Jego zdaniem trzy czwarte ustawodawstwa z ostatniego ośmioletnia powinno być uchylone z powodu nielegalnego trybu, w którym zostało uchwalone.

– *Oni sobie na to pozwalali, bo po demontażu Trybunału Konstytucyjnego nie było już niebezpieczeństwa, że ustawy zostaną unieważnione* – zauważa nasz rozmówca. Jego zdaniem w nowym Sejmie powinno się przywrócić komisjom sejmowym znaczenie, a na ich czele powinni stanąć ludzie, którzy są partnerami dla przedstawicieli resortów i rozumieją, z czym rząd do nich przychodzi. I warto, aby politycy zaczęli słuchać legislatorów, bo i biuro legislacyjne zostało zepchnięte na margines. – *Czasami było mi głupio, gdy widziałem, jak doświadczeni prawnicy z sejmowego biura służyli nam pomocą, a nikt ich nie słuchał* – przyznaje polityk obozu odchodzącej władzy. Sfrustrowani legislatorzy dbali głównie o to, by ich uwagi były zapisane w protokole. Zabezpieczali się, bo po zmianie władzy będą zapewne musieli zeznawać w prokuraturze o tym, jak łamano procedury. A prezydium komisji puchły, ale nie z powodów merytorycznych. Komisja sprawiedliwości miała przewodniczącego i pięciu zastępców, obrony: 9-osobowe prezydium, kultury: 6-osobowe. Politycy PiS nie ukrywali, że to był sposób na dorobienie do pensji – dla szefa komisji 2,6 tys. zł, a dla jego zastępców – 1,9 tys. zł miesięcznie. ►

► W tym, że Sejm dołączył do zestawu ustrojowych atrap, jest duża zasługa marszałka Kuchcińskiego, którego godną naśladowczynią była Witek. Kuchciński doprowadził do największego sejmowego kryzysu – to wskutek jego decyzji głosowania nad budżetem w grudniu 2016 r. przeniosły się do sali kolumnowej Sejmu, do której nie wpuszczono posłów opozycji. Tenże Kuchciński później postawił kratę między hotelem sejmowym a parlamentem i powiesił ciężkie kotary w korytarzu prowadzącym do jego gabinetu. W miejscu, gdzie zbierali się demonstranci, postawił wielką bramę, a straż marszałkowską wyposażył w broń ostrą. Żeby prezes Kaczyński mógł się wyspać, przesunięto początek posiedzeń z tradycyjnej godz. 9 na godz. 10, za to normą stało się siedzenie na obradach po nocy.

Marszałkowie PiS konsekwentnie zwalczali prawo opozycji do krytyki i wypowiedzania swojego zdania. W 2018 r. Sejm uchwalił zmiany, które umożliwiają nakładanie kar finansowych na niepokornych posłów, którzy zdaniem marszałka naruszyli powagę izby. Najwięcej musiał płacić poseł KO Sławomir Nitras, np. za to, że po swoim wystąpieniu w sprawie zaostrenia kar dla pedofilów usiłował wręczyć Jarosławowi Kaczyńskiemu dziecięce buciuki, symbolizujące ofiary księży pedofilów. Z kolei Ryszard Terlecki z PiS jako wicemarszałek nagminnie wyłączał posłom mikrofon, kiedy licznik wybił koniec – zwykle minutowego – czasu na wystąpienie. PiS regulaminowo ograniczył też prawo posłów do zadawania pytań, wprowadzając limity.

Po wyborach przedstawiciele partii demokratycznych zgodnie deklarują, że nowy Sejm zostanie ponownie otwarty dla obywateli. Znikną bariery, wrócić mają realne konsultacje z organizacjami społecznymi i grupami interesu, zwłaszcza na posiedzeniach komisji. Posłowie mają już nie odrzucać *en bloc* wszystkich poprawek sprzecznych z wolą większości, dotychczasowa opozycja obiecuje też powrót debaty na salę plenarną. Wrócić ma funkcja realnej kontroli parlamentarnej nad rządem. W ostatniej kadencji ministrowie – szczególnie Mariusz Błaszczak i Czarnek – demonstracyjnie odmawiali stawiania się na Wiejskiej na wezwanie posłów.

Sejm ma też inne narzędzia kontrolne, takie jak komisja śledcza. W kampanii wyborczej mowa była o kilku takich komisjach, które mogłyby się zająć różnymi nadużyciami z czasów rządów PiS. Ostatnio dyskutuje się przede wszystkim o komisji, która przyjrzałaby się wyprowadzaniu przez PiS majątku i funduszy publicznych. Mowa tu nie tylko o wcześniejszych aferach, jak „willa plus” czy NCBiR, ale też o posunięciach, o których słyszymy w ostatnich tygodniach działania rządu PiS.

Nowy Sejm ma zatem być bardziej otwarty, ale czy wróci jako miejsce, w którym się robi politykę? Polityczne obniżenie znaczenia Sejmu nie zaczęło się za rządów PiS. Już wcześniej centrum decyzyjnym stawał się coraz bardziej rząd, w którym w czasach koalicji PO-PSL zasiadali liderzy obu partii koalicyjnych. Legislacja z kolei rodziła się przede wszystkim w Kancelarii Premiera i rządowych komitetach. PiS, za którego rządów o wszystkim decydowała Nowogrodzka, doprowadził ten proces do absurdu.

W polityczny powrót znaczenia Sejmu wierzy Agnieszka Dziewianowicz-Bąk (Lewica): – *Obiecaliśmy ludziom powrót demokracji, a nie gabinetową politykę, którą byli zmęczeni. W Sejmie będzie się teraz toczył normalny, demokratyczny dialog i spór. Z drugiej strony partie demokratycznej koalicji będą tam dyskutować, uzasadniać swoje stanowiska i do nich przekonywać partnerów i opinię publiczną, z drugiej – PiS przecież nie zniknie. Sejm jest też oknem na politykę dla obywateli, konferencje prasowe rządu czy wystąpienia w mediach go nie zastąpią.*

Jest kilka powodów, dla których można mieć nadzieję na to, że Sejm stopniowo odzyska polityczną rangę. Nową większość

będą tworzyły cztery partie (nie licząc mniejszych ugrupowań), których liderzy nie będą w komplecie zasiadali w rządzie – Hołownia i Włodzimierz Czarzasty pozostaną zapewne poza gabinetem. Sejm mógłby się stać naturalnym miejscem komunikacji i konsultacji między partiami, choć można sobie także wyobrazić model, w którym przywódcy będą się spotykali poza Wiejską. Liderzy mogą jednak ustalać ogólne kierunki działania, a szczegółów pozostawiać posłom. – *Do Sejmu musi wrócić pewna decyzyjność, jeśli chodzi o tworzenie prawa* – uważa Paulina Henning-Kłoska z Polski 2050. – *Poza projektami rządowymi większą rolę będą odgrywać projekty poselskie, zwłaszcza w pewnych dziedzinach, jak np. kwestie światopoglądowe.*

Kolejny argument to silna opozycja: PiS będzie dysponował w Sejmie największym, 194-osobowym klubem. Siłą rzeczy izba stanie się jednym z głównych pól politycznych bitew między nową władzą a nową opozycją, zaś przedstawiciele partii demokratycznych będą musieli zachować stałą czujność. PiS na pewno nie będzie dawał im odpocząć, zgłaszając ciągle inicjatywy, poprawki czy atakując w sejmowych debatach. – *To, jaka będzie opozycja, zależy w dużym stopniu od nas* – twierdzi jednak Henning-Kłoska. – *PiS musi się nauczyć bycia w opozycji, oni się przyzwyczaili do władzy: do przywilejów, gabinetów, pieniędzy, kierowców. Pamiętam, jak pobijani byli posłowie Platformy po utracie władzy w 2015 r.*

Rangę Sejmu w nadchodzącej kadencji (przynajmniej w pierwszej połowie) może za to obniżyć kohabitacja nowej większości z pisowskim prezydentem. Andrzej Duda może teoretycznie wetować lub kierować do Trybunału Konstytucyjnego każdą ustawę, a w tej sytuacji partie nowej koalicji mogą szukać pozasejmowych rozwiązań. Mówi się o nich np. w przypadku liberalizacji przepisów aborcyjnych (za pomocą regulacji resortu zdrowia) czy wyprowadzenia pisowskich propagandystów z mediów publicznych (np. przez postawienie obecnej TVP i Polskiego Radia w stan likwidacji). Z drugiej strony jednak prezydent nie może wetować wszystkiego, bo to uderzyłoby także w jego wizerunek, stałby się „głównym szkodnikiem kraju”. A rząd nie może rządzić dekretemi, bo nie pozwala na to konstytucja.

Potencjalnym problemem jest rozważana rotacyjność władz Sejmu, rozwiązanie, w którym w połowie kadencji Hołownię na stanowisku marszałka zastąpi Czarzasty. Ale za dwa lata koalicja – po wyborach samorządowych, europejskich i prezydenckich – może być już trochę mniej spoista i w wyniku takich zmian bardziej podatna na destabilizację. Inni obawiają się ryzyka, jakim jest powierzenie stanowiska marszałka Hołowni, który nigdy nie był nawet szeregowym posłem. – *Szymon jest niezwykle inteligentny, otwarty, szybko wyciąga wnioski* – uważa Henning-Kłoska. – *Udało mu się utrzymać swój projekt polityczny przez trzy lata, choć pozostawał poza systemem. Ponadto nie uczestniczył bezpośrednio w sejmowych sporach ostatnich ośmiu lat, więc łatwiej mu będzie zbudować świeży autorytet, niesplamiony awanturnictwem.* Jej zdaniem dużo zależy od tego, jakimi doradcami, ekspertami i legislatorami otoczy się nowy marszałek (mówi się, że szefem Kancelarii Sejmu ma zostać doświadczony Jacek Cichocki, wcześniej szef MSW i współpracownik Tuska w Kancelarii Premiera).

W każdym razie przed nowym marszałkiem, prezydium Sejmu i całą nową ekipą stoi poważne zadanie przywrócenia Sejmowi należnej rangi w polskim systemie, który nie bez powodu nazywa się parlamentarno-gabinetowym. Chodzi o to, żeby kluczowe projekty były tworzone i procedowane, a ostateczne decyzje zapadały nie w siedzibie żadnej partii, tylko – zgodnie z konstytucją – w polskim Sejmie wybranym przez trzy czwarte obywateli. To niesłuchanie silny mandat i silne zobowiązanie dla polityków.

ANNA DĄBROWSKA, ŁUKASZ LIPIŃSKI



Dwie trzecie siły

RAFAŁ KALUKIN

Chyba żadne inne ugrupowanie nie popadło po wyborach w taką euforię jak Trzecia Droga. Oto koalicja, która miała zmierzać na skraj przepaści, na samym finiszu kampanii wystrzeliła w górę na nienotowany od miesięcy w sondażach poziom 14,4 proc. Satysfakcja była więc uzasadniona. Szczególnie u Szymona Hołowni widoczne było pragnienie przywołania do porządku dyżurnych malcontentów z wielkich mediów, którzy powątpiewali w szanse jego wspólnego projektu z PSL, tak jakby oczekiwał teraz od nich uznania, jakichś symbolicznych przeprosin.

Pewnie dały o sobie znać urazy z czasów utarczek o wspólną listę i udział w opozycyjnych marszach, wcześniej o nielojalne głosowanie w sprawie odblokowania KPO. Hołownia już od dawna czuł się pokieraszowany przez stojący za Tuskiem główny nurt opozycji, co miało wpływ na ogólną identyfikację jego ruchu. Z jednej strony widzącego się w szerokim antyPiSie, z drugiej trochę jednak odrębnego, sceptycznego wobec samego podziału, dystansującego się od Tuska zarówno jako lidera opozycji, jak i symbolu liberalnej Polski. Sojusz z PSL ustabilizował dosyć chaotycznego

Trzecia Droga stara się skonsumować nieoczekiwany wyborczy sukces, chociaż każdy z partnerów robi to po swojemu. Szymon Hołownia przede wszystkim gra na siebie, a ludowcy zapewne spróbują umościć się w spółkach. Czego się po nich spodziewać w tej kadencji?

w swoich poczynaniach Hołownię, chociaż w gruncie rzeczy było to spotkanie dwóch opozycyjnych outsiderów.

Na kocią łapę

Z tego rozchwiania wzięły się później dwie rozbieżne interpretacje źródeł sukcesu Trzeciej Drogi. Komentatorzy częściej skłonni byli uważać, że jej poparcie urosło tak wysoko przede wszystkim dzięki wyjątkowej randze tych wyborów, jej plebiscytowemu charakterowi. Zasiłło bowiem pulę wielu dodatkowych wyborców, którzy poszli oddać głos po prostu na „opozycję”, a samo już wskazanie TD miało być dyktowane tym, że to najsłabsze ogniwo opozycji. Podobną logiką mogła zresztą kierować się nawet część wstępnie już zdeklarowanych zwolenników KO bądź Lewicy

(w sondażu POLITYKI do taktycznego głosowania na TD przyznało się około jednej czwartej jej wyborców). Trudno oczywiście odejmować zasług Hołowni, który dobrze wypadł w telewizyjnej debacie, ogólnie jednak kluczowe było w tej interpretacji osadzenie Trzeciej Drogi w demokratycznym szyku pod dużą flagą Tuska.

Tyle że od środka widziano to już zupełnie inaczej: jeżeli przedwyborcze prognozy nie dawały Trzeciej Drodze aż tak dobrego wyniku, to po prostu okazały się błędne, gdyż zostały oparte na nierzetelnych sondażach. To jedna z obsesji Hołowni w minionej kampanii: sondaże jako narzędzie manipulacji w rękach liberalnego mainstreamu. Lider Polski 2050 nieraz podważał ich wiarygodność, ►



ILUSTRACJA ARKADIUSZ HAPKA

► prezentując własne badania jako podobno jedynie prawdziwe. Za murami obłożonej twierdzy zrodziła się rebeliancka opowieść o formacji, która heroicznie oparła się nie tylko otwarciu wrogiej propagandzie PiS, ale też podstępnyemu kno-waniom jej demokratycznych „przyjaciół”. Taka interpretacja siłą rzeczy może osłabiać związki Trzeciej Drogi z jej przyszłymi koalicjantami.

Chociaż paradoksalnie Trzecia Droga za chwilę wyparuje z sondaży. Jako koalicja wyborcza przeszła już do historii, a realnym politycznym bytem staną się wkrótce odrębne kluby poselskie Polski 2050 i PSL. Owszem, zgodnie z deklaracjami liderów, połączone sojuszem, chociaż na razie polega to głównie na wzajemnym lewarowaniu się w negocjacjach koalicyjnych. Mając łącznie 65 sejmowych mandatów, Hołownia i Władysław Kosiniak-Kamysz są w stanie wytargować od Tuska dużo więcej, niż gdyby każdy siadał do rozmów osobno. Statusowo obaj byłiby na poziomie Lewicy, którą dzisiaj próbują zmarginalizować.

Ale też zabiegając o realizację politycznych interesów, trudno jest zachować konsekwencję. Szczególnie w przypadku bytu tak pochopnie skleconego jak Trzecia Droga. Podział na dwa kluby dzisiaj po prostu się opłaca, gdyż każde z ugrupowań otrzyma relatywnie więcej sejmowej powierzchni, samochodów, pieniędzy na działalność. I nadal będą to kluby całkiem spore, każdy mniej więcej po 30 szabel (z niewielką przewagą po stronie Hołowni). Ale też chyba dały o sobie znać różnice kulturowe obu środowisk, zupełnie różne życiowe doświadczenia, podejście do polityki. We wspólnym klubie to mogłoby prowadzić w przyszłości do napięć, być może więc faktycznie lepiej będzie środowiskom Hołowni i Kosiniaka w związku „na kocią łapę”. Tylko co, jeśli okaże się, że jednych i drugich poza doraźnymi interesami nic głębszego nie łączy i cała ta „trzecia droga” okaże się marketingową iluzją?

W pogoni za łaską

Hołownia przede wszystkim zabiega o korzyści polityczne dla siebie. Ledwo zresztą rozmowy z Tuskiem ruszyły, a już jego ludzie zaczęli publicznie domagać się stanowiska marszałka Sejmu dla swojego lidera. Zdawali się przy tym nie zauważać, że taki pośpiech nieco koliduje z aktywnym wizerunkiem Polski 2050, która rzekomo chciała „zmieniać Polskę”, a nie zabiegać o stanowiska. Nie przemawia również za Hołownią i to, że jest sejmowym debiutantem, który w pierwszej

Nie jest tajemnicą, że Hołownia zabiega o trampolinę, która wyniesie go za trzy lata do prezydentury. A fotel marszałkowski od lat uważany jest za miejsce do tego wymarzone.



kadencji raczej powinien się nauczyć nowego rzemiosła. Podobny przypadek miał już zresztą miejsce w 1997 r., kiedy na marszałka Sejmu wybrano tak samo debiutującego Macieja Płażyńskiego, który w pierwszym roku kadencji znany był głównie z tego, że co rusz gubił się w procedurach i zarządzał z tego powodu przerwy. Zasłużył sobie dzięki temu na przydomek „Maciej Przerwa-Płażyński”.

Nie jest oczywiście tajemnicą, że lider Polski 2050 zabiega o trampolinę, która wyniesie go za trzy lata do prezydentury. A fotel marszałkowski od lat uważany jest za miejsce wprost do tego wymarzone, gdyż gwarantuje zasiadającemu w nim politykowi („drugiej osobie w państwie”) najwyższą dystynkcję, a zarazem trudno się na tym stanowisku skompromitować, choć są tu wyjątki. Sam Hołownia ma zresztą prawo do swoich ambicji i w sumie dobrze, że otwarcie je komunikuje. Z perspektywy tworzącej się koalicji może to jednak okazać się problemem, gdyż jak tylko polska polityka zacznie się przestawiać w tryby prezydenckiego starcia – czyli najpewniej za rok – pojawią się w niej napięcia. Rywalizacja Hołowni z przymierzaniem przez KO do roli kandydata Rafałem Trzaskowskim w jakimś sensie będzie przecież bratobójcza, gdyż toczona przez politycznych sojuszników, w obrębie zbliżonego do siebie elektoratu.

Kiedy jednak pisaliśmy tekst, kwestia obsady fotela marszałkowskiego była otwarta. W platformerskich kuluarach pojawił się zresztą pomysł marszałka „rotacyjnego”, czyli podzielenia się tym stanowiskiem przez Hołownię i Czarzastego, po pół kadencji każdy. Czy może raczej Czarzastego i Hołowni, gdyż kolejność miała być alfabetyczna. Na tym właśnie miał polegać cały haczyk. Czyli żeby z jednej strony nie otwierać Hołowni

drzwi na oścież do kampanii prezydenckiej w 2025 r., a zarazem – skoro już Platforma ma się zrzec własnego marszałka – w pierwszej fazie sprzątnięcia po PiS oddać Sejm w ręce bardziej przewidywalnego i doświadczonego Czarzastego.

Gdzieś za tym wszystkim mogła się pewnie kryć obawa Tuska, że Hołownia na wysokim stanowisku ustrojowym może w przyszłości osłabiać siłę bądź tempo zmian w systemie politycznym. Nie dlatego, że im się osobiście sprzeciwia, tylko pod wpływem rodzącej się nowej wyborczej logiki. Raczej bowiem nie ma złudzeń, że jest prosta droga do szybkiego uzdrowienia takich instytucji, jak media publiczne, Trybunał Konstytucyjny bądź KRS, bez prowokowania prawnych kontrowersji i politycznych napięć. Tymczasem atutem Hołowni w wyścigu o prezydenturę pewnie będzie jego koncyliacyjność i deklarowana od dawna rzekoma zdolność zasypania podziałów, co może być istotnym wabikiem na osieroconych wyborców prawicy. Czy jako marszałek ulegnie więc pokusie osobistej „depolaryzacji” poprzez przewlekanie bądź rozmywanie trudnych przedsięwzięć natury ustrojowej?

Co tam panie w spółkach?

Na razie to oczywiście tylko spekulacje, chociaż Tusk niewątpliwie uważnie analizuje wszelkie takie aspekty. Uwagę komentatorów bardziej z kolei zaprzęta odrębność programowa Trzeciej Drogi, czyli z jednej strony jej kulturowy konserwatyzm, szczególnie manifestujący się teraz w oporze wobec symbolicznej kwestii prawa do aborcji, z drugiej zaś – ekonomiczny liberalizm Hołowni i Kosiniaka. Pierwsza z postaw wydaje się autentyczniejsza, zwłaszcza gdy chodzi o ludowców, ale też otwarty katolicyzm Hołowni ma swoje jasno określone limity. Na razie skutkuje to przede wszystkim medialnymi utarczkami z Lewicą. Jednym z pierwszych testów realnej odporności koalicji na różnice poglądów będzie zapewne dopiero głosowanie tzw. ustawy ratunkowej (czyli na początek depenalizującej aborcję bez formalnej jej legalizacji), która ma być jednym z najpilniejszych poselskich projektów tej kadencji.

W sprawach ekonomicznych pewnie dużo łatwiej będzie znaleźć kompromis. Tym bardziej że liberalizm Trzeciej Drogi przynajmniej do pewnego stopnia był elementem kampanijnej kreacji, obliczonej na odbieranie Konfederacji zauroczonych nią wolnorynkowych wyborców. Pod tym kątem przysparza zresztą na listy Ryszarda Petru, który jednak powinien



znaleźć w klubie Polski 2050 odpowiadającą mu towarzystwo. Sporo tam bowiem przedsiębiorców, którzy, nie mając żadnych doświadczeń w polityce, zapewne będą się skupiać na interesach swojej grupy społecznej.

Ale już ludowcy wydają się w podejściu do gospodarki bardziej elastyczni. Kiedy jeszcze cieszyli się masowym poparciem wsi, hołdowali skrajnemu wręcz etatyzmowi. Wolny rynek w pełni docenili dopiero po tym, jak większość wyborców wiejskich odeszła do PiS i zostały im głównie najbardziej przedsiębiorcze warstwy. W krucjatach przeciwko pisowskiemu rozdawnictwu byli jednak dosyć ostrożni i nie ciskali przesadnie gromami, co z pewnością ma znaczenie dla Tuska, który koncentrując się w pierwszej fazie rządzenia niemal wyłącznie na zmianach w systemie politycznym, nie ma najmniejszego zamiaru zniechęcać do siebie wyborców niepopularnymi decyzjami ekonomicznymi. Cała nadzieja w tym, że rozregulowana przez PiS gospodarka jakoś to wytrzyma, a niewykluczone, że czuć nad tym będzie przymierzany do roli jej nadzorcy Kosiniak-Kamysz (choć w momencie pisania tego tekstu mówiło się również o MON).

Problem z ludowcami może okazać się zupełnie inny. Bo jak wynika z kulturalowych doniesień, w gruncie rzeczy stanowiska polityczne mają dla nich raczej drugorzędne znaczenie, a najbardziej zabiegają w negocjacjach o możliwie najszerszy dostęp do spółek Skarbu Państwa. Nie wyłączając tych największych, owych narodowych czempionów, które należałoby nie tylko oczyścić z piśowskich kadr, ale też potraktować jako poligon nowej polityki kadrowej, opartej na oczekiwanych przez opinię publiczną merytokratycznych regułach. Co zresztą zapowiadali przed wyborami bodaj wszyscy opozycyjni liderzy, a najbardziej chyba Hołownia.

Tymczasem to właśnie na tym obszarze apetyt ludowców wydaje się największy. Co w przypadku PSL pewnie nie stanowi wielkiego zaskoczenia, tym bardziej że po latach posuchy tradycyjnie zorientowany na osobiste korzyści, w jakimś sensie wręcz żyjący z polityki aparat, stał się już mocno wygłodniały. Sprzyja też łączności świadomość, że znów przeskokczyli wyborczą poprzeczkę jedynie dzięki zewnętrznej podpórce (teraz Hołowni, a wcześniej Kukizowi), co rodzi uzasadnioną obawę, że następnym razem może już się nie udać. Tym silniejsza więc skłonność, żeby czerpać z władzy jak najwięcej, póki jest okazja.

I nie jest to kwestia konkretnego przywództwa, lecz natury PSL. Sam Kosiniak będzie zmuszony zabiegać u Tuska o spełnienie oczekiwań rozmaitych koterii, jeśli chce utrzymać prezesurę. Póki co otoczenie przyszłego premiera wyraża jednak nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży wraz z ostatecznym podziałem wpływów, kiedy już każdy będzie znał swoje miejsce w szyku. Tak zresztą funkcjonowała koalicja PO-PSL w latach 2007–15. Ludowcy zaakceptowali wtedy swój status *junior partnera* i byli przewidywalnym partnerem w rządzeniu. W zamian dostali od Tuska wolną rękę w zagospodarowywaniu powierzonych im obszarów państwa.

Specyfika koalicji

Tylko czy ten model jest do powtórzenia w nowych warunkach? Koalicja jest dzisiaj znacznie szersza, przybyło więc konkurentów w wyścigu do stanowisk, podobnie jak realnych różnic ideowych i programowych pomiędzy partnerami. Napięcia są raczej nieuchronne, mogą zresztą występować w rozmaitych konfiguracjach, nie zawsze oczywistych. Koalicyjne rządy mają swoją specyfikę, a kluczowe dla ich utrzymania przy życiu jest określenie nieprzekraczalnych granic wzajemnej nielojalności. „Za pierwszego Tuska” ludowcy ani razu jej nie przekroczyli, co nie oznacza, że tak już będzie zawsze.

Część peeselowskich środowisk już od dłuższego czasu bowiem podpowiada, żeby nieco wychynąć z okopów „wojny polsko-polskiej” i zacząć wracać do tradycyjnej „obrotowości” Stronnictwa. Kiedyś najlepiej wyrażało się ono w aforyzmie Waldemara Pawlaka o tym, że Polską zawsze powinien rządzić koalicjant PSL. Opinia publiczna dostrzegała w tym przede wszystkim cynizm, chociaż to chyba w większym stopniu kwestia specyficznego podejścia chłopskiej formacji do kwestii ciągłości.

Część środowisk PSL podpowiada, by wychynąć z okopów „wojny polsko-polskiej” i zacząć wracać do tradycyjnej „obrotowości” Stronnictwa.



Robert Krasowski trafnie kiedyś zauważył, że ludowcom w sumie obojętny był wielki przełom 1989 r., tak jakby bezpośrednio ich nie dotyczył. Ot, zmienili sztyld sobie z ZSL na PSL, wyszli ze stanu zależności od PZPR, przyswoili sobie demokratyczne reguły. Ale ich pamięć historyczna tak naprawdę biegła zupełnie odrębnym torem. Obcy był im zatem duch nowej epoki z aksjomatem wielkich reform, cała ówczesna symbolika dziejowej zmiany. Byli w stanie dostrzec wyłącznie bałagan, który wymagał gospodarskiego uporządkowania, tak jak sprząta się obejście. I tak też próbowali rządzić, kiedy w 1993 r. dzięki koalicji z SLD po raz pierwszy uzyskali taką sposobność. Chociaż przez cały tamten czas pamiętali też, żeby podkreślać swój kulturowy konserwatyzm i ostentacyjny szacunek wobec Kościoła, dyskretnie szantażując partnera możliwością wejścia w przyszłości w alians z prawicą.

Dzisiaj oczywiście żyjemy w innej epoce, chociaż niektóre jej parametry wydają się zaskakująco podobne. I pewnie można się zastanawiać, czy doświadczenie wielkiego przełomu po rządach Kaczyńskiego jest odczuwane w całym PSL w sposób równie autentyczny, co w KO, Lewicy albo Polsce 2050. Oficjalnie nie można ludowcom niczego konkretnego zarzucić, bo ich głos w ostatnich latach był jednoznaczny, szczególnie demokratyczne *credo* Kosiniaka i jego najbliższego otoczenia nie powinno budzić wątpliwości.

Ale już w odleglejszych kręgach co jakiś czas pojawiały się dyskretne nutki sympatii dla piśowskiego ładu, najczęściej w owym znajomym duchu gospodarskiej racjonalizacji, poszukiwania „zdroworozsądkowych” kompromisów. I pewnie nieprzypadkowo po ostatnich wyborach PiS w pierwszej kolejności zaczęło sugerować koalicję właśnie z PSL, choć politycznie nie wydaje się ona teraz ani trochę możliwa.

Ludowcom zresztą takie spekulacje nie przeszkadzają, bo w polityce zawsze warto mieć pod ręką dodatkową alternatywę albo chociaż jej pozór. Przynajmniej do wiosennych wyborów samorządowych współpraca w nowej koalicji powinna przebiegać bez większych zgrzytów – wszak w zasięgu możliwości znajduje się 15 sejmikowych koalicji PSL z KO – ale kiedyś, w bardziej odległej przyszłości, kto wie? O pełne gwarancje ze strony ludowców może być niestety trudno, i to niezależnie od tego, jak dalek potoczy się ich współpraca z Hołownią. Owych „trzecich dróg i drózek” może się jeszcze ujawnić w kolejnych latach całkiem sporo.

RAFAŁ KALUKIN



Nie płakali po premierze



Czas Mateusza Morawieckiego jako szefa rządu nieuchronnie dobiega końca, cokolwiek by jeszcze on sam wymyślił i na ile jeszcze by mu pomagał prezydent Duda. Ta ostatnia prosta premiera jest dziwna. O co mu właściwie chodzi?



CEZARY MICHALSKI

Od momentu przegranych wyborów wszystkie frakcje Zjednoczonej Prawicy po raz pierwszy zgadzają się w jednym: to Mateusz Morawiecki powinien być kandydatem na premiera wskazanym przez prezydenta. Nie po to, aby Morawieckiego ostatni raz wypromować, ale raczej po to, by go ostatecznie utopić. Ten personalny pomysł wspiera bowiem tym razem nie tylko Jarosław Kaczyński, ale także najbardziej nienawidzący Morawieckiego Ziobro, Kamiński, Szydło czy bardziej niż chłodni w swoim stosunku do premiera Brudziński i Sasin. Wszystkie te postaci i grupki próbują zważyć na Morawieckiego winę za własne błędy i niepowodzenia. On sam przygotowuje się ponoć do swego ostatniego „exposé”. Miałyby być pełne ataków na Tuska, hołdów dla przeszłych dokonania rządu i niepoohamowanych obietnic na przyszłość. To stałoby się przepustką Morawieckiego do udziału w wojnie o sukcesy po Jarosławie Kaczyńskim, w której atutem byłaby pozycja szefa piłowskiego „gabinetu cieni”.

Ale jest i drugi scenariusz, w którym rodzina Morawieckiego zamierza wyprzedać się do Hiszpanii, rozpoczynając wyprzedaż krajowych nieruchomości wartych dziesiątki, a może już setki milionów złotych, należących oczywiście wyłącznie do żony. Z towarzyszącymi z PiS Mateusza Morawieckiego łączy dziś już bowiem przede wszystkim strach. Boi się, że przyciśnięci przez nową władzę zaczną sypać jego, a oni boją się tego, że symetrycznie zachowa się on.

Syndrom Pinokia

Dłaczego człowiek, który w 2015 i 2016 r. był nadzieją na modernizację wizerunku PiS (nawet Witold Gadomski witał go wówczas na łamach „Gazety Wyborczej” serią tekstów, w których widział w nim liberalną odtrutkę na etatyzm Kaczyńskiego i Szydła), poniósł aż taką klęskę, pozostaje dziś osamotniony i ośmieszony? Czy błędna była sama idea połączenia gospodarczej modernizacji z ideowym tradycjonalizmem, czy też w charakterze Morawieckiego trzeba szukać przyczyn, dla których akurat w jego wykonaniu ta idea poniosła kompletną porażkę?

Zapamiętamy Mateusza Morawieckiego udającego różnych ludzi i różne emocje. Czasem na bezpośrednie polecenie Kaczyńskiego, a czasem, kiedy oczekiwania Kaczyńskiego starał się uprzedzić.

W historii III RP zapisze się jako pierwszy urzędujący premier, któremu polskie sądy dwukrotnie kazały publicznie przyznać się do kłamstwa. Obie sprawy dotyczyły łgarstw wypowiedzianych przez niego w kampanii samorządowej 2018 r. W pierwszym przypadku chodziło o zaniżenie wydatków na budowę dróg w czasach rządów koalicji PO-PSL i zdecydowane przeszacowanie wydatków na ten sam cel za rządów Zjednoczonej Prawicy. W drugim Morawiecki rozminął się z faktami, twierdząc, że niepisowscy politycy rządzący Krakowem „nie zrobili nic lub prawie nic” w walce ze smogiem.

Morawiecki lubił też kłamać w Davos. W 2018 r. powiedział tam dziennikarzom, że kierowany przez niego bank „był jednym z nielicznych, które nie udzielały pożyczek we frankach szwajcarskich”. W rzeczywistości w 2008 r. większość udzielonych przez kierowany wówczas przez Morawieckiego BZ WBK pożyczek hipotecznych była we frankach szwajcarskich, a ofiary tego procederu przez wiele lat próbowały dochodzić swoich praw przed polskimi sądami. W ogóle kłamstwa wypowiedziane seryjnie i ze swadą stały się częścią wizerunku Morawieckiego i przyniosły mu przydomek Pinokia.

Premier kłamał w CNN, mówiąc tam 5 października 2018 r., że Krajowa Rada Sądownictwa „w zdecydowanej większości składa się z osób wybieranych przez sędziów”. W rzeczywistości już 6 marca 2018 r., w konsekwencji uchwalenia całego pakietu ustaw niszczących niezależne sądownictwo w Polsce, Sejm wybrał do 25-osobowej neo-KRS 15 kandydatów wskazanych przez kluby Zjednoczonej Prawicy i Kukiz'15.

W maju 2022 r. Morawiecki pochwalił się na spotkaniu z rolnikami z Mazowsza, że „uświadomił” szefową Komisji Europejskiej Ursulę von der Leyen, iż „powyżej 90-procent dyscyplinujących postępowań dotyczyło sędziów, którzy albo jeździli po pijanemu, albo dopuścili się gwałtu, albo jakichś innych kradzieży”. Ponad pół setki polskich sędziów, których dotknęły te postępowania (m.in. Igor Tuleya, Waldemar Żurek, Beata Morawiec), odpowiedziało wówczas premierowi, że żadnemu z nich nigdy nie postawiono zarzutu przestępstwa kryminalnego.

Jak w kalejdoskopie zmieniały się jego oceny KPO. Kiedy przyjechał z Brukseli z wynegocjowanym porozumieniem, występując na tle banerów z hasłem „770 miliardów złotych dla Polski”, mówił o „drugim planie Marshalla” i przekonywał, że dzięki KPO „możemy z nadzieją wyglądać końca kryzysu gospodarczego”.

Kiedy jednak dalsze działania w sprawie KPO zablokował konflikt pomiędzy Ziobrą (który promował się na eurosceptycyzmie), Dudą (bojącym się ograniczenia swego wpływu na nominacje sędziowskie), Kaczyńskim (który bojąc się Ziobry, przeprowadził przez Sejm ustawę o Izbie Dyscyplinarnej w kształcie łamiącym wcześniejsze ustalenia z Brukselą), także narracja Morawieckiego zaczęła się zmieniać. Najpierw KPO stało się „programem, który nie jest naszym być albo nie być, ale też nie są to środki, na które warto machnąć ręką”. Później to, co miało być „drugim planem Marshalla”, zostało przez Morawieckiego zbagatelizowane jako „coś, co zasadniczo nie zmienia gospodarczej czy finansowej sytuacji Polski”. I tak dalej: kłamstwa o stanie budżetu, o wielkich inwestycjach, o Polskim Ładzie i dobrobycie. No i oczywiście o Tusku.

Kaczyński uczynił z premiera tarczę ochronną przed Tuskiem. I alibi mające usprawiedliwiać ucieczkę przed bezpośrednią debatą z liderem opozycji. Morawiecki wywiązywał się z tego zadania z właściwą mu przesadą, sztucznością, przekraczając często granice groteski. Żądając z trybuny sejmowej od Tuska, żeby ten mówił „nein” zamiast „danke i spasiaba”, robił to z autentyzmem i wiarygodnością cyborga. W czasie ostatniej przedwyborczej konwencji PiS w Katowicach Morawiecki próbował naśladować Stana Tymińskiego, pokazując zgromadzonym „teczkę Tuska”.

Przez kilka lat Polacy mogli się bez cienia wątpliwości przekonać, że dla człowieka, który był drugą po Kaczyńskim twarzą rządzącego obozu, nie ma prawdy i kłamstwa, jest jedynie polityka i piar. Czy jednak cynizm, którego z konieczności byliśmy świadkami, ukrywał jakieś głębsze przekonania lub realną pasję? Skąd się wziął i kim naprawdę jest Morawiecki?

Mit małego powstańca

Są dwie wersje dzieciństwa i wczesnej młodości Mateusza Morawieckiego. Pierwsza, kolportowana przez niego samego, a także przez pisowskie instytucje i media, przedstawia go jako klasycznego „małego powstańca”. Od początku dotkliwie represjonowanego za bohaterские działania w podziemiu, uczestniczącego w najbardziej ryzykownych akcjach stworzonej przez jego ojca Solidarności Walczącej. Poziom tego bohaterstwa narasta z roku na rok i z wersji na wersję. Początkowo mały Morawiecki ociera się o śmierć, kiedy ucieka po rusztowaniu z jakiejś plakatowej akcji. Później mamy już wersję, w której Morawiecki zostaje ▶

► uprowadzony przez esbeków grożących mu śmiercią.

Jest jednak także wersja, którą publicznie przedstawiali Grzegorz Schetyna (w latach 80. szef kolportażu Solidarności Walczącej), a także Rafał Grupiński (będący w tamtym czasie jednym z najważniejszych poznańskich kontaktów SW). Przyznawali oni, że jako syn Kornela młody Mateusz Morawiecki był pod ciągłą obserwacją SB. Dlatego zlecenie mu jakichkolwiek odpowiedzialnych zadań dla SW byłoby błędem, którego dobrze zakonspirowani działacze tej organizacji starali się nie popełniać. Mateusz brał udział w publicznych protestach wrocławskiej antykomunistycznej młodzieży, ale heroizacja jego czynów to już późniejszy produkt marketingowy.

W okresie ustrojowej transformacji Polski Morawiecki początkowo próbował swych sił, z bardzo zmiennym szczęściem, w drobnym prywatnym biznesie. Prawdziwym przełomem było dopiero zwycięstwo Akcji Wyborczej Solidarność w wyborach parlamentarnych 1997 r. On sam rok później wystartował w wyborach samorządowych i został wrocławskim radnym AWS.

Przy nowej władzy pojawiały się wówczas dwa typy ludzi. Pierwsi to „ideowcy”, którzy poszli za Marianem Krzaklewskim (twórcą i liderem AWS) do końca, nie żądając za to stanowisk w zarządach prywatyzowanych banków czy spółek Skarbu Państwa. Drugi to „pragmatycy”, którzy wykorzystali swoje polityczne związki z rządzącą formacją jako lewar do zbudowania sobie pozycji w prywatnym (choć, jak to zwykle bywa w Polsce, mocno zależnym od państwa) biznesie. Można było wówczas spotkać całe tabuny polonistów, historyków, niedokończonych prawników, którzy pospiesznie, na wieczorowych kursach, zdobywali „biznesowe wykształcenie”, aby następnie ustawić się w kolejce do nominacji w spółkach Skarbu Państwa albo do innych spółek, które właśnie stały się prywatne.

To ich Jarosław Kaczyński nazwał wówczas TKM (Teraz K... My). Morawiecki należał do tej grupy, miał jednak tę przewagę, że jako magister historii swoje „doksztalcenie w biznesie” uzyskał parę lat wcześniej. W 1995 r. zdobył dyplom MBA na kursach zorganizowanych przez dawnego współpracownika Kornela Morawieckiego z Solidarności Walczącej Wojciecha Myśleckiego (po 2015 r. Myślecki trafił dzięki Morawieckiemu na karuzelę kadrową rządów PiS, dostając m.in. miejsca we władzach Tauronu, KGHM, Alior Banku, a także trafiając do Narodowego Centrum Badań i Rozwoju).

W późnych latach 90. Mateusz Morawiecki korzystał z podwójnego lewara. Od strony AWS pomagało mu nazwisko ojca, a o wciągnięciu go do prywatnego bankowego biznesu zdecydował Tadeusz Głuszczyk, osoba z zupełnie innych kręgów niż dawni działacze SW. Głuszczyk był przez cały okres PRL urzędnikiem Narodowego Banku Polskiego, gdzie od połowy lat 60. pełnił już funkcje „nomenklaturowe”, kierując różnymi lokalnymi oddziałami NBP. W momencie

Kaczyński oczekiwał od Morawieckiego „cynicznego, pragmatycznego rozumu”, który osłoniłby rząd PiS przed zarzutem braku kompetencji. Tu jednak Morawiecki zawiódł.



przełomu ustrojowego ten zaufany człowiek dawnego ustroju został prezesem państwowego jeszcze wówczas Banku Zachodniego, dla którego zaczął następnie szukać zachodnich (irlandzkich) inwestorów. Syn Kornela Morawieckiego, wspierany przez dolnośląskich polityków AWS, był dla niego idealnym kontaktem z nowymi postsolidarnościowymi elitami.

Dojrzewanie i cynizm

W pokoleniu Mateusza Morawieckiego i w nieco starszym pokoleniu działaczy NZS z lat 80. były dwie strategie wobec transformacji. Jedną można nazwać dojrzewaniem, a drugą cynizmem. Co ciekawe, obie te strategie już na początku lat 90. reprezentowali Donald Tusk i Jarosław Kaczyński. Tusk „nawrócił” wówczas na transformację radykalnych działaczy NZS Grzegorz Schetyne, Andrzeja Halickiego, Tomasza Siemoniaka, którzy budowali później dla niego struktury KLD i PO. Zaproponował im dojrzałą wizję transformacji, ze wszystkimi jej blaskami i cieniami, a oni realnie poczuli się za ustrojową zmianę w Polsce współodpowiedzialni. Bronią jej do dzisiaj.

Jarosław Kaczyński od początku zaproponował swoim ludziom wersję cyniczną: transformacja była złem, gdyż została „ukradziona przez postkomunistów”. Nie przeszkadzało to jednak „prawdziwym patriotom” na tej transformacji pasować. Stąd się wzięła Spółka Telegraf czy inne biznesowo-polityczne przedsięwzięcia wczesnego Porozumienia Centrum, dla których Kaczyński i jego ludzie znajdowali „postkomunistyczne” czy wręcz korupcyjne (jak w przypadku Art-B) finansowanie. Jarosław Kaczyński nauczył cynicznego stosunku do transformacji zarówno starszych działaczy PC, jak też Jacka Kurskiego czy Mariusza Kamińskiego. Mateusz Morawiecki bardzo długo był pomiędzy.

Ważnym źródłem wiedzy o sposobie myślenia Mateusza Morawieckiego jest książka „Delfin”, której współautorem był Piotr Gajdziński, wieloletni podwładny ówczesnego prezesa banku WBK i BZWBK i jego rzecznik prasowy. Gajdziński opisuje przede wszystkim cyniczną stronę Morawieckiego, jednak widać w jego opowieści także specyficzne rozdarcie psychiki ówczesnego „bankstera”. Dziwaczny typ ideowości, wybijający goryczą, agresją wobec innych, czasem także autoagresją.

Ten drugi wymiar warto objaśnić figurą opisaną najbardziej precyzyjnie przez Zbigniewa Herberta w słynnym wierszu „Pożegnanie wrześnie”: „...śpiewano w megafonach/ anachroniczną piosenkę/ o Polakach i bagnietach/ ten ciął jak szpicrutą/ i po każdej zwrotce/ ogłaszało listę żywych torped/ które notabene/ przez sześć lat wojny/ szmuglowały słońnie/ żalozne niewypały...”.

Na przełomie 2009 i 2010 r., jeszcze przed katastrofą smoleńską, Morawiecki junior prawie jednocześnie dostał zaproszenia do Narodowej Rady Rozwoju przy prezydencie Lechu Kaczyńskim i do Rady Gospodarczej przy Donaldzie Tusku. Z oczywistych powodów (własna biznesowa kariera) wybiera zaproszenia Tuska, które „wychodzili mu” Krzysztof Kilian i Jan Krzysztof Bielecki. Jednak wewnętrznie zapewne uważa siebie samego za Wallenroda, żeby nie musieć się uważać za zdrajcę.

Kiedy wydarzy się Smoleńsk, Morawiecki bardzo szybko zatrudni w kierowanym przez siebie banku pisowskich harcerzy, którzy „czuwalni przy krzyżu” pod Pałacem Prezydenckim. Owi harcerze (Piotr Trąbiński, Michał Kuczmierowski i inni), którzy po 2015 r. trafią do spółek Skarbu Państwa i na państwowe urzędy, zostają początkowo użyci przez Morawieckiego do dwóch zadań. Wewnątrz bankowej korporacji stają się – jeśli wierzyć relacji



Piotra Gajdzińskiego – zaufanymi szpiegami Morawieckiego, przygotowując dla niego personalne czystki wśród zatrudnionych w banku „niepatriotów”. Poza bankiem pomagają Morawieckiemu budować kontakty z PiS, a później z samym Jarosławem Kaczyńskim. Kiedy w 2013 r. to młody ekonomista Mateusz Szczurek, a nie on, zostanie nowym ministrem finansów w rządzie Donalda Tuska, Morawiecki ostatecznie stawia na PiS. Nawet jeśli przed zwycięstwem wyborczym partii Kaczyńskiego wciąż będzie udawał liberała, cenzurując nawet swoje własne wywiady i wypowiedzi, aby nie wyjść w nich na zbytowego „etatystę”.

Przez cały ten czas pomaga w finansowaniu kolejnych – zawsze kończących się totalną porażką – kampanii wyborczych Kornela Morawieckiego. Kiedy Morawiecki senior wchodzi wreszcie do Sejmu w 2015 r. z listy Kukiza, pomiędzy nim i synem, być może po raz pierwszy w ich życiu, dochodzi do czegoś w rodzaju wymiany bardziej ekwiwalentnej: Mateusz Morawiecki lobbuje za ojcem u wszechwładnego już wówczas Jarosława Kaczyńskiego, podczas gdy Kornel dokonuje w klubie Kukiza rozłamów, które mają zapewnić PiS (czyli partii, z którą związał się syn) dodatkowe parę głosów w Sejmie.

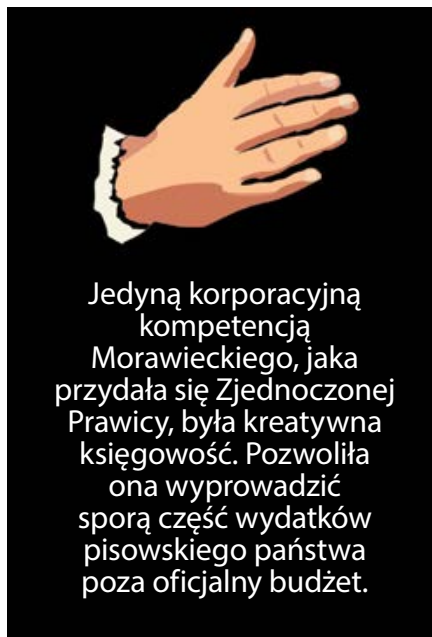
Mity i technologia

Jest jeszcze jeden klucz, bardziej uniwersalny, którym można tłumaczyć rozdarcie biografii i psychiki Mateusza Morawieckiego. Wybitni niemieccy filozofowie, twórcy szkoły frankfurckiej, Theodor Adorno i Max Horkheimer, w swoich próbach odpowiedzi na pytanie, gdzie i dlaczego zachodnie oświecenie ponosiło porażki, zwrócili uwagę na to, jak naziści – w wymiarze ideologicznej nadbudowy flirtujący z germańskimi mitami, neopogaństwem i irracjonalizmem – używali jednocześnie „oświeceniowego rozumu”, gdy chodziło o produkcję armat i czołgów. Z nowoczesności bierzemy tylko technologię, i tylko po to, aby wyposażyć w pancerną pięść reakcyjne mity i ideologie.

Zachowując oczywiście wszelkie historyczne proporcje, także Kaczyński nie oczekiwał od Morawieckiego ideologii, ale „cynicznego, pragmatycznego rozumu”, który osłoniłby rząd PiS przed zarzutem braku kompetencji. Tu jednak Morawiecki zawiódł. Historia jego kolejnych „wielkich planów”, strategii rozwoju i „inwestycyjnych projektów” jest historią porażek. Hucznie ogłaszana przez niego „odbudowa państwowego przemysłu stoczniowego” zakończyła się kradzieżą okolicznościowej tabliczki, która miała

rozpocząć budowę wielkich promów dla Polskiej Żeglugi Morskiej. Mieszkanie Plus to cała seria katastrof, które doprowadziły do porzucenia programu. Centralny Port Komunikacyjny to historia uwłaszczania się na publicznych pieniądzech kolejnych ekip pisowskich aparatczyków. Po drodze był jeszcze projekt „oryginalnego polskiego samochodu wyścigowego” Arrinera Hussarya GT. Morawiecki podjechał nawet prototypem tego pojazdu pod warszawską giełdę, spółka mająca go produkować korzystała z państwowych dotacji, lecz pomysłodawca porzucił w końcu projekt, aby zająć się produkcją oleju z konopi.

Sam Morawiecki coraz bardziej inwestował w ideologię, jego język się radykalizował. Swoje faktyczne exposé, po wyznaczeniu go w 2017 r. przez Kaczyńskiego na premiera, a jeszcze przed exposé sejmowym, wygłosił w Radiu Maryja. W tym prawdopodobnie najmniej chrześcijańskim miejscu Europy obiecywał słuchaczom i widzom mediów Tadeusza Rydzka, że to tutaj zacznie się „ewangelizacja naszego kontynentu”. W 2018 r. złożył w Monachium hołd żołnierzom Brygady



Świętokrzyskiej Narodowych Sił Zbrojnych, upamiętniając w ten sposób jedyną polską formację wojskową, która faktycznie kolaborowała z nazistami. Jeśli chciał w ten sposób kupić sobie sympatię czy choćby zaufanie najbardziej tradycjonalistycznego skrzydła Zjednoczonej Prawicy, to mu się nie udało. Nigdy nie zaufał mu Tadeusz Rydzka, jego śmiertelnym wrogiem stała się Beata Szydło, a Ziobro, Kamiński i Brudziński uznali, że trzeba

go zniszczyć, zanim rozpocznie się wojna o sukcesję po Jarosławie Kaczyńskim. Zaciąg kadrowy Morawieckiego do spółek Skarbu Państwa (ludzie z dawnej Solidarności Walczącej i ich rodziny, „harcerze”, którymi zainteresował się po Smoleńsku) nie był bardziej profesjonalny niż ludzie poleceni przez Sasina czy Brudzińskiego. Wyjątkami byli tu Jerzy Kwieciński (wcześniejszy doradcający środowiskom polskiego biznesu) i Zbigniew Jagiełło (Morawiecki ocalał go przed pisowską czystką w PKO BP). Jednak obaj ostatecznie nie przetrwali kolejnych wojen frakcyjnych w obozie władzy.

Hamletowski upiór

Jedyną korporacyjną kompetencją Morawieckiego, jaka realnie przydała się Zjednoczonej Prawicy, była kreatywna księgowość. Pozwoliła ona wyprowadzić sporą część wydatków pisowskiego państwa poza oficjalny budżet. Dzięki temu zarówno Kaczyński, jak i Morawiecki mogli do ostatniego dnia swoich rządów demolować finanse państwa, przy jednoczesnym powtarzaniu, że „pieniądze są na wszystko, bo my, w przeciwieństwie do Tuska, nie kradniemy”.

Tyle w Morawieckim zostało z nowoczesności. Nie więcej niż Kaczyńskiemu z modernizacyjnych ambicji wczesnego Porozumienia Centrum, kiedy uważał się jeszcze za człowieka, który zbuduje „drugą Bawarię”, polską wersję modernizacyjnej niemieckiej chrześcijańskiej demokracji. Było to dawno temu, zanim jego „elektoratem wybranym” stali się antytransformacyjni wyborcy odziedziczeni po Tymińskim i Lepperze, a maksimum jego personalnych zdobyczy okazali się Brudziński, Kuchciński, Suski i Ryszard Bąkiewicz.

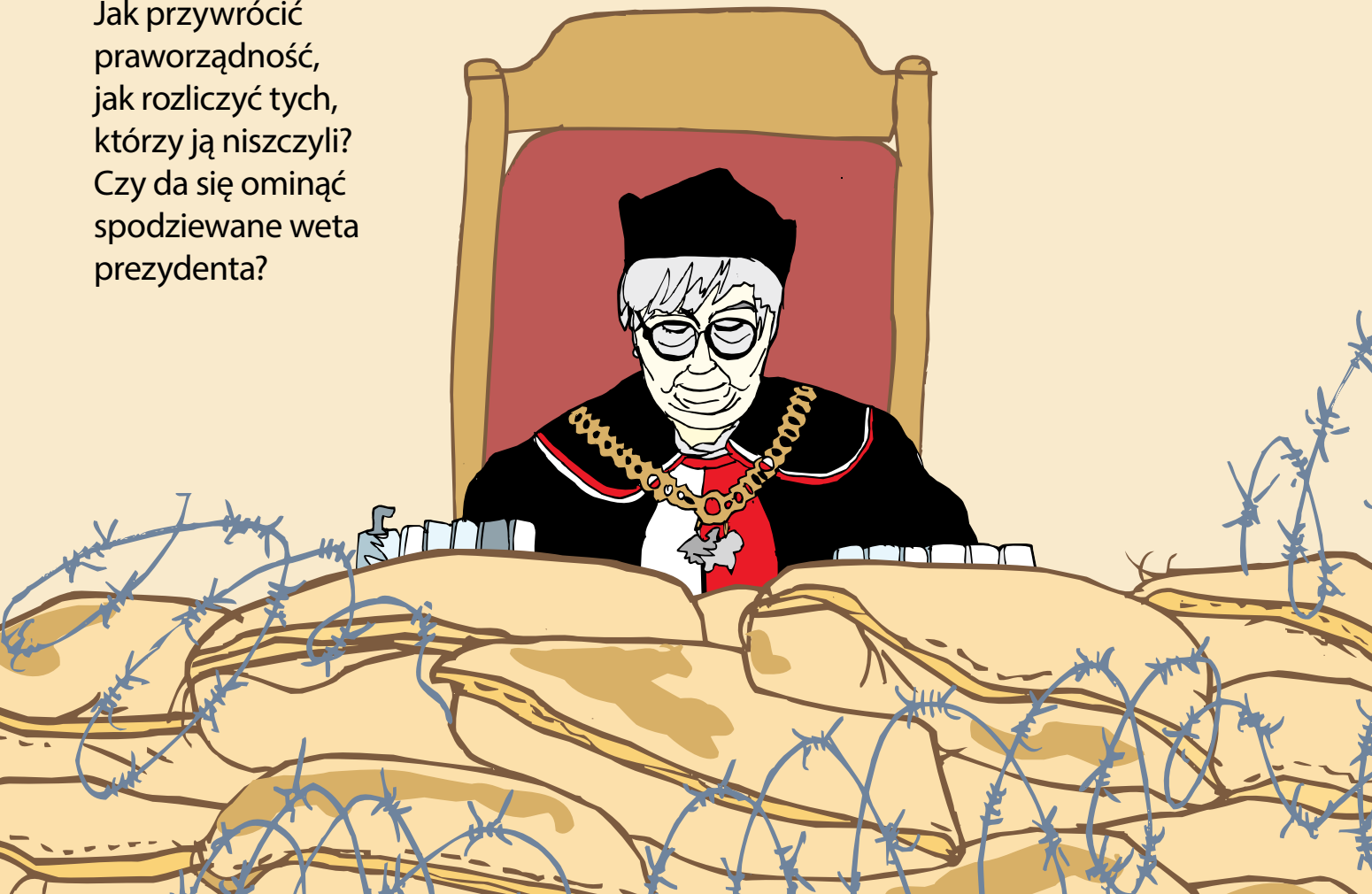
Ten specyficzny stosunek do transformacji ustrojowej i modernizacji Polski tłumaczy jednak siłę związku Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego. Morawiecki znalazł w Kaczyńskim ojca niebędącego już wyłącznie hamletowskim upiorem. Człowieka, któremu w polityce coś się jednak udało. Z kolei Kaczyński znalazł w Morawieckim ostatnie echo swoich dawnych modernizacyjnych ambicji.

Autokompromitacja Morawieckiego, śmieszno-smutny finał jego rządów, oznacza także załamanie się tradycyjno-nowoczesnego mitu, jeszcze jednej strategii, która w wykonaniu PiS pokazała swoje nieprzekraczalne granice. Bo tylko Kaczyński jest wieczny, a reszta tymczasowa. O czym się Morawiecki właśnie przekonuje.

CEZARY MICHALSKI

Prawo do naprawy

Jak przywrócić praworządność, jak rozliczyć tych, którzy ją niszczyli? Czy da się ominąć spodziewane weta prezydenta?



EWA SIEDLECKA

Wreszcie możemy odbudować państwo prawa: konieczna jest gruntowna zmiana prawa o Krajowej Radzie Sądownictwa, Prokuraturze, Trybunale Konstytucyjnym, Sądzie Najwyższym, sądownictwie powszechnym i administracyjnym. Gotowe są projekty ustaw opracowane przez sędziowskie i prokuratorskie stowarzyszenia i przez grupy eksperckie Fundacji im. Stefana Batorego czy Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. Zobaczymy, czy nowa władza je wykorzysta. Na przeszkodzie może stanąć prezydent i kadrowo zabetonowane: Trybunał nieKonstytucyjny, neoKRS, a także prawie przejęty przez PiS Sąd Najwyższy. To jedno z najważniejszych dziś pytań: jak przywrócić praworządność bez zmiany prawa i bez łamania wartości, na których się ona opiera?

Dzięki oporowi części polskich sędziów i prokuratorów wspartych przez reprezentujących ich pro bono prawników mamy szereg wyroków Trybunału Sprawiedliwości UE i Europejskiego Trybunału Praw Człowieka (ETPCz), które mogą być

podstawą do kwestionowania legalności powołania neoKRS i dublerów w Trybunale nieKonstytucyjnym. I rozstrzygnięć wydawanych z ich udziałem. Tę drogę naprawy praworządności, w razie wetowania ustaw przez prezydenta Dudę, proponuje prof. Marek Safjan, sędzia TSUE i były prezes TK.

Na łamach Wyborczej.pl prof. Safjan napisał, że sędziowie, sądząc sprawy, mogą pomijać przepisy sprzeczne z unijnym prawem i stosować w ich miejsce bezpośrednio prawo Unii, zgodnie z traktatową zasadą pierwszeństwa tego prawa, w razie kolizji z krajowym. Tak zresztą robili przez ostatnie lata. Idąc tą drogą, sąd może np. dokończyć proces Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika za prowokację wobec Andrzeja Leppera, stwierdzając, że orzeczenia Trybunału nieKonstytucyjnego (TnK, tak będziemy nazywać instytucję kierowaną przez Julię Przyłębską) autoryzujące ulaskawienie ich przez prezydenta są nieważne, bo wydane z udziałem dublerów, co stwierdził ETPCz w sprawie Xero Flor (dotyczyła dublera Mariusza Muszyńskiego). Podobnie można w drodze procesu sądowego zakwestionować prezesurę Julii Przyłębskiej w trybunale, którą sobie dość dowolnie wydłużyła. Prof. Safjan przyznaje jednak, że to droga długa i żmudna. A wszyscy oczekują zmian już teraz.



W mediach społecznościowych i klasycznych toczy się coraz ostrzejszy spór prawników zaangażowanych w obronę praworządności, jakimi metodami ją przywracać. Powtarza się pomysł, by pierwszeństwo miała skuteczność i zasada, że cel (praworządność) uświęca środki. Prezes Stowarzyszenia Iustitia, sędzia Krystian Markiewicz, w rozmowie z OKO.press postuluje rozwiązanie neoKRS uchwałą Sejmu, powołując się na precedens PiS, który osiem lat temu uchwałą Sejmu unieważnił wybór pięciu sędziów do TK. Prof. Wojciech Sadurski to samo proponuje wobec Trybunału niekonstytucyjnego.

W sądach i prokuraturach czuć nastroje rozliczeniowe. I atmosferę wyczekiwania, z obawą lub nadzieją, zależnie od tego, czy ktoś był beneficjentem, czy przeciwnikiem „dobrej zmiany”. Ci, którzy bronili praworządności i doświadczali często bolesnych szykan, są gotowi do odbudowy sądownictwa oraz prokuratury i deklarują, że nie odpuszczą grzechów swoim prześladowcom. Część sędziów i prokuratorów liczy, że ich politycznie umocowani szefowie, chcąc pozostać na stanowiskach, przestaną się politycznie wysługiwać. Pojawiają się relacje, że ten lub ów sędzia czy prokurator zdradza gotowość konwersji, oświadczając po wyborach: „zwyciężyliśmy!”.

Otwartości na kompromisy oczekuje się też od prezydenta Andrzeja Dudy. Ale na razie poszedł na konfrontację i powołał kolejnych 70 neosędziów. Lepiej więc mieć plan awaryjny na to, jak rozbić zabetonowane przez PiS organy bez nowych ustaw i bez łamania bezprawnego pisowskiego prawa. Na pewno nie pójdzia to błyskawicznie, i to się ludziom nie będzie podobać.

Krajowa Rada Sądownictwa

Najpilniejsze jest zablokowanie mnożenia neosędziów przez neoKRS. Ich nielegalność kilkakrotnie orzekł ETPCz, a uchwałami Sądu Najwyższego i wyrokami TSUE legalność ta została podana w wątpliwość (powstał test, którym należy zbadać, czy dają gwarancje bezstronności). W wyroku z 15 lipca 2021 r. w sprawie skargi Komisji Europejskiej TSUE orzekł, że system odpowiedzialności dyscyplinarnej sędziów jest sprzeczny z prawem Unii m.in. dlatego, że sędziowie Izby Dyscyplinarnej SN są powołani z rekomendacji neoKRS, czyli organu, „którego niezależność może wzbudzać uzasadnione wątpliwości”.

Podstawa prawna do nieuznawania nominacji neoKRS jest. Ale nie do rozwiązania rady inaczej niż ustawą. Może więc, jeśli nie będzie to możliwe teraz, zamiast czekać, opróżnić neoKRS z wybranych w niekonstytucyjnym trybie członków?

Większość z 15 sędziowskich członków neoKRS ma w dorobku sprawy, które nadają się na postępowanie dyscyplinarne. Na przykład przewodnicząca Dagmara Pawełczyk-Woicka ma wytoczoną przez sędziego Waldemara Żurka sprawę o mobbing, a niedawno prokuratura dostała wniosek o ściganie jej za pomówienie sędziego Pawła Strumińskiego z Gliwic, który nałożył na nią grzywnę za niewykonanie polecenia sądu. To pomówienie można też zakwalifikować jako wywieranie bezprawnego nacisku na sąd. Sprawa będzie się zapewne w prokuraturze ślimaczyć, ale można w związku z nią wszcząć postępowanie dyscyplinarne. Z kolei inny członek neoKRS, Maciej Nawacki, uporczywie nie wykonywał prawomocnych orzeczeń sądów o natychmiastowym przywróceniu do pracy sędziego Pawła Juszczyzna, co zostało zgłoszone do prokuratury. To też materiał na dyscyplinarkę, podobnie jak widowiskowe podarcie uchwały Zgromadzenia Sędziów Sądu Rejonowego w Olsztynie, którego jest prezesem. Wreszcie trzech członków neoKRS – w tym Maciej Nawacki – jest wymienianych jako członkowie hejterskiej grupy „Kasta”. Prokuratura przewleka śledztwo, ale rzecznik dyscyplinarny ma dość dowodów, żeby wszcząć postępowanie.

A więc co najmniej czworo neosędziów z neoKRS można będzie usunąć z powodu braku kompetencji etycznych. A będzie ich więcej, jeśli zbada się sposób przeprowadzania przez neoKRS konkursów na sędziów, gdzie jej członkowie łamali procedurę (np. omawiano i opiniowano kandydatury w kilkanaście sekund) i działali na szkodę wymiaru sprawiedliwości, nominując kandydatów gorszych, ale z politycznym poparciem.

Do postawienia zarzutów trzeba wybrać nowych rzeczników dyscyplinarnych, co może zrobić nowy minister sprawiedliwości. Sędziów dyscyplinarnych pierwszej instancji wskazują prezesi sądów, a tych minister może wymienić na podstawie pisowskiego prawa. W drugiej instancji dyscyplinarnej orzeka Izba Odpowiedzialności Zawodowej zdominowana przez neosędziów (6 do 5). Ale mogliby zostać odsunięci od orzekania w sprawach członków neoKRS przez prezesa Izby, prawowitego sędziego Wiesława Koziulewicza. Powód: obawa o gwarancje bezstronności, ponieważ zostali powoływani przez osoby, które mieliby sądzić.

Do tego dochodzi fakt, że neoKRS nie wypełniała konstytucyjnej roli stania na straży niezawisłości sędziów i niezależności sądów. I może się okazać, że większość sędziów wybranych przez PiS do neoKRS dostanie wyroki dyscyplinarne, które odbiorą im możliwość zasiadania w neoKRS. Nowych można powołać w oparciu o przepisy o neoKRS. Są niekonstytucyjne, ale można je zastosować w sposób zgodny z konstytucją: rolę posłów przy wyborze należy, w drodze ustnej umowy, zredukować do zatwierdzenia kandydatów, którzy zbiorą największe poparcie sędziów.

Trybunał Konstytucyjny

W ten sam sposób – opróżniając z członków – można odzyskać Trybunał. Sejm może uchwałą przywrócić wybranych w 2015 r., a nie zaprzysiężonych trzech sędziów, którzy wejdą na miejsce dublerów. Podstawą prawną jest wyrok Trybunału Konstytucyjnego z 2015 r., a za rok można się też spodziewać wyroku TSUE, do którego Komisja Europejska zaskarżyła Trybunał niekonstytucyjny. By nie łamać zasady kadencyjności, pozostałym członkom TK można zaproponować ewakuację na „złoty spadochronach” w stan spoczynku. Mogą się skuścić, bo dziś miejsce w totalnie skompromitowanym Trybunale jest wstydem, a nie honorem, i szkodzi karierze, szczególnie tym członkom Trybunału, którzy zajmują się działalnością naukową. Stan spoczynku w przypadku ustąpienia przed końcem kadencji należy się z urzędu, więc nie trzeba zmieniać prawa. Pozostaje kwestia rozliczenia za jego łamanie.

To jednak będzie możliwe dopiero po uzyskaniu w Trybunale większości przez nowych sędziów i zakończeniu prezydentury Andrzeja Dudy, bo to prezydent wskazuje prezesa spośród kandydatów wyłonionych przez Zgromadzenie Ogólne Sędziów TK. Wtedy można by ewentualnie pociągnąć Julię Przyłębską do odpowiedzialności karnej za niedopełnienie obowiązków wynikających z trójpodziału władzy, jak uzgadnianie losów poszczególnych spraw w Trybunale z władzą polityczną, wywieranie nacisków na sędziów i notoryczne manipulowanie składami sądzącymi. Co do ważności wyroków Trybunału niekonstytucyjnego, to tych wydanych z udziałem dublerów, jak np. zakazujący aborcji ciężko uszkodzonych płodów, można po prostu nie uznawać, jako wydanych w składzie z dublerami. Podstawą jest wyrok starego TK w sprawie legalności wyboru sędziów przez Sejm w 2015 r. i wyrok ETPCz w sprawie Xero Flor, w którym uznano, że dubler sędziego Mariusz Muszyński nie jest sędzią powołanym zgodnie z prawem, a jego wyroki są nieważne. To, że ten wyrok „unieważnił” Trybunał ►



► nieKonstytucyjny w pełnym składzie, nie ma znaczenia, bo w sposób oczywisty wykraczało to poza jego uprawnienia. A na razie TnK nie będzie szkodził, bo jest wewnętrznie skłócony, zaś bunt pięciu członków przeciwko Julii Przyłębskiej sparałizował orzekanie w sprawach pełnoskładowych. W innych też Trybunał jakoś nie orzeka. W ostatniej chwili Julia Przyłębska wprowadziła trzy sprawy obciążające budżet (przypadek?), zobaczymy, czy zdoła je osądzić. Samolikwidacja Trybunału nieKonstytucyjnego jest kwestią czasu.

Sądy

Kluczowa jest sprawa rozstrzygnięcia o losie neosędziów i ograniczenie ich orzekania. Projekt ustawy sądowej przygotowany przez Iustitię przewiduje cofnięcie ich na poprzednio zajmowane stanowiska. To musiałoby się stać ustawą, bo sędziowie są powoływani przez prezydenta na konkretne stanowisko. Natomiast ograniczenie orzekania przez nich dzieje się już od kilku lat dzięki sędziom, którzy odmawiają zasiadania z nimi w składach. Prezydent Andrzej Duda powołał do tej pory blisko 4 tys. sędziów. To około jednej trzeciej wszystkich w Polsce (licząc z sędziami SN i sądów administracyjnych). Z tym że 36 proc. z nich to asesory, których powołania raczej się nie kwestionuje, bo neoKRS pełni przy tym rolę listonosza.

Prezesa sądów i przewodniczący wydziałów są powoływani i odwoływani przez ministra sprawiedliwości. To samo dotyczy dyrektorów sądów. Nowi prezesa i przewodniczący wydziałów mogą nie tylko przywrócić represjonowanych sędziów na dawne stanowiska, ale też pilnować, by spraw nie sędziły mieszane składy sędziów i neosędziów. To zminimalizuje przyrost wyroków, które mogą być kwestionowane. Równoległe dalej będzie trwał proces weryfikowania neosędziów w oparciu o tzw. prezydencki test bezstronności, uchwałę trzech połączonych Izb SN i przepisy Kodeksów karnego i cywilnego. Prezesa mogą też odsuwać neosędziów od orzekania, stosując wprost wyroki Europejskiego Trybunału Praw Człowieka uznające, że nominat podległej politycznie neoKRS nie jest sędzią ustanowionym w zgodzie z ustawą. To wszystko można zrobić bez nowej ustawy i zminimalizować tą drogą destrukcyjny wpływ neosędziów na wymiar sprawiedliwości.

Sąd Najwyższy

Sytuacja w SN jest naprawdę trudna. Na czele stoi wybrana w wątpliwej procedurze Małgorzata Manowska, której kadencja skończy się w maju 2026 r. Na czele wszystkich izb, oprócz Izby Pracy, stoją neosędziowie. Oni też mają przewagę liczebną w SN: neo jest 49, a sędziów – 42. Nawet jeśli prezeskę Manowską usunąć z urzędu w związku z wyrokiem dyscyplinarnym (np. za niewykonywanie wyroków TSUE adresowanych do SN czy za obyczaj przetrzymywania akt spraw, by zablokować orzeczenia), to i tak kandydatów na I prezesa SN wybierze zdominowane przez neosędziów Zgromadzenie Ogólne. Podobny problem jest z prezesami Izby SN. A właściwie większy, bo mają kontrolę nad przydzielaniem spraw.

Sędziom SN pozostaje odmowa orzekania z nimi i uchylanie ich orzeczeń. Prof. Marek Safjan przypomina, że oczywistą podstawą prawną w takim przypadku jest orzecznictwo Trybunału Praw Człowieka i uchwała trzech połączonych Izby SN z 2020 r., która stanowi, że sąd, w którym orzeka sędzia nominowany przez neoKRS, jest nienależycie obsadzony, a więc jego orzeczenie jest z mocy prawa nieważne.

Cudów jednak w SN nie będzie. Pozostaje liczyć na odmianę postawy prezesów i czekać na zmianę prawa, która uregułuje status neosędziów SN i ich wyroków oraz zmieni zasady

wyboru prezesów SN. W przyszłości możliwa byłaby też opcja zero, czyli rozwiązanie SN i powołanie go na nowo według nowych reguł.

Prokuratura

To, co Zbigniew Ziobro i jego prokuratorzy zrobili z prokuraturą, można porównać tylko do całkowitego zwasalizowania Trybunału Przyłębskiej i neoKRS. Wyhodowano pokolenie prokuratorów działających na rozkaz, dla których ustawowa prokuratorska niezależność jest abstrakcją. Żeby to naprawić, trzeba nie tylko nowego prawa, ale też zmiany mentalności prokuratorów. Na razie po to, by prokuratorzy mogli prowadzić uczciwe, niezależne śledztwa, w tym rozliczać władzę PiS z łamania prawa, trzeba wymienić kierownictwo prokuratur, ograniczyć korzystanie z nadzoru hamującego prowadzenie śledztw i zaprzestać dezorganizującego pracę delegowania prokuratorów w ramach represji czy nagrody za posłuszeństwo.

Trzeba też przywrócić na stanowiska uczciwych, doświadczonych i niezależnych prokuratorów, których zdegradowano, marnując ich kompetencje. To możliwe niemal z marszu, bo Zbigniew Ziobro ustanowił prokuratora generalnego (i ministra sprawiedliwości) wszechwładnym. Nowy minister mógłby więc dowolnie wymienić władze w całej prokuraturze. Ziobro, przewidując swoje odejście, aby zabetonować kadrowo prokuraturę, przekazał swoje kompetencje w tych i większości innych spraw odwoływalnemu tylko za zgodą prezydenta prokuratorowi krajowemu. Ale zrobił to nieudolnie: uprawnienia (m.in. wszystkie sprawy kadrowe) przekazał Dariuszowi Barskiemu, ale nie odebrał ich skutecznie prokuratorowi generalnemu.

W prokuraturze będzie więc dwuwładza. Na poziomie poszczególnych prokuratorów pojawiają się dwaj szefowie: z woli prokuratora generalnego i z woli prokuratora krajowego. A prokuratorzy wybiorą, kogo słuchać. To samo z decyzjami merytorycznymi: np. postępowanie będzie jednocześnie wszczęte i umorzone. I tak dalej. Długo tej sytuacji nikt nie wytrzyma, więc będzie musiało dojść do przesilenia. Mało prawdopodobne, by znacząca część prokuratorów, w tym funkcyjnych, trzymała się pisowskiej władzy, skoro będzie to powodować straty, nie przynosząc żadnych zysków.

Zresztą Ziobrowi prokuratorzy myślą raczej o ewakuacji. W Prokuraturze Krajowej trwają gorączkowe awanse, żeby odejść w stan spoczynku z jak najwyższym uposażeniem. Sam prokurator Barski podobno nosi się z takim zamiarem, bo nie ma ochoty szarpać się z nową władzą.

I prędzej czy później będzie można pociągać do odpowiedzialności dyscyplinarnej tych prokuratorów, którzy zasłynęli dyspozycyjnością, np. blokując takie niewygodne dla władzy śledztwa, jak sprawa grupy hejterskiej w Ministerstwie Sprawiedliwości, afera Pegasusa czy respiratorowa. I bezzasadnie w ramach represji wszczynali postępowania, np. wobec sędziego Igora Tulei za działanie w ramach sędziowskich uprawnień i obowiązków.

Rozliczenia dyspozycyjnych politycznie prokuratorów nie było po pierwszych rządach PiS w latach 2005–07, co zadziało na prokuratorów demoralizująco. Żeby odbudować etos prokuratorskiej niezależności, trzeba przestać nagradzać służalczość i ukarać tę prowadzącą do naruszania prawa. Burzy się szybko, buduje mozolnie. Chodzenie na skrót to budowanie fundamentów na bagnie. Za kilka lat ktoś tę budowlę tą samą metodą zniszczy. Dlatego przy naprawianiu państwa prawa każdy krok musi być uważny i skuteczny.

EWA SIEDLECKA

Język kataloński

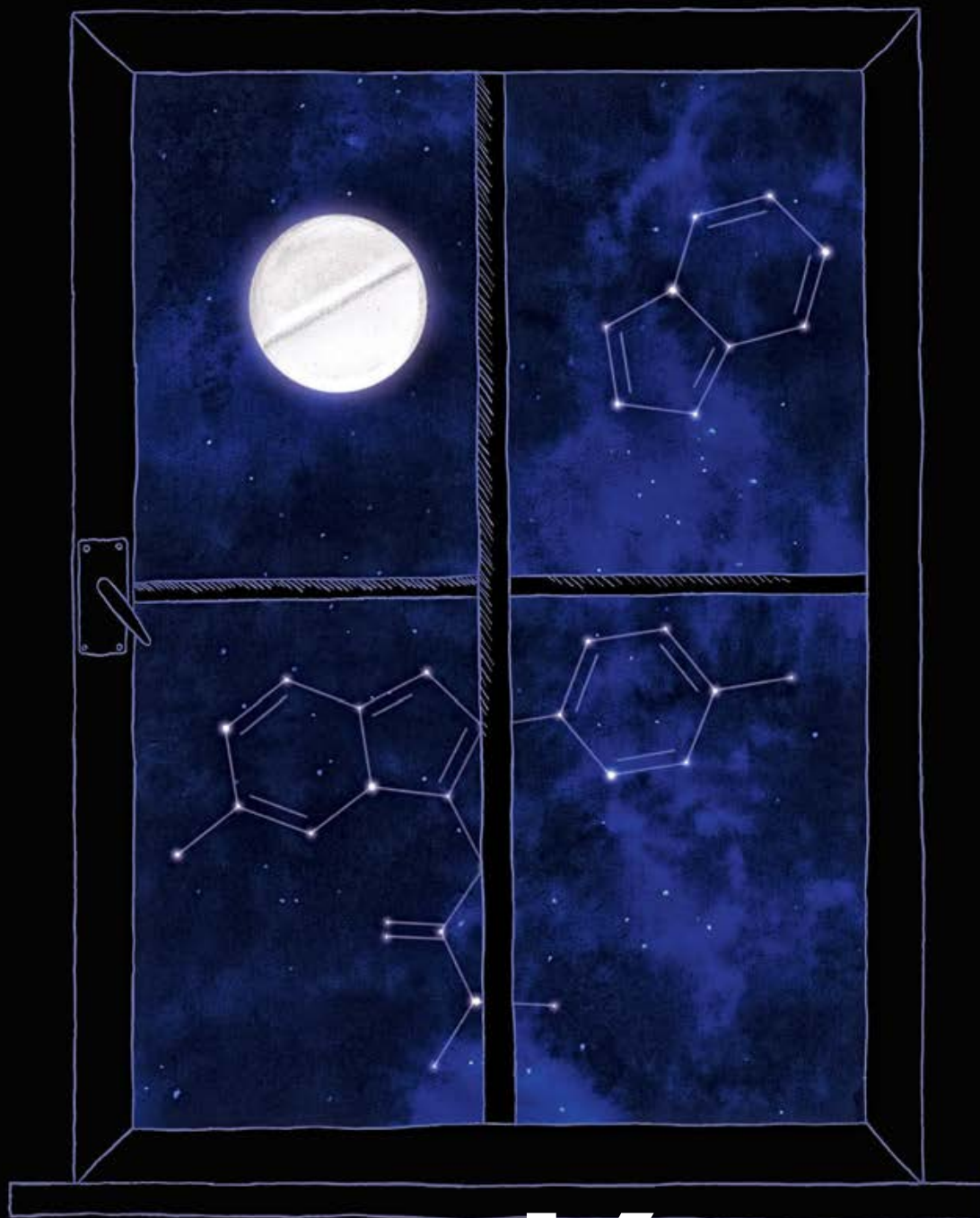
Jeśli zechcesz nas lepiej poznać,
dowiesz się, że nasz język wcale nie jest taki mały.
Mówi nim 10 mln ludzi
i dlatego prosimy Europę,
żeby zrobiła to samo, co Ty: poznała nas lepiej.

Wspieraj swój język
i wspomóż nas, by kataloński stał się oficjalnym
językiem na **EuropaEnCatala.eu**

**Jeżeli wszystkie języki są wyjątkowe,
niech żaden z nich nie będzie wyjątkiem w Europie.**



Noc w mocy benzosa



ILUSTRACJA ADELA PODGÓRSKA

Polska przoduje w Europie pod względem nadużywania leków nasennych. Cena, jaką za to płacimy, jest coraz wyższa. Liczona w złotych, ale i w zdrowiu.

PAWEŁ WALEWSKI

K

obieta, która wyszła z Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie, jest uśmiechnięta i odprężona. Konsultacja, którą właśnie odbyła, być może odmieni jej życie. Nie pamięta, żeby dobrze przespiała jakąś noc od czasu śmierci męża przed ośmioma laty i od momentu, kiedy przeszła na emeryturę.

– Ostatnio udało mi się osiągnąć tylko tyle, że choć rano kleję mi się powieki, to wstaję z łóżka i nie spędzam w nim całego przedpołudnia – wyznała. Do kieliszka nie zagląda, za to potrafi wypalić podczas bezsennej nocy całą paczkę papierosów. Ta 66-letnia nowa pacjentka prof. Adama Wichniaka, kierownika tutejszego Ośrodka Medycyny Snu i III Kliniki Psychiatrycznej, nie potrafi zasnąć na dłużej niż trzy godziny, i to tylko pod warunkiem, że weźmie środek nasenny. – *Takich osób przybywa* – informuje lekarz. – *Nie doceniają higieny snu, nie przestrzegają rytmu dnia i nocy, a polegają jedynie na tabletkach, jakby były jedynym rozwiązaniem problemu bezsenności.*

Pani Anna (imię zmienione) dopiero podczas rozmowy ze specjalistą dowiedziała się, że leki, które przyjmuje, powinny być tylko uzupełnieniem terapii, a trzeba ją zacząć zupełnie od czegoś innego. – *Nie mogę leżeć w łóżku dziesięć czy osiem godzin* – z tym nowym postanowieniem wyszła z gabinetu. – *Mam nie ucinąć sobie drzemek w ciągu dnia i przestrzegać stałej pory wstawania rano* – wymienia zadania, które z czasem być może uwolni ją od przyjmowania tabletek. W końcu musi też przyznać przed samą sobą, że sięga po nie z czystej desperacji: – *Choć zaczęłam odczuwać, że ich działanie osłabło, bez nich nie wejść pod kołdrę.*

Toksymaniactwo

Anna nie jest wyjątkiem wśród setek starszych ludzi uzależnionych od leków nasennych. Pani Janina ze Śląska, lat 71, z pogarszającym się zdrowiem i narastającą bezsennością, już od pół roku pilnie pracuje nad tym, by się od nich odzwycząić. Małolaty powiedziałyby o obu emerytkach, że mają popalone styki. Te same leki – nazywane przez młode pokolenie benzosami (chodzi o benzodiazepiny) – stosują w mieszkaniach rekreacyjnych i na oswojenie lęków, a zdobywają je, ściągając z darknetu wprost do paczkomatów lub znajdując w internecie lekarza na telefon.

Seniorzy obywają się bez komputerów. Ich toksymaniactwo nie rozwinęło się tak jak u młodych za sprawą ukrytych czatów na ogólnie dostępnych komunikatorach – ale całkowicie oficjalnie, w najbliższych przychodniach, dzięki dobrodusznym lekarzom, nierzadko z opinią najlepszych w okolicy.

Janina: – *Receptę na pierwsze relanium sama zasugerowałam rodzinie, nie musiałam nawet specjalnie o nią zebrać. Chciałam szybciej zasypiać, a sąsiadka czy znajoma, już nie pamiętam kto, pochwaliła mi się, że po takim relanium przykłada głowę do poduszki i od razu zapada w sen.*

Czy lekarz zebrał jakiś wywiad, próbował dociec przyczyn bezsenności, a może pokusił się o skontaktowanie jej z ośrodkiem, w którym można te problemy omówić z ekspertami? – *To było 15 lat temu, chyba takich placówek nie było* – zastanawia się Janina. Doktor o nic nie wypytywał. Wręczył receptę na to, czego się domagała. – *A że przez trzy lata był moim lekarzem rodzinnym, przy różnych okazjach wystarczyło zagadnąć go o to samo. W końcu chyba się domyślał, że bez tabletki nie zasnę.*

Gdy odszedł z przychodni, pacjentka miała już inny patent na te same recepty. Nawet wygodniejszy, bo potrzebowała ich z miesiąca na miesiąc coraz więcej – wypraszała je więc u wszystkich lekarzy, którzy ją leczyli z jakiegokolwiek powodu, włącznie ze stomatologami. – *Teraz odkrywam to, w co sama się wplątałam* – nie zaprzecza.

W połowie XX w., kiedy benzodiazepiny wprowadzono do obiegu, zachwalano je jako leki na „troski życia”, a więc niemal na wszystko i dla wszystkich. „Najlepszy przyjaciel gospodyni domowej”, „Nieszkodliwe panaceum na stres” – mniej więcej tak brzmiały ich angielskie reklamy (w rekordowym 1979 r.

w samej tylko Wlk. Brytanii lekarze wystawili na te środki 30 mln recept, do dzisiaj w tym kraju pół miliona stosuje je przewlekle; w Polsce benzodiazepiny są drugimi najczęściej przepisywanymi lekami zaraz po lekach kardiologicznych, wśród osób powyżej 65 lat częstość ich stosowania waha się na poziomie od kilkunastu do dwudziestu kilku procent – podaje w swoim artykule psychiatra dr Weronika Rybicka (branżowy portal „Medycyna Praktyczna”).

Turystyka lekowa

Dopiero 20 lat później zaczęto dostrzegać problemy, które wiązały się z masowym stosowaniem benzodiazepin. Nie na tyle jednak, by wycofać je z rynku. – *Bo nie są bezużyteczne, a w niektórych sytuacjach wręcz niezbędne* – przyznaje prof. Wichniak, kładąc nacisk na dwie główne zalety. – *Działają szybko, w ciągu kilkunastu minut, i są dobrze tolerowane. Dłatego sprawdzają się w sytuacjach traum, z którymi doraźnie ktoś nie potrafi sobie poradzić: po wypadku drogowym, śmierci bliskiej osoby, utracie pracy.*

Po zażyciu pojedynczej dawki nie wymagają kilkunastodniowego oczekiwania na efekt, jak to jest przy lekach przeciwdepresyjnych, dlatego są przydatnym orężem w szybkim opanowaniu silnego stresu, krótkotrwałego lęku lub przygodnej kilkunastodniowej bezsenności (podobnie zresztą jak przy napadach paniki, w ostrym zagrożeniu samobójczym albo by przerwać napad padaczki).

Błędem jest jednak podawanie ich dłużej niż przez cztery tygodnie ze względu na ryzyko uzależnienia, z którego zwłaszcza osobom starszym trudno się wykaraskać. A choć nie od dziś o tym wiadomo, benzodiazepinowa saga daleka jest od zakończenia, gdyż wielu lekarzy nie wyzbyło się nawyku ich zlecania. – *Mam o to pretensje, choć domyślałam się, że postępują tak dla świętego spokoju* – diagnozuje sytuację prof. Tadeusz Pietras, kierownik II Kliniki Psychiatrycznej w stołecznym Instytucie Psychiatrii i Neurologii. Bo który pacjent, idąc do swojego lekarza rodzinnego ze skargą na bezsenność, nie będzie oczekiwał szybko działającej tabletki? Kwestie ryzyka uzależnienia czy zawrotów głowy (w wyniku których osoby starsze łatwiej mogą upaść we własnym domu) to sprawy dla niego drugorzędne, a brakuje czasu, by je w gabinecie szczegółowiej omówić. Przejmują to zadanie nieraz farmaceuci, którzy starają się rozkręcać w aptekach poradnictwo w zakresie bezpieczeństwa przyjmowanych leków.

– *Ale odwieść pacjenta od czegoś, co na receptę wypisał już lekarz, jest nieraz bardzo trudno* – mówi farmaceuta Szymon Jaworski z Krajenki w Wielkopolsce. W takich małych miejscowościach aptekarze bez większego trudu potrafią ustalić, kto w ich okolicy zleca przewlekle benzodiazepiny, ale uzależnieni pacjenci też to wiedzą, więc uprawiają turystykę lekową. Jedna ze stałych bywalczyń jego apteki jeszcze niedawno potrafiła w ciągu tygodnia z trzech miejsc załatwić sobie recepty na estazolam (prof. Wichniak: – *Bardzo chwalony przez starszych, bo jak dobrze działa, to początkowo usypia nawet na 9 godzin, ale im większa siła działania leku, tym trudniej go potem odstawić.*)

60-latką zaopatrywała się w nie w lokalnej poradni zdrowia psychicznego, do której regularnie chodzi raz w miesiącu, w przychodni POZ (tu receptę wystawiała pielęgniarka, a lekarz tylko ją podpisywał) i jeszcze u neurologa albo kardiologa, którzy dawali jej „ostrożnie” po jednym opakowaniu. – *Tylko że w sumie było tego dwanaście* – podliczył kiedyś Jaworski. Ma obowiązek zrealizować każdą receptę, ale zasugerował, by rozkładać „tygodniowy przydział” na miesiąc, nawet dwa. ►

► – *Gdy na mnie trafiła – upierałem się przy tym. Gdy nie było mnie w aptece – wykupywała wszystko, mówiąc, że na zapas. A i tak szybko do nas wracała.*

Panią Annę, zanim trafiła do Ośrodka Medycyny Snu, uwiódł jeden z leków nasennych, bo już sama jego nazwa handlowa wskazywała, jakie ma zastosowanie. Był to jeden z preparatów zawierających *zolpidem* – substancję, która bardzo często jest wykorzystywana w krótkotrwałym leczeniu bezsenności i choć nie należy do klasycznych benzodiazepin, razem z dwiema innymi nasennymi tzw. zetkami (*zopiklonem* i *zaleplonem*) ma również uzależniające działanie.

Sprytnie posunięcie ze strony producenta, który wymyślił taką nazwę, aby wskazywała, że specyfik ten skutecznie leczy, sprawiło, że obecnie to jeden z najpopularniejszych w Polsce leków nasennych, choć powinien być zalecany tylko dla osób wymagających krótkotrwałej pomocy. Inne mają zresztą podobne zastosowanie. – *A mam pacjentów, którzy przyjmują je bez przerwy miesiącami. Wtedy narasta tolerancja, zwiększają więc dawki, by przywrócić skuteczność i tak zaczyna się uzależnienie* – wyjaśnia prof. Wichniak.

Anna przesyiała najpierw sześć godzin, czyli tyle, ile wystarczy starszym osobom. *Zolpidem* działa bowiem krótko i intensywnie – tak jak inne zetki wprowadzone na rynek 30 lat temu. Były wykreowane dla ludzi młodych i aktywnych, którzy nie przestrzegają higieny snu, ale chcą wypocząć przed intensywnym dniem w pracy. – *Po kilku tygodniach zażywania zaczęłam wybudzać się po 3–4 godzinach, więc łykałam w środzku nocy drugą tabletkę, by dospać do rana. Po pół roku było coraz gorzej, a po roku już byłam na szczęściu proszkach* – wyznaje. Doszło do tego, że przyjmowała je również w ciągu dnia, bo po wybudzeniu, gdy stężenie substancji w jej organizmie spadało, czuła się rozbita i nadal chciało jej się spać, tylko że bez *zolpidemu* już nie potrafiła zasnąć.

– *Na tym polega zwodnicza pomoc krótko działających leków nasennych: jak coś szybko działa, to uzależnia. Dodatkowo w przypadku zolpidemu możemy mieć problem z uzależnieniem od wysokiej dawki* – dodaje prof. Wichniak. – *Pacjent, aby dobrze się czuć podczas kuracji, zaczyna w końcu przyjmować od kilku do kilkunastu tabletek dziennie.*

Drabinka bezsenności

A z tego błędnego koła wyrwać się niełatwo. Lekarze nie zawsze są tu specjalnie pomocni. Nawet jeśli mają świadomość szkodliwych skutków benzosów czy zetek, starają się nie używać w rozmowach z pacjentami ostrzeżeń przed uzależnieniem i stosują łagodniejsze sformułowanie: „Może się pani/pan przyzwyczaić”. To ludzi nie zraża. Walczący o godzinę snu każdej nocy, marzą wręcz, by przyzwyczaić się do czegoś, co pozwoli im spokojnie zasnąć. – *Problemy lekomanii są głęboko stygmatyzowane i osoby starsze uważają, że to obraźliwe, jeśli ktoś im zasugeruje, że mogą mieć problem z takim uzależnieniem* – potwierdza Szymon Jaworski.

Ponieważ jest jednym z 75 w Polsce farmaceutów, którzy podjęli się przeprowadzać tzw. przeglądy lekowe i szczegółowo prześwietlają kuracje, jakie otrzymują seniorzy (ujmując im często z długiej listy leków niepotrzebne lub dublujące się specyfiki), sam wie, jak delikatnym językiem trzeba się posługiwać, by ktoś chciał skorzystać z takiego poradnictwa. Z drugiej strony łagodną perswazją trudno coś zmienić. Co do lekarzy, odczuł, że lepiej na jego sugestie reagują ci z młodszych roczników. Próby wywarcia wpływu na starszych, by zmienili podejście, wywołują przeważnie gniewne reakcje.

– *A kurację bezsenności, aby przyniosła efekt, trzeba zacząć wcale nie od najsilniej działających leków* – nie ma wątpliwości

prof. Wichniak. Tak jak dla zwolenników zdrowej diety przygotowano piramidę żywienia, a dla wymagających leczenia bólu – drabinę analgetyczną, by stopniowo dobrać dla nich najkorzystniejsze leczenie, tak w tym wypadku również istnieje gradacja interwencji, które przynoszą efekt, zanim ktoś sięgnie po najsilniejsze leki.

I tu przychodzi z pomocą terapia poznawczo-behawioralna bezsenności, pomagająca ludziom zmienić zachowanie, a przede wszystkim złe nawyki. – *Podstawowe zasady można znaleźć w różnych poradnikach* – zachęca profesor. – *A chodzi głównie o to, by skrócić czas spędzany w łóżku do długości trwania snu, więc jak ktoś nie może zasnąć i przewraca się z boku na bok, to lepiej, żeby z niego wstał. Na co najmniej godzinę przed snem nie należy korzystać ze smartfonów i dobrze się wyciszyć przy książce lub spokojnym filmie. Wstawanie rano o tej samej porze i unikanie światła nocą również ma znaczenie.*

Warto poczekać

Większość emerytów zachowuje się przeciwnie do tych wskazówek i zamiast skrócić czas w łóżku, chcą zasypiać wcześniej, bo wydaje im się, że mają wreszcie prawo do jak najdłuższego snu. A to właściwie gotowa recepta na rozwój bezsenności i uzależnienia od leków nasennych. – *Tylko że wielu pacjentów mnie pyta: to co ja mam robić na tej emeryturze, czym zabić wolny czas?* – przyznaje prof. Wichniak, któremu najtrudniej przekonać takich ludzi, że powinni kłaść się do łóżka na nie dłużej niż 6–6,5 godz. Bo wbrew temu, co myślimy o bezsenności, to nie leczy się jej nocą, tylko podczas dnia, zdrowym stylem życia oraz wydłużeniem (i zwiększeniem!) aktywności.

Ale mało przydatne są takie rady, jeśli ktoś z trudem się porusza albo tylko podczas snu nie odczuwa bólu, więc woli spędzać w łóżku jak najwięcej czasu. Większość polskich emerytów nie cieszy się dobrym zdrowiem, więc zamiast spędzać wolny czas na podróżach i w uniwersytetach III wieku, przeznaczają go na wizyty u lekarzy lub samotność w domu. Z ukojeniem przychodzą czasem zioła, niektórzy korzystają z melatoniny. – *To nie jest zły wybór, jeśli najważniejsze ma być bezpieczeństwo, a nie siła działania, choć seniorom bardziej polecałbym melatoninę na receptę* – sugeruje prof. Wichniak. Jest w dawce 2 mg i jako jedyna ma przedłużone uwalnianie, tożsame z wydzielaniem naturalnego hormonu produkowanego w mózgu, którego u starszych osób wydzielania się mniej. Jedyne kłopot jest taki, że tu znów – w przeciwieństwie do benzodiazepin i leków nasennych – potrzeba czasu na efekty terapii, bo pojawiają się one najwcześniej po 3–4 tygodniach, a zwykle dopiero po 3 miesiącach.

Warto nieraz cierpliwie poczekać – najstarsza do tej pory pacjentka stołecznego Ośrodka Medycyny Snu miała 102 lata i ją również udało się przekonać do piramidy leczenia bezsenności. Nasz system opieki zdrowotnej wcale jednak nie zachęca do odzwyczajania się od leków. Choć zdaniem ekspertów mądre leczenie bezsenności nie jest trudne i w większości można je powierzyć lekarzom rodzinnym, to ci akurat wolą rozwiązywać te problemy w niewłaściwy sposób. Paradoxs? Raczej utrzymujące się przekonanie, że są medykamenty, które będą w stanie usunąć problem bez specjalnego zaangażowania i wystarczy tylko wyprosić je w przychodni. Upragniony sen przyjdzie już pierwszej nocy – ale jak po kilku miesiącach starsza osoba upadnie i złamie biodro, nikt nie domyśli się, że zawiniły te cudowne benzosy, od których ktoś ją uzależnił.

PAWEŁ WALEWSKI



Malowani generałowie

VIOLETTA KRASNOWSKA

Na pewno zobaczymy ich 11 listopada. Poszyli sobie mundury na wzór takiego, jaki miał Piłsudski, kupili szable, ordery, zapłacili za „stopnie wojskowe” i paradują jako piłsudczycy. Kim są?

Przestawia się krótko: – *Edward Jurkan, major w stanie spoczynku. Po czym uzupełnia: – Zaczynałem w słynnej 11. Dywizji kawalerii pancernej w Żaganiu. 20 lat służyłem w wojsku. Biegałem po poligonach z karabinem, spałem w namiotach polowych, jadłem z żołnierzami z menażek, siedząc na skrzynkach po amunicji. I stąd moje prawo do nazywania ich hochsztaplerami* – mówi wprost o członkach Związku Piłsudczyków RP – Towarzystwa Pamięci Józefa Piłsudskiego. Ten drugi członek nawiązuje do towarzystwa założonego w końcu lat 80. w Różanie. Ale sam Związek został zarejestrowany w 2008 r.

Mundur jak z obrazka

Z założenia jego członkowie mieli po pierwsze wyglądać. W statucie zapisano, że „elementem wyróżniającym Związek Piłsudczyków Rzeczypospolitej Polskiej – Towarzystwo Pamięci Józefa

Piłsudskiego jest noszenie w czasie uroczystości państwowych, regionalnych czy związkowych mundurów historycznych z lat 1914–1920 wraz ze stopniami funkcyjnymi zbliżonymi do występujących w wojsku polskim w tym okresie, co ma na celu propagację współczesnym pokoleniom Polaków – czynu i postaci pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego i jego żołnierzy”. Na początek w propagacji poszli tak daleko, że prezes mianował się Marszałkiem. Chyba jednak uznano to za przesadę, bo obecny prezes Stanisław Śliwa ma z racji funkcji już tylko stopień generała. Niżsi rangą mają niższe stopnie: pierwszy wiceprezes to generał broni, drugi – dywizji, tak samo Naczelny Kapelan, skarbnik to generał brygady, sekretarz to pułkownik.

Za swój „związkowy” strój przyjęli galowy mundur marszałka z obrazu Józefa Kossaka – jednorzędowa kurtka z szaroniebieskiej gabardyny z kołnierzem

wykładanym z naszytymi granatowymi, aksamitnymi patkami z karmazynową wypustką i wyhaftowanym wężym legionowym. Na wstędze na szyi według statutu nosi się Order Związku Piłsudczyków, na piersi Krzyż Honorowy Związku Piłsudczyków i inne odznaczenia lub medale, ale nie więcej niż trzy. Spodnie z podwójnym lampasem przysługują generałom, z pojedynczym lampasem powyżej stopnia majora. Czapka „maciejówka”. Dla oficerów: sznury galowe, pas główny z koalicijką i rapcami i szabla wzór z 1921 r.

Majora Jurkana denerwuje ta szabla: – *Oficera, który miał szablę w przedwojennej Polsce, po pierwszej uczyli salutować szablą. A ci? Żaden, jak patrzyłem, nie wie, jak to zrobić. Pokupowali sobie je dla szpanu. A mundur? Toż to jest mundur operetkowy, bo przecież do operetki bierze się mundury, które mogą być tylko wzorowane na prawdziwych. Dlatego nazywam ich pajacami i hochsztaplerami.* ►

► *Co potwierdzi każdy zawodowy oficer, który nominację otrzymał od Prezydenta RP, a kolejne gwiazdki zdobywał na poligonach, a nie kupując je sobie w prywatnej firmie dawnego bosmana marynarki wojennej, a obecnie prezesa związku i trzygwiazdkowego generała, którego sam sobie nadał.*

Major Jurkan łatwo wpada w uniesienie, choć sam takim piśsudczykiem był. Jest członkiem i działaczem Związku Inwalidów Wojennych RP w Lublinie. Jak pamięta, w 2013 r. ktoś z władz wrócił z posiedzenia zarządu głównego w Warszawie z informacją, że jest taka organizacja, do której wielu działaczy z Warszawy się pozapisywało. Był pewien, że jest to organizacja przy Ministerstwie Obrony Narodowej. Koledzy ze związku masowo się pozapisywali, opowiada, i on też, zaznaczając, że był wśród nich najstarszy stopniem. Podoficerowie z wojska cieszyli się na wyższe stopnie nadawane przez Związek Piśsudczyków RP. „A że ty byłeś majorem, to damy ci podpułkownika, tylko zapłać patent oficerski” – usłyszał. Patent kosztował ok. 150 zł. Płaciło się, a potem była uroczystość nadania stopnia – albo na urodziny Marszałka, albo na imieniny, albo na rocznicę śmierci. No i 11 listopada.

Biznes bosmana

Awanse dawano choćby za zaangażowanie w działalność związku. Takie jak w przypadku obecnego wiceprezesa związku. To „generał dywizji ZPRP” Jarosław Bierecki, brat Grzegorza Biereckiego (założyciela SKOK) i udziałowiec wielu firm. Za to, że wynajął autokar na wyjazd członków związku do Wiednia, dołożył się do pomnika; zresztą SKOK Stefczyka sponsorował niekiedy imprezy związku.

Tempo awansów bywało w tym związku ekspresowe. Lokalny biznesmen, który zasponsorował sztandar, ze stopnia kapitana wyniesionego z wojska od razu dostał podpułkownika, a jego żona majora. Występowali w eleganckich mundurach. Tylko, zauważył zgryźliwie major Jurkan, koalicyjka, czyli cienki skórzany pasek, biegnący przez pierś, mający służyć jako przeciwwaga do szabli lub kabury pistoletu, u biznesmena zamiast z prawego ramienia odchodziła z lewego. Albo to – stuka palcem w fotografię biznesmena w mundurze z oficjalnej strony związku. – *We wszystkich armiach świata koalicijkę nakłada się pod prawym pagonem, natomiast tu jest ona między pagonem a kołnierzem. Być może dla cywila jest to nieistotny szczegół, ale dla*

zawodowego oficera – całkowita kompromitacja! – mówi z pasją.

Potem od kolegi ze szkoły oficerskiej dowiedział się, że tym wszystkim kieruje były bosman, czyli odpowiednik sierżanta w wojsku lądowym, który był dowódcą holownika ratunkowego, a gdy opuścił wojsko, założył firmę robiącą pamiątki wojskowe, medale, ryngrafy. I robi też medale dla związku, którym kieruje.

Major uznał, że to nie miejsce dla niego. – *Wolę być majorem, majora dostałem od ojczyzny, a tu za pieniądze, ja nie chcę takiego pułkownika. Te stopnie kupione za 140 czy za 180 zł to jest policzek dla zawodowego oficera.* Postanowił też nagłośnić sprawę. Pisał do prezydenta Lublina, do radnych, wojewody, żeby nie dali się nabierać. „Jako byłego zawodowego oficera, krew mnie zalewa, jak widzę rozrastający się tzw. Związek Piśsudczyków RP” – pisał do wojewody w 2020 r.

Tym bardziej że „na uroczystościach państwowych pojawiają się coraz częściej. Mają swój poczet sztandarowy, lubią fotografować się z politykami, władzami, samorządowcami i dostojnikami kościelnymi”. Pisał, że ich stopnie nie różnią się od tych używanych współcześnie w Wojsku Polskim. „I tu jest sedno sprawy. Bo dla większości cywilów sędziwy pan w mundurze pułkownika to pułkownik! I ten czynnik spowodował, że Związek rozrósł się do ponad tysiąca członków [dziś to już 7 tys. – V.K.], stał się bowiem miejscem, w którym można pojechać swoje ego”.

Major wyjaśniał, że teoretycznie co roku można płacić za awans na kolejny stopień i po pięciu latach gotowy pułkownik. Że do dystynkcji dopisują sobie „zw” (w oficjalnych dokumentach dodawany jest przy stopniach skrót „zw”, czyli „związkowy”)? Zestawiał to z armią: w wojsku statystycznie pułkownikiem zostaje jeden na 100 oficerów, i to najszybciej po kilkunastu latach służby.

Major pisał także: „Można spytać, co w tym złego, że starsi panowie przychodzą w mundurach na uroczystości państwowe? Teoretycznie nic, ale kłamstwo zawsze pozostaje kłamstwem, celowe wprowadzanie w błąd – zawsze będzie oszustwem, a wykorzystywanie szczytnych idei dla jakichkolwiek korzyści – moralnie naganne”. I na koniec: „Mam nadzieję, że Pan Wojewoda i jego urzędnicy będą po tym liście podchodzić z dystansem do ludzi, którzy przedstawiają się za kogoś, kim nie są”. Efektów żadnych nie było.

Za to sam major wylądował na ławie oskarżonych za pomówienie jednego z działaczy, biznesmena. Dlatego inni wolą

mówić anonimowo. – *Dziadki mundury sobie poszyły, z daleka ktoś może pomyśleć, że to weterani wojenni. Chcą umierać jako generałowie* – mówi jeden z działaczy z przekąsem. Sam dostał stopień oficerski, nie będąc nigdy w wojsku. – *Nie było żadnych wymagań. Chcieli jak najwięcej ludzi przyciągnąć, nawet na początku fundowano mundury, bo to jednak koszt. Tysiąc złotych za mundur, a za generalski trzy, plus płaszcz. Uważam, że nie powinni nosić tych dystynkcji publicznie* – zauważa.

– *Kto pozwolił na to, żeby w ogóle brali udział w uroczystościach państwowych?* – pyta major Jurkan. O to samo pytał też poseł PiS Tomasz Rzymkowski w interpelacji poselskiej w 2018 r. ministrów MON i MSWiA.

Kłopoty z honorami

„Szanowny Panie Ministrze – pisał poseł. – Pragnę zauważyć, iż podczas uroczystości z okazji świąt państwowych lub rocznic ważnych wydarzeń historycznych pojawiają się osoby ubrane w stroje przypominające mundury wojskowe z dystynkcjami generalskimi i oficerskimi Wojska Polskiego. Osoby te występują przed przedstawicielami urzędów i instytucji (np. Urząd ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych), władz państwowych (np. wojewodowie) i samorządowych, podając się za weteranów np. Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej. Część z tych osób należy do stowarzyszenia Bractwo Liderów” – pisał.

Bywa, że jeden człowiek jest w Związku Piśsudczyków RP ze stopniem pułkownika, a w Bractwie Liderów – generała. Oba funkcjonują podobnie. Z tym że Bractwo Liderów sprzedaje nie tylko stopnie wojskowe, ale i tytuły szlacheckie. Jego członkowie, w myśl swojego statutu, mogą otrzymać stopnie, które „wzorowane są na historycznych stopniach obowiązujących w Wojsku Polskim w okresie 1918–1939”, a także nosić mundury „według historycznego wzoru obowiązującego w Wojsku Polskim w okresie 1918–1939”.

Bractwo nadaje odznaczenia: Złoty Krzyż Zasługi dla Kawalerów Orderu Wojskowego Virtuti Militari – za 300 zł, Złoty Krzyż Zasługi dla Kawalerów Orderu Wojskowego Krzyż Grunwaldu, Krzyż Rycerski z Gwiazdą i Szarfą Bractwa Liderów; dla kobiet jest Order Róża Piękności za 200 zł, ale też Krzyż z częścią obudowy grobu bł. ks. Jerzego Popiełuszki za jedyne 150 zł.

Poseł alarmował: „Osoby te często zakładają na siebie elementy munduru obecnie obowiązującego w Wojsku Polskim z dystynkcjami stopnia nadanego przez



Wizyta premiera Morawieckiego w Sejnach. Piłsudczycy RP lubią pojawiać się na państwowych imprezach. Przyjmują honory jak prawdziwi kombatanci i oficerowie.

Bractwo Liderów, bez oznaczenia, iż jest to stopień obowiązujący w danym stowarzyszeniu. Występują publicznie także generałowie Bractwa Liderów, którzy zakładają ubiory wzorowane na współczesnym mundurze wyjściowym Wojska Polskiego bez statutowych odznak Bractwa. Opisane sytuacje wprowadzają w błąd przedstawicieli organów władzy publicznej oraz pozostałych uczestników tych uroczystości. Opisany stan rzeczy powoduje, iż owi »kombatanci« (niektórzy z nich urodzeni po 1945 r.) są przez uczestników tych uroczystości, w tym przedstawicieli władz publicznych, uznawani za generałów i wyższych oficerów Wojska Polskiego, a przez to honorowani stosownie do podawanych przez nich stopni wojskowych, które *de iure* są wewnętrznymi stopniami Bractwa Liderów. Niektórzy z nich w poprzednich latach otrzymali wysokie odznaczenia państwowe nadane przez poprzedniego prezydenta RP.

Poseł pisał też: „otrzymałem sygnały, iż uczestnicy wydarzeń, którzy zwracali uwagę, iż osoby te nie są generałami Wojska Polskiego, a stopnie generalskie nadały im inne osoby niż Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, spotkały się z poważnymi nieprzyjemnościami, gdyż członkowie Bractwa Liderów kierowali doniesienia o popełnieniu przestępstwa zniesławienia do miejscowych prokurator i komend Policji oraz pisali na nich skargi do ich pracodawców”. I prosił o odpowiedź: „Czy w myśl powszechnie obowiązującego prawa w sprawie zakazu używania munduru wojskowego lub jego części członkowie Bractwa Liderów mogą występować w mundurach wojskowych z dystynkcjami stopni przyjętych jedynie

na wewnętrznych uroczystościach BL także na uroczystościach państwowych, samorządowych i innych wydarzeniach publicznych? I czy jest rozważane uszczelnienie przepisów tak, aby przedstawiciele władz publicznych i opinia publiczna nie były wprowadzane w błąd, iż członkowie różnych organizacji społecznych są generałami i wyższymi oficerami Wojska Polskiego?”. Został zbyt, MON odesłał go do żandarmerii, a MSWiA do prezydenta Warszawy, gdzie odbywają się główne uroczystości, w których uczestniczą „przebierańcy”, bo dysponuje monitoringiem i powinien sam „wyłapywać przebierańców” biorących udział w państwowych uroczystościach.

Poseł odpisał do MSWiA, że monitoring przeciw nie zapobiegnie „potencjalnym kompromitacjom i ośmieszeniu upamiętniania rocznic ważnych wydarzeń i ich bohaterów”. Pisał, że „konieczne jest choćby poinformowanie podległych MSWiA właściwych komórek organizacyjnych poszczególnych urzędów wojewódzkich, aby zapobiec dalszemu wprowadzaniu w błąd władz publicznych szczebla państwowego i samorządowego. I spytał, czy MSW to zrobi, ostrzegając o konsekwencjach lekceważenia problemu. Odpowiedzi nie uzyskał.

Czyja buława

Tymczasem Związek Piłsudczyków RP – TPJP rośnie. Ma już ponad 7 tys. członków, 24 okręgi, 25 oddziałów krajowych i 5 oddziałów zagranicznych, w tym w dalekim Buenos Aires. Spycha na boczny tor starszy Związek Piłsudczyków (bez dodatku „RP”, zarejestrowany w 2001 r.), kontynuatora działającego wcześniej Duszpasterstwa Rodzin Legionistów i POW-iaków.

Jego prezesem jest Jan Józef Kasprzyk, obecny szef Urzędu ds. Kombatantów i Osób Represjonowanych.

Tomasz Dyzma, szef lubelskiego oddziału tego związku, przyznaje, że ich wiadać mniej. Potwierdza. – *My mamy polowe stroje legionowe, a oni mają mundury jak galowy strój Marszałka, stopnie sobie ponadawali, my nie, bo po co to nam potrzebne? Ja mam stopień wojskowy młodszysy chorąży rezerwy i to mi wystarczy. My się ze swoją działalnością nie obnosimy, organizujemy marsze szlakiem Legionów* – mówi, zaznaczając, że nie chce się wyowiadać o Związku Piłsudczyków RP.

Równie dyplomatyczna względem Związku Piłsudczyków RP jest Danuta Cisek, wieloletnia wiceprezesa Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej za działalność na rzecz Polski, dziś w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Warszawie. – *Ja wychodzę z założenia, że jak ludzie kultywują pamięć marszałka Piłsudskiego, to dobrze* – mówi, ale od razu dodaje, starając się być jak najbardziej delikatna: – *No, nie robią tego najlepiej, nie powinniśmy w tę stronę iść, żeby się przebierać, nadawać sobie stopnie. Byłam na kilku ich uroczystościach, robią uspaniałą robotę, chociaż ja osobiście bym nie chciała w tym brać udziału.*

Co ciekawe, w Instytucie Józefa Piłsudskiego – prezes prof. Wiesław Jan Wysocki jest generałem Związku Piłsudczyków RP, a wiceprezes Jan Józef Kasprzyk – Związku Piłsudczyków.

„Generał ZPRP” Stanisław Śliwa w rozmowie z POLITYKĄ zapewnia, że nie ma rywalizacji między związkami: – *Józef Piłsudski wymaga wielkiego szacunku i uznania niezależnie, kto to robi.* Choć przyznaje, że już dawno namawiał do połączenia się, ale bez powodzenia. Każdy chce być wodzem – komentuje. Nieprawda – mówi – że stopnie można kupić, bo stopnie się nadaje, a płaci się tylko za wytworzenie dokumentów, za patent, bo materiały kosztują. I nie tylko jego firma je robi. A co do podpinalania się pod stopnie wojskowe, kategorycznie zaprzecza: – *To nie są stopnie wojskowe, to są nasze stopnie organizacyjne.* A że przebierają się tak bardziej teatralnie? – *To, że nas bardziej wiadać, jest rzeczą dodaną* – mówi.

To będzie w tym roku w Święto Niepodległości ktoś odgrywał rolę Marszałka? – pytamy. Prezes już desygnował człowieka: – *Ma w mundurze jechać w środku w zabytkowym samochodzie. I będzie miał swoją buławę, a jak nie ma, to pożyczę mu swoją.*

VIOLETTA KRASNOWSKA

Siostra Wanda

W wieku niemal 102 lat zmarła **Wanda Półtawska**, przyjaciółka Jana Pawła II. Budzi skrajne emocje; dla jednych Santa subito!, dla drugich – współodpowiedzialna za piekło kobiet.



JOANNA PODGÓRSKA

Szorстка, apodyktyczna, bezkompromisowa, ale też – niezłomna. Udowodniła to już jako nastolatka – harcerka i uczennica lubelskiego liceum sióstr urszulanek, w listopadzie 1939 r. składała przysięgę, że gotowa jest walczyć i umrzeć za ojczyznę. Razem z koleżankami rozdawała broń, mundury i żywność uciekinierom z zachodniej Polski; jako kurierka przewoziła rozkazy. Szybko zaczęły się aresztowania. Do niej zapukali w lutym 1941 r., podczas kompletów z matematyki. Była nawet dumna – po jedną dziewczynę przyszło sześciu gestapowców.

Obozowa gehenna

W siedzibie gestapo bili, ale wytrzymała „badania”. W więzieniu w Zamku Lubelskim trafiła do ciasnej celi pełnej śmierdzących, brudnych, półnagich kobiet; morderczyń i złodziejek, które jej widok skwitowały jednym słowem: burżujka. Kibel cuchnął potwornie, po kocach łążyły wielkie, białe wszy. Zemdląła. Tyfus, świerzb „koński”, powodujący ogromne, ropiejące guzy, które leczono żrącym płynem, tak że jątrzyły się jeszcze bardziej.

Krzyki katowanych więźniów, codzienne egzekucje. Wiadomość, że mają ją przenieść do obozu, nie brzmiała najgorzej – opisuje we wspomnieniach.

Trafiła do Ravensbrück. Tam co rano odbywała się łapanka do najcięższych prac dorywczych: na budowy, do czyszczenia kanalizacji, wywożenia szamba. Ale to nie praca ponad siły była największym zagrożeniem, tylko eksperymenty medyczne. Więźniarki, którym je poddawano, nazywano „królikami”. Wanda Półtawska była jednym z nich. Dr Karl Gebhardt nacinał kobietom nogi, łamał kości i wkładał w te rany jakieś brudne szmaty, kawałki szkła, kawałki drewna, sprowadzane z Berlina szczepy bakterii. Chciał dokonać odkrycia, które pozwoliłoby łatwiej leczyć rannych żołnierzy. Z pokaleczonych nóg sączyła się bura, cuchnąca ciecz, do której zlatywały się muchy. Potworny ból i gorączka. Wiele więźniarek zmarło wskutek tych eksperymentów, wiele dobijano. Półtawskiej udało się przeżyć.

Z obozu trafiła do małej fabryki samolotów w Neustadt Glewe, gdzie doczekała końca wojny. Znowu cudem, bo była na wpół martwa. Dopadła ją biegunka głodowa, słabła w oczach i któregoś dnia po prostu padła. Zniesiono ją do rewirowej umieralni, gdzie po dwie na pryczy

więźniarki powoli dogorywały z głodu. Jak pisze we wspomnieniach, gdy leżała na rewirze, co noc śnił się jej sen o białym grysiku. Była w takiej fazie choroby głodowej, gdy już nie chce się jeść. Gdy Niemcy uciekli, nie chciała konserw, masła, pełnych mięsa weków ze zrabowanych sklepów. Uparła się, że to musi być grysik. Jej przyjaciółce udało się znaleźć w jednym ze sklepów odrobinę kaszy manny. „W ostatnim etapie choroby głodowej organizm zjada własne białko i wtedy człowiek już prawie nie da się uratować. Ale już na wcześniejszych etapach zjedzenie czegoś tłustego czy ciężej strawnego może zabić, bo dochodzi do skrętu jelit. Mój sen o grysiku był intuicyjny. Uratował mi życie” – opisywała.

Po powrocie do Polski nie chciała zostać w Lublinie. Trudno jej było znieść spojrzania matek koleżanek rozstrzelanych w Ravensbrück. „Dlaczego ja żyję, a one nie?”. Wyjechała na studia do Krakowa i tam już została. Poznała męża Andrzeja Półtawskiego, wówczas studenta, a potem znanego krakowskiego profesora filozofii. Ona studiowała psychiatrię; może też po to, by zrozumieć swoje wojenne przeżycia i jakoś sobie z nimi poradzić. Wspominała, że przez całe noce śniło jej się Ravensbrück; tak plastycznie, że nie mogła

odróżnić, czy to sen, czy dalszy ciąg. Zaczęła odwlekać sen, aż w końcu w ogóle przestała się kłaskać. Zniosła Ravensbrück, a nie mogła znieść snów o nim. Ktoś jej poradził, by zaczęła spisywać wspomnienia. Gdy skończyła, po raz pierwszy udało jej się spokojnie zasnąć. Po latach opublikowała je w książce „I boję się snów”.

Specjalna więź

Karola Wojtyłę poznała w 1956 r., podczas pielgrzymki lekarzy katolickich na Jasną Górę. Ale przełomowym momentem była jej spowiedź w bazylice Mariackiej. Wtedy odkryli, że łączy ich specjalna więź i porozumienie. Zaczęła się przyjaźń, która trwała całe życie. Półtawska wspomina, że gdy w 1958 r. Wojtyła przyjmował sakrę biskupią, po zakończeniu uroczystości udało jej się przepchnąć przez tłum, by złożyć mu życzenia. Wówczas jakaś kobieta spytała, czy jest jego siostrą, a Wojtyła potwierdził: „Tak, siostra, siostrzyczka”. Listy, które pisał do niej jako biskup, kardynał, a potem papież, podpisywał „Brat”. Gdy w 1962 r. zachorowała na raka piersi, zanim powiedziała mężowi, napisała o tym w liście do Wojtyły, a ten listownie poprosił o błogosławieństwo ojca Pio. Miało pomóc – wyzdrowiała przed operacją. Ona była przy nim w najbardziej dramatycznych momentach. Jako jedną z niewielu dopuszczono ją do rannego papieża po zamachu. Była obecna przy jego śmierci.

Jednak Półtawską i Wojtyłę łączyła nie tylko przyjaźń i wspólne wyprawy w góry, lecz także szczególny rodzaj współpracy. W jednym z listów do niej Wojtyła napisał: „Kapłaństwo niesie ze sobą określone zadania i określone wyrzeczenia. (...) Takim zadaniem jest również odkrywanie tych wartości i tych znaczeń, jakie wiążą się z małżeństwem, z czystością, z ciałem – jakie Bóg sam w nich zawarł, poprzez dzieło Stworzenia i Odkupienia. Szłaś krok w krok za moim kapłaństwem i uczestniczyłaś od wielu lat w odkrywaniu tych znaczeń i tych wartości. Uczestniczyłaś twórczo”. Bez przesady można powiedzieć, że Wojtyła uczynił Półtawską swoją ekspertką w sprawie etyki seksualnej; i to ona wspierała go w utrzymaniu twardego kursu. W innym z listów napisał wprost: „Byłaś i nadal zostajesz moim ekspertem osobistym od dziedziny »Humanae vitae«”.

I tu pojawia się pytanie, jaki wpływ miała Wanda Półtawska na kształt słynnej „encykliki pigułkowej”, która wywołała jeden z najpotężniejszych kryzysów w historii współczesnego Kościoła. W pierwszej połowie lat 60. XX w. nadzieje, że Watykan zmieni stanowisko i dopuści stosowanie sztucznej antykoncepcji, były ogromne. Jeszcze w trakcie trwania soboru papież powołał komisję doradczą, w której skład weszły także świeckie małżeństwa. Po trzech latach komisja wyraziła zdecydowane stanowisko: „tak”. Jednak przeciwnikiem poglądu, że takie decyzje należy pozostawiać wiernym, był młody biskup Karol Wojtyła. Jako jedyny z ojców synodu twierdził, że komisja się pomyliła. Powołał w Krakowie własny zespół, w którego skład weszła m.in. Wanda Półtawska. Po latach oceni ona, że encyklikę „Humanae vitae” stworzył właściwie Karol Wojtyła, a „materiały z Polski myśmy dali dla Pawła VI, krakowski ośrodek”. Papież dał się przekonać, a ogłoszenie encykliki w 1968 r. sprawiło, że miliony wiernych na całym świecie zatrzasnęły za sobą drzwi od Kościoła. Jan Paweł II podtrzymywał ten fundamentalistyczny kurs przez cały swój pontyfikat. Bezlitośnie traktował teologów, którzy mu się sprzeciwiali. O swojej „osobistej ekspertce od Humanae vitae”

Jan Paweł II z małżeństwem Półtawskich, Wandą i Andrzejem (po lewej) wraz z rodziną, Watykan, lata 80. XX w.



napisał, że jej funkcją jest „śledzenie i referowanie tego, co się dzieje w tej dziedzinie w świecie i w Polsce”.

– Jan Paweł II wyznaczył do szukania odstępstw od doktryny, którą ustalili w Krakowie, osobę, która według mnie zasługuje na miano teologicznej alfabetki – ocenia prof. Stanisław Obirek. – Jej poglądy można streścić krótko: obsesja na punkcie zarodków i przekonanie, że każdy niemalżeński i nierozrodczy akt seksualny jest dewiacją i deprawacją.

Półtawska nie przebiegała w słowach. Środki antykoncepcyjne uznawała za gorsze od Holocaustu, a in vitro za „grzech Lucyfera”, który chce zastąpić Boga. Kobiety, które poddają się leczeniu niepłodności tą metodą, porównywała do krów.

– Problem w tym, że osoba o tak średniowiecznych poglądach miała wpływ na doktrynę całego Kościoła katolickiego. A Kościół w Polsce jest najlepszą ilustracją spustoszenia, jakie ta postawa uczyniła – dodaje prof. Obirek.

Prof. Tomasz Polak nie podejmuje się oceniać jej kompetencji teologicznych. – Nie miała wykształcenia teologicznego. Była radykalną katoliczką, która miała w sprawach kościelnych sądy bardzo wyraziste i często apodyktyczne. To wynikało z jej osobowości – ocenia. Wandę

Półtawską poznał (jeszcze jako ks. Tomasz Węclawski) podczas audyencji u Jana Pawła II dla polskich księży studentów w Rzymie. – Zaskoczyło nas wtedy to, że z apartamentów papieskich wyszli do nas najpierw państwo Półtawscy, a dopiero po nich papież.

Ten bezpośredni dostęp do papieża udało się wykorzystać w sprawie abp. Paetza, który przez lata wykorzystywał seksualnie poznańskich kleryków. Ks. prof. Tomasz Węclawski był jednym z sygnalistów w tej sprawie. Ale ani jemu, ani innym nie udało się przebić przez najbliższe otoczenie papieża. Dopiero Półtawska przekazała Janowi Pawłowi II materiały na ten temat (podobno przemyczone pod bluzką).

– Zniosła papieżowi list przygotowany przez niewielką grupę księży i świeckich w Poznaniu. Po tym nastąpił pierwszy instytucjonalny krok w tej sprawie – pojawili się w Poznaniu delegaci papieża, którzy na jego użytek zebrali zeznania wielu osób, w tym poszkodowanych kleryków. Skutkiem były daremne próby rozwiązania problemu bez rozgłosu – chodziło ▶

► o tzw. kop w górę dla Paetza. Skuteczna okazała się, jak wiadomo, dopiero publikacja „Rzeczpospolitej” i skandal medialny – opisuje prof. Polak.

Spór z kard. Dziwiszem

Niezwykła przyjaźń Półtawskiej z papieżem miała wywoływać w Kurii Rzymskiej niezadowolenie i zakłopotanie, a także zdumienie, gdy w kapiach brała udział w porannej mszy w prywatnej kaplicy apartamentu papieskiego. „La Stampa”, jeden z największych włoskich dzienników, nazwał ją Agentem 007 Jana Pawła II. Siłą rzeczy musiała wchodzić w kurs kolizyjny z papieskim sekretarzem kardynałem Stanisławem Dziwiszem. Ich wzajemna niechęć była tajemnicą poliszynela.

– Po śmierci Jana Pawła II trwała między nimi rywalizacja, kto ma być strażnikiem jego pamięci. Półtawska zaburzała wizerunek Dziwisza jako jedynej spadkobiercy papieża. W Krakowie aż huczało o tym konflikcie. Ale wyglądało to tak, że Dziwisz był raczej kamerdynerem, a ona duchową przyjaciółką – ocenia Stanisław Obirek.

Po sprawie abp. Paetza kamieniem niezgody między Dziwiszem a Półtawską stały się „Beskidzkie rekolekcje. Dzieje przyjaźni księdza Karola Wojtyły z rodziną Półtawskich”, które ukazały się w 2008 r. Oprócz wspomnień Półtawska zamieściła w tej książce część ich prywatnej korespondencji. Kard. Dziwisz nie krył oburzenia. W wywiadzie dla „La Stampy” mówił, że Półtawska nie powinna upubliczniać prywatnych listów od Karola Wojtyły, bo to „niestosowne”. Za „niestosowne, nie na miejscu i ponad miarę” uznał także wypowiedzi Półtawskiej, która jej przyjaźń z papieżem przedstawia jako coś nadzwyczajnego – bo Jan Paweł II wszystkich swoich przyjaciół traktował wyjątkowo. „Na pewno nie jest ona jedyną, która miała taką długą zażyłość z Karolem Wojtyłą” – mówił, dodając, że setki osób korespondowały z papieżem i nikt nie ogłasza tych listów dla rozgłosu. Półtawska nie pozostała dłużna. Odpowiedziała, że jej znajomość z Karolem Wojtyłą trwała 55 lat, a zaczęli się przyjaźnić, kiedy kard. Dziwisza nie było jeszcze w jego otoczeniu. „La Stampa” spekulowała, czy publikacja listów nie opóźniła procesu beatyfikacji Jana Pawła II. Nie chodzi o to, że było w nich coś niestosownego. Przed publikacją rękopis „Beskidzkich rekolekcji” został przedstawiony Postulacji Generalnej Procesu Beatyfikacyjnego Jana Pawła II w Rzymie. Nie zgłosiła ona żadnych obiekcji, ale Półtawska nie kryła, że pod łóżkiem trzyma całą walizkę listów od Wojtyły. W Watykanie obawiano się,

że przy okazji ich ewentualnej publikacji na jaw mogą wyjść inne skrywane skandale, takie jak sprawa abp. Paetza.

Po ukończeniu studiów psychiatrycznych Półtawska pracowała jako adiunkt w Klinice Psychiatrycznej Akademii Medycznej w Krakowie i w Poradni przy Katedrze Psychologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. Prowadziła badania dzieci-ofiar Auschwitz – ludzi, którzy jako dzieci trafili do obozu. Badała także Karola Kota, mordercę nazywanego Wampirem z Krakowa. Zdiagnozowała u niego m.in. nałogowy onanizm i przepisała witaminę C. Wydaje się jednak, że za swoją najważniejszą misję uznawała poradnictwo małżeńskie i rodzinne. Zrezygnowała z pracy w klinice,



Prezydent Andrzej Duda odznacza Wandę Półtawską Orderem Orła Białego, Warszawa, 2016 r.

by się temu poświęcić. Już w 1967 r. zorganizowała Instytut Teologii Rodziny przy Papieskim Wydziale Teologicznym w Krakowie; kierowała nim przez ponad 30 lat.

I jako „osobista ekspertka Karola Wojtyły w dziedzinie Humanae vitae” pilnowała zasad katolickiej ortodoksji w kwestii etyki seksualnej. Stała się ikoną środowisk antyaborcyjnych. Była członkinią Zespołu Wspierania Radia Maryja w Służbie Bogu, Kościołowi, Ojczyźnie i Narodowi Polskiemu. Misję „osobistej ekspertki” Jana Pawła II kontynuowała także po jego śmierci. W 2010 r. podpisała apel do rządu i prezydenta przeciwko organizacji w Warszawie parady Europride. Działalność środowisk LGBT określono w nim jako zamach na wolność słowa, przekonani i sumienia.

Kilka lat później została autorką „Deklaracji wiary lekarzy katolickich i studentów medycyny w przedmiocie płciowości i płodności ludzkiej” podpisanej przez kilka tysięcy lekarzy, którzy uznają wyższość prawa bożego nad ludzkim i „potrzebę stałego pogłębiania nie tylko wiedzy zawodowej, ale także wiedzy o antropologii chrześcijańskiej i teologii ciała”. W deklaracji znajdują się sformułowania kuriozalne. Jak np. to: „PRZYJMUJĘ prawdę, iż płęć człowieka dana przez Boga jest zdeterminowana biologicznie i jest sposobem istnienia osoby ludzkiej. Jest nobilitacją, przywilejem, bo człowiek został wyposażony w narządy, dzięki którym ludzie przez rodzicielstwo stają się »współpracownikami Boga Samego w dziele stworzenia« – powołanie do rodzicielstwa jest planem Bożym i tylko wybrani przez Boga i związani z Nim świętym sakramentem małżeństwa mają prawo używać tych organów, które stanowią sacrum w ciele ludzkim”. Nawet prof. Bogdan Chazan, jeden z sygnatariuszy dokumentu, w rozmowie z POLITYKĄ przyznał, że w niektórych fragmentach deklaracja została napisana niezgrabnie i użyto w niej zbyt emocjonalnych sformułowań.

Anachroniczny radykalizm

Dla lewicy Półtawska stała się jednym z symboli piekła polskich kobiet, które restrykcyjne ustawodawstwo, inspirowane katolicką ortodoksją, pozbawiło prawa decydowania o własnym życiu. Gdy w marcu tego roku nowo otwarty oddział w krakowskim szpitalu ginekologiczno-położniczym nazwano jej imieniem, protestowała Inicjatywa Obywatelska Stop Klerykalizacji Polski, przekonując, że „to wstyd i hańba”.

Za to prawica ją hołubiła. W 2016 r. prezydent Duda odznaczył ją Orderem Orła Białego; Instytut Pamięci Narodowej uhonorował tytułem Kustosza Pamięci Narodowej. Była także laureatką Nagrody 30-lecia „Gazety Polskiej”.

Jej pogrzeb, z udziałem prezydenta Dudy, miał charakter państwowy. Homilię w bazylice Mariackiej wygłosił – o ironio – kard. Dziwisz. Nie mógł nie wspomnieć o jej przyjaźni z Karolem Wojtyłą. Przyznał, że pisząc swoją pierwszą i najbardziej znaną książkę „Miłość i odpowiedzialność”, przyszedł papież korzystał z mądrości i doświadczenia Wandy Półtawskiej. W dniu jej śmierci ks. Dariusz Oko w Telewizji Republika rzucił hasło: *Santa subito!* Ale to się raczej nie ziści. Dziś nawet w Watykanie jej radykalizm może uchodzić za zbyt anachroniczny.

JOANNA PODGÓRSKA

Kara dla Nikifora

Jakub Płaczkowski. Sierota. Rocznic 1982. Artysta art brut. Od dziecka z papierami niepełnosprawnego. Po ukończeniu 17. roku życia wielokrotnie uznawany za niezdolnego do pracy. Właśnie stracił rentę socjalną.



KATARZYNA KACZOROWSKA

Kuba kocha pociągi i tramwaje, kopalnie i Górny Śląsk, kolejarzy i górników. Lubi rubaszny humor z nutą erotyki. Krótko po urodzeniu zdiagnozowano u niego dziecięce porażenie mózgowe i wodniaki podtwardówkowe mózgu. To guzy, w których gromadzi się płyn mózgowo-rdzeniowy. Częściej występują u chłopców, czasami łączy się je z rozwojem choroby psychicznej, bywa, że wymagają systematycznych punkcji lub zastawek, które odprowadzając nadmiar płynu, nie dopuszczają do wzrostu ciśnienia śródczaszkowego czy ucisku na mózg.

– Od urodzenia kolejne komisje orzecznicze uznawały Kubę za niepełnosprawnego, tym bardziej że miał osiem lat, kiedy ujawniła się u niego padaczka. Był w szkole specjalnej, nigdy nie pracował, miał zresztą orzeczone upośledzenie umysłowe, które teraz nazywa się niepełnosprawnością intelektualną. Aż w maju tego roku ozdrowiał. Orzecznik Zakładu Ubezpieczeń Społecznych uznał, że nie jest już całkowicie niezdolny do pracy. A we wrześniu ZUS odebrał mu prawo do renty socjalnej – mówi Izabela Wasilewska-Fornalik, opiekunka faktyczna Kuby, jego ciotka.

W plastikowej niebieskiej teczce są karty informacyjne Kuby, badania, wypisy ze szpitali, orzeczenia o niepełnosprawności. Nie ma tego dużo. Wszystkiego pilnowała jego matka. Kiedy zmarła, z gromadzonych przez kilkadziesiąt lat kartek A4 zostało niewiele – większość Kuba spalił w piecu, ale i tak można się z nich dowiedzieć, że kiedy miał 17 lat, neurologi podejrzewali u niego chorobę zwyrodnieniową, stwierdzili nadmierne drżenie rąk, trudności w samoobsłudze i spożywaniu posiłków.

– Był kompletnie niezaradny i całkowicie zależny od swojej matki, czyli mojej siostry. Nie umiał zrobić wokół siebie nic. Po jej śmierci przeżył załamanie



„Owocowe szaleństwo kobiece”.

nerwowe, trafił do szpitala, ale z pomocą wielu życzliwych ludzi wyszedł z tego stanu i zaczął się usamodzielniać. I mam wrażenie, że ta ciężka praca i jego otwarcie na świat właśnie zostały wyrzucone do kosza – mówi gorzko ciotka Kuby. I wlicza, czego jej siostrzeniec nauczył się w ciągu tych kilku lat po śmierci matki. Umie zrobić niewielkie zakupy w sklepie spożywczym. Przygotować sobie śniadanie, zmyć po tym śniadaniu naczynia. Zrobić sobie herbatę, kanapkę, odgrzać pierogi. Umyć się, opiekować się swoim psem, wysłać esemesa do przyjaciół i do każdego, kogo uzna za partnera do rozmowy.

Bo Kuba z jednej strony jest nieśmiały, deprymują go sytuacje, kiedy wokół jest wielu ludzi. Ale z drugiej, jak już zacznie z kimś rozmawiać i dostanie jego numer telefonu, to będzie dzwonił nawet kilkanaście razy dziennie. I będzie opowiadał,

że jego marzeniem jest zbudować w Glicwicach dom dla chorych dzieci. Że zrobi aukcję, na której sprzeda swoje rysunki i na pewno uda się zebrać wiele milionów, bo przecież wie, każdy wie, że taki dom to kosztuje bardzo dużo pieniędzy. A potem wyśle kilka, czasem i kilkanaście esemesów, w których będzie pisał o swojej wystawie w Muzeum Śląskim i o tym, że to muzeum też kupi wiele jego prac. I że jest taki szczęśliwy, bo przecież dobrze pamięta, jak mama paliła w piecu te jego rysunki, powtarzając, że takie bohomyzy do niczego się nie nadają, a Kuba jest za głupi i już niczego się nie nauczy. A on nie tylko się nauczył, ale też miał swoją prawdziwą wystawę w galerii. „PTOKWCUGU” ją zatytułował, czyli ptak w pociągu. Trochę szkoda, że mama jej nie widziała. Bo po jej śmierci całe swoje funkcjonowanie podporządkował ►

► sztuce – rysuje codziennie, nieustannie, jak zahipnotyzowany.

Przyjaciel

Kuba jest autorem okładek dwóch płyt Piotra Damasiewicza, trębacza jazzowego, zdobywcy Fryderyka w 2012 r. w kategorii debiut jazzowy i od tego czasu wielokrotnie nagradzanego muzyka. Prywatnie to jego przyjaciel i bohater wielu charakterystycznych rysunków – czasem postacią przypominająca Piotra gra na trąbce w przedziale wagonu kolejowego, czasem fruwa z tą trąbką pod sufitem wściekle kolorowego pokoju w wymyślonym przez Kubę domu gdzieś na Śląsku.

– Byłem zbuntowanym 20-latkim i w tym buncie poszukiwałem swojego miejsca. Tak trafiłem do zboru adwentystów dnia siódmego. Zaprzyjaźniłem się z pastorem, który poprosił mnie, że bym grał im w czasie nabożeństw. I tam poznałem Kubę. Widziałem, że jest niepełnosprawny, właściwie nie było z nim wtedy kontaktu, co nie oznacza, że nie był absorbujący – uśmiecha się Damasiewicz. I dodaje, że ich relacja ograniczona do wymiany powitalnego „cześć”, do jego poczucia odpowiedzialności za człowieka wymagającego opieki, zmieniła się, kiedy wyjechał na studia do Katowic. Wtedy Kuba odkrył w sobie fascynację Śląskiem, kopalniami, jakby wrócił do miejsca, które świetnie znał, choć przecież mieszka we Wrocławiu, a nie w Gliwicach. A Piotr z czasem uświadomił sobie, że kiedy w tym Wrocławiu w zborze adwentystów improwizował na pianinie, tak żeby muzyka pasowała zebranim tam ludziom do modlitwy, to Kuba zawsze tam był. I słuchał.

– Kiedy przyjeżdżałem do domu i spotykałem się z Kubą, to zaczął mi przynosić swoje rysunki. Coraz dojrzsze, coraz bardziej świadome, odważne. I w pewnym momencie dotarło do mnie, że jeśli chcę mieć awangardową okładkę płyty, taką, jakiej nie ma nikt inny, to tylko Kuba da mi coś wyjątkowego – opowiada Damasiewicz, dla którego Płaczkowski nie jest niepełnosprawnym intelektualnie kolegą, ale świadomym siebie artystą, poszukującym własnych środków wyrazu. I właśnie dlatego zabrał Kubę ze sobą do Katowic na spotkanie z rektorem tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych Marianem Oślisłym.

– Nie wiem, jak dla Kuby, ale dla mnie to było fascynujące spotkanie i wciąż się zastanawiałem, skąd w jego pracach ta śląskość, kopalniane szyby, ale też specyficzna rubasza i erotyzm – przyznaje Oślisły, dodając, że artyści art brut, a więc chorzy psychicznie czy niepełnosprawni

intelektualnie, swoją sztuką przekraczają wiele barier, jednocześnie uświadamiając odbiorcom ich odrębność. – To jest naprawdę wyjątkowe doświadczenie, bo każdy kontakt z taką sztuką nam, definiowanym jako ludzie zdrowi, pokazuje silną podmiotowość ludzi, których system określa jako chorych – podkreśla rektor ASP.

Problem

– Tylko że ta sztuka, proces twórczy, poczucie własnej odrębności i podmiotowości w gruncie rzeczy okazały się źródłem problemu naszej rodziny i w jakimś sensie klęski Kuby – mówi jego ciotka Izabela Wasilewska-Fornalik.

Jakub Płaczkowski swoje prace po raz pierwszy pokazał publicznie w 2019 r. na wystawie w przestrzeni PRZED POKOJU H13. Rok później związał się z Pracownią i Galerią ArtBrut we Wrocławiu, która skupia ponad 20 twórców z niepełnosprawnością intelektualną i zaburzeniami psychicznymi. Ideą tego miejsca jest współpraca twórców art brut i outsider art z profesjonalnymi artystami, a wśród tych, którzy byli kuratorami wystaw w galerii, są takie postaci z kultowej grupy Luxus, jak zmarły kilka lat temu malarz i performer Paweł Jarodzki czy Jerzy Kosalka. W 2022 r. Kuba miał w Galerii ArtBrut swoją pierwszą wystawę retrospektywną, na której pokazano jego rysunki, ale też film zrealizowany z podróży na Śląsk.

– Sztuka sprawiła, że uwierzył w siebie. Urosły mu skrzydła. Opowiada więc każdemu o tym, jakie ma wielkie plany, jak sobie świetnie radzi, że ludzie interesują się

jego rysunkami, które rozdaje. Niektórzy je nawet kupują. Za 10, 20, bardzo rzadko za 50 zł. Dla Kuby to fortuna, a dla ZUS wystarczający powód do tego, by uznać, że 41-letni niepełnosprawny intelektualnie mężczyzna może iść do pracy. To może orzecznicy powinni dawać takim ludziom, którym odbierają rentę, listę zakładów pracy, gdzie ich zatrudnią? – mówi Izabela Wasilewska-Fornalik, którą lekarz orzecznik wyprosił z gabinetu, nie mogła więc odnieść się do tego, co temu lekarzowi opowiadał Kuba.

Kiedy dostała pierwsze pismo uznające, że Kuba nie jest już całkowicie niezdolny do pracy, odwołała się. Właśnie poczta przysłała drugie. Podtrzymujące decyzję.

Prezesa Stowarzyszenia Świat Nadziei, które prowadzi Pracownię i Galerię ArtBrut we Wrocławiu, Agnieszka Chojnacka, oligofrenopedagog, arteterapeutka i specjalistka w zakresie aktywizacji życiowej i społecznej osób z niepełnosprawnością intelektualną: – Obecny system, zamiast wspierać rozwijanie samodzielności i zaradności osób z niepełnosprawnością intelektualną, karze je za tę samodzielność.

A matki przyznają – zastrzegając nazwiska, bo a nuż przeczyta to ktoś z ZUS – że kiedy zbierają dokumentację, którą trzeba przedstawić przy staraniach o pieniądze na rehabilitację czy zasiłek opiekuńczy, robią wszystko, by swoje dorosłe niepełnosprawne intelektualnie dzieci przedstawić jako kompletnie niezaradne i wymagające opieki praktycznie 24 godziny na dobę. Bo inaczej się po prostu nie da.

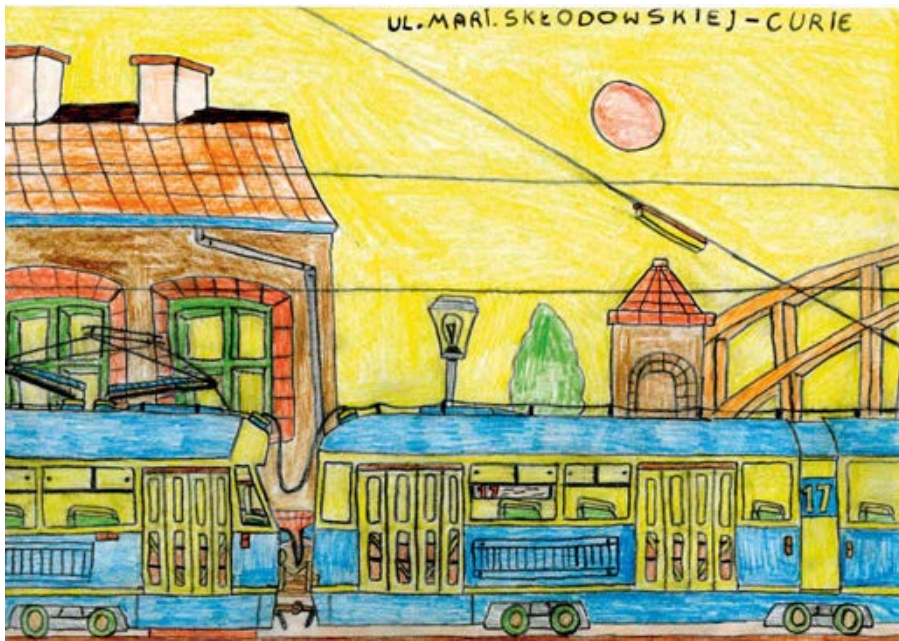
– My takim ludziom jak Kuba dajemy przestrzeń do świadomej aktywności. Wyręczamy system, który opiera się na pracy organizacji pozarządowych i zaangażowaniu rodzin. I kiedy rzeczywiście ktoś staje się samodzielny na miarę swoich możliwości, to odbiera mu się rentę, dodatek pielęgnacyjny czy rehabilitacyjny. Rodzice często zgłaszają mi, że spotykają się na komisjach z niekompetencją i niezajomością problemów osób niepełnosprawnych – mówi Agnieszka Chojnacka.

Kwalifikacje

Zintegrowany System Kwalifikacji to platforma, która pozwala porównywać kwalifikacje nadawane w Polsce i w krajach Unii Europejskiej poprzez odniesienie ich do poziomów Polskiej Ramy Kwalifikacji. Na stronie internetowej ZSK można znaleźć wykaz kwalifikacji, bazę wiedzy, informację o finansowaniu realizowanych projektów z funduszy UE. W tekście zatytułowanym „Praca dla osób z niepełnosprawnością intelektualną”



„Płonący telewizor w pokoju”



„Ul. Marii Skłodowskiej-Curie”

można przeczytać: „Osoby z niepełnosprawnością intelektualną mogą szukać zatrudnienia na chronionym lub otwartym rynku pracy. Jako pracownicy najczęściej nie podejmują działań z własnej inicjatywy, lecz starają się naśladować innych. Z tego względu zatrudnianie ich coraz częściej jest wspomagane przez trenerów pracy, którzy pomagają osobie niepełnosprawnej intelektualnie znaleźć pracę i nauczyć się właściwego wykonywania powierzonych obowiązków”.

Jest też informacja, gdzie takie osoby mogą znaleźć zatrudnienie. To produkcja gastronomiczna lub inna, stolarstwo, hodowla lub florystyka, prace pomocnicze wykonywane pod kierunkiem drugiej osoby: przenoszenie i dostarczanie towarów w określone miejsce, układanie na półkach, sprzątanie, prace remontowo-budowlane, pomocnicze prace krawieckie, prace magazynowe, ale też prostsze prace na komputerze, typu: wpisywanie danych, przepisywanie, porządkowanie i archiwizowanie, sygnalizowanie nieprawidłowości. Mogą też pomagać w opiece np. nad osobami starszymi.

Jak to wygląda w praktyce? Anna (imię zmienione), która skończyła ogrodnictwo w szkole specjalnej i dobiega czterdziestki, przez kilka miesięcy pracowała w firmie zajmującej się zielenią w kilkusettyśiącym mieście. Nikt nie był zainteresowany wykorzystaniem jej wiedzy i umiejętności – doskonale zna się na hodowli storczyków. Przez kilka godzin dziennie przekładała woreczki z ziemią. A po kilku miesiącach skończyły się pieniądze z dofinansowania na jej miejsce pracy. I je zlikwidowano.

Agnieszka Chojnacka: – *Kiedy zaczęły znikać zakłady pracy chronionej, sprawy w swoje ręce wzięli aktywiści i rodzice. Powstające w latach 90. i późniejszych stowarzyszenia zabiegają o granty, realizują program wspomaganego zatrudnienia, bo każda osoba niepełnosprawna intelektualnie, zanim w ogóle zacznie jakkolwiek, zwykle prostą, powtarzalną pracę, wymaga asystenta, który ją w te powtarzalne czynności wprowadzi.*

Joanna Burkewicz z Fundacji Eudajmonia, która m.in. realizuje projekty finansowane przez Państwowy Fundusz Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych dotyczące zatrudnienia: – *W Polsce funkcjonuje ustawa o rehabilitacji zawodowej i społecznej i zatrudnieniu osób niepełnosprawnych z 1997 r., w której zdefiniowano niepełnosprawność jako „trwałą lub okresową niezdolność do wypełniania ról społecznych (...) w szczególności powodującą niezdolność do pracy”. Jest to definicja krzywdząca, ponieważ o zdolności do pracy czy wypełniania ról społecznych nie świadczy niepełnosprawność lub jej brak, ale kwalifikacje i umiejętności danego człowieka.*

Burkewicz, która szkoli trenerów pracy wspomagających osoby z niepełnosprawnością w podjęciu zatrudnienia, przypomina też, że w 2012 r. Polska ratyfikowała Konwencję ONZ o prawach osób z niepełnosprawnością, ale w praktyce współczesne rozumienie tych praw i tego, co się z nimi wiąże, wciąż nie jest powszechne, również na poziomie instytucjonalnym.

– *W Norwegii osoba z niepełnosprawnością, a więc i niepełnosprawna*

intelektualnie, dostaje od państwa stałe świadczenie, które zapewnia jej określony poziom egzystencji. Jeśli jednak znajdzie zatrudnienie w niepełnym wymiarze lub w popularnych w tym kraju Zakładach Aktywności Zawodowej, nie traci tego świadczenia. Pensja jest dla niej bonusem za aktywność. U nas rzeczywistość jest tak, że zatrudnienie, zwłaszcza na otwartym rynku pracy, może oznaczać trudności z utrzymaniem renty, ale też rentę można stracić. Tylko że jeśli tej pracy taka osoba nie znajdzie, to traci ona podstawowe i często jedyne źródło utrzymania – przyznaje Joanna Burkewicz. I nie kryje, że decyzja o zatrudnieniu osoby niepełnosprawnej intelektualnie to dla pracodawców przede wszystkim decyzja biznesowa – za takim pracownikiem idzie dotacja z PFRON.

Zatrudnienie takich osób wiąże się jednak z konkretnymi wyzwaniami i problemami, wymagającymi cierpliwości i systematycznego wsparcia ze strony trenerów pracy, pracodawcy i współpracowników. – *A rzeczywistość wygląda tak, że w polskim systemie nie ma ciągłości wsparcia asystenckiego dla osób z niepełnosprawnością. Odbywa się głównie metodą projektową, czyli w praktyce jest zapewnione przez fragment roku, np. od kwietnia do grudnia. I co mam zrobić, jeśli człowiek, któremu udało się znaleźć pracę, musi mieć opłaconego asystenta, który codziennie pomaga mu nałożyć buty, bo sam nie potrafi wykonać takiej czynności. W styczniu nie mamy już funduszy na tego asystenta i ten człowiek do pracy może udać się w... klapkach – mówi obrazowo Joanna Burkewicz.*

Jakub Płaczkowski nigdy nie pracował. Był tylko na trzymiesięcznym stażu, gdzie przygotowywano go do podjęcia pracy. Zdołał skupić się i zmobilizować przez tydzień. Umie za to rysować. Świnie Tadzika, smutną Elę, trębacza Piotrka, konduktora, kiełbasę w Gliwicach, domy z Nikiszowca.

Izabela Wasilewska-Fornalik: – *Kuba ma tylko mnie. Jeśli zostanie sam, a kiedyś przyjdzie taki czas, to kto wtedy o niego zawańczy? System wyrzuci go na ulicę jak zbędny mebel. O to chodzi?*

Agnieszka Chojnacka: – *Kiedy dowiedziałam się, że Kubie odebrano rentę, pomyślałam o Nikiforze. Prace Kuby zresztą kojarzą się właśnie z jego twórczością. Tylko że Nikifora doceniono po wielu latach, bo gdy żył, to był nędzarzem traktowanym jak dziwadło. Tego chcemy dla ludzi niepełnosprawnych intelektualnie, którzy próbują nam opowiedzieć swój świat?*

KATARZYNA KACZOROWSKA

W tekście wykorzystano prace Jakuba Płaczkowskiego.

Symbolem świata, który przemija, jest posłanka PiS z Tarnowskich Gór **Barbara Dziuk**, której porażkę hucznie świętowali obywatele. Czym zasłużyła sobie na taką niechęć?

AGNIESZKA SOWA

Królowa wstęg i donosów

Barbara Dziuk nie nosi co prawda moherowego beretu, ale na Śląsku wielu uznaje ją za kwintesencję PiS. Pod jej biurem poselskim w Tarnowskich Górach w powyborczy wtorkowy wieczór, gdy już ogłoszono oficjalne wyniki, odbyła się prawdziwa fiesta. Sto osób (niektórzy mówią o dwustu), szampan, okrzyki i śpiewy. Transparenty: „O Barbaro – królowo donosów i czeków z kartonu, sułtanko nieróbstwa i dożynek cesarzowo, nadszedł koniec PiS-owskiego betonu i twojego trzymania się koryta kurczowo”. Była wiązanka kwiatów ze wstążką z napisem „Ostatnie pożegnanie”, karton na wstęgi i nożyczki (przecinanie wstęg to ulubiona czynność bylej już posłanki) i znicze. – *Znicze nie były dla niej, tylko dla tych kobiet, które straciły życie przez ustawę antyaborcyjną* – tłumaczy Zenon Lis, który zatknął wiązankę za kłamkę na drzwiach wejściowych biura. – *Od trzech lat protestowaliśmy pod jej biurem przeciwko tej ustawie – bo to jedyne miejsce w mieście przypisane do PiS – i zawsze zapalaliśmy znicze.*

W ten sposób nie tylko pożegnali znienawidzoną posłankę, ale przede wszystkim świętowali porażkę wyborczą PiS. A dwa tygodnie wcześniej pojechali na Marsz Miliona Serc do Warszawy z transparentami „Tarnowskie Góry przepraszają za Barba-

rę Dziuk”. Takie same plakaty w ostatnich dniach kampanii wisiały na ogrodzeniach w całym mieście.

Bany i donosy

Na Facebooku od czterech lat działa grupa „Zbanowani przez Barbarę Dziuk”. Liczy już ponad 1,5 tys. osób. To ludzie, którzy na oficjalnym profilu posłanki ośmielili się napisać coś, co nie było bezkrytycznym zachwytem. – *Wystarczyło zadać pytanie – mówi Mariusz Gąsior z Tarnowskich Gór, członek grupy zbanowanych. – Natychmiast wpis był usuwany, a człowiek dostawał „bana”, czyli już nie mógł nic na jej stronie komentować.*

Na tym się nie kończyło. – *Zanim osoba prowadząca jej profil usunęła komentarz, musiała go zarchiwizować* – mówi Zenon Lis. – *A posłanka składała zawiadomienia na policję. O pomówienia, obrazę godności, pisanie nieprawdy. I żeby bardziej dopiec ludziom, nie robiła tego w Tarnowskich Górach, tylko na komendach np. w Chorzowie czy Świętochłowicach. Żeby trzeba było jeździć. Nie wspominając już o tym, że wydzwaniwała do pracodawców z pytaniem: „Czy pan wie, kogo pan zatrudnia?”. Zapracowała sobie na przydomek donosicielki.*

Michałowi Soproniowi, poloniście z 23-letnim stażem z liceum im. Stanisława

Staszica w Tarnowskich Górach, groził z powodu donosów posłanki zakaz wykonywania zawodu. – *Złożyła do kuratorium w Bytomiu skargę na mnie, że uczestnicząc w Strajku Kobiet, łamię zasady etosu nauczycielskiego* – mówi Soproń. – *Twierdziła też, że namawiam uczniów do uczestnictwa w protestach, co absolutnie nie było prawdą.*

Pierwsze wezwanie do rzecznika dyscyplinarnego dostał w 2020 r. Kuratorium potraktowało sprawę z całą powagą, było siedem rozpraw (na każde posiedzenie nauczyciel musiał brać urlop bezpłatny), przesłuchiowano świadków. – *Gdyby nie to, że broniła mnie pro bono kancelaria z Katowic (dzięki pomocy posłanki Nowickiej), nie wiem, jak by się to wszystko skończyło* – mówi Soproń. – *Zwolnić mnie nie mogli, bo jestem radnym powiatu, ale gdybym dostał zakaz wykonywania zawodu, mógłbym tylko po prostu siedzieć w szkole, a nie uczyć.*

Komisja dyscyplinarna kuratorium podjęła decyzję, że wniosek posłanki Dziuk nie miał uzasadnienia. Parlamentarzystka nie złożyła bronii. Po krótkiej przerwie, spowodowanej covidem o ciężkim przebiegu, zawiadomiła wojewodę śląskiego. Ten skierował sprawę do kuratorium w Katowicach. Tym razem trwała tylko trzy miesiące, świadkowie



podani przez Barbarę Dziuk nie stawiali się, Michała Sopronia dalej bronili ci sami adwokaci i komisja dyscyplinarna umorzyła postępowanie.

Sopron twierdzi, że niechęć posłanki do niego zaczęła się wcześniej, w 2018 r., kiedy jego liceum chciało zorganizować Tęczowy Piątek z panelem dyskusyjnym o LGBT. – *Musieliśmy to odwołać, bo wylała się taka fala hejtu na nas, na FB założyli specjalny profil, na którym wypowiadała się także posłanka Dziuk* – opowiada nauczyciel. Na profilu szkoły pojawiły się groźby pod adresem uczniów i nauczycieli, a policja poinformowała szkołę, że ostrzeża sytuację jako niebezpieczną. Dyrekcja szkoły zdecydowała o odwołaniu Tęczowego Piątku.

Podpisy i popisy

Podpis Barbary Dziuk widniał pod wieloma poselskimi projektami ustaw, które PiS przegłosowywało w ekspresowym tempie najczęściej nocą. To te słynne legislacyjne wrzutki PiS. Kiedy w 2020 r. PiS niespodziewanie przegrał głosowanie w sprawie wyborów korespondencyjnych, w nocy kilka godzin później pojawił się kolejny projekt, a pod nim podpis Barbary Dziuk. Portal ślązag.pl twierdzi, że przebywała wówczas w Tarnowskich Górach i że niektórzy posłowie PiS (wśród nich najwyraźniej posłanka Dziuk) podpisywali się in blanco, by klub mógł złożyć w każdej chwili jakiś projekt. W lipcu 2021 r. Dziuk była jednym z 22 wnioskodawców nowelizacji prawa medialnego zwanego lex TVN. – *Pani Basia chyba zawsze była wśród posłów wnioskodawców ochoczo podpisujących się pod projektami poselskimi, które przecież omijają całą ustawodawczą procedurę, w tym konsultacje publiczne* – mówi Krzysztof Mazik, właściciel galerii Inny Śląsk.

W Tarnowskich Górach nazywają ją Matką Wszystkich Sukcesów. – *Przypisuje sobie wszelkie zasługi* – mówi Zenon Lis. – *Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Tarnogórskiej, którego jestem członkiem, zabiegało o to, by podziemia Tarnowskich Gór, kopalnia srebra, zostały wpisane na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO. Opracowaliśmy wniosek za własne środki. A posłanka publicznie przedstawiła to jako swój osobisty sukces.*

– *Poza wszystkim jest po prostu karykaturalna, taka królowa obciachu* – mówi Aleksandra, tarnogórzanka. – *Karykaturalne jest w niej wszystko, poglądy, sposób działania, mówienia, nawet styl ubioru, krzykliwy i pretensjonalny, fryzura jak czarny hełm à la Kopernik. Śmieją się z niej nawet w jej własnej partii. Dopóki*

była lokalną działaczką samorządową, tak mi to nie przeszkadzało, ale jak taka osoba może nas reprezentować na zewnątrz?

Trudno zapomnieć posłankę, która siedem lat temu, w pierwszym roku posłowania na Sejm, w dorocznym pochodzie Gwarków jechała przez Tarnowskie Góry w różowym kabrioletcie. Potem tłumaczyła, że było to nawiązanie do różowej wstążeczki, którą nosiła przypiętą do żakietu. Zapewne przejęła to od Nelly Rokity. Była społeczną dyrektorką jej biura po tym, gdy w 2006 r. sama startowała bez powodzenia (najgorszy wynik spośród ośmiu kandydatów) w wyborach na burmistrza Tarnowskich Gór. Po ośmiu latach, już jako radna Sejmiku Województwa Śląskiego, jeszcze raz próbowała swoich sił w walce o fotel burmistrza. Nie udało się, ale uzyskała reelekcję do sejmiku i dobry wynik sprawił, że rok później PiS umieścił ją na trzecim miejscu w okręgu w wyborach parlamentarnych.

Lans na tekturze

Złośliwi mówią, że w całym powiecie tarnogórskim nie ma wydarzenia, którego nie uświetniłaby swoją obecnością. Wpada zawsze na kilka minut, uściśnie ręce, wygłosi kilka komunałów i najważniejsze: zdjęcie – po to, by je udostępnić na Facebooku. Dożynki, pikniki, odpusty, festyny OSP, zawody sportowe, imprezy dla dzieci i młodzieży. Kołom gospodyń wiejskich zawozi sprzęty AGD. Uwielbia przecinać wstęgi, co zauważyli jej „fani” z Tarnowskich Gór, przynosząc jej pod biuro pudełko na wstęgi i nożyczki. Jest naprawdę wszędzie, nie tylko w kampanii. I to procentują. W ostatnich wyborach zebrała ponad 10 tys. głosów i gdyby PiS nie stracił w okręgu jednego mandatu, znów weszłaby do Sejmu. Najwięcej głosów dostała na wsiach.

Ale najważniejsze oczywiście są spotkania organizowane przez władze samorządowe. Na tych w kampanii pojawiała się – jak wszyscy pisowscy kandydaci – z czapkami na spore kwoty. PiS mocno ograniczył wpływy budżetowe samorządom. Te, w których rządził, dostawały od władzy za pośrednictwem swoich posłów takie właśnie wsparcie. Barbara Dziuk na tych czekach, które przywoziła do swojego okręgu wyborczego, zaczęła drukować swoje zdjęcia. Żeby obdarowania oraz wszyscy, którzy te wydarzenia obserwowali, wiedzieli, kto kasę załatwił.

– *Wszędzie ją można spotkać, ale cała ta jej aktywność jest skierowana wyłącznie na promocję własnej osoby* – mówi Paweł Sienko, który od trzech lat pojawia się pod biurem Barbary Dziuk w ramach Strajku

Kobiet. – *Zrobiliśmy przerwę, jak wybuchła wojna w Ukrainie*. Wtedy zajęli się organizowaniem pomocy dla uchodźców. – *Mieliśmy nasz punkt pomocy na trasie, jaką posłanka Dziuk pokonywała codziennie ze swojego biura do domu* – opowiada Zenon Lis. – *Jak przechodziła koło nas, zawsze odwracała głowę w drugą stronę.*

Mariusz Gąsior dodaje, że nigdy nie zaangażowała się w działania pomocowe dla uchodźców, nawet w tych początkowych tygodniach, kiedy pomagali dosłownie wszyscy. Drugi parlamentarzysta z Tarnowskich Gór Tomasz Głowacki, który w ostatnich wyborach startował z listy KO i dostał prawie 20 tys. głosów, wielokrotnie przychodził, pomagał, sam wydawał jedzenie.

Barbara Dziuk, ubrana i umalowana na wysoki połysk, ściskająca dłonie lokalnym notablom i proboszczom, wręczająca medale dzieciom na zawodach sportowych i czeka od ministrów samorządowcom, przecinająca wstęgi, nie pasuje do takiego wizerunku polityka, jaki najwyraźniej bardziej przemawia do wyborców. Ci oczekują wymiany klasy politycznej na ludzi od lat angażujących się w działania na rzecz innych obywateli. Nie na pokaz, lecz autentycznie. Takich jak wytatuowany nauczyciel z Łodzi Marcin Józefaciuk, nowo wybrany poseł Koalicji Obywatelskiej, ultramaratończyk, który, biegając, zbiera pieniądze dla chorych i niepełnosprawnych dzieci. W swoim okręgu pokonał startującą z tej samej listy Iwonę Śledzińską-Katarasińską, posłankę z 32-letnim stażem. Czy Łukasz Litewka, radny z Sosnowca, 30-latek, który od 10 lat prowadzi inicjatywę #teamLitewka, fundację, której 200 tys. wolontariuszy w całej Polsce pomaga wszystkim potrzebującym, ludziom i zwierzętom. Litewka, startując z list Nowej Lewicy z ostatniego miejsca, zdobył ponad 40 tys. głosów i pokonał z prawie dwukrotną przewagą „jedynek” z listy – Włodzimierza Czarzastego. Na swoich plakatach wyborczych umieszczał zdjęcia bezdomnych psów, które czekały lub czekają na adopcję w schroniskach. Niektóre dzięki tej podwójnej kampanii znalazły domy.

Jednak nie jest powiedziane, że tarnogórzanie ostatecznie pożegnali się z nie-lubianą posłanką. W mieście mówi się, że jeden z trzech nowo wybranych posłów PiS z okręgu będzie musiał z powodów zdrowotnych zrezygnować. Następna w kolejce jest Barbara Dziuk. A jeżeli tak się nie stanie, polityczka zapewne wystartuje w wyborach samorządowych jako kandydatka na burmistrza. Do trzech razy sztuka. ■

Draka o robaka

Parlament Europejski zdecydował, że w trosce o bezpieczeństwo żywnościowe UE musi szukać alternatywnych źródeł białka, w tym szerzej wykorzystywać owady hodowlane. Czyżby sprawdzała się wizja, jaką straszono nas przed wyborami, że zamiast karkówki z grilla zjemy niebawem świerszcza w sosie własnym?

ADAM GRZESZAK

W

izją robaków na talerzu, jeśli nie przedłużymy mandatu obecnej władzy, straszili szczególnie chętnie politycy Solidarnej Polski. Na portalach społecznościowych publikowali swoje zdjęcia z wykwinionych restauracji, z krwistymi befsztykami albo schabowymi na talerzach, demonstrując tym wolę bezkompromisowej obrony narodowego stylu żywienia. „Swoją porcję mięsa wykorzystałem już na ten rok. Od jutra tylko robaki” – ironicznie komentował europoseł Patryk Jaki, spoglądając znad talerza z pieczoną kaczką, co internauci uznali za podprogowy przekaz dla prezesa Kaczyńskiego.

Obiecywano przygotowanie ustawy antyrobakowej, która miała wprowadzić obowiązek oznaczania produktów spożywczych zawierających w swym składzie surowce pozyskiwane z owadów. Polska wyborcza wojna o robaki stała się kolejną naszą osobliwością, której świat przyglądał się ze zdumieniem. Opisu ją Reuters dla ilustracji przytoczył wypowiedź posła PiS Bartosza Kownackiego w TVP Info: „W nadchodzących wyborach politycy PO powinni na każdym plakacie napisać »zamiast kurczaka zjedz robaka«, bo to jest ich prawdziwy program wyborczy”.

Szczególnie obrywał prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski, za uczestnictwo w C40 Cities, organizacji skupiającej włodarzy blisko stu największych światowych metropolii i stawiającej sobie za cel walkę z globalnym ociepleniem klimatu. Miasta C40 zamieszkuje łącznie jedna dwunasta światowej populacji, a potencjał ekonomiczny stanowi czwartą część światowej gospodarki, więc ich wpływ na klimat jest ogromny. Do ratowania przed dalszym ociepleniem miasta

grupy C40 chcą się przyczyniać na wiele sposobów, w tym m.in. poprzez zachęcanie mieszkańców do ograniczenia spożycia mięsa do 16 kg rocznie (dziś w Polsce zjadamy średnio ponad 70 kg). Lukę po zredukowanym mięsie i nabiale ma wypełnić dieta roślinna, zdrowsza i powodująca mniejsze emisje gazów cieplarnianych, a także inne źródła białka, w tym pochodzące z owadów hodowlanych.

Nasz niezdrowy apetyt na produkty pochodzenia zwierzęcego przyspiesza katastrofę klimatyczną, bo hodowla zwierząt pochłania nieproporcjonalnie duże zasoby w stosunku do wartości odżywczej, jaką oferuje. Nasila deficyt wody, a rosnące zapotrzebowanie na paszę prowadzi do wylesiania coraz większych obszarów, co kłopoty z wodą tylko pogłębia. Hodowla ma też potężny ślad węglowy. Według Institute for Agriculture and Trade Policy, 15 największych światowych koncernów mięsnych i mleczarskich emituje łącznie do atmosfery więcej metanu, gazu bardziej niszczącego od CO₂, niż takie kraje, jak Rosja, Kanada, Australia czy Niemcy.

Mięso roślinne i inne

Europejska strategia w zakresie białka, przyjęta pod koniec października przez PE, zwraca uwagę na kolejne zagrożenie dotyczące bezpieczeństwa żywnościowego UE. Europa jest w coraz większym stopniu uzależniona od importu wysokobiałkowych produktów pochodzenia roślinnego, głównie nasion soi i śruty sojowej z USA i Ameryki Południowej. Import powodowany jest koniecznością zapewnienia paszy dla rozrastającej się hodowli zwierząt. W efekcie nie tylko rośnie surowcowe uzależnienie Europy, ale także przyczyniamy się do wycinki puszczy amazońskiej pod kolejne plantacje soi i degradacji ekosystemów Ameryki Południowej. „Uprawa roślin wysokobiałkowych ma negatywne skutki społeczne i zdrowotne w krajach je produkujących. Skutki te są potęgowane przez słabe prawa własności gruntu, masowy wykup ziemi, przymusowe przesiedlenia i inne naruszenia praw człowieka” – alarmuje PE.

Dlatego Parlament w swojej strategii białkowej wskazuje Komisji Europejskiej długą listę niewykorzystanych lub słabo wykorzystanych źródeł białka, po które należy sięgnąć, a ich producentów wspierać. Są wśród nich m.in. algi, a także produkty rolnictwa komórkowego (mięso hodowane in vitro) czy fermentacji precyzyjnej, czyli mięso roślinne (surowce roślinne poddawane procesom fermentacyjnym pozwalają uzyskiwać produkty przypominające w smaku mięso albo nabiał). W jednym z punktów pojawia się też hodowla owadów na cele paszowe i spożywcze. Dokument zaleca Komisji rezygnację z nadmiernych obciążeń regulacyjnych, bo owady to potencjalnie cenne źródło wartościowego białka. Ma to być także element gospodarki obiegu zamkniętego, bo owady można karmić odpadami rolniczymi, a także niewykorzystaną żywnością, która dziś często się marnuje.

Parlament Europejski przyjął strategię białkową zdecydowaną większością głosów, a wtedy polskie tabloidy dostrzegły, że poparli ją także antyrobakowi europosłowie Zjednoczonej Prawicy (Patrik Jaki, Anna Fotyga, Ryszard Czarnecki, Joachim Brudziński, Andżelika Możdżanowska). „Europosłowie zagłosowali za tym, by jeść robaki. Już zapomnieli, co mówili?” – zagrzemiał „Fakt”. Na celowniku znalazł się największy wróg robaków Patrik Jaki, który jeszcze niedawno protestował przeciw przyznaniu przez NCBiR dotacji 6,5 mln zł na projekt SmartFood obejmujący m.in. hodowlę owadów. Przyparty do muru Jaki tłumaczył najpierw, że w czasie głosowania się pomylił, a w końcu, że kiedy się dowiedział, że chodzi o hodowlę owadów na cele paszowe i nikt nikogo nie będzie zmuszał do jedzenia robaków, doszedł do wniosku, że nie ma o co kruszyć kopii.

Owady gospodarskie

– *Mieliśmy obawy, że to polityczne zamieszanie z „wojną o robaki” odbije się na nas niekorzystnie, a byliśmy właśnie w trakcie organizowania konferencji poświęconej hodowli owadów i korzystaliśmy z dofinansowania MEN w ramach programu Doskonała Nauka. Na szczęście tak się nie stało. Jeden z hodowców stwierdził nawet, że na całym zamieszaniu skorzystaliśmy, bo wiele osób dowiedziało się, że jest coś takiego jak hodowla owadów* – wyjaśnia dr hab. Tadeusz Bakuła, profesor Wydziału Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie. Podczas konferencji pojawiła się inicjatywa powołania samorządu gospodarczego przedsiębiorców profesjonalnie zajmujących się hodowlą i przetwórstwem owadów. Ilu ich jest dokładnie, nie wiadomo, bo branża dopiero się rodzi. Dominują małe firmy, start-upy, hodowcy, którzy wcześniej dostarczali żywe przynęty dla wędkarzy albo karmę dla egzotycznych jaszczurek i chcą rozszerzyć swoją działalność.

Profesor Bakuła tematem owadów hodowlanych zajął się trochę przez przypadek. Jako naukowiec zajmuje się prewencją weterynaryjną i higieną pasz. Jednym z problemów, jakie wiążą się z paszami zbożowymi, jest mącznik młynarek, mały chrząszcz paszytujący w młynach, zakładach zbożowych i magazynach paszowych. Dziś mącznik młynarek awansował do kategorii zwierząt gospodarskich, bo jego larwy okazały się znakomitym źródłem białka, tłuszczu i chityny. Profesor tak jak kiedyś szukał sposobów zwalczania szkodnika, tak dziś pracuje nad sposobami rozmnażania i hodowli, a także ochrony przed chorobami.

Owady objęte są nadzorem weterynaryjnym i podlegają rygorom obowiązyującym hodowlę zwierząt gospodarskich. – *Unijne przepisy za owady gospodarskie uznają czarną muchę, muchę domową, mącznika młynarka, pleśniakowca lśniącego oraz świerszcze – domowego, bananowego i kubańskiego* – wyjaśnia prof. Bakuła.

Na świecie w owadziach fermach najczęściej hodowana jest wspomniana mucha czarna, zwana też afrykańskim ►



► czarnym żołnierzem, oraz mącznik młynarek. W Polsce jest podobnie. Krajowa produkcja przeznaczona jest na razie wyłącznie na cele paszowe, głównie jako pokarm dla hodowli ryb, drobiu, świń, jako surowiec dla producentów hipoalergicznej karmy dla psów i kotów. Do produktów spożywczych dla ludzi żaden polski producent nie wykorzystuje owadów, choć unijne przepisy dopuszczają niektóre gatunki do spożycia. W sklepach internetowych można już kupić importowane m.in. chrupiące świerszce i mąkę ze świerszczy, przekąski z mącznika, szarańczę o smaku curry i wiele innych przysmaków.



Kreca Ento-Feed BV – ferma owadów założona w 1981 r. w Holandii. Hoduje owady dla przemysłu paszowego, na karmę dla zwierząt domowych i do akwakultury.

ONZ w owadach widzi szansę na wykarmienie rosnącej populacji mieszkańców Ziemi bez ostatecznego zdewastowania planety. Hodowla 1 kg białka owadów wytwarza 300 razy mniej gazów cieplarnianych w porównaniu z 1 kg białka kurczaka. W przypadku kilograma wołowiny ta wielokrotność wynosi 2850 razy. Owady zużywają również znacznie mniej wody: 1 kg wołowiny pochłania 22 tys. litrów, kilogram jadalnego białka owadów to 1–10 litrów.

Tuczenie larwy

Paweł Górzyński cztery lata temu postanowił się zająć hodowlą owadów. – *Ze współnikami zastanawialiśmy się, jaki wybrać gatunek. Mieliśmy trzy opcje – mucha czarna żołnierz, mącznik młynarek i świerszcz. Świerszcz jest trudny w hodowli, mucha ma wprawdzie swoje zalety, krótki cykl życia, szybszy wzrost, ale żywi się mięsnymi odpadkami, co ogranicza potem jej wykorzystanie. Dlatego wybraliśmy mącznika młynarka. Rośnie wolniej, ale jest mniej kłopotu z żywieniem i większe są możliwości wykorzystania produktów* – wyjaśnia Paweł Górzyński, prezes i współwłaściciel start-upu biotechnologicznego Tenebria w Lubawie.

A produktów z owadziej fermy jest kilka: suszone larwy, a także uzyskiwane z nich białko i tłuszcz, wykorzystywane w produkcji pasz i pokarmu dla zwierząt domowych,

chityna, z której korzysta przemysł farmaceutyczny, oraz odchody stanowiące cenny nawóz.

Hodowla prowadzona jest w hali wcześniej służącej do hodowli trzody chlewniej. Stado zarodowe żuków dostarcza jajeczka, które gdy przejdą w stan larwalny, rozpoczynają intensywnie żerowanie, zjadając otręby pszenne i marchewkę. Utuczone, zanim staną się poczwarkami, są suszone i przetwarzane. Miesięcznie Tenebria produkuje 2,5–3,5 tony owadów. Paweł Górzyński pytany o opłacalność owadziego biznesu wyjaśnia, że jest za wcześnie, by o tym mówić. – *Jesteśmy start-upem, korzystamy z dofinansowania z NCBiR, dopracowujemy dopiero metody hodowli i rozwiązania służące automatyzacji całego procesu. Kluczem do sukcesu jest ograniczenie do maksimum udziału ludzi, bo dziś 75 proc. kosztów hodowli to koszty pracy* – wyjaśnia przedsiębiorca.

Czynnik fuj

Owady są źródłem pokarmu w wielu kulturach od czasów prehistorycznych, czego dowodem choćby biblijny Jan Chrzciciel, który na pustyni żywił się szarańczę. Zresztą szarańcza także dziś jest zaliczana do popularnych i cenionych gatunków jadalnych. W sumie na świecie doliczono się ponad dwóch tysięcy takich gatunków. – *Ocenia się, że 2 mld ludzi na świecie ma dziś w swej codziennej diecie jakieś owady. To mieszkańcy Azji, Afryki, Ameryki Południowej. W większości jednak owady są odtawiane ze środowiska naturalnego. Hodowle owadów jadalnych to zjawisko stosunkowo nowe* – wyjaśnia prof. Bakuła, dodając, że Europa stara się nadrobić zaległości w dziedzinie wykorzystania owadów. Najlepszym tego dowodem jest francuska firma Ynsect, która stworzyła największą na świecie gigantyczną zautomatyzowaną fermę mącznika za 425 mln dol. i specjalizuje się w produkcji żywności alternatywnej.

Aby żywność alternatywna z owadów przyjęła się szerzej, trzeba rozwiązać jeszcze wiele problemów, bo o ile wykorzystanie paszy z owadów jest akceptowane, to z produktami spożywczymi dla ludzi jest problem. Zalicza się je do *novell food*, czyli nowej żywności, co oznacza, że muszą być one dopuszczane przez Europejski Urząd ds. Bezpieczeństwa Żywności (EFSA). Eksperti EFSA tłumaczą, że z owadami mogą być rozmaite problemy (kwestia składu chemicznego, trawienia przez ludzi, alergii), dlatego wszystko trzeba przebadać, a zgłoszeń jest coraz więcej. „Owady to złożone organizmy, co sprawia, że scharakteryzowanie składu produktów spożywczych pochodzących od owadów jest wyzwaniem” – tłumaczy jeden z przedstawicieli EFSA.

Jednak największym problemem jest zjawisko zwane *yuck factor* czy czynnikiem „fuj”. Badania wskazują, że na razie tylko 10 proc. Europejczyków jest gotowych jeść owady lub produkty z nich wytwarzane. Reszta ma opory lub zwyczajnie się brzydzi. Zdaniem prof. Bakuły to obrzydzenie czy wstręt do owadów będzie jednak szybko zanikać, zwłaszcza że częściej będą one surowcem do produktów spożywczych, a rzadziej pojawią się na talerzu w swej biologicznej formie. – *Już dziś częściejemy ciasteczkami naszych gości, a ci bardzo się dziwią, gdy wyjaśniamy potem, że zostały upieczone z dodatkiem mąki wytwarzanej ze zmieszanych mączników, bo bardzo im smakowały* – przekonuje. Jeszcze niedawno Polacy, słysząc, że Japończycy jedzą surowe ryby zawinięte w wodorosty, wzdrykali się z obrzydzenia. A dziś sushi należy u nas do najmodniejszych potraw.

ADAM GRZESZAK

Ukryte związki

W korporacjach przybywa organizacji związkowych, choć większość ich członków boi się do tego przyznawać pracodawcom. Ci bowiem patrzą na nich niechętnie, oskarżają o działanie na szkodę firmy, grożą zwolnieniami.

JOANNA SOLSKA



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

Związek zawodowy właśnie powstał w CD Projekt, marce znanej na świecie z serii gier „Wiedźmin”, a potem z gry „Cyberpunk 2077”. O pracownikach tej firmy mówiono, że należą do zarobkowej elity III RP. CD Projekt w 2015 r. był najwyższym wycenianym przedsiębiorstwem na Giełdzie

Papierów Wartościowych, inwestorzy uznali, że jest więcej wart niż Jastrzębska Spółka Węglowa. Wtedy kapitalizacja firmy przekroczyła 2 mld zł, a w czasie pandemii poszybowała do 40 mld zł, zostawiając za sobą nawet PKN Orlen. Obecnie wyceniana jest na ponad 10 mld. Po niezbyt udanej premierze „Cyberpunka 2077” akcje wprawdzie

poleciały w dół, ale firma już wyszła z kłopotów, sprzedała 25 mln egzemplarzy gry. Nadal uważana jest za świetnego pracodawcę.

Siatka ochronna

Ostatnio jednak pojawiły się poważne rysy na jej wizerunku – zaczęła zwalniać ludzi. Najpierw 30 osób, potem ►

► kolejne 30, a następnie 100. Jak na tyśią zatrudnionych to sporo. Z powodu zwolnień powstał związek zawodowy, bo na założę padł strach, że to nie koniec. Inne firmy z branży również odprawiają ludzi: Ten Square Games pozbył się 120 osób. We wrześniu aż 830 osób zwolniła Fortnite, jedna z najbardziej dochodowych firm w Stanach. I to wcale nie dlatego, że przeżywa kryzys. – *Studia notują rekordowo wysokie przychody, ale jednocześnie zwalniają rekordowo dużo ludzi* – zauważa Paweł Myszka, jeden z założycieli związku zawodowego w CD Projekt.

Mateusz Witczak, ekspert branży gier, nie jest zdziwiony skalą zwolnień. – *To skutek globalizacji. Tort, o który walczą producenci gier, rośnie szybko, ale konkurencja jest zaciekle, międzynarodowa*. Aż 97 proc. przychodów polskich firm gejmingowych pochodzi z eksportu, rynek polski (wart 1,3 mld euro) nie decyduje o ich sukcesie. Żeby sprzedać grę na świecie, trzeba coraz więcej wydawać na jej promocję na platformach cyfrowych. Budżet „Wiedźmina” wynosił 312 mln zł, „Cyberpunka” już 1,2 mld zł. Wśród polskich właścicieli producentów gier rośnie obawa przed chińską inwazją, tamtejszy potentat Tencent właśnie wykupił pakiet kontrolny wrocławskiego Techlandu, należącego do Pawła Marchewki. Firma jest numerem dwa na polskim rynku, po CD Projekt.

Zarząd CD Projekt próbuje bagatelizować powstanie związku, choć doszło do spotkania. – *My twierdzimy, że było to spotkanie związku z reprezentantami zarządu, oni uważają, że spotkali się z osobami, które dopiero chcą założyć związek* – relacjonuje Tolly Kulczycki, a Myszka dodaje: – *Spotkanie odbyło się w przyjacielskiej atmosferze korporacyjnej pogadanki. Potem dostaliśmy pismo, że nie ma podstaw prawnych*

i faktycznych do uznania nas za organizację związkową.

Powstanie związku zawodowego w branży gier poruszyło rynek – na GPW jest notowanych 80 spółek produkujących gry. Znanę są z tego, że nie zatrudniają raczej na umowy o pracę, ale chętniej o dzieło lub wręcz zachęcają do założenia własnej działalności gospodarczej, korzystniejszej podatkowo dla obu stron. Także dlatego, że łatwiej rozstać się z partnerem biznesowym niż z pracownikiem. W branży panował jednak *crunching*, co w dowolnym polskim tłumaczeniu oznacza, że na finiszu projektu nie bywa się w domu, śpi pod biurkiem, a na śniadanie je zimną pizzę, popijając energetykiem. Bo inwestorzy czekają.

Paweł Myszka i jego koledzy ze związku mają świadomość, że globalizacji nie powstrzymają. Liczą jednak, że związek pomoże im stworzyć siatkę ochronną. Chcieliby wcześniej znać plany pracodawcy, także te dotyczące zwolnień. To jednak mało realne, związkowcy o swojej przyszłości nie mają prawa dowiedzieć się wcześniej niż posiadacze akcji.

Czas na zmianę

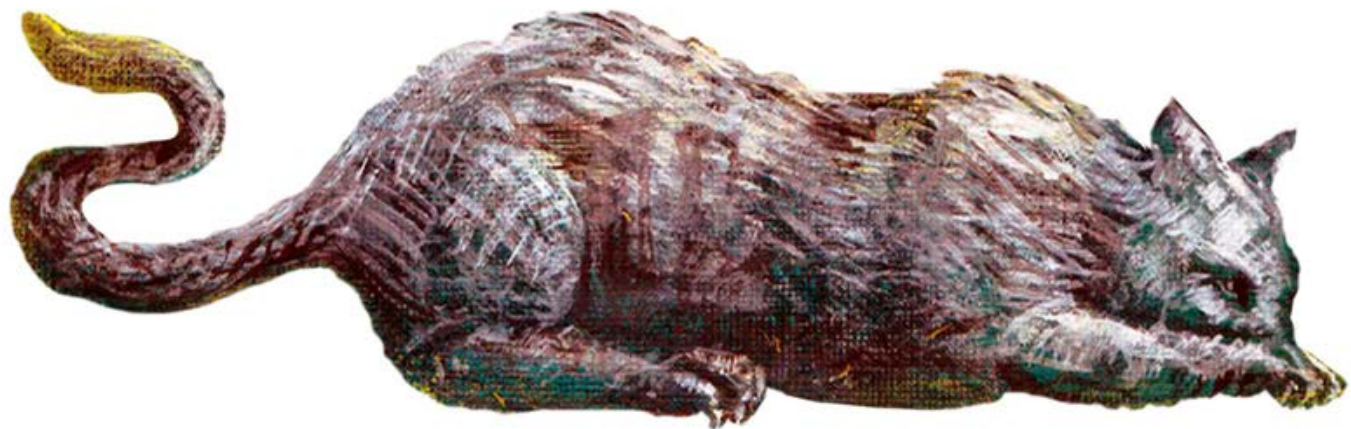
Pomysł założenia związku w BNP Paribas SA Oddział w Polsce (który jest bankiem inwestycyjnym i nie należy mylić go z siostrzaną spółką, czyli BNP Paribas SA Poland) urodził się przy firmowym ekspresie do kawy przed trzema miesiącami. Rozmawiali o porozumieniach sierpniowych i od słowa do słowa doszli do wniosku, że skoro związki potrafił założyć zwykły elektryk, to dlaczego nie oni? Kiedy jednak zaczęli zastanawiać się, do jakiej centrali związkowej się przyłączyć, na wstępie odrzucili zarówno Solidarność, jak i OPZZ. Nie podoba im się, że są za bardzo uwikłane w politykę,

że jeden z przywódców związkowych trzymał się pełnionej funkcji latami, a w końcu został posłem partii rządzącej. Nie chcieli należeć do związku, który broni węgla, zamiast starać się sprostać wyzwaniom świata. Młodzi do starych związków nie przyjdą.

Czego chcą? Żadnego umocnienia w partyjną politykę. Potrzebują ideowego związku – mówią – który skupia się na indywidualnych problemach pracowników, ma szacunek do ludzi bez względu na płeć i pochodzenie. Dla Pawła Jasińskiego, jednego z założycieli, ważną sprawą jest na przykład akceptacja praw imigrantów, brak ksenofobii. – *Wśród świetnie wykształconych pracowników naszego banku wielu nie mówi po polsku, są z innych krajów. Koleżanka jest z Indii, pracuje legalnie, ale od dwóch lat nie widziała rodziców, ponieważ ciągle czeka na przyznanie jej prawa stałego pobytu. Jeśli wyleci do domu, nie będzie mogła tu wrócić. Jest świetna, przyczynia się do rozwoju polskiej gospodarki, bank jej potrzebuje, ile jeszcze ma czekać?*

Za związek przyszłościowy uznali Inicjatywę Pracowniczą. Podoba się im, że IP nie ma szefa, kieruje nim cała komisja krajowa. Żeby nie było pokusy przyspawania się do stołka, zlikwidowali nawet etaty związkowe. Zostawili tylko godziny związkowe na załatwienie spraw, po jednej na miesiąc.

Jak to przyjęło szefostwo banku? – *Mińnię już termin złożenia sprzeciwu wobec powstania związku, więc działamy oficjalnie, ustaliśmy kanały kontaktu z kadrami*. Paweł Jasiński nazywa to szorstkim koleżeństwem. Jest świadomy, że bardziej szorstko może być wtedy, gdy zaczną zgłaszać żądania. A lista jest długa, jednym z ważniejszych jest ujawnienie wysokości wynagrodzeń na poszczególnych stanowiskach. Bez



nazwisk, tylko widełki, że na danym stanowisku przy określonym stażu pracy można zarobić od–do.

Bankierzy związkowcy są świadomi, że wkrótce mogą przestać być potrzebni, bo ktoś wymyśli algorytm pozwalający na zwolnienia wielu osób w finansach. Twierdzą, że są jednak otwarci na niepewną przyszłość, nie mają zamiaru walczyć o zatrzymanie postępu. Więc po co związek? – *Żeby wywalczył dla nas czas na przebranzwienie, by zderzenie z twardą rzeczywistością stało się łagodniejsze* – twierdzi Jasiński.

Widełki krzywdzą kobiety

W Nielsen IQ, międzynarodowej firmie badania rynku, największej działającej w naszym kraju, praca nie jest tak kreatywna jak w branży gier ani tak dobrze płatna jak w banku inwestycyjnym. Do jej wykonywania potrzebne jest wyższe wykształcenie, podstawowy angielski oraz umiejętność poruszania się w Excelu. Płace na podstawowych stanowiskach zbliżyły się do minimalnej, więc – jak mówią – prekariat pełną gębą. Uznali, że Solidarność nie reprezentuje ich interesów, więc też zgłosili się do Inicjatywy Pracowniczej. Do związków zapisało się już 107 osób, najwięcej gdy wystąpili o podwyżki. Jak na 1,5 tys. zatrudnionych to jednak niewiele. Tylko sześcioro reprezentantów jest jawnych, reszta nie ujawnia swoich nazwisk.

Jawny jest Filip Przybylski, zajmuje się analizą danych sprzedażowych dla zachodnich klientów oraz ich wizualizacją w PowerPoincie. Nie uważa tego za pracę kreatywną, pewnie dlatego takie miejsca pracy zostały przeniesione z Zachodu do Polski, u nas kosztują mniej. Jako związkowiec walczy o jawność wynagrodzeń na tych samych stanowiskach, uważa, że widełki są za duże, krzywdzące zwłaszcza dla kobiet. W spór zbiorowy z pracodawcą weszli z powodu spadku realnych wynagrodzeń.

Pierwszy sukces związków w Nielsen IQ był zarazem ostatnim. Zwrócili się ze skargą do Państwowej Inspekcji Pracy, że firma wprowadziła regulamin pracy zdalnej, nie pytając pracowników o opinię. Wygrali. W sprawie jawności widełek wynagrodzeń usłyszeli, że nic z tego, bo firma chroni dane osobowe pracowników. Przecież związkowcy są specjalistami w analizie danych i jak dostaną widełki, to dotrą także do nazwisk.

– *Firma zabroniła agitacji związkowej, a to znaczy, że o sprawach związku nie możemy komunikować przy pomocy*

firmowych komputerów, nie wolno nam korzystać z firmowego intranetu, nie mamy nawet tablicy korkowej. O tym, żeby na korytarzu wręczyć komuś związkową ulotkę, tym bardziej nie ma mowy – zapewnia Filip Przybylski. Pracodawca uważa, że w ten sposób dba o większość załogi. Skoro do związków zapisała się niewielka jej część, to przyjmuje, że większość nie jest nimi zainteresowana. Więc zabraniając agitacji, zapewnia załodze negatywną wolność związkową. Kiedy związkowcy wrzucili to sformułowanie w Google, wyskoczył im artykuł, którego autorem jest prawnik z kance-

Pierwszy sukces związków w Nielsen IQ był zarazem ostatnim. Zwrócili się ze skargą do Państwowej Inspekcji Pracy, że firma wprowadziła regulamin pracy zdalnej, nie pytając pracowników o opinię. Wygrali.



larii wynajętej przez Nielsen IQ do, jak uważają, spacyfikowania związku.

Jeden związkowiec już został zwolniony. Przybylski i druga jawna członkini związków, jako reprezentanci Inicjatywy Pracowniczej, otrzymali od firmy pismo o dyscyplinarnym zwolnieniu obojga, za nieusprawiedliwioną nieobecność w pracy. Jako związek mają się do swoich dyscyplinarek ustosunkować. – *W ramach godzin związkowych udaliśmy się na szkolenie, o czym wcześniej poinformowaliśmy przełożonych* – to wersja Filipa Przybylskiego.

Przedstawiciele Nielsen IQ nie zgodzili się na rozmowę o relacjach firmy ze związkami. W zamian przysłali oświadczenie. Oto fragment: „W NIQ szanujemy i doceniamy zbiorowe wysiłki naszych pracowników oraz włączujemy się w ich głos, co wynika z doskonałych i długotrwałych relacji jakie utrzymujemy z Radami Pracowników oraz Związkami Zawodowymi we wszystkich krajach – w tym w Polsce”. Ciąg dalszy w tym samym stylu. Pod przysłanym oświadczeniem nikt się nie podpisał.

Właścicielem korporacji Nielsen IQ jest od kilku lat wielki międzynarodowy fundusz inwestycyjny Advent. Fundusze kupują firmy po to, aby je restrukturyzować i za jakiś czas korzystnie sprzedać. Obecność walecznych związków zawodowych raczej ceny nie podnosi.

Tajne przez poufne

Sytuacji w Nielsen IQ uważnie przyglądają się członkowie Inicjatywy Pracowniczej w Allegro. Pisma, jakie dostają, są łudząco podobne do tych kierowanych do związkowców w Nielsen IQ. Po korytarzach krąży faktura z sumą, jaką prawnicy otrzymali za swoje usługi dla Allegro. Ciąg dalszy może być podobny, boją się zwolnień. Lista członków związku jest tajna.

– *Jej utajnienie stało się powodem, dla którego firma nie uznawała prawomocności związku* – relacjonuje Beata (imię zmienione, jest nieujawnioną członkinią IP). Firma domagała się też wglądu w ich uchwały, ponieważ podpisują się pod nimi wszyscy członkowie. Sprawa trafiła do sądu. Beata pamięta, że kiedy Allegro powstało, szefowie polskiej firmy podkreślali, że swoją załogę traktują po partnersku. – *Z czasem na stanowiska kierownicze do firmy przychodziło coraz więcej osób z Amazona i zaczęliśmy się do niego coraz bardziej upodobniać, także pod względem twardego stosunku do ludzi* – mówi Beata.

Obecnie kością niezgody między pracodawcą a związkami jest umowa o poufności; związki nie chcą się na nią zgodzić. – *Z jej treści wynika, że nic, o czym przedstawiciele związku dyskutują z pracodawcą, nie może wypłynąć na zewnątrz* – potwierdza Daria, związkowa aktywistka. Jej złamanie oznaczałoby karę w wysokości 100 tys. zł. Czyli ona, pracując w Allegro w Poznaniu, nie tylko nie mogłaby o związku rozmawiać z dziennikarzem, ale nawet ze związkowcami z własnej firmy. Zrelacjonowanie kolegom na fejsie, o czym rozmawiała z szefostwem firmy, byłoby złamaniem umowy. Odkąd Daria ujawniła się jako związkowiec, przestała awansować i odczuwa coraz boleśniej niechęć ze strony pracodawcy. – *A przecież założyliśmy związku nie po to, żeby z pracodawcą walczyć, ale żeby móc się z nim komunikować.*

Jakub Grzegorzczak z Komisji Krajowej Inicjatywy Pracowniczej jest przekonany, że wraz z rosnącym uzwiązkowaniem w korporacjach nasiliły się próby pacyfikowania niepokornych. A ci będą mogli liczyć tylko na siebie.

JOANNA SOLSKA

Golda i Bibi

Golda Meir jest dla Izraelczyków po prostu Goldą, **Benjamin Netanjahu** – Bibim. Tej familiarności nie należy utożsamiać z sympatią. Golda była szanowana nawet przez przeciwników, Bibi był dla połowy Izraela zbawcą, dla drugiej – nieszczęściem. Teraz, po rzezi 1,4 tys. Izraelczyków przez Hamas, jego odejścia pragnie już większość obywateli.

KONSTANTY GEBERT

Izrael jest krajem szczególnym. Jako jedyne państwo współczesne powstał decyzją woli swych obywateli, a nie został przez nich odziedziczony po wcześniejszej formacji państwowej, jaka sprawowała nad nimi władzę. Nawet w rozwiniętych demokracjach państwo jest starsze od jego uznania przez obywateli za swoje. Budowa demokracji zasadzała się na oswojaniu takiego obcego państwa, które pozostawało jednak nadal strukturą dla swych poddanych zewnętrzną – nawet jeśli z poddanych stawali się obywatelami. W Izraelu inaczej.

W maju 1948 r., a więc za żywej jeszcze pamięci, jego mieszkańcy powołali do życia Państwo Izrael jako strukturę mającą wyrażać ich interesy oraz je bronić. Rzecz jasna uczynili to nie wszyscy jego mieszkańcy: ogromna większość zamieszkałych w wygasłej właśnie brytyjskiej Palestynie mandatowej Arabów uznała to państwo za wroga i podjęła z nim wojnę. Z kolei część Żydów religijnych uważała samą ideę utworzenia żydowskiego państwa ludzką, a nie Boską decyzją, za bluźnierczą, a jego powstające świeckie instytucje za równie obce, co wcześniejsze instytucje mandatowe. Ale gdy pół roku później zakończyła się wojna o niepodległość i ustaliły tymczasowe granice, ogromna większość tych, którzy w tych granicach pozostali, uznała powstające państwo za swoje, bo przez nich samych utworzone i obronione. Jedyne nieliczne specjalistyczne instytucje okresu mandatowego, jak policja, poczta czy elektrownie, zostały po przekształceniach włączone do nowego państwa. Wszystko inne właśnie powstawało od podstaw.

To doświadczenie początków sprawia, że Izraelczycy traktują państwo nie jako zewnętrzną rzeczywistość do poskromienia, lecz jako instytucję usługową do korzystania – i którą można i należy modyfikować, by lepiej odpowiadała potrzebom jej właścicieli – obywateli. Na pewno zaś władcom państwa nie przysługuje ten wyniosły status, jaki przyznają prezydentom i premierom, o ewentualnych monarchach nie wspominając, nawet rozwinięte demokracje. Jeszcze premier Menachem Begin, nadal sprawując swą funkcję, mieszkał w bloku; rezydencje



szefom gabinetu przydzielono dopiero wówczas, gdy stało się to konieczne ze względów bezpieczeństwa. Premiera i ministrów można było spotkać na ulicy, a na pewno nikt się nie powstrzymywał przed dzieleniem się z nimi swymi pomysłami na rządzenie wspólnym w końcu państwem.

Hasło, rzekomo wiszące w izraelskich koszarach: „Uprasza się państwa szeregowych o nieudzielanie rad oficerom w trakcie prowadzenia działań bojowych”, jest tylko częściowo apokryficzne. Stąd też ogromna familiarność, z jaką się traktuje przywódców państwa. Golda Meir była dla Izraelczyków po prostu Goldą, Benjamin Netanjahu – Bibim. Tej familiarności nie należy jednak automatycznie utożsamiać z sympatią. Golda była szanowana nawet przez przeciwników, a kochana – do czasu – przez wszystkich. Do niedawna Bibi był wprawdzie dla połowy Izraela zbawcą, lecz dla drugiej połowy – nieszczęściem. Teraz, po katastrofalnej



© BETTMANN ARCHIVE/GETTY IMAGES, ULRICH BAUMGARTEN/GETTY IMAGES

rzezi 1,4 tys. Izraelczyków przez Hamas, jego odejścia pragnie już większość obywateli.

1 Rzeź 7 października zdarzyła się dokładnie w 50 lat i 1 dzień po egipsko-syryjskim ataku w Jom Kippur, który sprawił, że Izraelowi w pierwszych dniach groziła klęska. Wówczas, jak teraz, izraelskie dowództwo było przekonane, że wróg nie może uderzyć, bo jest świadom, iż wszelki atak będzie musiał się zakończyć klęską. Wówczas, jak teraz, nie przewidziano, że chęć zadania Izraelczykom początkowej klęski może być wystarczającą motywacją dla napaści. Izraelscy żołnierze z podniesionymi rękami i egipski sztandar łopoczący nad linią Bar Lewa – za taki triumf warto było zapłacić nawet cenę przekroczenia przez Cahal (Cwa Hagana le-Isra'el – Siły Obronne Izraela) Kanału Sueskiego. Podobnie bojownik Hamasu, który z triumfem telefonował

do rodziców, że zabił już 10 Żydów, wprawdzie zginął, a jego rodzice być może też zginęli następnie od izraelskich bomb na Gazę – ale pamięć o 10 mordach pozostanie i grzać będzie serca przed następną rundą.

Państwo miało obowiązek przewidzieć taki stan rzeczy. A skoro tego nie zrobiło, to zawiodło i musi się zmienić, by nie zawieść więcej. Zmianę zaś należy zacząć od ludzi, którzy państwem kierowali i doprowadzili do tej klęski. A nie wystarczy oskarżyć generałów – w Izraelu przyjmują oni rozkazy od demokratycznie wybranej, cywilnej władzy.

W dostępnym na Netflixie filmie „Golda” Guy Nativa, który odtwarza dylematy izraelskiej premierki podczas wojny Jom Kippur, rolę tytułową gra – wspaniale – Helen Mirren, sztucznie postarzała i nadal przekonująca, i przejmująca. W otwierającej film sekwencji widzimy ją, jak udaje się do Knesetu, by zeznawać przed powołaną dla wyjaśnienia przyczyn początkowej klęski (dosłownie: nie miała uprawnień, by badać przebieg ostatecznego zwycięstwa, bo do jego wyjaśnienia śledztwo nie było potrzebne) komisją śledczą pod przewodnictwem prezesa Sądu Najwyższego Szymona Agranata. By dojść do budynku, premierka musi się przedrzeć przez wrogi i agresywny tłum, obarczający ją odpowiedzialnością za tę klęskę: 2 tys. zabitych i 7 tys. rannych żołnierzy oraz setki wziętych do niewoli. Rząd powołał komisję natychmiast po zakończeniu wojny i w półtora miesiąca po jej wybuchu. „Najlepiej od razu rzucić premiera i ministra obrony wilkom na pożarcie, tak?” – skomentowała tę decyzję Meir.

A przecież nie miała czego się obawiać. Jej Partia Pracy wygrała w grudniu opóźnione z powodu wybuchu wojny wybory, a ona i minister obrony Mosze Dajan, bohater wojny sześciodniowej, zachowali mandaty poselskie. Opinia publiczna nie wiedziała, że Dajan przeżył na początku konfliktu załamanie nerwowe i sugerował użycie broni atomowej, a Meir, ciężko chora na chłoniaka, miała zdolność działania ograniczoną przez radioterapię. Ale we wstępnym raporcie komisja uznała, że odpowiedzialność za błędy ponoszą istotnie jedynie generałowie, zaś kwestia odpowiedzialności ministerialnej i politycznej członków rządu leży poza ich mandatem. Gdy jednak minister sprawiedliwości Chaim Zadok stwierdził, że nie stanowi to „uniewinnienia” premierki i ministra obrony, Meir podała się do dymisji. Jej choroba na pewno odegrała rolę w tej decyzji, ale rozstrzygającym był brak zaufania, objawiany i przez ulicę, i przez kolegów z gabinetu.

A „zaufanie to podstawa przywództwa” – napisała niedawno Szikma Bressler, przywódczyni ogromnego ruchu protestu przeciwko zamachowi rządu na niezawisłe sądownictwo, który od 10 miesięcy wyprowadza na ulice setki tysięcy Izraelczyków. W obliczu wojny premier zapowiedział wprawdzie, że zawiesza te działania, ruch protestu przekształcił się w ogromny społeczny ruch pomocy dla ofiar hamasowskiego ataku, zaś przywódca głównej partii opozycyjnej Benny Ganc na czas wojny wszedł w skład rządu Netanjahu oraz w skład ścisłego gabinetu wojennego – ale Bressler zdania o Netanjahu nie zmieniła. „On nie może przewodzić Cahalowi w wojnie”. Taki sam pogląd wypowiadają liczni byli wojskowi i eksperci bezpieczeństwa, a także biznesmeni.

2 Odpowiedzialność za październikową klęskę wzięli już na siebie dowódcy wojska i służby bezpieczeństwa. „Tylko jeden człowiek nie wziął odpowiedzialności – to Benjamin Netanjahu – stwierdza generał-major Cahalu w stanie spoczynku Noam Tibon. – Zaś ludzie w ciągu tych trzech tygodni [od hamasowskiego ataku] stracili całe poczucie bezpieczeństwa. Dlatego mówię Netanjahu bezpośrednio: przyjmij odpowiedzialność. Ustąp teraz. To pomoże w kampanii”. „Tylko jeden człowiek jest odpowiedzialny [za klęskę] – Benjamin Netanjahu” – stwierdził ►

► były szef Szin Betu (Szerut ha-Bitachon – Służba Bezpieczeństwa). „Że nie zmienia się premiera podczas wojny? To błędna koncepcja – zauważa inny, obok Bressler, przywódca protestów Mosze Radman. – Przeciwnie, musimy go zmienić. Beniamin Netanjahu to jedyne, co stoi między nami a zwycięstwem”.

Jeszcze bardziej dramatycznie wyraziła to 44-letnia Daniela Aloni, jedna z 242 osób porwanych przez Hamas do Gazy. Na nagraniu udostępnionym przez Hamas – i sporządzonym oczywiście na jego polecenie – Aloni zwraca się do premiera: „Miałeś nas wszystkich oswobodzić. A zamiast tego realizujesz swoją klęskę polityczną, wojskową, dyplomatyczną i bezpieczeństwa”. Aloni rzecz jasna mówi to, co kazał jej mówić Hamas. Ale dziwne by było, gdyby już na wolności ona i inni porwani mówili co innego.

Precedensy są liczne, od Goldy Meir poczynając. Po orzeczeniu komisji śledczej w sprawie wojny libańskiej 1982 r., która m.in. potępiła ministra obrony Ariela Szarona za wprowadzenie rządu i społeczeństwa w błąd w kwestii zasięgu i celu podjętych działań zbrojnych, premier Begin podał się do dymisji, choć komisja tego odeń bynajmniej nie żądała. „Proszę o wybaczenie, łaskę i uniewinnienie – stwierdził, wręczając swą dymisję. – Ale nie wiem, czy powinny one mi być udzielone”. W 2006 r. podczas drugiej wojny libańskiej, która zakończyła się taktycznym zwycięstwem Hezbollahu, przywódca opozycji tak zwrócił się w Kneseicie do ówczesnego premiera Ehuda Olmerta: „Cynicznie nam mówią, że naprawi ten, kto zepsuł. Nie należy wymieniać kapitana. To jakby powiedzieć, że po zatonięciu »Titanica«, gdyby kapitan przeżył, należałoby mu powierzyć kolejny statek. Ale życie narodu nie jest osobistym kursem survivalu dla premiera”. Olmert nie potrzebował tej zaczepki: decyzję o podaniu się do dymisji już podjął. Zaś owym przywódcą opozycji był Beniamin Netanjahu.

3 Dziś Netanjahu – inaczej niż Meir, Begin, Olmert czy on sam jeszcze miesiąc temu – unika kontaktów ze społeczeństwem i dziennikarzami. Pierwszy raz pojechał na tereny, gdzie dokonała się hamasowska rzeź, dopiero w tydzień po fakcie, pierwszą konferencję prasową odbył w trzy tygodnie po. Ze światem porozumiewa się głównie za pomocą Twittera. „W żadnych okolicznościach i na żadnym etapie nie był Premier Netanjahu ostrzegany o wojennych zamiarach Hamasu – ogłosił. Przeciwnie, ocena całego aparatu bezpieczeństwa, w tym szefa wywiadu wojskowego i szefa Szin Bet, była taka, że Hamas został odstraszony i dąży do porozumienia”. Choć istotnie taka była ocena bezpieczeństwa i wojska, tweet wzbudził wściekłość. Nie tylko dlatego, że pomija – fakt, że mało precyzyjne i podbudowane – ostrzeżenia egipskie i amerykańskie, ale głównie dlatego, że oznaczał zrzucenie odpowiedzialności na podwładnych i odmowę wzięcia jej samemu.

„Na wojnie – pisał w odpowiedzi Ganc – przywództwo oznacza okazywanie odpowiedzialności, podejmowanie właściwych decyzji i wzmacnianie sił [zbrojnych], by mogły realizować to, czego od nich oczekujemy”. Skoro trzeba premierowi to tłumaczyć, to najwyraźniej postępuje on odwrotnie. I to chyba sprawiło, że premier, w sposób dla siebie całkowicie nietypowy, wycofał tweeta i przyznał, że się mylił. „Nie powinienem być powiedzieć tych rzeczy, które powiedziałem, i za to przepraszam” – napisał. Pozostaje tajemnicą, czy przeprasza za to, że tak uważał, czy tylko za to, że powiedział, co myśli.

Rzecz w tym bowiem, że 7 października poniosła klęskę nie tylko doraźna taktyka władz izraelskich wobec Hamasu, oparta na założeniu, że palestyńska organizacja została skutecznie odstraszona i dąży do ułożenia sobie życia obok Izraela. Hamasowska rzeź jest także skutkiem długofalowej polityki, realizowanej przez kolejne rządy Netanjahu, a opartej na wzmacnianiu Hamasu, po to, by tym samym osłabić władze Autonomii Palestyńskiej

– i tym samym udowodnić światu, że po stronie palestyńskiej Izrael nie ma z kim rozmawiać. Izraelczycy już raz zaangażowali się w podobne działania, gdy na początku lat 80. wspierali Hamas jako niegroźną, bo religijną alternatywę dla bojowych nacjonalistów świeckich z Fatahu Jasera Arafata.

4 Po pierwszych zamachach terrorystycznych Jerozolima zrozumiała swą pomyłkę i uznała, że ci spokojni brodaci religianci naprawdę wierzą w to, co wynika z Karty ich ruchu – że Izrael nie ma prawa do istnienia, a Żydzi do zamieszkiwania na islamskiej ziemi Palestyny – chyba że mieszkali już tam, kiedy Palestyna, za sułtana, była ostatni raz islamska. Hamas został zdelegalizowany, a Izrael wszczął tajne negocjacje z Fatahem, które w 1993 r. doprowadziły do podpisania porozumień z Oslo. W Jerychu i Strefie Gazy władzę przejęła Autonomia Palestyńska. Dalszy postęp negocjacji zablokował jednak nieuznający ich Hamas, który serią zamachów samobójczych, w których na przestrzeni kilku lat zginęło 1,2 tys. Izraelczyków, wysadził w powietrze zaufanie Izraela, że pokój z Palestyńczykami jest możliwy.

Izrael wycofał się jednak jednostronnie w 2005 r. ze Strefy Gazy, do której nie rości sobie żadnych praw, i władzę objął tam – w demokratycznych wyborach – Hamas, wykorzystując ogromną niepopularność skorumpowanego Fatahu. A żeby Gazańczykom nie przyszła do głowy zmiana ich słusznego wyboru, działacze Fatahu publicznie zrzucano z wysokich pięter budynków, pokazując, jaka będzie cena sprzeciwu; żadne wybory się już zresztą nie odbyły. Następnie Hamas, zgodnie ze swą Kartą, rozpoczął rakietowy ostrzał Izraela, jako pierwszy krok do jego zniszczenia. Izrael odpowiedział zbrojnie i tak rozpoczął się cykl przemocy, który rzeź z 7 października przeniosła na niewyobrażalnie dotąd krwawy poziom.

Zaś kolejne rządy Netanjahu współpracowały de facto z Hamasem. Pozwolono, by emisariusze bliskiego islamskim fundamentalistom Kataru walizkami przywozili do Gazy miliony dolarów w banknotach na pensje dla funkcjonariuszy Hamasu, podczas gdy Autonomia Palestyńska często nie potrafiła dopiąć budżetu. W trosce o spokój społeczny w Gazie Netanjahu zwiększył w tym roku liczbę wydawanych Gazańczykom zezwoleń na pracę z 2 do 20 tys.; spodziewano się, że ci pracownicy, z obawy o swoje zatrudnienie, będą głosem przeciwko zaostrożeniu konfrontacji z Izraelem, a być może także staną się jego szpiegami. Wyszło odwrotnie: pracując w przygranicznych miejscowościach, dostarczyli Hamasowi szczegółowych informacji, które okazały się bezcenne w planowaniu rzezi. A zarazem istotnie perspektywa pracy w Izraelu wpływała na uśmierzenie nastrojów. Według sondażu przeprowadzonego we wrześniu 62 proc. Gazańczyków było przeciwnych zerwaniu obecnego zawieszenia broni z Izraelem.

Najważniejsze jednak było to, co Netanjahu miał powiedzieć w 2019 r. na posiedzeniu klubu parlamentarnego jego partii Likud: że ci, którzy przeciwstawiają się powstaniu państwa palestyńskiego, winni popierać przekazywanie funduszy do Gazy, bo zwiększa to rozłam między Hamasem a Autonomią, a tym samym zapobiega powstaniu takiego państwa. Cytat ten – przytoczony dla „Jerusalem Post” przez jednego z uczestników narady – nigdy nie został przez premiera zdementowany. Rachuba jest prosta: coraz bardziej osłabiona i niepopularna Autonomia – która nie kontroluje nie tylko Gazy, ale nawet całego Zachodniego Brzegu, czego dowodem choćby sytuacja w opanowanym przez terrorystów Dżeninie – nie może być partnerem do rozmów. Zaś dążący jawnie do zagłady Izraela Hamas tym bardziej. A tych dążeń nie należy się obawiać, bo armia i służba bezpieczeństwa sobie z nimi poradzą.

Rezultaty widzimy.

KONSTANTY GEBERT

Swojak z plantacji

Dziedzic wielkiej bananowej fortuny **Daniel Noboa** będzie zarządzać bananowym krajem. Ekwadorskie owoce skrywają niejedną mroczną historię.

ARTUR DOMOSŁAWSKI



Nowy prezydent Ekwadoru nie wywodzi się z żadnej partii ani politycznej ideologii. Chyba że za rodzaj partii lub ideologii uznamy wielki bananowy biznes, z którego słynie ten kraj. 35-letni Daniel Noboa, który wkrótce obejmie urząd głowy państwa, jest synem Alvara, najbogatszego człowieka w kraju, który pięć razy stawał w szranki o najwyższy urząd, ale zawsze przegrywał („To by dopiero była republika bananowa”, powiedział mi kiedyś półzartem pracownik bananowej plantacji). Sukces jego syna jest na pierwszy rzut oka zagadką i zaskoczeniem. Na drugi – już mniej.

W ostatnich latach wiele społeczeństw rozczarowanych tradycyjną (post)polityką oddaje władzę w ręce ludzi z politycznego „nikąd”. Czasy mediów społecznościowych wspierają takie osoby, zwłaszcza gdy te potrafią poruszać się w gąszczu hejtu i konwencjach celebrytów Twittera i TikToka. Noboa sprzedał się dobrze na TikToku: jako ojciec rodziny, jako bokser amator, jako biegacz (codziennie pokonuje 8 km). Jako przedsiębiorczy człowiek, który podróżuje własnym helikopterem.

Rodzina, sukces, swojskość – zdarza się, że tylko takie klucze wystarczą do wygranej. Pieniądze do nich nie należą, na pewno nie same: Noboa senior nigdy nie zdobył upragnionego fotela.

Noboi juniorowi pomógł kryzys, z którym nie dawała sobie rady tradycyjna prawica, a lewica wystawiła pozbawioną charyzmy kandydatkę. Ekwador rozdziera korupcja, a jeszcze bardziej wojny karteli narkotykowych, które zrobiły sobie z tego kraju centrum logistyczne szmuglu kokainy z Kolumbii, Peru i Boliwii do Meksyku, a następnie do Stanów Zjednoczonych.

W czasie kampanii wyborczej zastrzelony został Fernando Villavicencio, centroprawicowy kandydat. Nie miał szans na wygraną, ale ucieleśniał stanowcze podejście do walki z kartelami (był wcześniej dziennikarzem, opisującym m.in. działalność narkobiznesu i korupcję w strukturach władzy).

W zabójstwo zamieszany jest świat przestępczy z kilku krajów regionu, a egzekucję wykonali „cyngle” z Kolumbii. ►

© KARENTORO/REUTERS/FORUM

► Główna hipoteza głosi, że za zabójstwem stał najstarszy z meksykańskich karteli narkotykowych – ten z Sinaloa. Prowadzi on na terenie Ekwadoru, podobnie jak w rodzinnym Meksyku, rywalizację ze swoim największym rywalem – karterem Jalisco-Nowe Pokolenie.

Na terenie Ekwadoru obie mafie walczą o kontrolę nad portami i terytoriami, z których szmuglują kokainę na północ. Robią to rękoma lokalnych gangów: Los Choneros, Los Lobos i innych. Dysponują flotą awionetek, a przede wszystkim szybkich, na wpół zanurzalnych łodzi, które docierają z ładunkiem kokainowej pasty lub gotowego białego proszku do pacyficznego wybrzeża meksykańskich stanów: Sinaloa i Jalisco.

Walka meksykańskich mafii za pośrednictwem miejscowych subkarteli odmieniła w ostatnich latach życie względnie spokojnego Ekwadoru. Liczba zabójstw na 100 tys. mieszkańców jest tam obecnie większa niż w Meksyku (40 vs 25). Państwo traci kontrolę nad połaciami swojego terytorium. Nielegalne pieniądze korumpują i stają się częścią politycznego krwiobiegu kraju.

Noboa ma tylko 16 miesięcy na podjęcie kroków, które w jakimkolwiek stopniu uleczą dotknięty plagami korupcji i przemocy kraj. Jego poprzednik Guillermo Lasso rzucił tylko dwa lata – jego decyzje paraliżował parlament, w którym większość miała koalicja sympatyków byłego lewicującego prezydenta Rafaela Correi. Oskarżała Lasso o malwersacje i była o krok od usunięcia go z urzędu. Lasso zemścił się rozwiązaniem parlamentu i ogłoszeniem nowych wyborów, także prezydenckich. Ostatecznie nie wygrała ich lewica – jak się powszechnie spodziewano – lecz bananowy magnat. Można by rzec: głowa potężnej kasty.

Historia firm bananowych – nie tylko w Ekwadorze, w całej Ameryce Łacińskiej – to długa lista nadużyć wobec ludzi i środowiska; niekiedy zbrodni. O masakrze robotników na plantacji bananowej w kolumbijskiej Ciénadze w 1928 r. wspomina Gabriel García Márquez w „Stu latach samotności”. Głośną bananową tragedią w naszych czasach było używanie przez koncern Doll pestycydu DBCP na plantacjach w Nikaragui i Kostaryce, mimo że wiadano o jego szkodliwości. Poszkodowani uważają, że pestycyd wywoływał bezpłodność u kobiet; niektórzy sądzą, że nigdy tego naukowo nie dowiedziano.

Za nowo wybranym prezydentem Ekwadoru ciągnie się cień tragicznych wydarzeń, do jakich doszło w 2002 r.

na plantacji bananowej Los Alamos należącej do jego ojca. Na początku maja tamtego roku grupa pracowników rozpoczęła protest, domagając się poprawy warunków pracy i prawa do zrzeszania się w związki zawodowe. Plantacje bananowe należały wówczas do najgorzej płaconych zatrudnionych sektorów gospodarki w całej Ameryce Łacińskiej. W kwestii prawa do zrzeszania się – w tamtym czasie nie było w Ekwadorze żadnego związku zawodowego pracowników plantacji bananów. W takich okolicznościach robotnicy z Los Alamos rozpoczęli swój strajk.

Noboa postanowił złamać protest za pomocą uzbrojonych i opłaconych łamistraków, formujących coś w rodzaju prywatnej milicji. 16 maja w środku nocy milicjanci wyciągnęli z noclegowni wielu zaspanych pracowników, pobili ich, a jednego zastrzelili. Oryginalny plan, którego ostatecznie nie zrealizowali, był niczym scenariusz okrutnego thrillera: mieli zamknąć kilkudziesięciu pracowników w kontenerze, żeby ci się podusili.

Na plantację przyjechała policja, ale ograniczyła się do biernej obserwacji. Już za dnia milicjanci wkroczyli na plantację i otworzyli ogień do robotników. 19 z nich odniosło ciężkie obrażenia, jednemu amputowano nogę.

Gdy Noboa został wreszcie zmuszony do negocjacji z pracownikami, zaprzeczł jakimkolwiek swojemu udziałowi w próbie pacyfikacji strajku. 16 napastników aresztowano i skazano za nielegalne posiadanie broni, wkrótce jednak ich wyroki zostały uchylone. Za próbę utworzenia związku zawodowego zwolniono ponad 120 pracowników. Noboa nie poniósł żadnych konsekwencji. W kolejnych latach stawał w szranki o prezydenturę. Organizacje praw człowieka przez wiele lat prowadziły śledztwa w sprawie nadużyć na bananowych plantacjach. Stały się one głośne po krwawym złamaniu protestu na plantacji dostarczającej banany Noboi oraz po raporcie Human Rights Watch demaskującym eksploatowanie pracy dzieci. W ciągu kilkutygodniowej misji badacze tej organizacji przeprowadzili wywiady z 45 dziećmi z ekwadorskich plantacji bananowych. Niemal wszystkie rozpoczęły pracę w wieku od 8 do 13 lat, a ich dzień pracy trwał zazwyczaj 12 godzin. Mniej niż 40 proc. z nich uczęszczało do szkoły. Zarobki? Około 60 proc. ustawowej płacy minimalnej pracowników bananów (wówczas trzy i pół dolara dziennie).

W trakcie zbierania bananów dzieci, podobnie zresztą jak dorośli pracownicy, były narażone na działanie toksycznych pestycydów, dźwigały ciężkie ładunki i piły



© VICENTE GABOR/BLOOMBERG VIA GETTY IMAGES

zanieczyszczoną wodę. Około 90 proc. z nich opowiedziało badaczom Human Rights Watch, że nie wolno im było przerywać pracy, gdy z przelatujących nad ich głowami samolotów rozpylano toksyczne środki grzybobójcze.

Fabiola Cardozo powiedziała ankieterom Human Rights Watch, że w wieku 12 lat dwukrotnie zachorowała z powodu przeprowadzanych z powietrza fumigacji. „Miałam gorączkę. Powiedziałam szefowi, że źle się czuję. Kazał mi iść do domu. [Za drugim razem] pokryłam się czerwonymi plamami. Swędziały. Miałam kaszel. Bolały mnie kości. Szef odesłał mnie do domu”.

Carolina Chamorro dwukrotnie po fumigacjach poczuła się źle. „Miałam dziecięć lat. Zaczęłam się trząść”. Cristbal Alvarez, 12-latek: „Ta trucizna czasami wywołuje chorobę. Ale ja, oczywiście, cały czas pracowałem. Nie zakrywałem się. Kiedyś [po fumigacji] zwymiotowałem, bolała mnie głowa. Powiedziałem szefowi. Dali mi dwa dni na wyzdrowienie”. Enrique Gallan: „Kiedy przelatują samoloty, zakrywamy się koszulami i kontynuujemy pracę. Czujemy zapach pestycydów”.

Dzieci opowiedziały o sposobach chronienia się przed toksycznymi sub-



Plantacja bananów w Milagro.

stancjami. Chowały się pod liśćmi bananów, pochylały głowę, zakrywały twarz koszulą, a nos i usta – rękami; czasem umieszczały kartony po bananach na głowie. Na bananowych plantacjach dochodzi również do molestowania seksualnego. Nastolatki skarżyły się ankie-terom na obmacywanie i prowokacyjne wypowiedzi nadzorców i szefów.

Wszystkie wielkie koncerny bananowe, Chiquita, Del Monte, Dole, Favorita i Noboa, skupują banany z plantacji, na których pracują dzieci. Kiedy jedna z tych firm została poproszona o informację, z którymi dostawcami bananów ma kontrakty, odmówiła jej ujawnienia („zastrzeżone dla firmy”). Pojawiło się jedynie mało wiarygodne dementi, że firma „nie kupuje świadomie produktów od jakichkolwiek komercyjnych producentów zatrudniających nieletnich”.

Gdy w 2017 r. odwiedzałem gospodarstwa bananowe uczestniczące w programach fair trade w ekwadorskim El Guabo, pracownicy opowiadali o praktykach na plantacjach, na których pracowali wcześniej. – *Przez dwa lata pracowałem na konwencjonalnej plantacji bananów – opowiadał mi wtedy robotnik bananowy o imieniu Galo. – Praca od świtu*

do zmierzchu, źle opłacana, wykańczająca. Brakowało odzieży ochronnej. Od pestycydów rozchorowałem się na żołądek.

Robotnicy nie mogli korzystać z prawa do zrzeszania się w związki zawodowe walczące o godne warunki pracy i lepsze płace. A zwalniani za działalność związkową nie mogli się ubiegać o przywrócenie do pracy.

Powszechną praktyką było obchodzenie prawa pracy przez plantatorów. Np. zlecano podwykonawcom rekrutację i zatrudniano pracowników tymczasowych, którzy mieli jeszcze bardziej ograniczone prawa niż pracownicy stali. W ten sposób powstała niezwykle liczna grupa robotników całkowicie pozbawionych możliwości targowania się z pracodawcami. „Większość pracowników nie może organizować protestów przeciw warunkom pracy” – raportował wówczas José Miguel Vivanco z Human Rights Watch. „Albo będą cierpieć w milczeniu, albo grozi im zwolnienie”.

Prawo pracowników do zrzeszania się zmieniło się za rządów lewicującego Rafaela Correi, ale nadużycia na wielkich plantacjach bananowych to wciąż powszechna praktyka: nadmierny czas pracy, warunki narażające zdrowie i życie pracowników (m.in. brak odpowiedniej

odzieży i sprzętu ochronnego), niskie płace, przeszkody w organizowaniu się pracowników, eksploatacja dzieci.

W 2020 r. głośna była sprawa nielegalnego zwolnienia 30 robotników plantacji bananowej należącej do firmy Sumifrutasa SA za próbę stworzenia związku zawodowego. Stare praktyki mimo zmian w prawie nadal trwają. Po bananowym dziedzicu u władzy można się spodziewać raczej ich umocnienia, nie przełamania. Tym bardziej że biznes bananowy jest w Ekwadorze niczym mafijna ośmiornica – gdy zwalniano wspomnianych robotników, ministrem rolnictwa, który potencjalnie mógłby być mediatorem konfliktu, był ekszarządca z plantacji Noboi seniora.

Noboa junior jako prezydent staje przed *mission impossible*. Problemem pod koniec roku będzie nawet wypłacenie pensji pracownikom sektora publicznego, nie wspominając o dotkliwych dla gospodarki skutkach zjawiska klimatycznego zwanego El Niño.

Noboa nie ma w parlamencie większości, ba, ma zaledwie kilkunastu deputowanych, a za sobą żadnej maszyny partyjnej, która byłaby zdolna rekrutować kompetentnych ludzi na stanowiska – klimat wybitnie niesprzyjający rządzeniu. Jak mówią miejscowi analitycy, Ekwador zmienił się w ostatnich latach nie do poznania – stał się dzieckiem przemocy, a tkanka społeczna została niemal całkowicie zniszczona.

Skalę upadku nieźle ilustruje przykład firm ubezpieczeniowych, które nie chcą ubezpieczać majątków z powodu dramatycznego wzrostu liczby włamań i napadów. Rosną niespłacane mikrokreduity, ponieważ właściciele małych firm nie nadążają z wypłacaniem haraczy grupom przestępczym.

Noboa nie wydaje się człowiekiem zdolnym do opanowania fali przemocy, kradzieży, porwań dla okupu, które w ostatnich dwóch latach stały się koszmarem Ekwadorczyków. W czasie kampanii snuł opowieści o wykorzystaniu satelitów i dronów w walce z mafiami i kartelami przestępczymi, o militaryzacji więzień, portów i urzędów celnych; o budowaniu surowych więzień na barkach na środku morza, gdzie najniebezpieczniejsi z przestępców mieliby odbywać kary. Tyło że to właśnie za murami więzień wyrosła mafijna ośmiornica, która trzyma władze państwa za gardło.

Dawna republika bananowa stacza się gwałtownie ku bananowej republice upadłej.

ARTUR DOMOSŁAWSKI



Demonstracja w Tbilisi.

Najgorszy sąsiad świata

Rosjanie, którzy uciekli z kraju przed reżimem i poborem, czują się w Gruzji coraz bardziej jak u siebie. Gruzini wręcz przeciwnie.

ULA IDZIKOWSKA Z TBILISI

Zółto-niebieskie kolczyki są z nią od początku rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Mari Kanczaweli ściga ją tylko na noc. Często zakłada też białą koszulkę z napisem „Idi na chuj”. Tak wyraża poparcie dla walczącej Ukrainy. Starła się też postawić w sytuacji Rosjan, którzy uciekli do Gruzji. Ale to nie takie proste.

Ma 32 lata, jest lewicową aktywistką. Dobrze pamięta sierpień 2008 r., kiedy Rosja sprowokowała wojnę z jej ojczyzną Gruzją i zajęła okupowane do dziś Osetię i Abchazję. – *Byłam przekonana, że czołgi wjadą do Tbilisi, a nas wszystkich zgwałcą i zabiją* – wspomina. – *Oczywiście nie można porównywać naszej traumy do traumy Ukraińców. My po prostu dobrze rozumiemy ich sytuację. Wiemy, do czego Rosja jest zdolna.*

Tylko we wrześniu 2022 r., czyli po ogłoszeniu częściowej mobilizacji przez Władimira Putina, do Gruzji

(3,7 mln mieszkańców) przyjechało prawie 225 tys. Rosjan. W sumie od początku agresji na Ukrainę granicę mogło przekroczyć nawet 700 tys. Część wróciła, ale mówi się, że w samym Tbilisi zamieszkało 100 tys. Rosjan.

Z Rosji do Gruzji łatwo się dostać – granice pozostają otwarte, na pierwszy rok pobytu Rosjanie nie potrzebują nawet wizy. Poza tym mogą też pracować, otwierać rachunki bankowe i firmy. A do tego jest tanio – dla Rosjan, nie dla Gruzinów. W listopadzie 2022 r. czynsze wzrosły aż o 210 proc. w stosunku do 2021 r. Gruzja nie ma odpowiedniej infrastruktury, żeby przyjąć aż tyle osób. Teraz trzeba zapłacić – przeliczając – między 300 a 350 dol. za mieszkanie na obrzeżach, a ludzie zarabiają przeciętnie 450 dol. Studentów już w ogóle nie stać na wynajem.

Kanczaweli ma akurat szczęście. Jej rodzina posiada mieszkanie w dobrej dzielnicy Tbilisi. A ona sama utrzymuje się z dorywczych prac: tłumaczenia i pisanie. Nie zamierza opuszczać kraju, ale wielu jej znajomych musiało wyjechać. – *I to nie w poszukiwaniu lepszej pracy czy*

z powodu prześladowań, tylko po prostu, żeby godnie żyć – mówi. – *Jeden z moich znajomych zdecydował się na wyjazd, bo nie był nawet w stanie zapłacić za dojazd do pracy.* Tylko w 2020 r. za granicą mieszkał prawie co czwarty Gruzin. Połowa z nich wyjechała do Rosji mimo wprowadzenia wiz w 2001 r. i wojny w 2008 r.

Z torebką Chanel

W Tbilisi można odnieść wrażenie, że większość modnych miejsc z kawą czy ekskluzywnych lodziarni – gałka lodów po 3 dol. – to rosyjskie biznesy. Obsługa mówi po rosyjsku, menu po gruzińsku nie widać. Gruzinom przeważnie brak pieniędzy, żeby inwestować w tego typu miejsca. Rosjanie mają też większe doświadczenie w prowadzeniu biznesu.

– *Rząd umawia nam, że rosyjski kapitał napędza gospodarkę, więc powinniśmy się cieszyć. Ale jaki my mamy z tego pożytek, skoro nie stać nas na wyjście do takiej drogiej knajpy. A Rosjanie i tak zatrudniają tam Rosjan?! – irytuje się Kanczaweli. – Widok bogatej Rosjanki z torebką Chanel skubiącej horrendalnie drogiego*

rogalika w rosyjskiej kawiarni jest naprawdę frustrujący.

Kiedy Gruzini domagają się obsługi w języku gruzińskim, zdarza się, że na miejscu zjawia się policja, „by ochronić nękanego Rosjanina”. I to mimo że prawo nakłada na przedsiębiorców obowiązek świadczenia usług w języku państwowym – gruzińskim lub abchaskim. Przeciwno łamaniu tej zasady zbuntowali się ostatnio mieszkańcy Batumi. W sierpniu po ich interwencji Gruzijńska Krajowa Agencja ds. Konkurencji, odpowiedzialna za egzekwowanie prawa językowego, wszczęła kilka dochodzeń.

Kanczaweli nie śledzi już wiadomości po rosyjsku, „bo to język propagandy”. Uczula znajomych, żeby krytycznie podchodzić do tego, co pojawia się na rosyjskim Telegramie. – *Rosjanie przywieźli do Gruzji te wszystkie swoje fobie: od ksenofobii po homofobie. Część naszych problemów społecznych wynika właśnie z tego, że mamy najgorszego sąsiada na świecie. Na przykład gruzińska koalicja anty-LGBT w ogóle nie ukrywa swojej prorosyjskości. W mediach społecznościowych zamieszczają zdjęcia, na których dumnie pozują na placu Czerwonym.*

Prześlągnięci imperializmem

Gruzini bronią się przed rosyjskimi wpływami, jak mogą. W marcu dzięki masowemu protestom udało im się zablokować ustawę o „zagranicznych agentach”, wzorowaną na rosyjskich rozwiązaniach wymierzonych w organizacje pozarządowe. Mariam Darcziaszwili, socjolożka z Ilija State University w Tbilisi: – *Na ulicach Gruzini walczyli o swoją przyszłość. Przyjęcie ustawy o obcych agentach zamknęłoby nam drzwi do Unii, całkowicie skierowałoby politykę na prorosyjskie tory.*

Za ustawą stał rząd Irakli Garibaszwilego z partii Gruzijńskie Marzenie, która rządzi krajem od 2012 r. Wówczas pokonała ugrupowanie prezydenta Micheiła Saakaszwilego. Nieformalnym liderem Gruzijńskiego Marzenia jest oligarcha Bidzina Iwaniszwili, najbogatszy człowiek w kraju, który ma dobre kontakty na Kremlu. Dlatego wielu komentatorów zarzuca gruzińskim władzom niemal jawną prorosyjskość. Przejawia się ona nie tylko liberalną polityką imigracyjną wobec Rosjan i licznymi kontaktami ekonomicznymi z wielkim sąsiadem – mimo sankcji, ale też prześladowaniami prozachodnich polityków w kraju, w tym samego Saakaszwilego, który od dwóch lat przebywa w gruzińskim więzieniu.

Polityka gruzińskiego rządu w sprawie Rosji coraz bardziej rozjeżdża się też z nastroskami społecznymi. Kanczaweli próbowała wykrzesać z siebie współczucie dla Rosjan, bo w końcu „trzeba pomagać osobom uciekającym przed reżimem”. Interweniowała nawet na ulicy, gdy Rosjanin zachowywał się agresywnie wobec swojej partnerki. – *Wrzasnęła tylko po rosyjsku: po co się wtrącasz? Więc dałam spokój – wspomina. – Ogólnie niektórzy Rosjanie zachowują się skandalicznie, gapią się nachalnie na kobiety na ulicy. To jest wciąż bardzo konserwatywny kraj, takich rzeczy się nie robi bezczelnie w biały dzień.*

Po kilku takich interakcjach Kanczaweli powiedziała: dość. – *Ja chciałam pomagać, a oni próbowali mnie za każdym razem edukować. Uświadamiałam im, że to oni uciekli do mojego kraju, bo my, w przeciwieństwie do nich, byliśmy w stanie zachować wolność słowa. Ale ich mózgi są prześlągnięte imperializmem. Stąd też to poczucie wyższości i wmawianie nam, że oni wiedzą lepiej.*

I lepiej znają historię. Pojawiły się np. problemy z rosyjskimi przewodnikami, którzy oprowadzali turystów po Tbilisi i opowiadali im m.in., że Gruzja nie istniała przed Związkiem Radzieckim; że to Rosjanie nauczyli Gruzinów czytać. W efekcie wielu Gruzinów we własnym kraju po prostu unika Rosjan. A ci żyją w swojej bańce. Przyjacielskie kontakty to rzadkość.

W ramach międzynarodowego projektu naukowego badacze z ośmiu krajów, w tym Polski, przepytawali w Gruzji Rosjan, którzy uciekli z ojczyzny po ogłoszeniu częściowej mobilizacji. Wspomniana socjolożka Mariam Darcziaszwili długo się wahała, czy wziąć udział w projekcie, wcześniej unikała kontaktu z Rosjanami. Miała 23 lata, gdy Rosja zaatakowała Gruzję. Była akurat na obozie, jej spanikowani rodzice po nią przyjechali. Samochód się zepsuł, stali na środku drogi, nad ich głowami latały helikoptery. Jeden z nich spadł. – *Nie wiedziałam, czy dotrzemy do Tbilisi w jednym kawałku. Bałam się, że zatrzymają nas żołnierze. To było naprawdę traumatyczne przeżycie. Od tej pory Rosja i Rosjanie zawsze wydawali mi się przerażający – wspomina.*

Ostatecznie jednak wzięła udział w projekcie, przezwyciężyła zainteresowanie tematem migracji. Jej koledzy tego nie rozumieli. Zwłaszcza że Darcziaszwili pracuje z ukraińskimi dziećmi od początku rosyjskiej inwazji. Bywały dni, kiedy słyszała opowieści z dwóch stron. Dziewczynka z Ukrainy opowiadała jej o bombardowaniu, w którym zginęła jej matka i siostra,

ciała pochowano na podwórku. A Rosjanka – o lęku przy nocnym przekraczaniu granicy z Gruzją.

Rosjanie do domu!

Gruzini są podzieleni. Część społeczeństwa próbuje jak najwięcej zarobić na Rosjanach, wynajmują im mieszkania po zawyżonej cenie. Część nie ma zamiaru wchodzić z nimi w żadne interesy ani mówić po rosyjsku.

Frustracja wylewa się na mury Tbilisi. Graffiti na każdym rogu krzyczy: „Rosja to terrorystyczne państwo”, „Pieprzyć Rosję”, „Rosjanie spier... do domu”. Ale do przemocy fizycznej raczej nie dochoodzi. – *Oczywiście zdarzają się sytuacje, kiedy pijany Gruzin wyzwie Rosjanina od okupanta. Ale na tym się kończy, nikt się do bijatyk nie garnie – mówi Darcziaszwili. Kanczaweli ma nadzieję, że tak zostanie. Sama trzyma nerwy na wodzy, choć czasami chętnie pokazałaby niektórym Rosjanom, co o nich myśli. – Ale wtedy byłabym taką samą faszystką jak oni. Przemoc to nie rozwiązanie.*

Kanczaweli podejrzewa jednak, że w pewnym momencie cierpliwość Gruzinów może się skończyć. – *Tak naprawdę nie jesteśmy wściekli na Rosjan, ale na nasz rząd, który nie wprowadza żadnych obostrzeń, żadnych regulacji, nie broni interesu państwa i obywateli. Rosjanie robią tutaj, co chcą. Ale czemu się dziwić. Ten rząd nie jest nawet prorosyjski, to po prostu rosyjski rząd!*

Niektórzy obawiają się nawet, że tak liczna grupa Rosjan w Gruzji może zostać wykorzystana przez Putina – że pewnego dnia postanowi ich „wyzwolić”. Stąd dość powszechne opinie, że Rosjanie to piąta kolumna Putina w Gruzji. Ale Darcziaszwili nie jest aż tak krytyczna wobec nich. Rozmawiała z wieloma Rosjanami, którzy opowiadali się przeciwko rządowi Putina. Zaskoczyło ją to. Wydawało jej się, że mężczyźni uciekli, bo bali się poboru. – *Okazało się, że to był taki rozstrzygający moment. Wielu chciało wyjechać wcześniej, ale nie mogło, ze względu np. na chorych członków rodziny.*

Darcziaszwili widzi pojedyncze tragedie i cenę, którą płacą i Ukraińcy, i Rosjanie. Uważa, że obydwie strony są ofiarami rosyjskiego imperializmu. Ale dla Kanczaweli wszyscy Rosjanie są współwinni. – *Kraj świadczy o obywatelach. Jeżeli żyjesz w faszystowskim kraju, ponosisz za to odpowiedzialność. Zdaniem Kanczaweli wielu Rosjan próbuje tej odpowiedzialności unikać. A powinni ponieść konsekwencje swojej bierności. Tego, że nie zrobili absolutnie nic.* ■

W poszukiwaniu zielonej energii

CORAZ WIĘCEJ FIRM PRZECHODZI NA PRĄD POCHODZĄCY ZE ŹRÓDEŁ ODNAWIALNYCH. JEDNI ZMIENIAJĄ DOSTAWCÓW, A INNI SAMI INWESTUJĄ W WIATRANKI CZY FOTOWOLTAIKĘ.

Chociaż polską energię wciąż kojarzymy głównie z węglem, odnawialne źródła energii (OZE) systematycznie zyskują na znaczeniu. Jak wynika z danych Agencji Rynku Energii, w ubiegłym roku udział OZE w całkowitej produkcji energii w naszym kraju przekroczył 21 proc. Zdecydowanie najważniejsza w ramach OZE była energetyka wiatrowa (prawie 11 proc.), wyprzedzając fotowoltaikę (4,5 proc.) oraz sektor bioenergii, na przykład biogazownie (ponad 4 proc.). To oczywiście wciąż wyniki niezadowalające, bo średnio w Unii udział odnawialnych źródeł jest na poziomie dwa razy wyższym. Jednak warto docenić ogromny postęp, jaki Polska zrobiła w ciągu ostatniej dekady.

Poza tym przed nami z pewnością kontynuacja pozytyw-

nego trendu. Na Bałtyku będą powstawać ogromne farmy wiatrowe, a panele fotowoltaiczne na dachach domów jednorodzinnych stają się standardem. Przybywa także dużych farm fotowoltaicznych. Oczywiście tempo rozwoju odnawialnych źródeł energii mogłoby być jeszcze szybsze, gdyby nie zaniedbania i błędne decyzje ostatnich lat. Z dzisiejszej perspektywy zupełnie niezrozumiałe, bo nie ochronią one przecież prymatu energetyki węglowej, a dodatkowo ich skutkiem są dziś jedne z najwyższych hurtowych cen prądu w Europie.

Rozwój energetyki wiatrowej został spowolniony przez wprowadzenie w 2016 r. tzw. reguły 10H, zgodnie z którą nie można stawiać nowych wiatraków w odległości wynoszącej dziesięciokrotność ich wysokości od istniejących zabudowań. To wyjątkowo restrykcyjne jak na Europę

przepisy, które spowodowały praktycznie zatrzymanie rozwoju energetyki wiatrowej na lądzie. Dopiero w tym roku, pod naciskiem Unii Europejskiej, udało się nieco zliberalizować przepisy. Nowe zasady mówią o minimalnej odległości 700 m wiatraków od zabudowań. Wprowadzenie ich było jednym z warunków odblokowania środków przeznaczonych na Krajowy Plan Odbudowy. Niestety, nadal nie umożliwiono samorządom decydowania samodzielnie o zasadach energetyki wiatrowej, co pozwoliłoby uwzględnić specyfikę każdej gminy. I wolę jej mieszkańców, z których wielu wiatraków wcale się nie boi i chętnie by na nich zarabiało.

Z kolei problemem dla fotowoltaiki jest zbyt wolna modernizacja polskich sieci przesyłowych, nieprzystosowanych do tego rozwiązania. W efekcie wielu inwestorów długo czeka na przyłączenie swoich paneli albo musi wręcz odłożyć ich stawianie. Otrzymują bowiem od operatorów

decyzje odmowne. Natomiast moc działania istniejących paneli w słoneczne dni trzeba nierzadko sztucznie ograniczać, aby nie doszło do przeciążenia sieci. W efekcie fotowoltaika nie wykorzystuje w pełni swoich możliwości. Przekonują się o tym coraz częściej indywidualni inwestorzy, którzy zmienili dachy swoich domów w małe elektrownie. Niestety, działanie ich na sto procent możliwości może doprowadzić do niestabilności sieci, a w efekcie do uszkodzenia sprzętów w okolicznych gospodarstwach domowych.

Jednak mimo tych problemów odnawialne źródła energii będą z pewnością szybko zyskiwać na znaczeniu, o czym świadczy ciągły przyrost mocy dzięki nowym instalacjom. Ostatnie zawirowania pokazały, że są one już nie, jak kiedyś, najdroższą, ale najtańszą metodą produkcji prądu. W przeciwieństwie do paliw kopalnych nie trzeba bowiem płacić za sam surowiec – słońce, wiatr czy woda dostępne są za darmo. Nie trzeba ich też od nikogo importować,



Buduj odpowiedzialnie

SOLBET 
ROK ZAŁOŻENIA
1951



Już od ponad 10 lat Solbet opiera produkcję betonu komórkowego na energii wytworzonej przez własne turbiny wiatrowe o mocy 15 MW. Rocznie generują one więcej energii elektrycznej niż zużywają wszystkie zakłady Grupy Kapitałowej. Odpowiedzialność za środowisko naturalne wymaga ciągłego rozwoju i realizacji nowych, przyszłościowych inwestycji. Rok 2023 to dla Solbet kolejny wielki przełom na drodze do transformacji energetycznej. W naszym głównym zakładzie produkcyjnym ABK w Solcu Kujawskim uruchomiliśmy w pełni ekologiczną produkcję zielonego wodoru wraz ze stacją tankowania wózków widłowych i transportu ciężkiego. Umożliwi ona zagospodarowanie nadwyżek wyprodukowanej przez turbiny wiatrowe czystej energii odnawialnej i wykorzystanie jej do produkcji zielonego wodoru. W ten sposób staliśmy się pierwszą firmą w Polsce, która na miejscu wytwarza zielony wodór i wykorzystuje go do celów produkcyjnych, znacznie zmniejszając emisję CO₂. To absolutnie unikalna inwestycja i kolejny krok milowy w stronę nowoczesnej, odpowiedzialnej i proekologicznej gospodarki firmy.

www.solbet.pl

uwzględniać sankcje międzynarodowych czy negocjować z reżimami łamiącymi prawa człowieka.

Poza tym energetyka odnawialna nie musi się martwić karami za emisję dwutlenku węgla. Tymczasem koszty ponoszone przez elektrownie węglowe, olejowe czy gazowe w kolejnych latach będą rosły także z powodu coraz droższych certyfikatów uprawniających do emisji dwutlenku węgla. Ta strategia ma przyspieszyć rozwój odnawialnych źródeł energii, a jednocześnie ograniczać znaczenie energetyki opartej na paliwach

Ofiarą gigantycznego wzrostu cen prądu padły w Polsce przedsiębiorstwa, które nie mogły liczyć na taką ochronę jak gospodarstwa domowe. Ogromny wzrost wydatków na energię elektryczną, niezbędną przecież przy wielu procesach produkcyjnych, spowodował wzrost zainteresowania źródłami odnawialnymi. Motywacja jest zresztą podwójna. Chodzi z jednej strony o kontrolę kosztów, a z drugiej o korzyści wizerunkowe. Zielona energia jest nie tylko tańsza od tej z paliw kopalnych, ale też jej ceny są dużo bardziej przewidywalne. Poza

do neutralności klimatycznej. Nie jest to już dziś żaden wyróżnik, a raczej standard. Kto tego nie zaakceptuje, ten łatwo może stracić klientów i partnerów biznesowych. Wiele przedsiębiorstw, zwłaszcza tych notowanych na giełdzie, zastrzega bowiem, że preferuje współpracę z tymi, którzy wyznają podobne wartości. – *Świat zmienia się na naszych oczach, a wraz z nim preferencje i wymagania naszych klientów. Do budowy przewagi konkurencyjnej, nowoczesne przedsiębiorstwa muszą zrobić dziś pierwszy krok w kierunku redukcji śladu węglowego*

krok w kierunku Naturalnie Zielonej przyszłości i czystego świata – podsumowuje Grzegorz Lot, wiceprezes firmy Polenergia Sprzedaż.

Pytanie, jak firmy mogą przejść na zieloną energię? Nie ma oczywiście jednego, uniwersalnego sposobu. Zwłaszcza w przypadku sektorów energochłonnych dobrym rozwiązaniem jest inwestycja we własne źródła odnawialne. Najczęściej są to farmy wiatrowe i instalacje fotowoltaiczne. – *Przemysł, planując inwestycje w OZE, może korzystać z nowych instrumentów, jakie daje mu ustawa o zagospodarowaniu przestrzennym. Chodzi o tzw. zintegrowane plany inwestycyjne na obszarach przemysłowych, jak i o linie bezpośrednie, dzięki którym można realizować inwestycje w OZE także w otulinach swoich działek i dostarczać energię bezpośrednio do zakładów lub do lokalnej sieci operatorskiej. Wiele zakładów przemysłowych ma potencjał ekonomiczny, własne sieci i kompetencje energetyczne, w tym służby odpowiedzialne za bilansowanie i kontraktowanie energii* – wyjaśnia Grzegorz Wiśniewski, prezes zarządu Instytutu Energetyki Odnawialnej. Dodaje on, że według analiz Instytutu na terenach przemysłowych można zlokalizować elektrownie wiatrowe o łącznej mocy nawet jednego gigawatu. I to przy uwzględnieniu nowej, wciąż restrykcyjnej zasady zachowania 700-metrowej odległości turbiny od zabudowań mieszkalnych.

Dzisiaj firmy, które od dawna mają długofalową strategię inwestowania w zieloną energię, zbierają owoce swojego zaangażowania. – *Już w 2009 r. jako pierwszy producent materiałów budowlanych w Polsce zainwestowaliśmy we własne turbiny wiatrowe, które zostały uruchomione przy naszym zakładzie w Solcu Kujawskim. Kolejne turbiny, z uwagi na skomplikowany proces uzyskiwania pozwoleń na budowę, były uruchamiane w latach 2010–13, aż do uzyskania łącznej nominalnej*



Budynki Uniwersytetu Bocconi w Mediolanie z fotowoltaiką na dachach.

kopalnych, przyczyniającej się do dramatycznych zmian klimatycznych. Do listy problemów trzeba dodać zupełnie dziś nieprzewidywalne ceny gazu, węgla czy ropy. Inwazja rosyjska na Ukrainę całkowicie zdestabilizowała rynek energii na naszym kontynencie, oparty w istotnej mierze na gazie, który musimy teraz sprowadzać w ogromnych ilościach w formie ciekłej (przez gazoporty jak w Świnoujściu). A sprzedawcy takiego gazu oczywiście wykorzystują okazję do zwiększenia swojego zarobku.

tym korzystanie z niej staje się jednym z elementów etycznego biznesu. Często używany angielski skrót ESG (Environmental, social, and corporate governance) oznacza zestaw standardów składających się na ekologiczną, społeczną i korporacyjną odpowiedzialność. Korzystanie z odnawialnych źródeł energii świetnie wpisuje się w takie zasady.

Trudno dzisiaj prezentować się jako nowoczesne i odpowiedzialne przedsiębiorstwo, a jednocześnie nie robić nic w celu obniżenia swojego śladu węglowego czy dążenia

i neutralności klimatycznej. Przekształcenie firmy w całkowicie Zieloną to absolutny „must have”, aby w dzisiejszym świecie pozyskać klientów, środki finansowe na rozwój czy uruchomić sprzedaż na terenie Unii Europejskiej. Koniec roku to dla firm okres planowania kolejnego budżetu, a wraz z nim – zakupu energii. Zasilenie firmy całkowicie czystą, zieloną energią wyprodukowaną w odnawialnych źródłach to dzisiaj absolutny priorytet. Tym bardziej że jej cena nie odbiega od ceny energii konwencjonalnej. To pierwszy



NATURALNIE ZIELONA ENERGIA DLA TWOJEJ FIRMY

W STANDARDZIE ENERGIA 2051

Stabilne ceny
z gwarancją nawet do 5 lat



Gwarancje
pochodzenia



Prosta umowa



100% on-line



To jest właśnie ten moment, by dokonać
wyboru odpowiedniego produktu.
Wybierz rozwiązanie najlepsze
dla Twojej FIRMY.



Smart CPPA

Gwarancja ceny
do końca 2028 roku



AII INCLUSIVE

Umowa nawet
na 3 lata

ZADZWOŃ:

+48 718 898 888

Sprawdź:
www.polenergia-sprzedaz.pl

mocy 15 megawatów. Obecnie na terenie województwa kujawsko-pomorskiego czynnych jest już 17 turbin wiatrowych. Inwestycja ta od samego początku miała na celu uczynienie produkcji naszego betonu komórkowego jeszcze bardziej ekologiczną. Już na etapie planowania założyliśmy, że produkcja zielonej energii będzie docelowo pokrywała zapotrzebowanie na energię elektryczną całej Grupy Kapitałowej. Tak też się stało. Kiedy w roku 2022 wiele firm borykało się z szalejącymi cenami nośników energii, zapotrzebowanie na prąd w Grupie Kapitałowej Solbet zostało w 105 proc. pokryte przez zieloną energię z turbin wiatrowych. Kolejnym krokiem było uruchomienie w październiku bieżącego roku instalacji wytwarzania zielonego wodoru na terenie głównego zakładu w Solcu Kujawskim – mówi Łukasz Małeczki, prezes firmy Solbet.

Farmy wiatrowe czy fotowoltaiczne pozwalające produkować energię na własne potrzeby to zresztą tylko pierwszy etap. Energetyka odnawialna przy wszystkich swoich zaletach ma jedną, istotną wadę. Jest uzależniona od warunków pogodowych – może się zatem zdarzyć, że produkcja prądu jest za duża lub za mała w stosunku do bieżących potrzeb. Ta druga sytuacja dotyczy zwłaszcza okresów jednocześnie bezwietrznych i pochmurnych. Te niedogodności łagodzą magazyny energii, w których baterie

ładowane są w czasie nadmiarowej produkcji energii, a następnie wykorzystywane w zależności od potrzeb. Jednak przyszłość z pewnością należy do wodoru. Przede wszystkim tego zielonego, czy produkowanego dzięki energii pochodzącej z odnawialnych źródeł. Wodór prawdopodobnie stanie się główną formą magazynowania nadwyżek energii i wykorzystywania ich w procesach produkcyjnych. Wydaje się, że to ważny element transformacji gospodarczej na wielką skalę, prowadzącej do rezygnacji z paliw kopalnych. Ten nadrzędny cel wymaga nie tylko znacznego zwiększenia mocy OZE, ale też magazynowania i transportowania energii do miejsc, gdzie bieżąca produkcja będzie za mała w stosunku do potrzeb.

Do takich inwestycji warto przygotowywać się już teraz, na przykład tworząc instalacje produkcji wodoru przy nowych farmach wiatrowych. Dzięki wodorowi zniknie problem wahań w produkcji prądu z wiatru, słońca czy nawet wody. Dzisiaj ta niepewność zmusza nawet kraje dużo bardziej zaawansowane od Polski w rozwoju OZE do utrzymywania dużych rezerw w elektrowniach konwencjonalnych, przede wszystkim gazowych. Tymczasem nasz kontynent skazany jest na import gazu, a zastępowanie surowca rosyjskiego pochodzącym z Kataru czy Stanów Zjednoczonych spowodowało gwałtowny wzrost kosztów, tak destabilizujący

rynek produkcji energii. To wodór ma szansę zapewnić neutralność klimatyczną sektorom gospodarki dzisiaj odpowiedzialnym za bardzo dużą emisję dwutlenku węgla. Co ważne, wodór można wykorzystywać nie tylko do zasilania maszyn, ale także na przykład w środkach transportu jak wózki widłowe czy ciężki sprzęt budowlany.

Oczywiście nie wszystkie firmy mogą zdecydować się na budowę własnych źródeł energii. Często, z uwagi na mniejszą skalę działalności lub stosunkowo niewielkie zużycie prądu, nie jest to opłacalne. Do tego przeszkody biurokratyczne, jakie trzeba pokonać, oznaczają, że dostęp do zielonej energii może być możliwy dopiero za kilka lat od rozpoczęcia procesu inwestycyjnego. Na szczęście jest też dużo szybsze i łatwiejsze rozwiązanie – to zmiana dostawcy energii na takiego, który sam sprzedaje prąd powstający dzięki odnawialnym źródłom. Fachowo mówimy w takiej sytuacji o kontraktach PPA (Power Purchase Agreement). Warto w takim kontekście zwrócić uwagę na nowych graczy. – *Niezależni operatorzy farm fotowoltaicznych i wiatrowych, oferując energię bezpośrednio odbiorcom przemysłowym, działają na rzecz obniżenia cen w całym systemie energetycznym, gdyż wprowadzają prywatną konkurencję wobec państwowych, zasiedziały dostawców, zazuyczaj czarnej*

energii, czyli tej produkowanej ze spalania węgla – mówi Grzegorz Wiśniewski z Instytutu Energetyki Odnawialnej.

Sam proces zmiany dostawcy energii przebiega tak samo, bez względu na to, z jakich źródeł firma sprzedająca swój prąd pozyskuje. Natomiast w przypadku wyboru zielonej energii warto sprawdzić, jakimi certyfikatami dysponuje dostawca i czy na pewno może on udowodnić, że oferowany przez niego prąd powstaje w sposób zeroemisyjny. Co zyskuje odbiorca, decydujący się na nowego, przyjaznego środowisku dostawcę? Przede wszystkim stabilność i przewidywalność, bo nie musi się martwić zmianami cen prądu w trakcie trwania umowy. Poza tym wymierne oszczędności, ponieważ już dzisiaj energetyka odnawialna jest nieco tańsza od konwencjonalnej (czyli z paliw kopalnych), a ta różnica z pewnością będzie rosła. Wreszcie korzyści wizerunkowe, bo używanie zielonej energii to nie tylko najlepsze świadectwo odpowiedzialności za planetę, ale też dowód na dobrą organizację i wiarygodność przedsiębiorstwa.

Jeszcze jedną opcją dla firm jest rozwiązanie hybrydowe – połączenie zmiany dostawcy prądu z produkcją zielonej energii na mniejszą skalę. W tym celu można na przykład wykorzystywać dachy budynków biurowych czy hal magazynowych, jeśli nadają się one jako miejsce instalacji paneli fotowoltaicznych. Natomiast prąd potrzebny ponad własną produkcję kupuje się od zewnętrznego dostawcy, który zobowiązał się do sprzedaży zielonej energii. Taka transformacja wymaga oczywiście czasu i można ją przeprowadzać etapami. Ważne, aby każda firma miała opracowany konkretny plan uniezależnienia się od energii z paliw kopalnych. Bo chociaż dziś w takich krajach jak nasz wciąż ona dominuje, nie miejmy złudzeń: odwrót od niej już się zaczął i będzie coraz szybszy. Kto o tym zapomni, ten straci najwięcej.

CEZARY KOWANDA



POSZERZAMY HORYZONTY



Naukowe miesięczniki **POLITYKA**

Listopadowe numery już w kioskach i na sklep.polityka.pl
Prenumerata cyfrowa obu tytułów: projekt.pulsar.pl

Skąd się wzięliśmy? Część badaczy szuka odpowiedzi w genach, ale wygląda na to, że istotny jest tu raczej niewyszukany styl życia. Na tyle atrakcyjny, że rozprzestrzenił się po Europie niczym wirus.

Słowianin z przypadku

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Pierwszym Słowianinem był prorok Jafet – tak tłumaczono pochodzenie tego zagadkowego ludu w średniowieczu. Gdy w XIX w. pojawiły się państwa narodowe, ważne było wzmocnienie rodzącego się poczucia wspólnoty. Biblijna wersja wydawała się niewystarczająca, więc w poszukiwaniu korzeni słowiańskości wprzęgnięto naukę. Dla pozostających pod zaborami Polaków długowieczny rodowód był szczególnie ważny – pełna bohaterów i zwycięstw przeszłość miała stanowić powód do dumy, budować tożsamość polityczno-społeczną i konkurować z mitami niemieckich zaborców.

Niestety ustalenie początków słowiańskich procesów kulturowo-cywilizacyjnych okazało się arcytrudne. Ci bowiem, którzy byli ich świadkami, nie zdali sobie nigdy sprawy, że żyją

w wiekopomnych czasach – czyli pierwszy Słowianin nie wiedział, że nim jest. Mity dotyczące wszelkich początków powstają po dekadach, a nawet wiekach. Kiedyś wierzono, że pobrzmiewają w nich echa autentycznych wydarzeń, dziś historycy doszukują się najwyżej wskazówek kulturowo-ideowych.

Słowianie są przypadkiem szczególnie trudnym do badania. Po pierwsze, nie znali pisma, więc o ich początkach można dowiedzieć się jedynie z mitów i przekazów słabo zorientowanych sąsiadów, którzy w dodatku pisali głównie o rubieżach słowiańszczyzny. Po drugie, zostawili po sobie wyjątkowo mało materialnych śladów. To pozwalało puścić wodze fantazji wszystkim „potomkom” Jafeta, z których każdy chciał widzieć kolebkę słowiańszczyzny u siebie. Polacy przekonywali, że jest nią dorzecze Odry i Wisły, czego potwierdzeniem miało być odkrycie Biskupina. Niestety, okazało się, że jego budowniczy nie mieli nic wspólnego ze Słowianami, których kultura pojawiła się u nas dopiero w końcu V w. nad Sanem. Wtedy hipotezę



ILUSTRACJA MIROSŁAW GRYŃ

autochtoniczną zastąpiła allochtoniczna, czyli zakładająca późne przybycie naszych przodków z kolebki gdzieś na wschodzie. Dziś większość naukowców skłania się ku drugiej teorii. Pojawiło się jednak trzecie rozwiązanie zagadki.

Kultura z wyboru

Nie ma genu słowiańskości, występują co najwyżej pewne zestawy mutacji typowe dla współczesnych mieszkańców różnych państw słowiańskich. W tym zestawie za ważny wyznacznik uchodzi wzór mutacji występujących na chromosomie Y, które mężczyźni dziedziczą po ojcu. U Słowian jest to najczęściej haplogrupa R1a, która ma wiele odmian – jedne częściej występują u mieszkańców północy, inne w Europie Środkowej, jeszcze inne w Południowej. Zbadanie, jakie genomy mieli ludzie mieszkający w przeszłości między Odrą a Bugiem, nie jest łatwe, ponieważ większość ich społeczności stosowała kremację. Ciała palili w I tys. p.n.e. budowniczo Biskupina z kultury łużyckiej, na początek naszej ery przedstawiciele łączonej z germańskim żywiołem kultury przeworskiej i pierwsi Słowianie. Prochy zmarłych wsypywali do prostych jam, ale jest ich u nas tak mało, że musiały istnieć jeszcze inne niepozostawiające śladów praktyki sepulkralne. Pochówki szkieletowe (inhumacje) pojawiły się u nich dopiero po chrzcie.

Genetycy z Poznania postanowili więc porównać DNA zmarłych pochowanych między X a XIII w. na 22 cmentarzach z DNA ludzi z grobów szkieletowych z 5 nekropolii kultury wielbarskiej, ostatniej przed pojawieniem się Słowian, praktykującej też inhumację.



Archeolodzy od dawna identyfikują ją z przybyłymi ze Skandynawii na przełomie er Gotami. Analizy próbek przeprowadzone przez zespół prof. Marka Figlerowicza potwierdziły tę hipotezę – w DNA jądrowym „wielbarczyków” z cmentarza w Pruszczu Gdańskim występowały haplogrupy Y typowe dla ludzi z północy.

To nie wszystko, co można wyczytać w artykule opublikowanym w lipcu w „Genome Biology”. Ponieważ migranci nie przywieźli swoich kobiet, wchodzili w związki z miejscowymi, z lokalnym zestawem genów, ale byli inkluzywni, ponieważ wraz z posuwaniem się na południe na ich cmentarzyskach zaczęli się pojawiać mężczyźni z nowymi odmianami haplogrupy R1a. W rezultacie ludzie pochowani w IV w. w Masłomęczu koło Hrubieszowa – na najmłodszej z badanych wielbarskich nekropolii – mieli już wszystkie elementy genetyczne potrzebne do powstania populacji, która w średniowieczu mieszkała na terenie ziem polskich. – *Oznacza to, że po IV w. nie musiało dojść do żadnego wielkiego napływu ludzi z nowymi genami, a Słowianie nie stanowili jakiejś jednorodnej genetycznej grupy, tylko byli ludźmi o różnym pochodzeniu, których w połowie I tys. połączył wspólny język i kultura. Słowiańskość była zatem wyborem kulturowym i dlatego mieszkańcy ziem polskich mogli być genetycznie bardziej podobni do Szwedów, Duńczyków czy północnych Niemców niż do Serbochorwatów* – mówi prof. Figlerowicz.

Analizy te nie wzbudziły w środowisku specjalnego entuzjazmu. Zdaniem jednych potwierdziły tylko badania genetyczne wykonane przed laty w Masłomęczu. Według innych wykazały jedynie „gockość” wielbarczyków oraz „słowiańskość” mieszkańców ziem polskich w XI–XIII w. A już na pewno nie przesądziły o tym, że po IV w. nie doszło jednak do „napływu świeżej krwi”. Prof. Przemysław Urbanička, badacz początków polskiej państwowości, jednak ucieszył.

– *Od dawna twierdzą, że słowiańskość nie jest zapisana w genach. Według mnie nie ma sensu szukać żadnej kolebki Słowian, bo są oni „produktem” przypadku dziejowego oraz tego, że ludzie ci potrafili obniżyć poziom życia do absolutnego minimum, dzięki czemu przetrwali potężny kryzys połowy I tys. wywołany zmianami klimatu i kolejnymi epidemiami* – mówi badacz początków polskiej państwowości i zapowiada artykuł na ten temat w najbliższym wydaniu „Archeologii Polski”.

W oczekiwaniu na nie można sięgnąć po wydaną właśnie książkę „Cywilizacja Słowian. Prawdziwa historia największego ludu Europy”. Której autor Kamil Janicki też przekonuje, że słowiańskość to nie geny, a sposób życia.

Władza w prosku

Historyk, popularyzator i autor poczytnych książek o historii Polski, w sposób prosty i klarowny wyjaśnia, kim byli Słowianie, jak żyli i w jaki sposób się organizowali, zanim zaczęli tworzyć państwa. – *Nie pisałem „Cywilizacji...” dla tych, którzy chcą się moralnie lub narodowo podbudować, tylko dla tych, którzy są ciekawi, co na temat naszych przodków mówią źródła historyczne i archeologiczne* – mówi Janicki.

Podążanie za nimi sprawia, że padają kolejne mity, które narastały wokół Słowian od XIX w. Nawet jeśli czytelnik pogodzi się z tym, że autentyczność słynnego Światowida ze Zbrucza jest wątpliwa, a marzenia o słowiańskich runach podsypane były przez sfabrykowane odkrycia, poważniejszego zawodu dozna, gdy sobie uświadomi, że o religii Słowian zamieszkujących nasze ziemie wiadomo tyle co nic.

Wizja autorstwa Aleksandra Gieysztor, którego mitologia słowiańska roi się od bogów i bogiń, powstała na założeniu, że wszystkie religie są do siebie podobne, więc luki w wiedzy o wierzeniach naszych przodków można dowolnie uzupełniać, ►

► czerpiąc z wierzeń Germanów czy Greków. A białych plam jest mnóstwo – dane o duchowości i kultach Słowian są skąpe, późne i dotyczą tylko rubieży słowiańszczyzny, jak pochodzący z XIII w. przekaz duńskiego kronikarza Saxo Grammaticusa o bogach i kultach Słowian z Rugii, którzy byli już wówczas pod silnym wpływem chrześcijaństwa.

Chrześcijańską genezę mogło mieć aż 8 słowiańskich bogów, jak czczony na Pomorzu Trzygłów, który być może stanowi odpowiedź na koncepcję idei Trójcy Świętej, czytamy w „Cywilizacji Słowian”. – *Zarówno kronikarze, jak i badacze mieli skłonność do przekładania znanych z chrześcijaństwa wzorców na religię Słowian, stąd przekonanie, że też musieli mieć kapłanów czy świątynie* – mówi Janicki. – *A ja zgadzam się z mediewistą dr. Dariuszem Sikorskim, według którego wśród pozostałości wczesnej słowiańszczyzny nie ma ani jednej budowli, którą z pewnością moglibyśmy określić mianem świątyni, bo poza większymi gabarytami niektórych struktur nic na to nie wskazuje.*

Co w takim razie wiemy o władzy? Wierzących w istnienie Wielkiej Lechii najbardziej zawiedzie właśnie jej poświęcony rozdział książki Janickiego. Nie ma w nim nic o powstawaniu kolejnych państw słowiańskich (poza zdementowaniem mitu „pierwszego państwa” założonego przez frankijskiego kupca Samo), nie ma imion władców ani nazw plemion, których istnienie w ogóle podawane jest w wątpliwość. Wydaje się – pisze historyk – że Słowianie byli zbyt zatamizowani, aby mieć jeden ustrój polityczny. Znali raczej różne formy ludowładztwa – jedne grupy były bardziej demokratyczne, w innych słuchano starszyzny. Ale mogły być i takie, w których mniej lub bardziej twardą ręką rządzący jacyś władcy. Wszystkich Słowian łączyła nie polityka, tylko ciepłota, ręcznie lepione garnki i półziemianki.

Prostota w cenie

Ceramiczne naczynia, których fragmenty są najpoważniejszym śladem po naszych przodkach, trudno podziwiać za urodę, ale ważniejsze było to, że mógł je zrobić każdy i wszędzie. To samo dotyczyło półziemianek – prostych konstrukcji, które wznoszono zapewne w przeciągu kilku dni. Chociaż w takim szałasie ciepło z paleniska uciekało przez strzechę, dało się w nim żyć nawet w zimie. – *Składające się z kilku chat wczesnosłowiańskie osady były całkowicie autarkiczne i egalitarne, a mieszkający w nich ludzie żyli w pełnej symbiozie z naturą* – podkreśla prof. Urbańczyk.

Słowianie w przeciwieństwie do wcześniejszych mieszkańców naszych ziem (m.in. Gotów) nie mieli kontaktów ze światem zewnętrznym, nie sprowadzali srebra ani żelaza, stąd brak metalowych ozdób czy broni. Jeśli z kimś handlowali, to na zasadach barteru. Prof. Andrzej Buko, archeolog zajmujący się wczesnym średniowieczem, w decentralizacji, braku ozdób oraz prostym budownictwie widzi traperską siermiężność „ludzi w drodze”. Bo Słowianie opuszczali swoje osady co kilkanaście lat, zapewne wtedy, gdy ich ekspansywna gospodarka doprowadzała do wyjałowienia okolicznych gleb i wytrzebienia lasów.

Wraz z rozprzestrzenianiem się ich kultura zaczynała się różnicować, co można tłumaczyć tym, że przyjmowali te elementy wiedzy i praktyk, które lepiej się sprawdzały w danym regionie. Dlatego na Pomorzu nie ma półziemianek, a ceramika to kontynuacja starych regionalnych tradycji. – *Fakt, że Słowianie rozlali się po wielkiej części Europy, nawet w fachowej literaturze tłumaczy się tym, że zaczęli się nieprzytomnie mnożyć. Szacuje się, że między 500 a 1000 r. ich liczba wzrosła z 300 tys. do 6–7 mln. Jest nieprawdopodobne, by taka dzietność mogła mieć miejsce wśród ludzi, którzy żyli w ekstremalnych warunkach, i jedyną wytłumaczenie, jakie znajdują dla tego skoku demograficznego, to asymilacja kultury słowiańskiej przez różnych mieszkańców*

kontynentu. Plastyczność, prostota i samowystarczalność sprawdziły się w trudnej rzeczywistości i dawały wolność, a to było wówczas atrakcyjne – przekonuje Janicki.

Więź w języku

Choć w powszechnym przekonaniu Słowianie to wielcy budowniczości otoczonych wysokimi wałami grodów, te konstrukcje pojawiają się późno i nie wszędzie. Najwięcej jest małych gródków na kilka chat – choć są i większe z kilkoma podgrodziami, jak Trzcinica koło Jasła, wzniesiona ok. 770 r. Ich funkcja jest przedmiotem kolejnego sporu. Mówi się, że mogły służyć jako siedziby wodzów, targowiska albo miejsca wieców czy odprawiania kultów. Według prof. Marka Jankowiaka z University of Oxford mogły być etapowymi obozami, w których trzymano niewolników przewożonych z północy na południe. – *To dlatego w Wielkopolsce wystarczały gródki, bo spławiano w dębaniach po 20 osób, a w Małopolsce, gdzie złapanych w niewolę gnano łądem w liczniejszych grupach, potrzebne były większe warunki. Nawet jeśli tak nie było, to handel ludźmi leżał u podstaw powstawania państw Przemyślidów i Piastów, które u zarania przypominały organizację przestępczą, siłą ściągającą haracze, porywającą i sprzedającą ludzi. Jednak niezależnie od tego, jakie zadanie miały grody, nie mogą stanowić wyznacznika słowiańskości, bo z początku ich nie było* – podkreśla Janicki.

Wraz z rozlewaniem się słowiańskiej idei po całą Europie dochodziło do coraz większego jej różnicowania pod wpływem odmiennych warunków środowiskowych, klimatycznych i politycznych. Dlatego Słowianin zamieszkujący ziemie polskie różnił się od Słowian na Bałkanach nie tylko fizycznie, ale też stylem życia. Racją jest – jak czytamy w „Niesamowitej Słowiańszczyźnie” Marii Janion – że pogańska słowiańskość tkwi głęboko w polskiej podświadomości, kształtując nasze lęki i fantazmaty oraz wpływając na to, jak postrzegamy siebie i świat, ale panslawistyczna wspólnota to mityczny wytwór XIX w. Tym, co naprawdę łączy wszystkich Słowian poza tym mitem, jest język.

Podobieństwo języków słowiańskich to silna przesłanka, że różnicowanie się tej grupy językowej rozpoczęło się stosunkowo niedawno. Lingwiści wykorzystujący modelowanie komputerowe twierdzą wręcz, że mogło do tego dojść ok. IV w., co pasuje do badań prof. Filgerowicza. Jednak prof. Urbańczyk jest sceptyczny. – *Najstarsze teksty słowiańskie pochodzą z X w., a paleolingwistyka to spekulacja, zwłaszcza jeśli polega na łączeniu genów z językami, bo geny, język, kultura materialna i poczucie etniczności to cztery różne sfery, które mogą się zająć na różne sposoby, ale nie muszą. Moim zdaniem olbrzymia kariera języka słowiańskiego w Europie to też dzieło przypadku i zasługa Awarów, którzy wypromowali go w swoim imperium na język komunikacji. Nie jest to jedyny taki przypadek w dziejach. Podobnie było w zachodniej Afryce z karierą suahili, który wybrali spośród wielu innych języków Hindusi, a potem Anglicy, czy z keczua, który w Peru wypromowali Hiszpanie.*

Pomysł, by o karierze naszych przodków myśleć w kategoriach dziejowego przypadku, jest stosunkowo nowy i być może dla wielu kontrowersyjny, ale zasadny. Fakt, że kultura Słowian była tak ekstremalnie prymitywna, może być trudny do przełknięcia dla tych, którzy chcą z historii czerpać dumę. Ale z drugiej strony to właśnie ta prostota stanowiła jej siłę, sprawdzając się w trudnych okolicznościach – co czyniło ją atrakcyjną. W sumie to dobra wiadomość, że nasi przodkowie przetrwali największy kryzys dzięki rezygnacji z wszelkich wygód i udogodnień. Gdy znów nadejdą ciężkie czasy, będziemy skłonni zrobić to samo?

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Więcej o Słowianach i książce Kamila Janickiego w podkaście **pulsar nadaje** od piątku, 10 listopada na projekt.pulsar.pl/podkast.

NOWY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY

DWIE OKŁADKI DO WYBORU



WYDANIE KUPISZ TAKŻE
Z PRZEWODNIKIEM
DLA RODZICÓW



ZAPLANUJ **2024** ROK ZE ZWIERCIADŁEM



Zamiast strachu

Z CUKRZYCĄ ZMAGA SIĘ W POLSCE TRZY MILIONY OSÓB. OTO NA CZYM SKUPIA SIĘ WSPÓŁCZESNA DIABETOLOGIA, BY ŁATWIEJ BYŁO POSKROMIĆ TĘ PODSTĘPNĄ CHOROBE.

Wiele dowodów wskazuje na to, że cukrzyca to coś więcej niż dysfunkcja trzustki i podwyższenie poziomu glukozy we krwi, co ma ogromne implikacje dla leczenia.

Leczenia? Powinniśmy raczej używać słowa „monitorowanie”, bo jeśli chory opanuje sztukę kontrolowania stężeń cukru, będzie mógł ustrzec się komplikacji.

Dlatego każdy pacjent, niezależnie od wieku, już na pierwszej wizycie słyszy od diabetologa, że musi stosować się do zaleceń, aby w przyszłości uniknąć zawału serca, nie oślepnąć, nie utracić funkcji nerek ani nie mieć amputowanej stopy. W ten odroczone wyrok trudno niektórym uwierzyć, ale w porównaniu z tym, jak wyglądała sytuacja 20 lat temu i co wówczas oferowano, aby zapobiec tym powikłaniom, dzisiejsze możliwości są o wiele lepsze. Dziś na tyle łatwo udaje się utrzymać poziom cukru w ryzach, że według lekarzy za trzy-cztery dekady niemal całkowicie uda się zredukować sercowo-naczyniowe następstwa cukrzycy. Aby tak się stało, większość pacjentów trzeba byłoby wyposażać w systemy ciągłego monitorowania glikemii (tzw. CGM – z ang. *continuous glucose monitoring*) i upowszechnić – w sytuacjach, kiedy to konieczne – długodziałające analogi insuliny. Dzięki nim można mieć doskonale wyrównany poziom glikemii, co jest gwarancją zachowania w dobrym stanie nerwów oraz śródbłonna naczyń: w sercu, nerkach i siatkówce oczu.

Są tylko trzy rodzaje komórek – erytrocyty, neurony oraz wyściełające wspomniane śródbłonek – które jako jedyne nie potrzebują insuliny



© SHUTTERSTOCK

do wchłonięcia glukozy. Dlatego gdy jest jej we krwi zbyt dużo, bo np. szwankuje aktywność trzustki (skąd organizm powinien czerpać insulinę), to glukoza swobodnie przedostaje się do komórek i wywołuje tam poważne szkody. – *Kiedy śródbłonek zaczyna zalewać glukoza, jego komórki obumierają, a ich ściany stają się chropowate. To właśnie prowadzi do zakrzepów i miażdżycy* – tłumaczy prof. Leszek Czupryniak, kierownik Kliniki Diabetologii i Chorób Wewnętrznych Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego. Wtedy ryzyko zawałów serca i udarów mózgu wzrasta czterokrotnie. A amputacje stóp zdarzają się 12 razy częściej niż w populacji ogólnej.

Przy dobrym monitorowaniu cukrzycy powikłania w ogóle nie powinny się zdarzać. Jak powiada prof. Czupryniak, sprowadza się ono do zarządzania informacją: – *Im pacjent więcej wie, jak dostosować dietę lub aktywność do swojej glikemii, i potrafi sam regulować leczenie, tym lepiej prowadzi samokontrolę.*

Pierwsze aparaty służące do pomiaru poziomu cukru podawały na ekranie tylko sam wynik – pacjent go notował i lekarz mógł ocenić, jakie są efekty leczenia. Nowoczesne glukometry to dziś przystawki do telefonów komórkowych, na które pacjent ściąga aplikację do obsługi samokontroli. Wszystkie pomiary gromadzone są w smartfonie, skąd może je przesłać bezpośrednio do osoby nadzorującej leczenie. Są też aparaty z wbudowanym dodatkowym wejściem na paski służące do pomiaru poziomu cukru – wtedy nawet glukometr nie jest już potrzebny. Ale jeszcze wygodniejsze okazały się podskórne systemy ciągłego monitorowania glukozy, które można zintegrować z osobistymi pompami insulinowymi, automatycznie dozującymi jej dawki dostosowane do potrzeb.

Oczywiście nie wszyscy pacjenci muszą korzystać z takich pomp, które sprawdzają się u osób wymagających tzw. intensywnej insulinoterapii (dawniej wielokrotnych

wstrzyknięć insuliny w ciągu dnia). Ale systemy CGM są dziś tak zróżnicowane, że można wybrać odpowiedni model dla pacjenta, który używa tradycyjnego wstrzykiwacza (tzw. pena). Główną zaletą jest bowiem to, że pomiar stężenia glukozy odbywa się cały czas i użytkownik ma wgląd, jak glikemia będzie się zmieniać o różnych porach dnia. Może więc reagować z wyprzedzeniem, wyplaszczając krzywą i nie doprowadzając do szkodliwych stanów niedocukrzeń lub hiperglikemii (o takiej sytuacji informuje go generowany przez aplikację system dźwiękowy).

Trzeba oczywiście pamiętać, że systemy CGM oznaczają glukozę w płynie śródtkankowym, a nie we krwi, jak tradycyjne glukometry, więc choć aparaty te wychodzą powoli z mody (przynajmniej u młodego pokolenia), zawsze mogą okazać się niezbędne by raz na jakiś czas porównać uzyskiwane wyniki. Wszystkie badania pokazują jednak, że korzystający z systemów ciągłego monitorowania

należą do grupy z najbezpieczniejszymi poziomami glukozy. – *To najczęściej młodzi ludzie, otwarci na nowe technologie i zmotywowani do dobrego leczenia, by mieć glikemię idealnie wyrównaną* – chwali prof. Małgorzata Myśliwiec, kierownik Katedry i Kliniki Pediatrii, Diabetologii i Endokrynologii Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego.

Ustabilizowanie poziomu cukru to kluczowy element samokontroli, ale nie wystarczający do zabezpieczenia chorego przed powikłaniami. Równie ważna jest normalizacja masy ciała, ponieważ wśród osób z cukrzycą typu 2 trudno znaleźć szczupłych – a nadwaga nie tylko stymuluje rozwój choroby, ale też pogarsza jej przebieg. Otyłym potrzeba większej ilości insuliny do spalania glukozy. Komórki trzustki starają się nadażyć z podażą, ale w końcu nie dają rady i niczym wycieńczony wysiłkiem biegacz

padają z wyczerpania – wtedy dalsza produkcja hormonu gwałtownie wygasa, dając początek pełnoobjawowej cukrzycy lub przyspieszając wspomniane powikłania.

– *Dlatego żeby mieć tę chorobę pod kontrolą, warto schudnąć* – nie ma wątpliwości prof. Czupryniak. Do tej pory nie było to proste, ale dzięki analogom inkretyn, a szczególnie produkowanego w jelicie cienkim glukagonopodobnego peptydu-1 (GLP-1) stało się to możliwe – mowa o semaglutydzie i podobnych tego typu związkach, które przebojem wdarły się na listę leków odchudzających. Początkowo były wskazane tylko u otyłych z cukrzycą, bo nie tylko ułatwiają spadek wagi (ponieważ ograniczają łaknienie), ale równocześnie obniżają stężenie glukozy we krwi i robią to na tyle łagodnie, że nie pojawia się ryzyko niedocukrzeń.

Niedawne badania semaglutydu wykazały, że działa on także ochronnie na serce,

ponieważ zmniejsza ryzyko zawału, udaru i zgonów z powodów kardiologicznych. Nie byłby to pierwszy lek, który początkowo dobrze przyjęty w diabetologii, okazałby się przydatny w innych dziedzinach. Stara metformina, której początki stosowania sięgają lat 70. XX w., jest jednym z masowo stosowanych leków w cukrzycy, ale wykorzystuje się ją też np. w terapii policytycznych jajników (przywraca bowiem u tych chorych owulację, wyrównuje cykle, zmniejsza hiperandrogenizm), bada się jej zalety przeciwnowotworowe, a nawet spowalniająca starzenie.

Dużo nowszym przykładem uniwersalnych leków przeciwcukrzycowych są tzw. flozyny – odkał zmniejszają o 20–40 proc. ryzyko powikłań sercowo-naczyniowych w cukrzycy i zabezpieczają chorych po zawale przed kolejnym takim incydentem, stały się bardzo dobrą opcją

dla pacjentów z niewydolnością serca. Co ciekawe, ich korzystny wpływ na układ krążenia to wynik wywołanego przez nie cukromoczu – wraz z nim zwiększa się bowiem wydalanie sodu, co obniża ciśnienie krwi. Dodatkowo, wraz ze zwiększoną ucieczką glukozy, organizm produkuje więcej glukagonu, a hormon ten ma korzystne działanie na serce.

– *Nie do przecenienia jest znaczenie tych nowych leków, bo mają tę zaletę, że choć podajemy je z myślą o normalizacji poziomu glukozy, jednocześnie leczą układ krążenia, serce i nerki* – podsumowuje prof. Leszek Czupryniak. Przy dużym poszatkowaniu medycyny na wąskie specjalności kuracja takich chorób jak cukrzyca była zawsze sporym wyzwaniem. Odkąd można ją lepiej monitorować i zapobiegać powikłaniom, upraszczając terapię – wreszcie będzie łatwiej osiągnąć ten upragniony cel.

PAWEŁ WALEWSKI

REKLAMA

FreeStyle Libre 2 

112 
mg/dL

Masz cukrzycę?

Sprawdź swój poziom cukru aktualizowany co 1 minutę na Twoim smartfonie^{1,2}

Szybko | Dyskretnie | Bez nakłuwania palców!^{2,3}

Zapytaj swojego lekarza o FreeStyle Libre 2.
Dowiedz się więcej na www.Libre.pl lub zadzwoń 800 500 800

1. Aplikacja FreeStyle LibreLink jest kompatybilna tylko z niektórymi urządzeniami mobilnymi i systemami operacyjnymi. Na naszej stronie internetowej można sprawdzić informacje na temat zgodności z urządzeniem przed skorzystaniem z aplikacji. Korzystanie z FreeStyle LibreLink może wymagać rejestracji w systemie LibreView.
2. Podręcznik użytkownika FreeStyle Libre 2. 3. Testy z opuszki palca są konieczne w przypadku, gdy odczyty stężenia glukozy i alarmy nie są zgodne z występującymi objawami lub przecuciami dotyczącymi poziomu glikemii.
4. Rozporządzenie Ministra Zdrowia z dnia 27 października 2022 r. zmieniające rozporządzenie w sprawie wykazu wyrobów medycznych wydawanych na zlecenie. FreeStyle Libre 2 system monitorowania glikemii flash (czujnik), wyrób medyczny używany wraz ze zgodnym czytnikiem lub aplikacją do monitorowania poziomu glukozy w płynie śródtkankowym u osób z cukrzycą i zaprojektowany, aby zastąpić oznaczenie stężenia glukozy we krwi w samodzielnym kontrolowaniu cukrzycy, w tym w dawkowaniu insuliny. Producent: Abbott Diabetes Care Ltd., Upoważniony przedstawiciel: Abbott B.V., Reklamodawca: Abbott Laboratories Poland sp. z o.o. Obudowa czujnika, FreeStyle, Libre oraz powiązane z nimi znaki są własnością firmy Abbott.
© 2023 Abbott. ADC-82496 v1.0

 **Abbott**
life. to the fullest.®

WYRÓB MEDYCZNY OBJĘTY ROZSZERZONĄ REFUNDACJĄ NFZ OD 1 STYCZNIA 2023 R.⁴

To jest wyrób medyczny. Używaj go zgodnie z instrukcją używania lub etykietą.

Wstyd!

MARTA ALICJA TRZECIAK



Jest jednym z regulatorów życia społecznego. Wydaje się, że potrafi go odczuwać nie tylko człowiek. Zwierzęta wstydzą się jednak nie tego, co nam się wydaje.

Zsunąłem ze stołu pizzę i połknąłem sześć kawałków z nadzieniem i pepperoni”. „Rozszarpałem własne legowisko”. „Pogryzłem lampę”. Takie wyznania, wypisane na kartkach i położone obok „zawstydzonych” psów czy kotów, są fotografowane, a następnie przesyłane na strony typu shameyourpet.com czy dogshaming.com. Niektóre z tych zdjęć są zabawne, inne raczej smutne. Jedne wydają się świadczyć o poczuciu humoru opiekuna, inne po prostu o zaburzeniu behawioralnym i chorobie (np. na tle lękowym) zwierzęcia. Jednak wszystkie uwiecznione na tych fotografiach psy i koty mają spuszczone wzrok, smutny wyraz pyszczka, zamkniętą postawę ciała. Tak właśnie zachowywały się człowiek, gdyby czuł wstyd. Czy jednak u czworonogów mowa ciała świadczy o odczuwaniu tej samej emocji?

Kto skazał na niełaske

W lipcu tego roku na łamach „Science” ukazał się artykuł uczonych reprezentujących kilka amerykańskich uczelni (m.in. University of Texas i Emory University). Zebrali oni w nim swoje przemyślenia

oraz podsumowali stan wiedzy naukowej na temat sposobów określania dobrostanu zwierząt. Pytali jednocześnie: Czy potrafimy rozpoznać u zwierząt przejawy tzw. wyższych uczuć? Nie tylko złości, smutku czy strachu, ale też przeżyć bardziej wysublimowanych, społeczno-moralnych, takich jak wstyd?

Zadawanie takich pytań nie służy wyłącznie celom intelektualno-filozoficznym. To bardzo konkretne zagadnienie do rozwiązania, ponieważ rzutuje ono na sposób, w jaki ludzie traktują (lub powinni traktować) inne gatunki. Na przykład świnia potrafi nawiązać przyjacielską więź i czuje emocjonalny ból, gdy zostanie wyrwana ze swojego środowiska społecznego. Z kolei ośmiornica, choć bardzo inteligentna, nie jest zwierzęciem społecznym, więc to obecność, a nie absencja innych przedstawicieli jej rodzaju, wywoła u niej stres.

Neurolog i psycholog Marc Hauser w książce „Wild minds: What animals really think” przekonuje, że choć psy, świnie, delfiny, szympany mogą odczuwać złość czy smutek, to jednak wstyd jest emocją dla nich nieosiągalną. Wymaga bowiem głębokiego rozumienia siebie

samego oraz innych podmiotów w tym samym czasie, a do tego w odpowiednim kontekście. Tylko czy jest to rzeczywiście konieczne?

Paul Gilbert, brytyjski psycholog kliniczny, w pracy opublikowanej w 2003 r. na łamach „Social Research” podaje, że wstyd to po prostu poczucie wynikające z naruszenia akceptacji społecznej, które zostało spowodowane zachowaniem nagannym w danej grupie. Przy takim ujęciu należałoby przyjąć, że aby odczuwać wstyd, zwierzę musiałoby spełnić przynajmniej dwa warunki. Pierwszy to stadność, zdolność do nawiązywania relacji w grupie. Drugi to znajomość jej norm. Oba kryteria zostają spełnione w przypadku wielu gatunków.

Orki, surykatki, krowy – wszystkie one żyją w stadach. Doskonale zdają więc sobie sprawę z tego, że ich grupy podlegają określonym normom i biada temu, kto ich nie przestrzega. Zwierzę, które złamie zasady – podaje Gilbert – czuje się izolowane przez grupę. A to jest niekomfortowe, bo dobre relacje społeczne warunkują jego przetrwanie.

Czy pomiędzy podejrzeniem pozostawania w niełasce a odczuwaniem wstydu

można postawić znak równości? Możliwe, że w niektórych sytuacjach tak, bo i samo zawstydzenie nie zawsze musi wynikać z głębokich przeżyć moralnych. Czasami to po prostu, jak podają kanadyjscy psycholodzy David Benner i Peter Hill, skaza na poczuciu własnej wartości. Jeśli zwierzę pracowało na swoją pozycję w grupie i ma w niej określony wizerunek, który ulega zachwianiu przez jakieś jego czyny, to odczuwa ono dyskomfort objawowo podobny do wstydu.

Kto widział upadek

Jane Goodall, znana etolożka i prymatolożka, czyli badaczka zachowań zwierząt, w tym zwłaszcza naczelnych, w 2000 r. przytoczyła taką obserwację. Młody, pięcioletni szympanś Freud zawsze podążał krok w krok za swoim wujkiem Figaniem – samcem alfa. To typowa dla tego gatunku relacja, w której młodszy osobnik traktuje spokrewnionego, postawionego wysoko w hierarchii, jako wzór i stara się mu zaimponować. Tak też robił Freud, który pewnego dnia wspiał się na czubek drzewa. Kiedy tam dotarł, zaczął się zamasyżować kołysać w przód i w tył, pokazując swojemu idolowi, jaki jest sprawny. Jednak szczytowe gałęzie były zbyt cienkie i się złamały, a nieszczęśnik spadł z wysokości w głęboką trawę. Goodall opisuje, że Freuda nie interesowały oględziny własnego ciała czy otoczenia – wystawił z zarodził jedynie głowę i spojrzął od razu na Figana, chcąc się przekonać, czy jego bohater widział całe zajście. Wyglądało na to, że samiec alfa nie zwrócił na nie większej uwagi, więc Freud bardzo uważnie i cicho wspiał się na inne drzewo i tam spokojnie siedział.

Opisująca to prymatolożka stwierdziła, że gdyby identyczne zachowanie zostało zaobserwowane u ludzkiego dziecka, wniosek byłby jeden: najpierw chciało się popisać przed dorosłym, a gdy mu to nie wyszło, zawstydziło się. Czy zatem mamy powody, by u blisko z nami spokrewnionych szympanśów interpretować je inaczej?

Freud nie sprawdził, czy jego upadek został zauważony przez inne osobniki ze stada. Interesowało go tylko, czy skompromitował się przed tym członkiem grupy, na którego opinii mu zależało. Dla młodego szympanśa „błogosławieństwo” samca alfa jest bowiem przepustką, z którą może się wspinać po drabinie społecznej. To pasuje do ciekawej definicji wstydu, którą w 1999 r. zaproponował angielski filozof moralności Bernard Williams. Jego zdaniem wstyd to po prostu poczucie bycia postrzeganym w niewłaściwy sposób przez niewłaściwych ludzi,

w niewłaściwych okolicznościach lub stanie. Freud chciał być postrzegany przez Figana jako sprawny i silny. Upadek z drzewa przeczył temu wizerunkowi. Dlatego, przyjmując definicję Williamsa, można uznać, że młody szympanś czuł wstyd.

Kto okazuje niesmak

Hauser opisał w 2000 r. taką sytuację. Pewien samiec rezusa kopolował z samicą i po udanym zbliżeniu oddalał się od niej z głową uniesioną wysoko, wzrokiem skierowanym ku górze, na sztywnych kończynach. W ten sposób, zdaniem obserwatora, okazywał, że jest pewny siebie. Tyle że nie patrząc pod nogi, wpadł do dziury w ziemi. Zdaniem Hausera natychmiast po upadku wyściubił głowę z zagłębienia i sprawdził, czy żaden inny makak nie widział jego niezdarności. Kiedy uznał, że nie, wyszedł z dziury i natychmiast powrócił do wcześniejszej, dumnej i wyprostowanej postawy. Hauser zwrócił uwagę na to, że dla makaka opinia ludzkiego obserwatora była bez znaczenia. Liczyła się tylko reakcja jego grupy gatunkowej. Pomimo takich wniosków badacz nie zdecydował się przyznać, że rezus mógłby czuć wstyd. To dość osobliwe, jeśli weźmie się pod uwagę, że uczone nie miał oporów, by projektować na makaka poczucie pewności siebie po udanej kopulacji.

W takim ujęciu wstyd nie musi być głębokim odczuciem, bazującym na złożonych, zinternalizowanych normach moralnych. Czasami to po prostu niewłaściwe okoliczności przy nieodpowiednich odbiorcach. Założenie luźnego dresu w domowych warunkach, przy bliskich osobach, wydaje się jak najbardziej na miejscu. Ale pojawienie się w takim samym stroju na wieczornym przyjęciu to już co innego. Osoba, która w takiej sytuacji poczuje wstyd, może korzystać z teorii umysłu w wersji premium i przejmować się, co inni o niej pomyślą, ale może też dostrzec prostą nieprzystawalność własnego odzienia do przyjętego dress code'u.

Jest i trzecia opcja: może nie wiedzieć, co kryją w sobie światy wewnętrzne innych osób, a i tak rozumieć, że są one niezadowolone czy nieprzychylnie nastawione. Jeśli więc goście na przyjęciu okazały niesmak, poczuje wstyd, jeszcze zanim zrozumie jego przyczynę. Prawdopodobnie ten sam mechanizm działa u „wstydzających się” psów.

Alexandra Horovitz, psycholożka z amerykańskiego Barnard College, przeprowadziła eksperyment, którego celem było rozstrzygnięcie, czy psy, które nie przestrzegają norm ustalonych przez

opiekuna, naprawdę czują wstyd. Wyniki przedstawiła w 2009 r. na łamach „Behavioural Processes”.

W projekcie wzięło udział 14 psów, każdy uczestniczył w kilku niezależnych sesjach. Polegały one z grubsza na tym, że opiekun przychodził z czworonogiem do pomieszczenia badawczego i zabraniał mu zjadania smakołyku, który znajdował się w jego zasięgu. Następnie człowiek wychodził, pozostawiając psa samego, a po ustalonym czasie opiekun wracał do pokoju. Haczyk polegał na tym, że opiekun nie miał pojęcia, czy zwierzę przestrzegało ustalonych przez niego zasad, czy jednak sięgnęło po „zakazany owoc”, ponieważ wszelkie ślady po ewentualnym zajęciu były przez badaczy zacierane. Jego reakcja wynikała jedynie z informacji przekazanej losowo przez eksperymentatorów. Wynik badania? Objawy „wstydu” pojawiające się u psów korelowały z negatywną reakcją opiekuna, a nie z tym, czy smakołyk został zjedzony, czy nie. Czyli zwierzęta odpowiadały na przejawy niezadowolenia człowieka, a nie na dyskomfort moralny wynikający ze złamania zasad.

Kto jest zawstydzany

Czy to jednak rozstrzyga raz na zawsze, że postawiony w takiej sytuacji pies nie czuje wstydu? Nie do końca. Można z dużą dozą pewności założyć, że nie wstydzi się on swojego czynu, nie żałuje, że nie posłuchał polecenia, nie odtwarza tego wydarzenia w głowie i nie czuje się winny. Nie jest natomiast wykluczone, że czuje się w tym momencie zawstydzony – czy raczej zawstydzany – przez swojego opiekuna. Jeśli uczeń porysuje w szkole ławkę, najpewniej nie dostrzeże w tym czynie czegoś godnego potępienia. Jednak gdy zostanie zdemaskowany, a następnie zaproszony przez nauczyciela na środek klasy i zapytany, czy w domu też rysuje po meblach, to jego wizerunek ucierpi, a wraz z tą skazą na wizerunku przyjdzie poczucie wstydu. Zapewne podobnie czuje się pies, który jest przez opiekuna dyscyplinowany.

To prowadzi do wniosku, że wstyd można czuć na różnych poziomach, tak samo jak różnej głębi mogą być normy, których przełamanie do niego prowadzi. Niewątpliwie pewne poziomy zasady społecznych są obecne tylko w złożonych społecznościach, których członkowie mają wysoko rozwiniętą teorię umysłu. Trzeba jednak założyć, że wstyd to kolejne uczucie wyższe, które w świecie ożywionym występuje, ale nie w systemie zero-jedynkowym. ■

Stres w komórkach

MOLEKULARNA MASZYNERIA WEWNĄTRZ KOMÓREK ODPOWIADA ZA WSZYSTKO, CO DZIEJE SIĘ W NASZYCH ORGANIZMACH, A JEJ NIEWŁAŚCIWE FUNKCJONOWANIE MOŻE PROWADZIĆ DO WIELU POWAŻNYCH CHOROÓB. O TYM, JAK DZIAŁAJĄ TE KOMÓRKOWE MECHANIZMY I CO DZIEJE SIĘ, GDY ZAWODZĄ, OPOWIADA **PROF. DR HAB. AGNIESZKA CHACIŃSKA**, DYREKTOR MIĘDZYNARODOWEJ AGENDY BADAWCZEJ REMEDY, KTÓRA DZIAŁA PRZY IMOL PAN I JEST WSPÓLFINANSOWANA PRZEZ FUNDACJĘ NA RZECZ NAUKI POLSKIEJ Z FUNDUSZY EUROPEJSKICH POCHODZĄCYCH Z PROGRAMU OPERACYJNEGO INTELIGENTNY ROZWÓJ (POIR) W RAMACH PROGRAMU MIĘDZYNARODOWE AGENDY BADAWCZE.

Jak bardzo zestresowane są nasze komórki?

PROF. DR HAB. AGNIESZKA CHACIŃSKA: Jeśli jesteśmy zdrowi, żyjemy w czystym środowisku, nie mamy żadnych większych defektów genetycznych, utrzymujemy prawidłową dietę, to stres, również ten na poziomie komórkowym, jest niewielki. Wzmaga się jednak, gdy dochodzi do zmian w którymkolwiek ze wspomnianych elementów.

Czyste środowisko i zdrowa dieta to raczej w dzisiejszych czasach rzadkość.

To świat, który nie istnieje.

Wiadomo, że środowiskowa, gospodarcza czy społeczna presja przekładają się na nasze zdrowie. Pojawiają się tak zwane choroby cywilizacyjne.

Czy zapadamy na nie także na poziomie komórkowym?

Nie ma sytuacji, w której na poziomie komórkowym wszystko świetnie działa, a na poziomie całego organizmu cierpimy na alergię czy choroby neurodegeneracyjne. Cały proces zaczyna się od nieprawidłowej funkcji cząsteczek, które budują nasze komórki. To także tam decyduje się, czy nasze komórki poradzą sobie ze stresem czy nie. Mechanizmy molekularne leżą u podstaw chorób, ale także potencjalnie bronią nas przed poważnymi schorzeniami cywilizacyjnymi. Te ostatnie, w tym choroby neurodegeneracyjne, będą pojawiać się coraz częściej, bo wiele z nich jest powiązanych z tym, że żyjemy coraz dłużej. Do tego w przeciwieństwie do nowotworów, które w wielu przypadkach można traktować jako choroby przewlekłe i przynajmniej częściowo wyleczalne, na choroby neurodegeneracyjne, jak choroba Alzheimera czy Parkinsona, nie mamy jeszcze żadnego leku.

Co jest głównym kierunkiem badań ReMedy?

Staramy się zrozumieć podstawy prawidłowego funkcjonowania komórek na poziomie molekularnym. To pozwoli



© LESZEK ZYCH

Prof. **Agnieszka Chacińska**, biochemiczka, specjalizuje się w biochemii komórek i molekularnych aspektach biologii komórkowej, które obejmują biogenezę, transport i degradację białek mitochondrialnych. Odkryła mechanizmy odpowiedzialne za transport i dojrzewanie białek funkcjonujących w mitochondriach oraz molekularne podstawy stresu związanego z dysfunkcją mitochondriów.

nam ustalić, co dokładnie się dzieje, gdy zachodzące tam procesy nie są prawidłowe. Na przykład nie mamy pełnego obrazu zmian, do jakich dochodzi na poziomie molekularnym, gdy człowiek cierpi z powodu demencji lub gdy pojawia się choroba Alzheimera. I nie będziemy tego wiedzieć, jeśli nie zrozumiemy, jak działa komórka w stanie równowagi.

Czyli potrzeba punktu odniesienia, by rozumieć co się dzieje, gdy stan optymalny zostanie zaburzony.

Prof. Peter Walter, który jako pierwszy zidentyfikował odpowiedzi stresowe komórek, strategię wykorzystania odpowiedzi

na stres w leczeniu nazwał „agnostyczną” względem chorób.

A więc interesują nas procesy zarówno prawidłowe, jak i patologiczne. Chcemy zdobyć jak najwięcej informacji o komórce na poziomie molekularnym, by proponować lepsze terapie dla chorych. Badamy więc, w jaki sposób dany mechanizm czy białko wpływa na funkcjonowanie całej komórki, i staramy się przewidzieć, jakie są skutki tego działania, także te pojawiające się w chorobie.

Stres jest interesujący sam w sobie, ale jeszcze bardziej interesujące jest to, jak komórka adaptuje się do niego, czyli jakie

ma mechanizmy plastyczności, jaki bufor zachowań ma do dyspozycji. Chcemy odpowiedzieć na pytania, w jakich sytuacjach dochodzi do tego, że początkowo niewielki stres wywołany procesem patologicznym narasta, nakręca spiralę, a komórka nie potrafi sobie z nim poradzić, nie jest w stanie uruchomić czy włączyć takich mechanizmów, które znowu wprowadzą stan równowagi.

Stan równowagi jest bardzo istotny i może być modyfikowany czynnikami zewnętrznymi i wewnętrznymi, takimi jak zmiany genetyczne. Jeżeli jednak komórka nie osiąga właściwego stanu równowagi, zaczyna się proces patologiczny. Z drugiej strony jeśli komórka zbyt mocno odpowie na pewne zmiany poprzez rozregulowanie mechanizmów zabezpieczających i kładzie nacisk na bardzo silne, niekontrolowane mechanizmy regeneracyjne, mamy do czynienia z nowotworami.

Przed jakim największym wyzwaniem teraz stoicie?

IMol ma szeroką tematykę badawczą skupioną na odkrywaniu mechanizmów molekularnych, tak aby móc je odpowiednio modyfikować i nimi przewidywalnie manipulować dla uzyskania efektów terapeutycznych. W pracy kierowanej przeze mnie grupy naukowej w projekcie ReMedy staramy się znaleźć molekularne podstawy neurodegeneracji. Mój zespół skupia się na nowym aspekcie komunikacji komórkowej, w której uczestniczą mitochondria, czyli elektrownie komórkowe. Wydaje się nam, że ta komunikacja może być kluczowym elementem, który zaczyna szwankować, gdy się starzejemy.

W naszych badaniach wykazaliśmy, że mitochondria komunikują się, wpływając na homeostazę – czyli stan równowagi białek w komórce. Zaburzenia mitochondrialne mogą mieć związek z wieloma chorobami metabolicznymi czy neurodegeneracyjnymi, a więc i w tych chorobach komunikacja pomiędzy wadliwymi mitochondriami a homeostazą białek może mieć kluczowe znaczenie.

Wydaje nam się, że nasze badania nad związkami defektów mitochondriów i stanu komórki mogą mieć bezpośrednie zastosowanie w zrozumieniu procesów neurodegeneracyjnych. W obu przypadkach homeostaza białek, czyli stan ich wewnętrznej równowagi, niemal zawsze jest naruszona.

Obecnie to brak wiedzy powoduje, że w przypadku chorób neurodegeneracyjnych (np. Alzheimerera czy Parkinsona) nie udało się stworzyć skutecznych terapii i leków. Nasze badania wnoszą nowe informacje i wskazują na zupełnie inne

niż dotychczas procesy jako cele terapeutyczne. W przyszłości może się okazać, że leczenie wielu z tego typu chorób jest bardzo trudne, lub wręcz niemożliwe, a w związku z tym skuteczniejsza i praktyczniejsza okaże się profilaktyka. Również w takim przypadku wysiłek włożony w zrozumienie molekularnych podstaw schorzeń ma szansę przekształcić się w metody profilaktyczne.

Jesteście w forpoczcie światowych badań molekularnych nad ludzkim organizmem.

Mocno powiedziane. Mamy takie ambicje, aby poziomem badań nie odstawać od międzynarodowej czołówki. Jednak projekt ReMedy jest bardzo młody, a wykazanie się w biologii molekularnej zajmuje niekiedy wiele lat. Ale jesteśmy już zauważani. Ja sama w ciągu ostatnich dziewięciu miesięcy zostałam zaproszona do wygłoszenia wykładów na temat naszych odkryć podczas ośmiu prestiżowych konferencji. To pokazuje, że jesteśmy rozpoznawalni na poziomie międzynarodowym.

Czyli w Polsce można prowadzić badania na światowym poziomie.

Wciąż nie jest to łatwe, choć w ciągu ostatnich 20 lat poczyniliśmy ogromne postępy. Prawidłowe finansowanie badań w drodze konkursów jest bardzo ważne dla poprawy poziomu nauki i odkryć.

IMol, czyli Międzynarodowy Instytut Mechanizmów i Maszyn Molekularnych Polskiej Akademii Nauk, jest „dzieckiem” programu Międzynarodowe Agendy Badawcze Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, powstał jako rozwinięcie ReMedy. Przewodniczącym Rady Naukowej IMol jest laureat Nagrody Nobla prof. Phillip A. Sharp.

W ramach programu MAB kluczowe było wymaganie dotyczące utworzenia przy każdej jednostce Międzynarodowych Komitetów Naukowych (MKN), złożonych z wybitnych naukowców, przeważnie z zagranicy. Nasz Komitet wpływa na kształtowanie tematyki badań i – co niezwykle istotne – na rekrutację liderów grup

badawczych w otwartych konkursach, a także ocenę ich działań. Międzynarodowość Komitetu jest głównym elementem zapewniającym doskonałość naukową z perspektywy międzynarodowej. I są efekty – odwracamy drenaż mózgow (brain drain) przez rekrutowanie ludzi z całego świata, w tym Polaków, którzy wcześniej wyjechali za granicę. W ReMedy ponad 40 proc. naukowców to kadra międzynarodowa z 14 różnych krajów.

Co sprawia największą trudność?

Problemem są m.in. uwarunkowania formalnoprawne oraz perspektywy finansowe. Choćby restrykcyjne przepisy, lub ich interpretacje, o zamówieniach publicznych często sprawiają, że na przykład wyposażenie laboratoriów w sprzęt czy zakup odczynników trwa całe wieki. A pamiętajmy: nauka jest konkurencyjna i olbrzymie znaczenie ma to, kto pierwszy opublikuje wyniki badań czy zgłosi patent.

Problemem jest też brak „dynamiki instytucjonalnej” w Polsce. W najbardziej rozwiniętych krajach niemal bezustannie powstają nowe jednostki naukowe poświęcone rozwijającym się dziedzinom, inne przestarzałe się zamyka. W Polsce wydaje się, że nie pozwala na to mentalność, a ramy formalne bardzo to utrudniają.

Podkreśla pani profesor, że ważne jest, by instytucje naukowe powstawały w Polsce, ale przecież bez względu na to, czy badania prowadzone są u nas, czy na przykład gdzieś w Azji, i tak wszyscy wcześniej czy później skorzystamy z tych odkryć.

To kwestia narodowych ambicji. Możemy wybrać przyszłość, w której będziemy państwem niemającym wpływu na powstawanie nowych technologii, np. leków. Staniemy się tylko wykonawcami. Jeśli jednak chcemy rzeczywiście uczestniczyć w postępie, czego konsekwencją będzie oczywiście wzrost gospodarczy, to warto informować społeczeństwo, że nowe technologie czy leki wymagają rozwoju nauki, w tym nauki podstawowej. Żadnemu krajowi nie udało się tego przeskoczyć – i bez inwestycji w naukę także podstawową, Polska też tego nie zrobi. Bez odpowiednich nakładów na naukę będziemy przegrywać w wielu konkurencjach i w perspektywie globalnej jako społeczeństwo sprowadzimy się do roli wykonawczej lub w najlepszym wypadku usługowej.

Więcej o wynikach badań z polskich laboratoriów w raporcie pt. „Nauka w czasach przemian. Jak badania finansowane z Funduszy Europejskich pomagają chronić nas przed globalnymi zagrożeniami i wykorzystywać historyczne szanse”: www.fnp.org.pl



Kosmiczny ekolog

Opracowaliśmy bezpieczniejsze paliwo kosmiczne, budujemy też w Polsce coraz większe rakiety – mówi dr inż. **Adam Okniński**, laureat Nagrody Naukowej POLITYKI w kategorii Nauki Techniczne.

MARCIN ROTKIEWICZ: – Czy satelity, których coraz więcej umieszczamy na orbitach okołozemskich, mogą być toksyczne?

ADAM OKNIŃSKI: – W pewnym sensie tak. Poważny problem stanowi materiał pędny, ale nie ten stosowany w dużych rakietach, gdyż najczęściej jest nim ciekły tlen i np. nafta lub metan. Chodzi o satelity, które posiadają własne napędy, uruchamiane np. w celu utrzymania urządzenia na danej orbicie lub jej zmiany. I właśnie tu pojawia się problem. Tlen musiałby być utrzymywany w bardzo niskiej temperaturze, by pozostać ciekły – gdyby stosować go w satelitach, ich działanie skróciłoby się do maksymalnie kilku miesięcy. Dlatego kilkadziesiąt lat temu zaczęto stosować silnie trującą hydrazynę i jej pochodne. Główną ich zaletą jest to, że bez problemu wytrzymują całe lata w zbiorniku na orbicie. Natomiast poważną wadę stanowi toksyczność. Podczas tankowania hydrazyny konieczne jest zapewnienie odpowiednich warunków BHP, co wiąże się z dużymi kosztami. Ze względu na zagrożenie dla ludzi i środowiska Unia Europejska rekomenduje wycofywanie tego typu paliwa z napędów kosmicznych.

Czym je zastąpić?

Znaleźliśmy coś mało toksycznego, relatywnie taniego i zapewniającego silnikom odpowiednie osiągi. To nadtlenek wodoru pełniący rolę utleniacza w nowym paliwie. Odpowiedni skład chemiczny sprawia też, że po wstrzyknięciu do komory spalania ulega ono samozapłonowi, więc nie trzeba stosować żadnych mechanizmów inicjujących – świec, laserów czy elementów pirotechnicznych. Dzięki temu daje się włączać i wyłączać silnik tysiące razy przy zachowaniu bardzo wysokiej niezawodności, co jest kluczowe dla napędów satelitarnych.

Nadtlenek wodoru jest substancją dobrze znaną przemysłowi kosmicznemu.

Stosowano go w napędach raketowych już podczas drugiej wojny światowej. A na początku lat 60. zaczęto wykorzystywać w satelitach, jednak szybko zastąpiła go hydrazyna.

Co w takim razie się zmieniło?

Nadtlenek wodoru stosowany jest w stężeniu do 90 proc. Jeśli podniesie się je do 98 proc. i jednocześnie zadba o to, by pozostałe 2 proc. wody było bardzo czyste, to wówczas substancja ta niemal nie będzie rozkładać się w zbiorniku satelity.

Pański zespół jako pierwszy wpadł na ten pomysł?

Tak, opracowaliśmy nową metodę zagęszczania roztworu nadtlenu wodoru do bardzo wysokich stężeń – nawet 99,99 proc. – i oczyszczania go.

Zagraniczne agencje kosmiczne są zainteresowane waszym paliwem?



© LESZEK ZYCH

Dr inż. **Adam Okniński** zajmuje się technologiami raketowymi, a przede wszystkim napędami pojazdów kosmicznych wykorzystującymi ekologiczne i wysoko wydajne materiały pędne. Jest autorem ponad stu publikacji naukowych, patentów i zgłoszeń patentowych oraz laureatem wielu krajowych i zagranicznych nagród. Obecnie pełni funkcję dyrektora Centrum Technologii Kosmicznych Sieci Badawczej Łukasiewicz – Instytutu Lotnictwa.

Tak. Cała światowa czołówka, czyli amerykańska NASA, japońska JAXA, jak również niemieckie i francuskie agencje kosmiczne, a przede wszystkim wiodące podmioty komercyjne. Wszyscy dostrzegają potencjał wykorzystania stężonego nadtlenu wodoru w satelitach. Oczywiście najbliżej współpracujemy z Europejską Agencją Kosmiczną ESA, z którą realizujemy już dziesięć projektów dotyczących tej technologii.

Czy przetestowano ją już w pojazdach kosmicznych?

W naszym instytucie zbudowaliśmy suborbitalną raketę BURSZTYN, za pomocą której testujemy różne technologie dotyczące konstrukcji systemów napędowych, elektroniki i całych rakiet kosmicznych. Nie jest ona duża, bo liczy ok. 5 m wysokości i ma docelowo osiągać pułap 100 km z maksymalnym ładunkiem 10 kg. W 2017 r. odbył się jej pierwszy lot testowy, a jej główny silnik napędzał właśnie stężony nadtlenek wodoru.

BURSZTYN to chyba „dziecko” promotora pańskiej pracy doktorkiej, czyli zmarłego niedawno prof. Piotra Wolańskiego z Politechniki Warszawskiej i Sieci Badawczej Łukasiewicz – Instytutu Lotnictwa.

W moim doktoracie zajmowałem się analizami i obliczaniem, jak zwiększyć osiągi małych rakiet suborbitalnych. Między innymi dlatego znalazłem się w zespole budującym BURSZTYN, który powołał prof. Wolański. Był on niewątpliwie prekursorem rozwoju technologii raketowych w Polsce i swoją „kosmiczną” grupę zaczął kompletować na Politechnice Warszawskiej w 2005 r., czyli w momencie, gdy po chudych czasach pojawiła się dla tej branży szansa na rozwój. Kilka lat później w Instytucie powstało Centrum Technologii Kosmicznych, gdzie projekt BURSZTYN się rozpoczął. Prof. Wolański przyczynił się do wstąpienia Polski do ESA i powstania Polskiej Agencji Kosmicznej.

Technologie kosmiczne wymagają pokaźnych nakładów finansowych, wiedzy i doświadczenia. Czy Polska rzeczywiście ma tu szanse odgrywać jakąś większą rolę?

Ten sektor przemysłu rozwija się u nas coraz lepiej. Dziś pracuje w nim tysiąc osób, a według niektórych źródeł już nawet kilkanaście tysięcy. Oczywiście nie wszyscy zajmują się wyłącznie technologiami kosmicznymi, ale i tak są to całkiem imponujące liczby. Dodam, że w budowę rakiety BURSZTYN zaangażowanych było – jako podwykonawcy lub dostawcy – aż pięćset krajowych firm.

Nie tylko wy konstruujecie rakiety. W tym roku kolejne testy przeszedł Perun, dzieło prywatnej polskiej firmy SpaceForest. Ma wynosić ładunki o masie do 50 kg na wysokość 150 km.

Jest szansa, że będziemy budować jeszcze większe pojazdy. Jako instytut jesteśmy zaangażowani w prace badawczo-rozwojowe firmy ArianeGroup, czyli europejskiego lidera przemysłu raketowego. Dotyczą one ekologicznych napędów oraz kontroli ciągu silników. Chodzi o to, że rakiety nowych generacji będą używane wielokrotnie, co jest już intensywnie rozwijane w Stanach Zjednoczonych, m.in. przez firmę SpaceX należącą do Elona Muska.

Mamy rozwiązać problem polegający na tym, że startująca raketa, np. o masie 100 ton, wraca na Ziemię dziesięć razy lżejsza. Dlatego amerykańskiego Falcon 9 napędza w trakcie startu 9 silników, a w finalnej fazie powrotu na Ziemię włącza się tylko jeden z nich. ESA chce rozwiązać to inaczej: pierwszy stopień rakiety wielokrotnego użytku lub lądownika księżycowego napędzać będzie pojedynczy silnik z regulowanym ciągiem. Właśnie nad tym zagadnieniem pracujemy wspólnie z ArianeGroup.

Jak w ogóle europejski przemysł kosmiczny wypada na tle USA, gdzie dziś pierwsze skrzypce grają prywatne firmy, takie jak SpaceX?

Stany Zjednoczone zdecydowanie nas wyprzedzają. Zarówno jeśli chodzi o budowanie i wielkość „kosmicznego ekosystemu”, czyli sieci prywatnych firm współpracujących z NASA, jak i środków, na jakie mogą liczyć. Amerykanie są również gotowi ponosić trochę większe ryzyko, np. zezwalając na loty rakiet SpaceX. Na szczęście Europa budzi się ze snu zimowego i powstaje coraz więcej prywatnych przedsiębiorstw działających w branży kosmicznej. ESA zaczęła też zauważać, że właśnie dzięki nim możliwy będzie szybszy rozwój

technologii. Wykazuje też więcej zaufania do sektora prywatnego i przedsięwzięć o wysokim ryzyku, ale również wysokim potencjalnym zysku.

Pan pracował przez pewien czas w samym sercu Europejskiej Agencji Kosmicznej.

Tak, w latach 2014–16 mieszkałem w Holandii i byłem zatrudniony w European Space Research and Technology Centre, czyli głównym centrum technologicznym ESA. Najpierw jako stażysta, a później inżynier w sekcji napędów chemicznych, czyli de facto klasycznych napędów raketowych. Jako jeden z pierwszych zajmowałem się zastosowaniem druku 3D w metalu do tworzenia komponentów silników. Dzięki temu można było np. zredukować liczbę elementów głowicy wtryskowej paliwa z ponad pięćdziesięciu do jednego–dwóch. Pracowałem również nad planami infrastruktury księżycowej bazy orbitalnej, która po pewnych ewolucjach ma służyć jako stacja przesiadkowa dla astronautów lądujących na Srebrnym Globie w ramach amerykańskiego programu Artemis.

Czy potężne rakiety, takie jak te wynoszące astronautów na Księżyc, będą kiedyś powstawać także w Polsce?

Na razie nie mamy szans na konstrukcje ważące kilkaset i więcej ton. Możemy jednak już dziś dostarczać do nich i do lądowników księżycowych komponenty i podsystemy oraz skupiać się na rozwoju kompletnych polskich platform satelitarnych. To główna część, powtarzająca się w kolejnych egzemplarzach satelity, a więc m.in. struktura, napęd, system zasilania oraz komputer pokładowy. Takie platformy o masie do 200 kg już opracowuje polska firma Creotech Instruments, choć na razie korzysta z wielu dostawców zagranicznych. Mogę sobie jednak wyobrazić, że za jakiś czas będą to wyłącznie polskie przedsiębiorstwa. Już dziś pracujemy nad ekologicznym systemem napędowym dla tej firmy.

W czym zatem jesteście dziś najlepsi?

Nasz instytut ma sukcesy w obszarze napędów raketowych. Są też polskie firmy zaawansowane m.in. w mechanizmach i robotyce kosmicznej, technologiach opracowywanych do serwisowania satelitów, technologiach kwantowych czy wspominanych już platformach satelitarnych.

Bardzo dobrze kształtuje się kooperacja naszej placówki badawczej z przemysłem. Dzięki temu większość przychodów instytutu to rezultat współpracy komercyjnej. Bardzo się z tego cieszę, bo zależy nam przede wszystkim na tym, by wyniki badań nie lądowały na półce.

Interesuje się pan również kwestią tzw. kosmicznych śmieci, czyli tego, co zostawiamy na orbite ziemskiej orbicie.

Ten problem narasta, gdyż kolejne firmy chcą mieć wokół Ziemi coraz więcej satelitów. Tylko SpaceX wystrzeliła ich już blisko 5 tys., zaś docelowo ma ich być nawet 42 tys. A to tylko jeden projekt Starlink, czyli budowany przez Elona Muska system dostępu do internetu w każdym zakątku Ziemi.

Będą więc powstawać megakonstelacje złożone z tysięcy obiektów. W pewnym momencie satelitom zabraknie jednak paliwa i utleniacza, wyłączą się komputery pokładowe i zasilanie. Taki „martwy” satelita będzie mógł pozostawać na orbicie dekady, a nawet setki lat, tworząc zagrożenie m.in. dla innych obiektów czy misji załogowych. Ponadto może ulec rozpadowi, np. w wyniku uderzeń małych meteoroidów, na mniejsze fragmenty, więc liczba śmieci będzie rosła. Ponadto będą one utrudniały prowadzenie obserwacji astronomicznych.

Jak temu zaradzić?

Pojawiają się pomysły wysłania „śmieciarek kosmicznych”. Brzmi chwytliwie, ale sprzątanie za ich pomocą orbity byłoby zadaniem niezwykle trudnym. Dlatego lepszym pomysłem jest zobligowanie właścicieli i operatorów satelitów do umieszczenia w nich systemów napędowych pozwalających obniżyć orbitę po zakończeniu misji. W ten sposób da się doprowadzić do spalania urządzenia w gęstych warstwach atmosfery. Do tego potrzebny jest niezawodny silnik, który będzie można włączyć pod koniec „życia” satelity, czyli np. po 10–15 latach. Pracujemy obecnie nad napędami przeznaczonymi do tego zadania. Nie tylko po to, by móc „pchnąć” obiekt w kierunku Ziemi, ale również kontrolować, gdzie spadną te fragmenty, które nie spłoną całkowicie w atmosferze. Sprzątanie orbity może więc być kolejnym obszarem, gdzie polski przemysł kosmiczny wykaże się sukcesami badawczymi i wdrożeniami. ■



Chłopi przed domem, ilustracja ze średniowiecznego podręcznika „*Tacuinum sanitatis*”, dotyczącego zdrowego stylu życia.

Zawartość kufrów

Jak się ubierali i mieszkali plebejusze, gdy Europa wkraczała w nowożytność. Poznajemy ich majątek dzięki spisom zachowanym w Anglii.

TOMASZ GROMELSKI

W

śród wojsk krzyżackich oblegających Wilno późnym latem 1390 r. znalazł się niewielki oddział rycerzy angielskich dowodzony przez hrabiego Derby, późniejszego króla Henryka IV. Dla młodego następcy tronu wyprawa przeciwko „dzikim” Litwinom była przygodą, okazją

do wykazania się walecznością i popisania bogactwem. Spis wydatków hrabiego i jego towarzyszy na „krucjatę” zajmuje kilkadziesiąt stron i wymienia oprócz koni, broni, zbroi i ton jadała m.in. futra borsucze obszywane gronostajem, kompletne zastawy stołowe ze srebra i złota, 36 garnców musztardy, 25 beczek miodu pitnego, skrzypce i flety dla muzykantów, sokoły do polowania i przynajmniej jedne szachy. O zawartości kufrów podróżnych Henryka i jego rycerzy oraz o tym, jak spędzali czas między potyczkami i szturmami, wiadomo więc całkiem sporo. Niestety tego samego

nie da się powiedzieć o towarzyszących im zwykłych żołnierzach czy nawet elitarnych łucznikach, nie wspominając o służbie.

Nasza wiedza o kulturze materialnej i życiu codziennym ludu w średniowieczu i wiekach XVI, XVII czy nawet XVIII jest wciąż niewielka. Wynika to częściowo z braku zainteresowania nieelitą, choć sądząc po liczbie publikacji, np. o chłopach polskich, ostatnio się to zmienia, ale też z ubogiej bazy źródłowej. Proste meble, naczynia i narzędzia, ubrania z grubego lnu czy plebejska broń, taka jak łuki i cepy, rzadko kiedy przetrwały do naszych czasów, a ich szczegółowe opisy czy rysunki z epoki są nieliczne.

Akta sądowe i zatopiony okręt

Na szczęście dla współczesnych badaczy w średniowieczu i później zdarzały się sytuacje, które wymuszały zainteresowanie się nawet mało wartościowymi przedmiotami codziennego użytku. Angielski system prawny nakazywał na przykład inwentaryzowanie majątku przestępców (w tym samobójców) niezależnie od ich statusu społecznego, co było wstępem do konfiskaty

dóbr. Powstałe w ten sposób wykazy archiwizowano, dzięki czemu tysiące cennych dokumentów przetrwało do naszych czasów. Zasoń ten wykorzystywany jest obecnie bardzo intensywnie. W Oksfordzie, Cambridge i na uniwersytetach w Exeter i Birmingham dobiegają końca duże projekty badawcze skupiające się na kulturze materialnej i życiu codziennym uboższych warstw społecznych.

Innym doskonałym źródłem informacji o przedmiotach nieluksusowych i warunkach bytowych ludu jest archeologia. Także i pod tym względem Anglicy są w uprzywilejowanej sytuacji. 19 lipca 1545 r. w cieśninie Solent zatonał flagowy okręt floty wojennej Henryka VIII. „Mary Rose” poszła na dno błyskawicznie, po czym zaległa w mulistym dnie, dzięki czemu sam kadłub i tysiące rozmaitych przedmiotów, zaczynając od dział, a kończąc na ubraniach marynarzy, zakonserwowało się w sposób naturalny i zostało wyłowionych kilkadziesiąt lat później, w 1982 r.

Sredniowieczny design

Dawne wytwórstwo wyglądało inaczej niż obecnie i nie chodzi tylko o niski stopień mechanizacji czy brak tworzyw sztucznych. Weźmy na przykład strzały, podstawowe narzędzie pracy łuczników Henryka IV, polujących na Litwinów i Polaków na murach Wilna. Są one świetnym przykładem średniowiecznego designu, doboru surowców i samej produkcji.

Drzewce strzały wykonywano najczęściej z osiki albo jesionu. Ścięte drzewo sezonowano, następnie przecinano na bale, często przy użyciu „przemysłowych” pił w młynach tartacznych. Bale cięto na listewki, które następnie selekcionowano pod kątem właściwego ułożenia słoików drewna, potem strugano i szlifowano aż do uzyskania okrągłego przekroju i gładkiej powierzchni. Kowal wykuwał groty z żelaznych prętów. Oczywiście żelazo to należało wcześniej wytopić z rudy wydobytej w kopalniach, a następnie przekuć w celu oczyszczenia. Na ostatnim etapie produkcji do akcji wkraczał właściwy wytwórca strzał. Osadzał on grot na drzewcu, dodawał rogową wstawkę zapobiegającą rozszczepianiu drzewca przez cięciwę, dobierał i przycinał lotki z piór gęsi i mocował je za pomocą bawełnianej nici i kleju z mieszanki żywicy, wosku i toksycznego grynszpanu, czyli śniedzi, która zabezpieczała przed wilgocią i szkodnikami.

Wytworzenie pojedynczej strzały wymagało więc zastosowania kilkunastu różnych surowców i sporego nakładu pracy kilku specjalistów dysponujących odpowiednimi narzędziami i wiedzą. Do tego dochodziły wyzwania związane z transportem. Stan dróg był fatalny, ładowność wozów ograniczona, a wypadki na traktach częste – w szesnastowiecznej Anglii prawie jedna piąta wszystkich nagłych

zgonów to właśnie skutek „zdarzeń drogowych”. W przypadku większych ilości towaru (np. pół miliona strzał zamówionych przez Edwarda III w 1360 r. na kampanię we Francji) albo dużych gabarytów pozostawał transport rzeczny i morski.

Krowie placki i grzebienie

Ograniczony dostęp do surowców wymuszał maksymalne wykorzystanie wszystkiego, co było pod ręką. Ze zwykłej Mućki, żującej trawę na pastwisku, uzyskiwano naprawdę dużo. Po pierwsze, mleko przetwarzane na śmietanę, sery, ale też na klej kazeinowy. Krowa rodziła cielaki, a więc pomnażała inwentarz, a także ogrzewała swoim ciałem – stąd dość powszechna wśród najuboższych praktyka mieszkania pod jednym dachem ze zwierzętami. Bydło służyło także jako siła pociągowa. Krowie odchody wykorzystywano przy garbowaniu skór, jako nawóz, opał i wiążący dodatek do mieszanki gliny i słomy wypełniającej ściany w konstrukcji szkieletowej.

Po uboju krowa dawała kilkadziesiąt kilogramów mięsa i sadła, a do tego podroby oraz kilkadziesiąt litrów krwi, z której wytwarzano kaszanki i czerniny. Krew dodawano też do zapraw murarskich i gliny w celu zwiększenia plastyczności i trwałości.

Kolejny cenny materiał to skóra. Z dużego zwierzęcia można było jej ściągnąć nawet 5 m kw. Surowymi skórąi powlekano np. tarcze rycerskie, a z wyprawionych robiono buty, ubrania, galanterię, uprzęż, elementy zbroi, a także pergamin i oprawy książek. Błony i pęcherze wykorzystywano w zastępstwie szyb w oknach. Świetnie nadawały się też jako dętki do piłek, miechy w instrumentach (dudy) albo prymitywne akcesoria do pływania.

Wiemy o co najmniej kilku konkretnych przypadkach, gdy taki dmuchany sprzęt zawiódł, doprowadzając do utonięcia użytkownika, przy czym głównym problemem było słabe umocowanie pęcherzy, a nie ich nieszczelność.

Z krowich rogów wykonywano guziki i grzebienie. Z kości wytwarzano klej, a ścięgna służyły do wzmacniania łuczysk kusz. To, czego nie dało się zjeść albo przerobić na coś użytecznego, wrzucano do dołów z wapnem, stanowiącym po zlasowaniu ważny dodatek do zaprawy murarskiej.

Bokserki i sztylety

Nawet najuboższy parobek musiał mieć się w co odziać. „Co ja już pamiętam odmiennej coraz mody w sukniach, w czapkach, w botach (...) o Boże święty, nie spałoby tego na dziesięciu skórach wołowych!” – napisał w XVII w. pamiętnikarz Jan Chryzostom Pasek. Wśród elit moda zmieniała się szybko, ale strój ludu pozostawał od końca średniowiecza do XVIII w. w zasadzie taki sam, tym bardziej że rządzący robili wszystko, by plebejusze nie naśladowali ich ubiorem. Np. w 1463 r. parlament angielski zakazał nieszlachcic noszenia krótkich strojów, „które nie zakrywały części wstydlivych i pośladków”, a także „ciżem o noskach dłuższych ▶



But krakowski i tzw. patynki, czyli drewniane chodaki z XV w.

► niż dwa cale”, znanych jako *krakows* albo *poulaines*, czyli buty krakowskie albo polskie. Modna w XV w. obcisła garderoba miała jeszcze tę wadę, że, jak pisał angielski kronikarz, utrudniała chłopom „padanie na kolana przed Bogiem i przed świętymi, a także przed ich panami oraz służenie im i okazywanie czci”.

Na przełomie średniowiecza i ery nowożytnej typowy plebejski strój męski składał się z długiej koszuli, luźnych „boksekrek” z obszernymi nogawkami, osobnych albo zszytych nogawic (od XVI w. zastępowanych krótkimi spodniami przed albo za kolana), kaftana, ewentualnie kurtki albo serdaka, filcowej lub dzierganej czapki oraz krótkich skórzanych butów. Damski – z giezła, czyli długiej koszuli, prostej sukni dopasowanej albo wiązanej z przodu bądź z tyłu, z rękawami albo bez, fartucha, nogawic, czasem krótkiej kurtki, czepca albo chusty oraz trzewików. W zimie okrywano się dodatkowo kapotami, płaszczami, kożuchami i kapturami, a w lecie po prostu zrzucano część warstw albo zastępowano je przewiewnymi tunikami.

Prawie połowa wszystkich elementów garderoby, w tym większa część odzieży wierzchniej, wykonana była z sukna wełnianego średniej i gorszej jakości. Reszta to różnej grubości len i tkaniny konopne. W ok. 10 proc. przypadków używano materiału jedwabnego albo bawełny. Oprócz skórzanych butów, pasów i sakiewek obowiązkowym dodatkiem do stroju był krótki nóż, służący jako wszechstronne narzędzie. Nosił go za pasem albo w podwieszanej do pasa pochewce praktycznie każdy, nie dziwi więc ogromna liczba przypadkowych zranień. Duży procent wypadków śmiertelnych podczas gry w piłkę nożną, a było ich w średniowiecznej i XVI-wiecznej Anglii niemało, to właśnie skutek bliskiego kontaktu z nożem własnym albo innego gracza.

Provincia różniła się wyraźnie kolorem strojów od miast i dworów. Wśród chłopów przeważały barwy naturalne i łatwe do uzyskania. Najpowszechniejsze były różne odcienie szarości i czerni (35 proc. ubrań), następnie rudobrunatny i ciemne czerwienie (16 proc.), biel i złamana biel, w tym także écru (20 proc.), jasnobrązowy (8 proc.), odcienie błękitu i zieleni (po ok. 7 proc.), fiolet (3 proc.).

Z ustaleń badaczy wynika, że nawet bezrolni chłopcy mieli po kilka sztuk odzieży wierzchniej i przynajmniej dwa zestawy bielizny. Ubrania były niewątpliwie cenną częścią majątku ruchomego. Często je naprawiano, przerabiano, darowywano i przekazywano w spadku. Przykładowo w 1540 r. Robert Elys, strażnik z pałacu królewskiego w Greenwich, zapisał swojej córce „wszystkie koszule (...) na giezła”, a także „najlepszą szatę powleczoną czarnym adamaszkiem, podszytą bawełną i wzmocnioną szkarłatnym aksamitem, by z niej uczynić suknię”.

Poduszki i muszkiety

Większość zachowanych inwentarzy skupia się przede wszystkim na sprzętach domowych. Często nawet jedna trzecia ruchomości to wyposażenie sypialni i na ogół nie były to tylko łóżka i sienniki. Np. według spisu z 1419 r. William Mandevile, gospodarz z Colnbrook w Middlesex, oprócz materacy i koców miał też kilka prześcieradeł, pięć narzut, trzy poduszki, kołdrę i zasłonę nad łóżkiem. W XVI w. średnia liczba łóżek i pościeli w gospodarstwie domowym wyraźnie się zwiększyła. Anthony Curlyng, parobek z St Lawrence w hrabstwie Kentu (który 25 października 1585 r. rzucił się do studni, nie mogąc znieść bólu spowodowanego przez kamienie nerkowe), miał cztery łóżka z kompletem pościeli i skrzyniami do jej

przechowywania – dwa w sypialni, w tym jedno wysuwane na kółkach, i dwa w izbie na piętrze. Nawet najubożsi spali więc w bardziej komfortowych warunkach, niż się na ogół przyjmuje.

O ile do jakości łóżek przywiązywano sporą wagę, o tyle inne meble nie stanowiły już priorytetu. W głównej izbie znajdowały się najczęściej tylko prosty stół, z reguły składający się z blatu i dwóch koźłów, a więc łatwy do szybkiego zdemontowania, ława, kilka taboretów i czasami szafka albo kredens. W innych izbach, jeśli w ogóle były wydzielone, stały czasami różnych rozmiarów skrzynie, a w zamożniejszych domach trafiały się szafy na ubrania.

Inna ważna kategoria sprzętów domowych to wyposażenie kuchni i zastawa stołowa. Z inwentarzy i innych źródeł wynika, że normą było posiadanie zestawu składającego się z dwóch albo trzech rondli i głębokich garnków, ale wielu gospodarzy się tym nie zadowalało. W 1407 r. Thomas Pacheherst z hrabstwa Kent miał dwa mosiężne garnki, pięć rondli, trzy kociołki i dwa sagany, a także rozeń, stolnicę i sito. Sto kilkadziesiąt lat później w wykazie dóbr Johna Wywendena, parobka z tego samego hrabstwa, znalazły się: mosiężny sagan, trzy kociołki, rondel i patelnia, żelazny garnek, rozeń, ruszt i trójnóg do stawiania nad ogniem. Zastawa stołowa Johna składała się z sześciu drewnianych naczyń i łyżek, trzech cynowych pater, misy, małej czarki i czterech innych naczyń, sześciu dzbanków, trzech obrusów, dwóch serwet i dwóch świeczników. Drewniane kufle, gliniane dzbanki i wiklinowe kosze widoczne na wielu obrazach i ilustracjach z epoki były na ogół pomijane w inwentarzach zapewne z uwagi na ich niewielką wartość. Rzadko pojawiają się tam też szklane, srebrne i złote naczynia, na które chłopcy nie mogli sobie pozwolić.

Ponad połowa spisów wymienia też kadzie do warzenia piwa i cydru, prasy do serów, maselnice, żarna, krosna, wrzeciona i kołowrotki, rozmaite beczki, antałki i dzieże, siekiery, dłuta, ostrzałki, liny i postronki, co potwierdza znany fakt, że gospodarstwa chłopskie były lub w razie potrzeby mogły być samowystarczalne, jeśli chodzi o wytwarzanie żywności, odzieży, podstawowych narzędzi, naczyń i mebli. W pewnym sensie dotyczyło to też bezpieczeństwa, bo w wielu domach trzymano łuki, strzały, kusze, sztylety, miecze i tasaki, a od połowy XVI stulecia broń palną.

Podobieństwa i różnice

Wspomniane cztery brytyjskie zespoły badawcze (autor jest zatrudniony przy projektach realizowanych w Oksfordzie i Cambridge) zajmują się wieloma aspektami kultury materialnej oraz życia codziennego i przeanalizowały łącznie dziesiątki tysięcy źródeł. Nie sposób omówić tu wszystkiego, ale można pokusić się o ogólne wnioski. Po pierwsze, standard życia niższych warstw społecznych pod koniec średniowiecza i na początku ery nowożytnej był najwyraźniej wyższy, niż się na ogół zakłada. Choć nie rósł on w XV w. tak szybko, jak należałoby się spodziewać, biorąc pod uwagę znaczny wzrost płac spowodowany wyludnieniem Europy wskutek epidemii dżumy. Po drugie, pomimo całego postępu technologicznego i intensyfikacji handlu pod względem poziomu kultury materialnej ludu nie widać wyraźnej różnicy między schyłkiem wieków średnich i początkiem nowej epoki. Po trzecie wreszcie, od połowy XVI w. różnice pomiędzy zachodnim i wschodnim modelem ekonomicznym, a więc, upraszczając, między gospodarką czynszową i folwarczno-pańszczyźnianą, zaczynają przekładać się na warunki bytowe mas. Nasi chłopcy zaczynają wyraźnie zostawać w tyle.

TOMASZ GROMELSKI



Paradny grot strzały z XV w.

Polityczne skrytobójstwa



Już za tydzień
w kioskach i na
sklep.polityka.pl



Słuchaj także podcastu „POLITYKA o historii” na polityka.pl/podkasty
Zapraszamy na profil pełen historii: <https://www.facebook.com/projektulsar>



Galeria Luwru, obraz francuskiego malarza Huberta Roberta, początek XIX w.

Bezużyteczne, ale niezbędne

Muzeum jest instytucją tak uniwersalną, powszechną i oczywistą, że mało kto zauważa jego paradoksalność – twierdzi prof. Krzysztof Pomian, autor trzypięciotomowego dzieła „Muzeum. Historia światowa”.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Gdy policja francuska 14 października otrzymała ostrzeżenie o zagrożeniu atakiem terrorystycznym w Luwrze, władze zdecydowały o zamknięciu placówki. W tle był konflikt między Izraelem a Hamasem, a dzień wcześniej doszło w szkole w mieście Arras do zabójstwa nauczyciela przez islamistę z Czeczenii, więc z muzeum ewakuowano zwiedzających. Luwr stale jest na celowniku terrorystów, bo to czuły punkt Francji: największe, najslawniejsze i najczęściej odwiedzane muzeum świata jest jej dumą, symbolem zachodniej cywilizacji. Prof. Krzysztof Pomian w wydanym właśnie po polsku drugim tomie

monumentalnego dzieła „Muzeum. Historia światowa” poświęca dużo miejsca Luwrowi, który miał zasadniczy wpływ na zmianę idei muzealnictwa.

W pierwszym tomie (ukazał się w kwietniu) autor nakreślił genezę tej instytucji, która wyrosła ze skarbów monarchii sakralnych oraz z prywatnych kolekcji. Te ostatnie pojawiły się II w. p.n.e. w Rzymie, po czym znikły w II w. i odrodziły się w czternastowiecznych miastach północnowłoskich, w których bogacze – wzorem starożytnych – kolekcjonowali antyczne rzeźby, monety, inskrypcje. Zarówno prywatne kolekcje patrycjuszki z Florencji, Wenecji czy Genui, jak i zbiory pierwszego muzeum na Kapitolu (jego załącznikiem

były antyczne rzeźby ofiarowane Rzymowi w 1471 r. przez papieża Sykstusa IV) oglądali nieliczni: arystokraci, ambasadorowie i artyści. Pomysł, by je udostępnić szerszej publiczności, narodził się w XVII w. we Florencji, której mieszkańcy raz do roku mogli podziwiać zgromadzoną w Uffizi kolekcję Medyceuszki. W XVIII w. muzea można było zwiedzać po daniu łapówki strażnikowi, bilety za wstęp pojawiły się w dreźnieńskim Grünes Gewölbe (Zielone Sklepienie) za czasów króla Augusta Mocnego, wielkiego kolekcjonera. Bilety powoli wprowadzały inne placówki muzealne, ale nie otwarty 10 sierpnia 1793 r. Luwr.

To dziecko rewolucji francuskiej zawdzięczało wspaniałe zbiory wywłaszczonym dóbr królewskich i kościelnych, a zgodnie z wizją jednego z pomysłodawców, Jeana-Marie Rolanda, miało być na wskroś demokratyczne. Co prawda zagraniczni goście odwiedzający Luwr zauważyli „wieśniaków i biednych robotników dniówkowych w łachmanach stojących przed obrazem Corregia”, jednak nadal główną funkcją tej galerii była edukacja artystów, którzy mieli do niej stały dostęp. – *Publiczność, od której nie wymagano odpowiedniego ubioru, mogła ją zwiedzać tylko w niedzielę, po czym ją zamknięto, bo wymagała sprzątnięcia. Jednak, jak przystało na muzeum porewolucyjne, zwiedzanie bardzo długo było darmowe, walka o wprowadzenie biletów wstępu do Luwru trwała aż do pierwszej wojny światowej* – tłumaczy prof. Pomian. – *Ale to tylko jedno oblicze francuskich muzeów. Drugie to elitaryzm i konserwatyzm. Dość powiedzieć, że jeszcze w latach 50. XX w. dyrektor departamentu malarstwa w Luwrze twierdził, że nie ma sensu podpisywać obrazów, bo zwiedzający powinni wiedzieć, co oglądają, bez objaśnień. Ci, którzy nie wiedzą, nie muszą przychodzić. W Stanach Zjednoczonych kustosze muzealny z takimi poglądami straciłyby pracę, ale nie w Luwrze.*

Skąd ta arogancja? W zamyśle twórców Luwr miał być wizytówką porewolucyjnej Francji – kraju wolnych ludzi, prawowitego spadkobiercy demokratycznej Grecji, mającego prawo wyznaczać standardy kultury i piękna. Zrodzona w czasie terrorku doktryna dawała Francji prawo do grabienia dzieł sztuki, co armia Napoleona robiła na niebywałą skalę. Dominique Vivant Denon, uczestnik napoleońskiej wyprawy do Egiptu, a potem wieloletni dyrektor Luwru, uczynił z tej placówki ogólnoswiatowe muzeum arcydzieł, które stało się obiektem zazdrości i zachwytu całego cywilizowanego świata. Restytucje

skonfiskowanych dzieł, które zaczęły się po 1814 r., nie przeszły do Luwru w byt wzorcem dla wielu tworzących się placówek, jak Prado w Madrycie, National Gallery w Londynie, Altes Museum w Berlinie czy Metropolitan w Nowym Jorku.

Wyścig z Luwrem spowodował, że muzea zaczęły powiększać zbiory. Nawet jeśli rewolucja francuska i wyprawy Napoleona doprowadziły do największej redystrybucji dóbr w dziejach na terenie Europy, rozwój archeologii i moda na starożytność spowodowały napływ ogromnej ilości zabytków z Egiptu i Bliskiego Wschodu. Pokłosiem tego są dziś roszczenia zgłaszane przez kraje ich pochodzenia.

Luwru to nie jedyne dzieło rewolucji, które zmieniło wizję roli muzeów. Równie wielki wpływ miało Muzeum Pomników Francji (Musée des Monuments français) założone w Paryżu przez artystę i archeologa samouka Alexandra Lenoira. W byłym klasztorze Petits-Augustins zgromadził on zabytki historyczne dowodzące ciągłości dziejów Francji, w tym wiele nagrobków pochodzących z sekularyzowanych kościołów. – *Przeniesienie świętych obrazów czy kunsztownych monstrancji ze strefy sakralnej do neutralnych muzeów sprawiło, że przedmioty kultu dotąd wykorzystywane w liturgii zamieniły się w podziwiane za kunszt artystyczny dzieła sztuki. To wymusiło na wiedzących muzea inny rodzaj patrzenia na nie. Desakralizacja poszła tak daleko, że w XVIII w. niektórzy podróżnicy pełne obrazów kościoły zaczęli postrzegać jako galerie* – przypomina profesor. Luwrem zachwyca się ze względu na bogactwo arcydzieł, muzeum Lenoira stało się wzorcem dla muzeów, które miały być świątyniami ciągłości i tradycji rodzących się państw narodowych. Nie przetrwało ono restauracji, ale znalazło naśladowców, chociażby Izabelę Czartoryską, której muzeum w Puławach upamiętnia dzieje Rzeczypospolitej.

Choć już Luwr Denona był pomnikiem legendy Napoleona, propagandowa rola muzeów rozwinęła się na poważnie w II połowie XIX w. – *Pierwszą placówką pomyślaną w ten sposób było Muzeum Historii Francji otwarte w Luwrze w 1852 r., które przedstawiało Napoleona i jego dynastię jako najdoskonalsze zwyciężenie dziejów Francji, co zresztą tłumaczy, dlaczego przestało istnieć wraz z upadkiem II Cesarstwa w 1870 r.* – mówi prof. Pomian. – *Zainspirowało ono kilka innych, mniej agresywnych muzeów dynastycznych, ale bezwzględne podporządkowanie muzeów propagandzie miało miejsce*

dopiero po rewolucji bolszewickiej w Rosji, gdzie ich zadaniem stało się pokazywanie walki klasowej. Oraz w Trzeciej Rzeszy, gdzie z galerii wyrugowano sztukę nowoczesną jako przejaw „żydowskiego zwyrodnienia”. Tym procesom poświęcony jest trzeci tom (na razie w tłumaczeniu). Lektura drugiego uświadamia, że to już rewolucja francuska w ogromnej mierze przeobraziła status i charakter muzeów oraz spowodowała wzrost ich liczby. Co więcej, pod wieloma względami pewne rewolucyjne cechy muzeów, jak chociażby dostępność i rola w tworzeniu poczucia tożsamości narodowej, przetrwały do dziś.

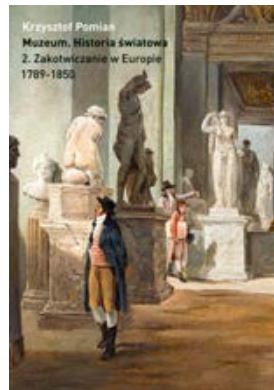
– *Współczesne muzeum jest instytucją, bez której żaden kraj czy miasto nie może pretendować do miana „cywilizowanego”.* Jeśli mu się przyjrzeć głębiej, jest miejscem, w którym dokonuje się transmisja od przeszłości ku przyszłości – mówi prof. Pomian. – *Muzea przechowują dla przyszłych pokoleń ślady przeszłości, stąd wielka waga, jaką się przykładają do konserwacji zbiorów i ich zabezpieczania przed zniszczeniem czy kradzieżą.* Jednak gdybyśmy myśleli wyłącznie o zachowaniu kolekcji, zamknęlibyśmy je w bunkrach za pancernymi drzwiami i nie wpuszczali do nich nikogo, tymczasem wystawiamy je w muzeach, by objaśniały świat, budowały świadomość historyczną i tożsamość, artystycznie uwrażliwiała.

O tym, jak są ważne pod względem politycznym, prestiżowym i kulturowym, świadczy liczba muzeów, która po drugiej wojnie światowej wzrosła na świecie do ok. 100 tys., oraz lament, podnoszony za każdym razem, gdy dochodzi do zniszczeń wywołanych trzęsieniami ziemi czy pożarami. Zagrożeniem wydawała się pandemia, ale muzea wyszły z niej w miarę obronną ręką. Poważniejszym problemem są wojny, bo muzea płacono podczas walk w Afganistanie, Iraku, Syrii, teraz w Ukrainie – Rosjanie wywieźli kolekcję scytyjską z muzeum w Mariupolu. Jednak według prof. Pomiana przyszłość muzeów nie rysuje się w świetlanych barwach nie tyle ze względu na wojny czy roszczenia, ile z powodu rozprzestrzeniania się

ideologii ekologicznej i ruchu „no future”. – *Mogą one doprowadzić do upadku muzeów, bo instytucje, które w założeniu mają przekazać naszą przeszłość dowolnie odległej przyszłości, nie mają w obliczu nadchodzącej katastrofy w ogóle racji bytu. Zamachy w muzeach polegające na oblewaniu obrazów sosem pomidorowym mają rzekomo zwrócić uwagę na zagrożenie apokalipsą. W rzeczywistości stawiają one istnienie muzeów pod znakiem zapytania. Na razie nikt jeszcze nie zamierza ich likwidować, ale już władze miejskie we Francji opanowane przez „zielonych”, np. w Strasburgu, postanowiły ograniczyć na nie wydatki i otwierać je tylko pięć dni w tygodniu.*

Niezależnie od kłopotów współczesnych muzeów mamy w nich do czynienia z kolejną wielką rewolucją – cyfryzacją. Można odnieść wrażenie, że w wielu miejscach dochodzi wręcz do zastąpienia multimediami oryginalnego obiektu. – *Jestem gorącym zwolennikiem używania wszelkich nowoczesnych technik, w sytuacji gdy pozwalają zrozumieć lub zobaczyć coś, czego inaczej zrozumieć lub zobaczyć się nie da, ale wielkim przeciwnikiem zastępowania obiektów hologramami czy ekranami komputerów. Muzeum jest miejscem, w którym mamy mieć do czynienia z autentycznym dziełem sztuki, bo patrzenie na nie na ekranie, nawet ze wszystkich możliwych stron, nie zastąpi kontaktu wzrokowego z oryginałem* – przekonuje prof. Pomian.

Muzea nie są niezbędne dla naszej egzystencji, ale to dzięki nim możemy zobaczyć na własne oczy ślady przeszłości, która przecież wpływa na teraźniejszość i przyszłość. O wadze tej paradoksalnej instytucji świadczy to, że ani stałe zagrożenie atakiem terrorystycznym, ani skandal związany z posądzeniem byłego dyrektora Luwru Jeana-Luca Martineza o udział w nielegalnym handlu zabytkami (POLITYKA 40) nie zmieniają faktu, że co roku przychodzi zobaczyć znajdującą się tam Giocondę czy Nike z Samotraki niemal 8 mln osób. ■





w telewizji

Mordercza obsesja 4/6

Zabójca (The Killer), reż. David Fincher,
prod. Francja, USA, 118 min, Netflix

Najistotniejsze w tym filmie jest pierwsze 20 minut, prawdopodobnie dla widza najmniej ciekawe, gdyż nic się właściwie, oprócz czekania, wtedy nie dzieje. W opuszczonym paryskim biurze na poddaszu **Michael Fassbender** ćwiczy jogę, mierzy tętno, robi pompki, słucha muzyki (zawsze tego samego zespołu, The Smiths), obserwuje pobliską kawiarnię, czasami w beżowym ubraniu imitującym typowy strój niemieckiego turysty wymyka się na zwiady. W trakcie wszystkich tych monotonicznych czynności wygłaszany jest z ofu długi, pozornie jeszcze bardziej nudny, za to etycznie szokujący, wywód narratora objaśniający dekalog postępowania płatnego mordercy. „Nie ufaj nikomu, zawsze pytaj, co z tego będę miał, trzymaj się planu, przewiduj, nie

improvizuj, empatia to słabość, słabość to wrażliwość” itd. Powiedzieć, że jest to credo psychopaty, to mało, gdyż wypełnienie tych wszystkich mądrości oznacza bycie cyborgiem. Grający zawodowego killera Fassbender faktycznie sprawia wrażenie perfekcyjnie kontrolującej się maszyny do zabijania, ponieważ jednak w rzadkich chwilach bywa człowiekiem, potrafi się też mylić. Zamiast zlikwidować cel, który namierza, przypadkowo trafia kobietę, co z kolei wywołuje lawinę nieprzewidzianych przez niego konsekwencji. Oparty na francuskim komiksie intelektualno-egzystencjalny thriller w stylu neo-noir Davida Finchera stara się skrupulatnie te pomyłki wyłuskać, zderzając głoszone przykazania z krwawą praktyką, pozostawiając jednak końcowe wnioski widzowi. Niektórzy odczytują film wprost – jako oczywisty instruktaż dla potencjalnych zabójców. Nieliczni dostrzegą w nim parodię poczyzna profesjonalisty, działającego emocjonalnie, dokonującego metodycznej vendetty z czystej chęci zemsty, chociaż procedura tego zabrania. W amerykańskich recenzjach pojawia się interesująca sugestia, że wcale nie musi to być film o zabijaniu, tylko o obsesji graniczącej z manią doskonałości, której ofiarą często pada sam reżyser, znany z morderczego kontrolowania poczyzna swoich współpracowników.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

w telewizji

To idzie młodość 4/6

Absolutni debiutanci, twórczynie serii:
Nina Lewandowska i Kamila Tarabura,
6 odc., Netflix

Netflix stawia na eksplorowanie gatunków dawno u nas nieuprawianych. Czasem jest to skucha (*mystery thriller* „Krakowskie potwory”), częściej jednak sukces, tak jak w przypadku „Absolutnych debiutantów”; zwiewnej *young adult dramy*, rodzimego odpowiednika „Tacy właśnie jesteście” Luki Guadagnino. Pięknie filmowane lato, Bałtyk i rozmaite



„pierwsze razy” będące udziałem trójki (w porywach do czwórki) bohaterów, ujmując granych przez **Martynę Byczkowską** (Lena), Bartłomieja Deklewę (Niko), **Jana Sałasińskiego** (Igor) oraz Paulinę Krzyżanską (Malwina). W tle są zaprzyjaźnione pary wspierających rodziców Niko i Leny i ich własne, „nowe początki”, gdy dzieci szykują się do opuszczenia gniazda. Twórczynie

z wdziękiem i otwartością pokazują rodzące się uczucia, eksperymenty z seksualnością i tożsamością, strach, potrzebę zrozumienia i bezpieczeństwa. Kontekst społeczny czy ekonomiczny jest obecny w kadrze, ale na jego obrzeżach, pogłębia psychologiczne portrety bohaterów, podobnie jak delikatnie zarysowana neuroatypowość Leny, nie dominując głównego wątku, jakim jest odkrywanie siebie w kontakcie z drugim człowiekiem znajdującym się na podobnym etapie życia. „Absolutni debiutanci” to klimatyczna pocztówka z ostatnich wakacji przed dorosłością, z rozwirowanymi ciałami w centrum. Kolejna – bo takich obrazków widzieliśmy już wiele, i pierwsza – bo przecież każde pokolenie chce (i powinno) mieć własną.

ANETA KYZIOŁ

w telewizji

W szpitalu wciąż straszy 5/6

Królestwo: Exodus, reż. Lars von Trier, 5 odc., VOD Nowe Horyzonty

Po 25 latach od dramatycznych wydarzeń z finału drugiego sezonu „Królestwa” bohaterowie nie mogli tak po prostu wrócić na ekran. „Exodus” zaczyna się więc od sceny, w której starsza kobieta ogląda serial von Triera na DVD, narzeka na „bezsensowne” zakończenie i wyrusza do Kopenhagi, by wyjaśnić, co faktycznie stało się ćwierć wieku wcześniej. Choć w finałowej serii większość obsady jest nowa, zaś znajome twarze (a także gwiazdy, m.in. Willem Dafoe i Alexander Skarsgård) pojawiają się raczej



na drugim planie, sam szpital nie zmienia się tak bardzo. Dobro pacjentów nadal nie jest tu priorytetem, szwedzki ordynator (syn poprzednika) narzeka na Duńczyków, meblując gabinet regałami z Ikea, po korytarzach błakają się duchy, a diabeł ma wobec Królestwa własne plany. Niezmienna jest również pewność siebie reżysera, który błyskotliwie łączy horror ze slapstickiem, wchodzi w artystyczny dialog ze swoim dorobkiem, kpi z siebie i jednocześnie pompuje własne ego, a z fabułą robi, co chce, nie oglądając się na oczekiwania publiczności. „Exodus” jest popisem zarówno inteligencji, jak i samouwielbienia von Triera. I z pewnością czymś więcej niż jedynie uczynionym po latach dopiskiem do popularnej serii. Więcej gmatwa, niż objaśnienia, zostawia widzów z jeszcze większą liczbą pytań niż poprzednie części serii, jednak do szpitala Królestwo wchodzi się przecież na własną odpowiedzialność, nie oczekując prostych odpowiedzi i klarownej wizji świata.

JAKUB DEMIAŃCZUK

na scenie

Jak rządzić feministycznie? 3/6

Miasto kobiet, dramaturgia Marianna Cieślak i Leonie Hahn, reż. Emma Hütt, TR Warszawa

Emancypacyjna „Księga o Mieście Pań” z 1405 r., autorstwa filozofki i pisarki Krystyny de Pizan, satyryczny film Felliniego z 1980 r., Szekspirowski „Makbet”, baśnie, współczesne horrory, w tym te o kanibalach i krindżowe filmiki z YouTube – te inspiracje złożyły się na spektakl tegorocznej laureatki nagrody Debiut TR. Emma Hütt, studentka w Instytucie Teatrolologii Stosowanej w Gissen, przygląda się w nim tematowi kobiecej władzy w świecie i zadaje pytanie, jak ją sprawować, nie powielając męskich i patriarchalnych schematów. Spektakl stawia na postmodernistyczny dystans. Krystyna de Pizan to tutaj młoda, zbuntowana, ale też pełna wątpliwości dziewczyna, Krysia (**Zuzanna Radek**), boginie, które namawiają ją do stworzenia kobiecej twierdzy, mają szarm drag queen, a władzę nad nimi



sprawuje Syrenka w looku rodem z nocnych klubów (Julia Wyszyńska). Czasem wychodzi z tego coś na kształt szalonej, queerowej, idącej w poprzek czasów i gatunków rewii, czasem – humor z zeszytów szkolnych. Ale pytania, które zadają twórczynie, są istotne i aktualne. Całkiem na poważnie nad odpowiedziami na nie zastanawiają się teraz m.in. świeże dyrektorki teatrów: Anna Rochowska w TR Warszawa i Monika Strzępka wraz z kobiecym kolektywem, z którym przejęła rządy w stołecznym Teatrze Dramatycznym.

AK

w galerii

Kawaler malarski 5/6

Mattia Preti, Odkrywając barokowe tajemnice Malty, Łazienki Królewskie, Podchorążówka, Warszawa, do 3 marca 2024 r.

Jeśli Malta, to urlop? Nie tylko. Ta wystawa jednym przypomina, a drugim uświadamia, że ta niewielka wyspa to także wielkie dziedzictwo kultury. Głównie za sprawą joannitów, zwanych też dumnie kawalerami maltańskimi, czyli zakonu, który przez ponad 250 lat miał tam swoją główną siedzibę i nie oszczędzał na wprzęgnięciu sztuki w dzieło chwały Pana i własnej. Związany z nimi był – przypomnijmy – choćby sam Caravaggio, zaś Preti śmiało kontynuował jego dzieło. Także malarskie, bo przez jakiś czas należał do grupy naśladowców odkrywcy *chiaroscuro*. Na Maltę dotarł w dojrzałym już wieku (46 lat) i z renomą znanego malarza, by pozostać tam na kolejne cztery dekady, aż do śmierci w 1699 r. Pozostawił po sobie, głęboko

zanurzone w baroku, imponujące freski w kościołach i ponad 600 (!) obrazów, a niewielka, ale smakowita ich reprezentacja dotarła teraz do Polski. To bardzo elegancka wystawa reprezentująca nie tylko czołowego malarza włoskiego tamtych czasów, ale też tzw. szersze tło: skrótove dzieje wyspy oraz fenomen potęgi joannitów. Przygotowano nawet, pomniejszoną rzecz jasna, przestrzenną makietę jego najśłynniejszych fresków z konkatedry św. Jana. Po słabej Kahlo – wystawa, którą można polecić z czystym sumieniem.

PIOTR SARZYŃSKI



książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Obrońcy galaktyki 5/6

Wojna 2022. Dzienniki, eseje, wiersze, wybór i oprac. Wołodimir Rafiejenko, przeł. wielu tłumaczy, Centrum Mieroszewskiego, Warszawa 2023, s. 425

To była bardzo ważna książka w Ukrainie, bo zbiera głosy znanych pisarzy i pisarek o początku wojny. Antologię otwiera porażający dziennik zabitego Wołodymyra Wakułenki, zakopany i odnaleziony przez Wiktorię Amelinę, która sama potem zginęła latem w ataku rakietowym. Amelina pisze o przygotowywanym tuż przed wojną festiwalu w Nju-Jorku niedaleko Doniecka i o tym, jak bardzo chciała nauczyć się nie bać. W pewnym momencie mówi do syna, że to prawdopodobnie ich ostatnie wspólne wakacje – i rzeczywiście tak było. „Do wojny byłam pisarką” – pisze Sofija Andruchowycz. Wojna była cezurą, niektórzy pisarze stali się żołnierzami, jak Artem Czapaj. Czasem pomagało mu to, że czuł się w wojsku jak wśród strażników galaktyki, od których zależy przyszłość nie tylko Ukrainy. Ale części



czuł się nieprzygotowany do tego, w czym uczestniczy: „Tak sobie myślę, że żadna antywojenna książka, od Remarque’a z Hemingwayem po wspomnienia z drugiej wojny światowej, „Rzeźnię numer 5” i „Paragraf 22”, nie przystaje do tego, że trzeba wywozić dzieci spod ataków bombowych”. Niesłyszany jest tekst „Nocne światelko” Wołodymyra Rafiejenki – autora jednej z najważniejszych powieści ostatnich lat, „Najdłuższe czasy” – o ucieczce z zajętych terenów między Buczą a Boro-dzianką i o małej, chińskiej latareczce. Z kolei **Serhij Żadan** nadaje z Charkowa, śledziliśmy wtedy w Polsce wszystko, co mówił. Wracamy do początku wojny, ale przecież ona nadal trwa, coraz trudniej tym na froncie mieć poczucie, że świat patrzy na obrońców galaktyki. Dlatego nie można o nich zapominać.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Salander ciotką 4/6

Karin Smirnof, **Millennium. Krzyk orła**, przeł. Inga Sawicka, Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2023, s. 450

Rodzina Stiega Larssona dwa lata temu zbyła prawa do jego dzieł wydawnictwu Polaris. I to ono powierzyło kolejną już kontynuację cyklu „Millennium” (po trzech tomach autorstwa Davida Lagercrantz) Karin Smirnof, autorce bestsellerowej w Szwecji sagi rodziny Kippsov. Ona również ma napisać trzy tomy.

Po pierwszym z nich wydaje się, że to niezły wybór: Smirnof buduje mroczny nastrój, umieszczając akcję w północnej Szwecji, wśród śniegu, w krainie Saamów. Rzecz dzieje się współcześnie, Mikael Blomkvist właśnie wydał ostatni numer papierowego „Millennium”, pozostanie tylko strona internetowa i podcasty. Jedzie na ślub córki, dla której nigdy nie był dobrym ojcem. Lisbet Salander zostaje wezwana, gdyż nagle okazuje się, że ma bratanicę, córkę Ronalda Niedermana (owego wielkoluda nieodczuwającego bólu, znanego jeszcze z powieści Larssona), która została sama i trzeba się nią zająć. 13-letnia Svala okazuje się godną swej ciotki oryginałką o równie błyskotliwej inteligencji, ale w odróżnieniu od niej także z humanistycznym zacięciem. Wszyscy spotykają się przy jednej sprawie, walcząc z wielkim złem. Interesujące jest, w jaki sposób negatywny bohater łączy zrozumienie dla problemów zmian klimatu ze zbrodniczymi planami wobec ludzkości. Niedomknięcie paru wątków zapowiada ich powrót w kolejnym tomie.

DOROTA SZWARCMAN



Pastelowa bomba atomowa 5/6

Mary Karr, **Klub Łgarzy**, przeł. Hanna Jankowska, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2023, s. 341

Czego można się spodziewać po książce zatytułowanej „Klub Łgarzy”? Okazało się, że bolesnej prawdy. A jednak czyta się tę książkę wyśmienie. I nie jest to kwestia masochizmu, tylko otwartości na dobrą literaturę. Książka Karr przychodzi do nas z dużym, niemal 30-letnim poślizgiem. I dobrze, bo mądrzej będziemy ją czytali dziś niż w pierwszych latach transformacji, kiedy krzywda ludzka była tańsza niż dzinsy z bazaru. Zresztą opowieść Karr jest na swój sposób ponadczasowa. Z jednej strony osadzona w realiach Ameryki lat 60. zeszłego wieku, kiedy Karr dojrzewała. Ale również dobrze dekoracje można by pominąć, a historia nadal by do nas mówiła. Kwestia mówienia jest ważnym elementem. Kto mówi? Czy to Karr, bo książka uchodzi za autobiograficzną? Czy może jednak po prostu dziecko, tropem którego autorka zapuszcza się w głąb historii rodziny dotkniętej głębokim nieszczęściem alkoholu, choroby psychicznej i całej plejady demonów, jakie ta familia wyhodowała przez pokolenia, a których nie udało się już upchnąć w żadnej szafie ani ukryć przed sąsiadami, nie mówiąc o własnych dzieciach. Sama Karr w przedmowie stwierdza, że stała się „kims wynajętym przez swoje poprzednie ja”. Każde skrzywdzone dziecko znajdzie w tej książce swoją historię. Im większa krzywda, tym piękniej namalowaną. Karr nie dłubie w swoich ranach śrubokrętem, tylko pędzelkiem z sobolowego futra, takim samym, jakim jej matka, niespełniona malarka, próbowała realizować swoje ambicje. Ale uwierzcie mi, będzie was ten pędzelek łaskotał aż do szpiku kości. A na koniec okaże się, że tym pędzlem wymalowała pastelową bombę atomową.

JULIUSZ CWIELUCH

na płycie

Paryski wdzięk 5/6

Bruce Liu, **Waves: Music by Rameau, Ravel, Alkan**, Deutsche Grammophon

Z wycieczka ostatniego konkursu chopinowskiego poświęcił swą pierwszą płytę dla Deutsche Grammophon (po tej z nagraniami konkursowymi) muzyce kraju, w którym się urodził. A było to w Paryżu i choć jako dziecko Bruce Liu wyjechał z ojcem do frankofońskiego Montrealu i jest dziś obywatelem Kanady, przy tym wychowaniu w kulturowaniu kultury chińskiej, to kultura francuska pozostała mu bliska. Z kompozytorów, których dzieła wybrał, wszyscy byli paryżanami i choć każdy jest inny, to łączy ich subtelność i francuski *esprit*. Koronkowy barok Rameau – to ramy płyty, a zarazem refren. Przeplacone z nimi są dzieła młodszego o parę lat od Chopina (i znającego się z nim) Charlesa-Valentina Alkana, wielkiego oryginała tamtych czasów. Centralnym, a zarazem kulminacyjnym punktem płyty jest cykl „Miroirs” Ravela, pięć wspaniałych impresjonistycznych obrazów, granych zupełnie innym dźwiękiem, niezwykle sugestywnie opowiadających historie o cmach, smutnych ptakach czy samotnej barce na oceanie. Tytuł płyty nie wiąże się jednak z tym oceanem, lecz raczej – według pianisty – z jego własną spontanicznością. Na tle muzyki francuskiej jego interpretacje muzyki Chopina stają się jeszcze bardziej zrozumiałe.

DOROTA SZWARCMAN



Skalpel plus 5/6

Skalpel Big Band, **Skalpel Big Band Live**, No Paper

Czy kiedy złożymy z powrotem coś rozłożonego wcześniej na części, wyjdzie dokładnie to samo? Duet Igora Pudły i Marcina Cichogo, czyli Skalpel, zajmował się od początku dekonstruowaniem archiwalnych utworów, opierając swoją kolażową muzykę na drobnych samplach z jazzowych płyt. W ten sposób powstały utwory, które teraz – z wykorzystaniem umiejętności 14-osobowego zespołu pod dyrekcją Patryka Piłasiwicza – obudowują z powrotem w jazzowe aranżacje. Teraz, a właściwie już cztery lata temu, bo opublikowany właśnie materiał pochodzi z koncertu, który odbył się w listopadzie 2019 r. w warszawskim Palladium. W długim (ponad 80 minut) programie „Skalpel Big Band Live” odnajdujemy cały zbiór doświadczeń oryginalnej dwójki producentów, która w ciągu ćwierćwiecza z formacji posługującej się klubową metodą „wytnij i wklej” przeszła do ambitnego samplowania nagrań z archiwum muzyki współczesnej. Przyjemnie płynąca i dająca przestrzeń dla solówek całość jest symbolicznym zwieńczeniem pewnej drogi. Na muzyce klubowej wyrosło całe nowe pokolenie polskich jazzmanów, które na Skalpela patrzy jako na podobną część tradycji jak Namysłowski czy Stańko. „Ujazzowienie” tych utworów na powrót przynosi więc już nieco inny efekt.

BARTEK CHACIŃSKI



Dobry omen 4/6

Kasia Lins, **Omen**, Polydor

Po „Mojej winie” z 2020 r. nadszedł czas na „Omen”. Kasia Lins wydała nową płytę, udowadniając po raz kolejny, że zależy jej na kreowaniu swojego indywidualnego stylu. Estetyka nowego wydawnictwa jest jeszcze bardziej surowa, nawet w partiach wokalnych. Mrok rozbrzmiewający z głosińców w sferze lirycznej przekłada się na napięcie pomiędzy śmiercią a życiem, miłością a stratą. Autorami kompozycji, pełnych tajemniczości i pozostawiających sporo przestrzeni dla partii instrumentalnych, są Lins wraz z Karolem Łakomcem. A utwór „Do śmierci mamy czas” powstał we współpracy z WaluśKrakusaKryzys. Męski głos jest ciekawym kontrapunktem dla lirycznych opowieści, których główną bohaterką jest kobieta. „Ani Amen” to z kolei kompozycja, która powstała do tekstów Jerzego Pilcha, opracowanych przez Kingę Strzelecką-Pilch. Mroczny klimat płyty opiera się także na wracających inspiracjach symboliką religijną, przełamaną nawiązaniami do mitologii. I tak w utworze otwierającym „Nikogo nie chcę” słyszymy wyznanie: „Choć mój kościół wyznaje już tylko ciebie”, a w finałowej „Persefonie”: „Zabij tak, żeby nie bolało. Nie chcę skończyć jak z narcysem Persefona”. Dwanaście kompozycji zawartych na albumie można traktować jak jedną, spójną opowieść.

MARIA SŁAWIŃSKA



festiwale

Pod dachem na brzegu

Inside Seaside, 11–12 listopada, Gdańsk, hala AmberExpo

Pierwsza edycja festiwalu w zamkniętej przestrzeni gdańskiego centrum wystawienniczego to inicjatywa o charakterze nienowym w skali światowej, ale w Polsce innowatorskim. Inside Seaside niejako przedłuża sezon letni – to dwa dni z bardzo różnorodnym programem artystycznym: od Shame, Sleaford Mods czy Nothing But Thieves, przez Brodkę czy Girl In Red, aż po Ezra Collective, Immortal Onion, P. Unity czy Leszka Możdżera. Ze szczególnym wydarzeniem, jakim



będzie występ reaktywowanego w nowym składzie zespołu Kury, który zagra materiał z legendarnej płyty „P.O.L.O.V.I.R.U.S”. Wszystko w środku listopada, ale bez kaloszy i bez parasola. A sama przestrzeń? – *Poszliśmy tam z inżynierem dźwięku, zrobiliśmy profesjonalne badania tej przestrzeni, zostały zlecone modernizacje – w tym dodatkowa ściana akustyczna między modułami, żeby dwie sceny festiwalowe mogły grać jednocześnie* – wyliczał w podkaście POLITYKI Arkadiusz Stolarski z agencji LIVE, która całość przygotowuje. Organizatorzy mają na koncie kilkanaście lat sukcesów Męskiego

Grania, a teraz chcą stworzyć imprezę o bardziej światowym charakterze. Poza muzyką będą tu projekcje i spotkania, animowane przez dziennikarzy Radia 357, będzie też można kupić płyty winylowe i – co ciekawe – od razu przesłać je sobie do domu pocztą kurierską.

BCH
Szczegóły: insideseaside.pl

Żarty się nie skończyły

Polacy wyleczyli w ostatnich latach wiele kompleksów. A farsa i humor klozetowy nadal żyją i mają się dobrze – mówi **Olga Drenda**, autorka książki „Słowo humoru”.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA: – Nie ma pani już dość śmieszekowania?

OLGA DRENDA: – Kiedy pisałam „Słowo humoru”, często nie było mi wcale do śmiechu, a wręcz los stroił sobie ze mnie żarty. Miałam spore kłopoty ze zdrowiem, co spowodowało zmianę terminu wydania książki, a wracanie do raz zaczętego tematu zawsze jest trudniejsze niż płynna jazda. Kiedy kończyłam pisać, myślałam, że będę miała absolutnie dość śmieszekowania i jakiegokolwiek materii komediowej. Ale uczulenie trwało tylko chwilę. Ja zresztą z natury śmiejkuję, odruchowo, cały czas.

Czyli nie chodziło o to, żeby książka o humorze ukazała się w pełni jesieni, kiedy wszystkiego się odechciewa, a słońce ledwo widać zza smogu?

Nie, to pomysł jeszcze z czasów pandemii. Mieszkałam wtedy chwilę w Gdańsku. Trójmiejska aura chyba tak na mnie zadziałała, te wszystkie wyroby awangardowo-humorystyczne z przełomu lat 80. i 90. Świeże powietrze i te absurdałne miazmaty dookoła – to mnie zainspirowało. Przypomniała mi się tam od razu scena yassowa z humorem w duchu Franka Zappy czy stara kampania promująca Gdańsk „Fale GDN”, z filmem, w którym rolnik ściąga spodnie i wskakuje do snopowiężałki. Trójmiasto szczyci się tą atmosferą swobody artystycznej podszytej absurdem i chyba trochę mi się udzieliło. Może to od jodu.

A teraz gdzie pani mieszka?

W Warszawie. Urodziłam się na Górnym Śląsku, w dorosłym życiu mieszkałam przez 10 lat w Krakowie, potem znów w rodzinnym Mikołowie.

I które z tych miast jest najbardziej memiczne?

Każde na swój sposób. Bardzo mnie śmieszą te lokalne odmiany humoru, autoironii. Czasem urok idzie w parze z czerstwością. Nigdy nie mieszkałam we Wrocławiu, a myślę, że też jest bardzo memogenny – te słynne szczury i „wywrocławiające się” tramwaje... Wyścigi tramwajów bydgoskich też mi się podobają.

Olga Drenda, (ur. 1984 r.) – pisarka, eseistka, z wykształcenia etnologa i antropolożka kultury. Autorka książek „Duchologia polska. Rzeczy i ludzie w latach transformacji”, „Wyroby. Pomysłowość wokół nas” (nominacja do Paszportów POLITYKI, Nagroda Literacka Gdynia) oraz rozmów „Czyje jest nasze życie” (z Bartłojem Dobroczyńskim) i „Książki o miłości” (z Małgorzatą Halber). Prowadzi profil „Duchologia” na Facebooku poświęcony widmom transformacji i podcast „Dziś” z Jackiem Paśnikiem. „Słowo humoru” to jej najnowszy esej (wyd. Karakter).

Warszawa jest chyba najmniej zabawna.

Warszawa obrywa złośliwościami za status stolicy i zakładany z góry snobizm. Wbrew pozorom trudno jest wymyślić bezpretensjonalny żart na ten temat. Ostatnio trafił się taki udany mem: „Kiedy idziesz na grzyby i spotykasz warszawiaków”, była to rodzinka w eleganckiej odzieży rekreacyjnej, kremowo-beżowej, czyli w sam raz do lasu. (*śmiech*) Nie jestem pewna, bo mieli okulary i czapki, ale chyba była to rodzina Małgorzaty Rozenek-Majdan. Nie ma w niej samej oczywiście nic złego, ale tak wypadło, że symbolizuje styl życia rodem z Instagrama, niezbyt grzybiarski. Poza tym bardzo Warszawę lubię, ale nie ukrywam, że śmieszą mnie przesadne, pompowane konflikty między miejscowościami i regionami. Jako mieszkanka dawnej i aktualnej stolicy Polski daję sobie prawo, by śmiać się i z żartów z Warszawy, i z Krakowa.

Z pani książki wynika, że śmiech to całkiem poważna sprawa. Nie o same endorfiny chodzi.

Zdecydowanie. Nie lubię myśleć o czymkolwiek w kontekście funkcji, chociaż wiem, że jest obecnie taka tendencja w naukach społecznych, w ogóle w humanistyce, żeby wszystko postrzegać pragmatycznie, funkcjonalnie: jeśli coś istnieje, to najwyraźniej po coś, zgodnie z zasadą „nie ma smrodu bez powodu”. Mnie od razu włącza się sprzeciw. Humor jest niejednoznaczny, zawsze jest w nim zakodowana ambiwalencja, nie da się wyjaśnić go jednym kluczem. Tego nauczyła mnie praca nad tą książką i to sprawiło, że stawiała mi co chwila różne wyzwania. Cały czas myślałam zygazkiem. Śmiech okazał się zaskakująco trudnym tematem, i całe szczęście. Filozofia długo się z nim mocowała, współczesne neuronauki i stechniczowana humanistyka są kompletnie bezradne. Ze śmiechem jest jak z zagadkami Sfinkska.

Jak się połapać, kiedy coś jest jeszcze śmieszne, a kiedy wywołuje już raczej krindź, zażenowanie?

To są subtelności, które bardzo trudno wytopić. Niestety zwykle przekonujemy się na własnej skórze, że jakiś dowcip stracił datę ważności. Jak Marcin Świetlicki w wierszu „Rzewne jaja” – chciał powiedzieć żarcik, a ujrzał skonsternowaną twarz odbiorcy, który go nie załapał.

Skraynym przykładem jest sprawa „żartu z gwałtu”, którą w książce pani przypomina. Żarty się skończyły w 2012 r. po audycji Kuby Wojewódzkiego i Michała Figurskiego o zatrudnianych w Polsce Ukrainkach.

Byłam w stanie dać im wiarę, że śmiali się z postawy pana wszechświata, takiego polskiego szefa Januszpolu. Ale brzmiała zbyt wiarygodnie, jakby ktoś nagrał prawdziwe przechwałki przy wódce. To się zbiegło ze zmianami w prawie, takie sprawy jak molestowanie seksualne w pracy ze strefy tajemnicy przeszły na salę sądową. Zmieniło się postrzeganie mobbingu. Ludzie nabrali odwagi, żeby się sprzeciwić, przede wszystkim kobiety, ale nie tylko, odzew po audycji był bardzo uniwersalny i szeroki. Jeszcze pięć–dziesięć lat wcześniej słyszelibyśmy raczej: „Oj tam, przesada, nie ma się czym oburzać”.

Pamiętam, że autorzy tłumaczyli się głównie konwencją.

Gdyby to była scena komediowa z groteskowym szefem tyranem w roli głównej, toby się jeszcze broniło. Nie byłoby śmiesznie, ale byłoby widać przerysowanie. W dialogu radiowym takiej opcji nie było. Dziś to samo się dzieje przy okazji Pandora Gate. Proszę zauważyć, że co bardziej doświadczeni dziennikarze, którzy sami igrali z prowokacją, lubili się nad kimś na wizji poznać, żyli w symbiozie z youtuberskim światem – jak choćby Krzysztof Stanowski i Robert Mazurek – teraz usunęli się w cień, schowali do mysiej dziury. Wiedzą, że to nie czas na to, żeby bronić jakichś ekstremalnych żartów. Bo nigdy nie wiadomo, czy nie tuszuje się przestępstwa. Zresztą próby

gaszenia pożarów po kiepskich żartach nie pomogły zapobiec utracie sponsorów przez Kanał Sportowy.

Skruszeni youtuberzy publikują teraz filmiki z przeprosinami. Ale wirtualna publiczność chyba tego nie kupuje.

To jest bardzo ciekawy przypadek „sądu w czasie rzeczywistym”, rozstrzygnięcia przez widzów, kto jest wiarygodny, a kto nie. Publika internetowa nie daje już wiary filmikom pełnym melodramatyzmu, wyraźnie nastawionym na to, by wywołać w odbiorcy współczucie. Nie wystarczy ogłosić: „Zrozumiałem swój błąd, jestem w terapii”. Dzisiaj internet śmieszkuje z takiej odegranej przed kamerą skruchy, ta fraza stała się synonimem krokodylich łez, nieszczerzego żalu.

Zbiorowa publiczność okazała się mądra.

Tak, cała ta sprawa stała się w poprzek wszelkim przekonaniem o tym, że w internecie myśli się stadnie, ludzie zarażają się opiniami i nie przemyślują swojego stanowiska. Wbrew pozorom widzą niuanse.

Zastanawia się pani w książce, z czego śmiać się nie wypada. Wniosek jest taki, że to zależy od tego, kto się śmieje. Osoby z niepełnosprawnością często uprawiają stand-up na własny temat, pokpiwają ze swoich niedostatków. Im wolno.

Wszystko zależy od samego śmiejącego się, od publiki i od wyzucia okoliczności. Wojtek Sawicki, dziennikarz i twórca profilu Life On Wheelz (Życie na kółkach), często żartuje ze swojej bardzo poważnej choroby (chodzi o dystrofię mięśniową Duchenne’a – red.). Uważam, że to nie jest wbrew pozorom tylko defensywny śmiech, próba zrekompensowania sobie czegoś. Oczywiście tak również bywa. Ale humor sprzyja też równowadze psychicznej, godzeniu się z paradoksami i niemożliwościami.

Humor zmienia się w czasie, jak już ustaliliśmy. Dziś serial „Przyjaciele” ogląda się krytycznie, punktuję za homofobię, pomijanie czarnych twórców, wykpiwanie dtyłości itd. Z założenia antyrasistowska „Makumba” dziś jest odbierana jako... rasistowska. Dla odmiany „Świat według Kiepskich”, kiedyś obsobaczany, z czasem zyskał, stał się wręcz kultowy. I tylko Big Cyc wspólny.

Wszystko jest produktem swojej epoki, co jeszcze nie oznacza, że jest karygodne. Ale recepcja się zmienia, owszem. Do „Świata według Kiepskich” krytycy nie podchodzili chyba wystarczająco sprawiedliwie. Serial był realizowany tanim kosztem, więc zakładano, że i humor jest kiepski. Trochę czasu minęło, zanim doceniono tę absurdalną fantazję. To nierówny serial, ale w swoich najlepszych momentach jest naprawdę rewelacyjny, zwłaszcza w odcinkach Okiła Khamidova. W ogóle staromodne seriale, anachroniczne technologicznie, przeszły próbę czasu lepiej niż produkcje z wyższymi budżetami z tych samych czasów. Na przykład „Magdę M.”, przy całej mojej sympatii dla tej produkcji z moich lat studenckich, dziś ogląda się raczej jako niezamierzoną autoparodię.

Może wymuskane produkcje nie sprawdzają się tak dobrze, bo opowiadają o polskich aspiracjach i z nich wyrastają?

O tak, jestem zdania, że aspiracje złe, a raczej komicznie się starzeją. Po latach wypływa na wierzch głównie ich nabzdyczenie i słabo zakamuflowany instruktaż: oto katalog najnowszych rzeczy, które wypada mieć i które należy robić. Może to sprytny wybieg: robić, kręcić coś, co już w chwili powstania wygląda na za stare?

Jest wreszcie Jan Paweł II i cały nurt cenzopapy, śmieszkowania z papieża. To też trochę w poprzek trendów: zwykle kiedy coś przechodzi z zakątków sieci do mainstreamu, to zaraz staje się sucharem. Np. Młodzieżowe Słowo Roku cieszy po wyłonieniu głównie dorosłych, a młodzi je porzucają, bo im je zagarnęliśmy. Ale papież nie stał się sucharem.

► W książce starałam się go sparować z Lechem Wałęsą, zastanowić, jakiemu „uśmieszkowieniu” ulegli polscy herosi lat 80. Okazuje się, że ludzie ze spiżu zostali najbardziej radykalnie „zmieni”. Oczywiście prezydent Wałęsa „umemia się” sam w sposób wybitny, to człowiek ponad wszelkimi kryteriami osądu, fascynująco się go obserwuje w sieci. Nurt papieski narodził się z kolei na chanach (niszowe fora internetowe z obrazkami – red.). Na początku nie chodziło o antyklerykalizm, ale o efekt szoku, znalezienie czegoś, co będzie niewyobrażalnie obraźliwe dla jak największej liczby odbiorców. Albo o ich skuteczne nabranie; pamiętam stronę „Mistrzostwa Polski w skalowaniu papieża”, zamienioną z czasem na „Mistrzostwa Polski w szanowaniu papieża”, oczywiście pozornie. Stopniowo ten agresywny humor łagodniał i dziś memiczny Jan Paweł II jest już jedną nogą w mainstreamie. Jeszcze nie na tyle, żeby trafił do reklamy, ale pewne aspekty papieskiego humorku, te najmniej obrazoburcze, stały się czymś zwyczajnym, a może już wręcz trochę staromodnym. Np. powtarzanie „Jak najbardziej, jeszcze jak!” (cytat z wizyty Jana Pawła II w programie „Ziarno”) albo kremówki. To już jest część mowy potocznej.

Tym, co zwraca uwagę w pani książce, jest traktowanie memów serio. Ale nie dla wszystkich są zrozumiałe i nie wszyscy przypisują im taką wagę. To chyba znów sprawa pokoleniowa.

Generalnie to, czy coś jest zabawne, zależy od środowiska i punktu odniesienia. Kazimierz Żygulski nazywał to wspólną śmiechu: okoliczności sprawiają, że śmiejemy się z tego samego. Ta wspólnota się czasem rozsypuje, kontekst zmienia się z niewinnego na napastliwy i odwrotnie. Żygulski wspomina, że to, co w XIX w. było dość neutralnym produktem ubocznym polskiej wielokulturowości, śmiechem z typowych nieporozumień „pogranicza kulturalnego” – jak sam to nazwał – po doświadczeniach wojny stało się nie tylko nieczytelne, ale wręcz bywało odbierane jako treści antysemitki, nacjonalistyczne. Dopóki wspólnota śmiechu istnieje, wiadomo jest, z czego się śmiejemy i dlaczego. Poza nią te same treści mogą nieść zupełnie inny przekaz.

Czy w świecie, w którym zewsząd bombardują nas bodźce i wszystko nas rozprasza, ta wspólnota nie rozsypuje się części i łatwiej?

Myślę, że to też się zmienia. Rozproszenie ma inny charakter. TikTok nieco globalizuje humor – ludzie z różnych stron świata tworzą własne, lokalne wersje jednej formatki, na ogół prostych scenek o perypetiach rodzinnych czy romantycznych. To jakaś nowa globalizacja humoru, w bardzo prostej formie sytuacyjnej farsy.

TikTok mniej stawia na nasze znajomości z realu (jak Facebook), bardziej na treści, które aktualnie „trendują”.

Tak, im więcej oglądasz jakichś treści, tym więcej ci się ich wyświetla i siłą rzeczy znajdujesz się w zupełnie nowym środowisku. To wykracza poza zamknięte grupki z innych social mediów, eroduje wyalienowane społeczności w zupełnie nowy sposób.

Rolki – zabawne filmiki z TikToka czy Instagrama – można oglądać w zapętleniu godzinami.

Co jest zaskakujące, to że opierają się często w gruncie rzeczy na prostych schematach i humorze jak z kabaretu. Farsa nadal żyje i ma się dobrze. Wspominałam o folklorze – formuła krótkiego filmu sprzyja reaktywacji starych form mówionego humoru, istnieje sporo kont opartych na tym, że ktoś po prostu opowiada dowcipy, nieraz z brodą. Wydawałoby się, że kawały o babie u lekarza odeszły w cień razem z drukowanymi książeczkami,

tymczasem mają swój mały renesans. Swoją drogą z ochoczym przyswojeniem sobie słów „baba” i „chłop” pierwszy raz zetknęłam się za sprawą transpłciowych znajomych.

Zawsze się też sprawdza, jak to pani w książce ujęła, „klaskanie pośladkami”, czyli żarty z defekacji, puszczania bąków czy bluzgów, sprawy niby niskich lotów. Pisze pani: „Durny humor to coś więcej niż zwyczajny slapstick. Poślizgnięcie się na skórcie od banana i wpadnięcie prosto w tort może rozbawiać, ale nie tak bardzo jak wtedy, gdy dodatkowo spadną gacie”.

Stoi za tym wielka tradycja, te żarty pamiętają czasy starożytności, humor klozetowy był bardzo popularny w renesansie. Zawsze możemy sobie powiedzieć, że śmiejemy się z tego samego co Mikołaj Rej.

Humor bywa też bronią i miewa terapeutyczne właściwości. Ale to miecz obosieczny. W ostatnich latach mieliśmy do czynienia z pandemią, wojną, mało zabawnymi rządami PiS. Pytanie, jak skuteczne jest odreagowywanie śmiechem. Pandemię odreagowaliśmy chyba tak bardzo, że już o niej zapomnieliśmy.

Myślę, że to naturalne, że zapomnieliśmy. Co prawda ja nie do końca, bo nadal mam powikłania pocovidowe (*śmiech*) i – jak widać – trochę z tego śmieszkuje. Humor jest nie tyle mieczem obosiecznym, ile kostką do gry RPG, która może mieć sto ścian i nigdy nie wiadomo, co wypadnie. W pierwszych miesiącach wojny w Ukrainie pomagał zwierać szyki wojsku, ale i cywilom, budował morale. Ale już humor polskiej opozycji w czasach pierwszych rządów PiS nie sprawdzał się jako broń – był dość cienki, odbijał się jak piłeczka kauczukowa od zwartych szyków rządu. Władza przyjęła strategię, że nie zależy jej na wizerunku: niech się śmieją, a my będziemy robić swoje. Przez pierwszą kadencję działało to mocno. Ale zaczęło erodować, rząd potykał się z czasem o własne nogi i śmieszył mimowolnie. Klasycznym przykładem było zamknięcie lasów w pandemii – to jeden z najbardziej barejowskich momentów w Polsce w ostatnich latach. Mam wrażenie, że właśnie wtedy władza zaczęła tracić powagę.

Jak to jest z polskim poczuciem humoru? Pisze pani, że polskość uosabia w popkulturze Adaś Miauczyński, wcześniej Jan Piszczyk, generalnie przegrywy. Mało krzepiące.

Myślę, że istnieją raczej różne polskie humory niż jednolity polski humor, choć podejrzewam, że robienie dobrej miny do złej gry to nadal nasza specjalność. Mam wrażenie, że udało nam się w ostatnich latach pozbyć wielu kompleksów, a to nas otwiera na różne formuły humoru. Coraz częściej krążą memy o naszym stylu życia, niezgrabnym, niefortunnym, a jednak już akceptowanym. Nie staramy się ukrywać swoich wad, raczej przyjmujemy je do wiadomości. Interesują mnie różne alternatywne polskości, które rozwijały się w cieniu przestrzelonego, wręcz groteskowego patosu polityki kulturalnej PiS. Pisałam chwilę temu tekst o black metalu – kiedyś rodzime zespoły śpiewały głównie po angielsku, lecz od jakiegoś czasu praktykują wręcz młodopolską mowę. Modna jest też wieś, i to dawna, taka „niesamowita Słowiańszczyzna”. Widziałam niedawno w autobusie pana obciętego na Piasta Kołodzieja. To fajne zjawisko, nowa forma akceptacji dla różnych elementów polskiej kultury, zupełnie odmienna niż to, co sobie zaplanował minister Gliński. Polacy i Polki chcą być polscy, ale niekoniecznie wyklęci i papiescy. To inny zestaw wartości, który widać również w humorze: babcia, kiszzone ogórki, black metal, zaradność, narzekanie na wszystko i „uśmieszczenie się po polsku”. (*prezentuje*)

ROZMAWIAŁA ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Gwiazda o przejściach

Britney Spears może i zdobyła sławę, ale nigdy nie zaznała wolności.

Właśnie opublikowała swoje wspomnienia.

To horror, nie autobiografia.

Tytuł „Kobieta, którą jestem” (w oryginale „The Woman in Me”) milenijsom wychowanym na telewizyjnych listach przebojów skojarzy się pewnie od razu z „I’m Not a Girl, Not Yet a Woman” – singlem Britney Spears z 2001 r. Wtedy, mając 20 lat, śpiewała, że nie czuje się już dzieckiem, ale i nie

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

jest jeszcze kobietą. „Przyłapana gdzieś pomiędzy”, ciągle szukała własnej drogi, świadoma, że nie wszystko zawsze pójdzie po jej myśli.

Dziś trzeba raczej powiedzieć, że wszystko poszło nie tak. Może poza sprzedażą. W pierwszym tygodniu w samych Stanach Zjednoczonych rozeszło się ponad milion egzemplarzy biografii. Spears, która ►



► 13 lat spędziła pod ojcowską kuratelą, w szczyście sławy inkasowała drobny procent ze swoich zarobków. Ale powiedzieć, że po sądowych bataliach wreszcie odzyskała wolność, to nic nie powiedzieć. Ptak latami więziony w klatce nie wyfrunie ot tak, jeśli tylko drzwiczki się uchylą. Z Britney jest podobnie – wychodzenie z mentalnego więzienia to proces. Biografia w najlepszym wypadku jest elementem zdrowienia, a na pewno zgrzebną próbą opowiedzenia własnej wersji wydarzeń.

Piosenkarczka

Dzieciństwo Spears w punkcie wyjścia nie odbiegało zanadto od doświadczeń polskich nastolatków z prowincji, którzy wychowali się przy wtórze jej piosenek. Nie licząc może dostępu do broni i narastania traum. Britney dorastała w niewielkim miasteczku w Luizjanie, w domu z drewnianą boazerią i w czasach, kiedy dzieci „musiały przede wszystkim okazywać szacunek rodzicom i trzymać język za zębami. (Obecnie się to zmieniło – kładzie się nacisk na szacunek wobec dzieci)”. Wszyscy w mieście się znali, nosili tak samo i umieli strzelać, nie wyłączając dzieci. Dom źle się Britney kojarzył, bo rodzice wiecznie się kłócili. Ojciec nadużywał alkoholu, matka krzyczała na niego po nocach i nie dawała spać.

Mała Britney uciekała w śpiew, taniec, gimnastykę i fantazje o karierze. I choć często wspomina biedę, to w lepszych czasach miała gosposię (podśluchiwała, jak śpiewa gospel), jeździła na konkursy i przesłuchania, mijając na korytarzach inne przyszłe gwiazdy: Christinę Aguilere, Natalie Portman, Ryana Goslinga i Justina Timberlake’a, z którym wkrótce się związała. Lubiła śpiewać, ale i generalnie występować, ściągając wzrok na siebie. Matka z nieźle rokującą Britney i jej maleńką jeszcze siostrą polecała nawet do Nowego Jorku, żeby zrobić rozeznanie. „Piosenkarczka” z wiejskiego Kentwood nie miała jeszcze 10 lat, kiedy podpisała pierwszy kontrakt na Manhattanie. A w międzyczasie zakwalifikowała się do programu „Mickey Mouse Club” (Klub Myszy Miki), który był wtedy trampoliną do sławy.

Na zwyczajne, prozaiczne dojrzewanie wiele czasu nie zostało. Zaledwie 13-letnia Britney zapaliła pierwszego papierosa, pierwszy raz piła alkohol (nieco szokująca okoliczność: miały z matką tradycję, że wyjeżdżały poza miasto sączyć Białego Rosjanina) i już prowadziła samochód. Wkrótce potem straciła dziewictwo. Za namową Larry’ego Rudolpha, prawnika poznanego w trakcie przesłuchania, nagrała swoje pierwsze demo – napisany dla Toni Braxton



© PAUL NATKING/GETTY IMAGES

Koncert 18-letniej Britney w Rosemont, w Illinois, 1999 r.

utwór „Today”. Ten materiał prezentowała potem wydawcom („w szpilkach i kusej kiecce”) i kiedy jej rówieśnicy zakładali słynne w latach 90. boys- i girlsbandy, ona wybrała ścieżkę solową. Jako 15-latką podpisała kontrakt z Jive Records. O etapie dorastania naznaczonym pracą – jak przyznaje, mrocznym i pięknym jednocześnie – w swojej biografii opowiada w telegraficznym skrócie, na jednym wydechu. I chyba naprawdę błyskawicznie minął. Ani się obejrzała, a niemalże zamieszkała w sali nagrań, nieważne, w New Jersey czy Szwecji. Cały intensywny pierwszy rok pracy wyparował jej z głowy. Do dziś najlepiej pamięta tylko to, że w trakcie jednej z branżowych imprez wpadła na moskitierę w drzwiach i zapadła się ze wstydu.

Ja jestem Britney

Show-biznes ćwierć wieku później niespecjalnie się ucywilizował, nadal szuka młodych talentów i surowo się z nimi obchodzi. Dość wspomnieć, że Viki Gabor i Roksana Węgiel, dziś topowe gwiazdy pop w Polsce, debiutowały jako 13-latki. „To chyba właśnie wtedy najbardziej eksycytowałam się swoją muzyką. Nikt mnie nie znał i nie miałam nic do stracenia, mogłam bezkarnie wszystko spieprzyć” – pisze Spears. Właśnie nagrała pierwszy album i nakręciła klip do „...Baby One More Time”. Sama wymyśliła scenariusz: uczennice po dzwonku podrywają się do tańca, mają na sobie kuse mundurki

(bo to „bardziej seksowne”), a wokół kręca się „przystojni chłopcy”.

Jeśli to był ostatni raz, kiedy Britney czuła się wolna, to doprawdy długo to nie trwało. Singiel miał premierę 23 października 1998 r., miesiąc później ukazał się teledysk. I to był rychły koniec anonimowości. Debiutancki album Spears w styczniu 1999 r. sprzedał się w 10 mln egzemplarzy i trafił na pierwsze miejsce zestawienia Billboard 200 (pierwszy taki wyczyn kobiety w dziejach). W biografii Britney skrupulatnie swoje sukcesy wylicza, podkreślając zarazem, że była młoda, naiwna, oszołomiona i nie do końca wiedziała, co robi. Już na tym wstępnym etapie kariery w podróżach towarzyszyła jej „Panna Fe”, przyjaciółka rodziny (w klipie do „...Baby One More Time” zagrała nawet belferkę), bo mama, zajęta dziećmi i pracą, nie miała na to czasu. Miewała co prawda pretensje, kiedy rozneglizowana nieletnia córka uśmiechała się z okładek prasy, ale Britney i tak robiła, co uznawała za stosowne. Czyli często rzeczy niestosowne. Dziś mówilibyśmy o seksualizacji wizerunku wschodzącej gwiazdy pop (to kolejna zmora, której show-biznes nie porzucił). Sama po latach tak to określa.

Rzecz w tym, że nie uchronił jej żaden dorosły, wręcz przeciwnie. Znów: dziś mówilibyśmy pewnie o dysfunkcyjnej rodzinie. O rodzicach Britney pisze gorzko od początku. „Dla wzmocnienia małżeństwa rodzice zafundowali sobie drugie dziecko – mnie. Urodziłam się 2 grudnia

1981 r. Mama nigdy nie przepuściła okazji, by mi wypomnieć, że poród był bolesny i trwał dwadzieścia jeden godzin”, wspomina. Zabrakło w tej historii bezinteresownej rodzicielskiej miłości. A wszyscy mężczyźni z rodziny od strony ojca „byli kanalami”.

Jamie Spears, tata Britney, niegdyś niezły koszykarz, był wychowywany ciężką ręką i powielił ten schemat wobec własnych dzieci. Z nawiązką. To nadal szokujące i surrealistyczne, że Jamie Spears ubezwłasnowolnił własną córkę, a cała Ameryka bezradnie się temu przyglądała. Piecza była podwójna: „nad osobą” i „nad majątkiem”. Britney nie mogła sama wyjść z domu, decydować, co je (tzn. tyć), gdzie i kiedy śpiewa, czy widuje dzieci (ma dwóch synów). Gdy chciała wyjąć wkładkę domaciczną, ojciec zabronił jej kontaktów z ginekologiem.

Od dzieci się zaczęło. Z macierzyństwem Britney się mocowała – mocuje nadal – przykładając dzisiejsze filtry do tego i innych aspektów swojej przeszłości. Podejrzewa, że cierpiała na depresję poporodową. „Kevina [Federline, mąż Britney w latach 2004–07 – red.] prawie wcale przy mnie nie było, więc nikt nie zauważał, że mój stan się pogarszał – nikt z wyjątkiem każdego paparazzo w Ameryce”. Federline walczył z Britney o prawa do dzieci. A ona odchodziła od zmysłów, stale nękana przez reporterów. Miewała „odpały”, imprezowała, zgoliła głowę. Dziś twierdzi, że musiała zaznać niewinnego szaleństwa, żeby nie zwariować. Dla rodziny – i sądu – to był argument, że stwarza zagrożenie dla siebie i dzieci. Po jednej z imprez do jej posiadłości przybył – helikopterami – oddział SWAT. Ot, spektakularny początek życia pod kloszem. „Nie miałam już serca do nagrywania kolejnych płyt, nie czułam już tej pasji, która prowadziła mnie wcześniej, mój ogień zgasł”, wspomina. I dodaje, że wolałaby trafić pod opiekę przypadkowej osoby z ulicy niż ojca, alkoholika, bankruta, brutala. „Teraz to ja jestem Britney Spears” – oznajmił jej Jamie, gdy przejmował kontrolę nad jej gabinetem, majątkiem, życiem. To zdanie najbardziej w książce poraża.

Samotność z wyboru

Britney, zwolniona z kurateli w 2021 r., już nie utrzymuje kontaktów z rodziną. Odkwasiła wolność, wyjechała na wakacje i spisała wspomnienia. Wydaje się, że nieprędko – jeśli w ogóle – wróci do grania i koncertowania. W pandemii stała się jeszcze większą domatorką, co zakrawa pewnie na ponury żart. Ale teraz to samotność z wyboru, na jej własnych warunkach. Jak pisze, właśnie

odzyskuje swoją kobiecość, perspektywę feministyczną i wiarę w Boga („nie zdzieraj z kobietą, która wie, jak się modlić”). Przed rokiem wystąpiła gościnnie w utworze Eltona Johna.

Ta biografia, w sumie wątpa i uszyta z anegdot, ma być opowieścią z happy endem, ku pokrzepieniu serc dla fanów, ale i osób, które podobnie jak Spears zostały ubezwłasnowolnione. Jak stwierdził jej adwokat Mathew Rosengart, nawet mordercy mają prawo do prawnika. Niezorientowanej Britney wmawiano, że musi wziąć obrońcę z urzędu.

Ale dzieje 41-letniej Britney to raczej historia ku przestrodze z nadzieją na happy end – tylko tyle i aż tyle. Zachodnie media recenzują tę biografię pobłaźliwie, piszą, że Spears ma siłę, jakiej nigdy nie miała (choć „New York Times” uczciwie zauważa, że książka jest jak utwór country z elementami dramatu), ale dużo w tym życzeniowości. Może zresztą potrzebnej i samej bohaterce, i pokoleniu milenial-sów, które przeżywa własne rozgoryczenia. Nie tak ekstremalne, rzecz jasna, ale Spears to postać z ich przeszłości, produkt swojej epoki. Momentami wciąż przemawia przez nią dziewczynka, która pragnie akceptacji, uznania i szuka logicznych powodów, dlaczego zawiedli ją najbliżsi. Poza ojcem – nieobecna matka, Justin Timberlake, który zmusił ją rzekomo do aborcji i zerwał z nią przez esemesy, siostra Jamie Lynn, która we własnej książce opisała życie w cieniu sławnej siostry, wreszcie bezduszny show-biznes. No i publiczność, która biernie to wszystko śledzi. Nie licząc grona fanów, którzy latami domagali się jej uwolnienia i dopingowali jej wysiłki.

Biografia Spears została wydana na fali podobnych wspomnień gwiazd po przejściach, a rzeczywistość dopisuje zwykle przykre puenty. Przed rokiem ukazały się wyznania Sinéad O’Connor i Matthew Perry’ego, których świat niedawno pożegnał. Britney tymczasem przyznaje, że dziś najwięcej radości czerpie z... aktywności w social mediach. Przymiera ciuchy na wizji, tańczy, cieszy się, że wreszcie może sama kontrolować swój wizerunek. „Wolność oznacza, że gdy zrobię sobie przerwę od Instagrama, ludzie nie będą od razu dzwonić na 911”, pisze w książce. Na razie jest jednak odwrotnie – dzwonią, gdy patrzą, co Britney tutaj wyprawia, wykorzystując tę wolność. Ostatnio tańczy na wizji z nożami.

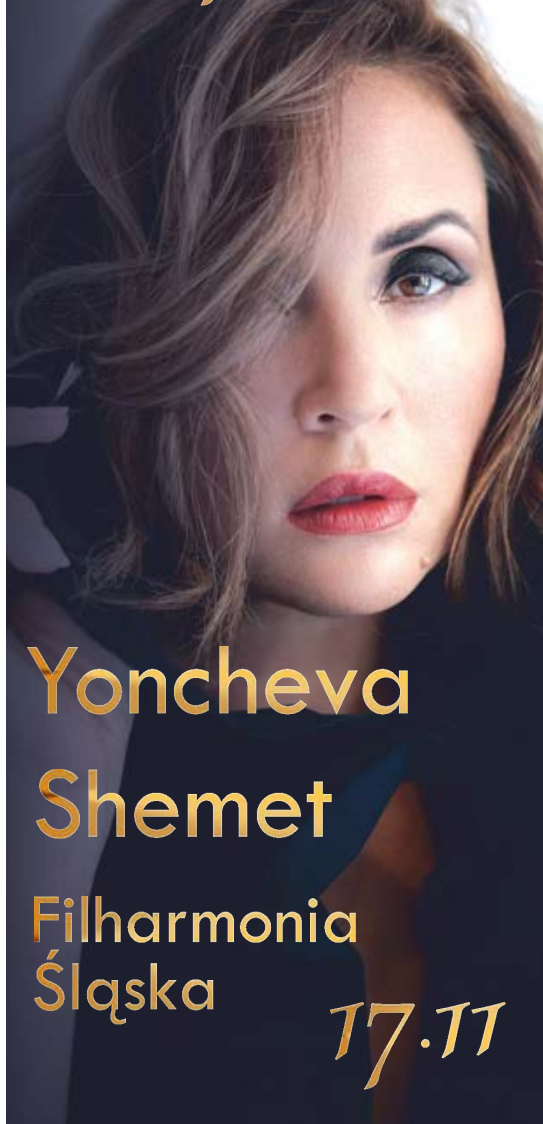
ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Britney Spears, **Kobieta, którą jestem**, przeł. Piotr Grzegorzewski, Paweł Bravo,

Natalia Mętrak-Ruda, Marcin Wróbel, W.A.B., Warszawa 2023, s. 288

REKLAMA

Fitelw
INTERNATIONAL
CONDUCTING
COMPETITION



Yoncheva
Shemet
Filharmonia
Śląska

17.11

PATRONAT HONOROWY PREZYDENTA
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ANDRZEJA DUDY

FILHARMONIA ŚLĄSKA
XI MIĘDZYNARODOWEGO KONKURSU DYRYGENTÓW
IM. GRZEGORZA FITELBERGA – MARSZAŁEK
WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO JAKUB CHEŁSTOWSKI

Województwo
Śląskie

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHOĐĄCYCH
Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY – PAŃSTWOWEGO FUNDUSZU CELOWEGO, W RAMACH PROGRAMU
MUZYKA, REALIZOWANEGO PRZEZ NARODOWY INSTYTUT MUZYKI I TANCA

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



MECENAS GŁÓWNY
XI MIĘDZYNARODOWEGO KONKURSU
DYRYGENTÓW IM. GRZEGORZA FITELBERGA

PARTNER
XI MIĘDZYNARODOWEGO KONKURSU
DYRYGENTÓW IM. GRZEGORZA FITELBERGA

MECENAS STRATEGICZNY
FILHARMONII ŚLĄSKIEJ

STRABAG
WORK ON PROGRESS

TOTALIZATOR
Sportowy

PGE
Polska Grupa Energetyczna

SPONSOR GŁÓWNY
FILHARMONII ŚLĄSKIEJ

STRATEGICZNY
PARTNER MERYTORYCZNY

PARTNER
STOART

PARTNER
FUNDACJA PZU

PARTNER
MOTORYZACYJNY
FILHARMONII ŚLĄSKIEJ





Powrotu faszyzmu nie będzie

W reżimach totalitarnych często dochodzi do wstrząsów dających poczucie iluzorycznego zwycięstwa, krótkich spazmów przed ostateczną klęską – mówi włoski reżyser Marco Bellocchio, autor dramatu psychologicznego „**Porwany**”.

JANUSZ WRÓBLEWSKI: – Media donoszą o tysiącach nielegalnych imigrantów zalewających Lampedusę oraz pogłębiającym się kryzysie migracyjnym, a pan, lewicowy artysta wyczulony na problemy współczesności, kręci film historyczny osadzony w połowie XIX w. Trochę mnie to dziwi.

MARCO BELLOCCHIO: – Jeśli z dzisiejszego punktu widzenia ukrócenie władzy papieża, przejęcie Rzymu i zjednoczenie Włoch uznać za wydarzenia nieistotne, to ma pan rację. Skutki tamtej rewolucji wciąż jednak dają o sobie znać i wymagają przemyślenia. W filmie stanowią tło absolutnie fascynującego, uniwersalnego

zagadnienia, jakim jest przymusowa reedukacja w celu stworzenia nowego człowieka.

Komuniści nazwali to inżynierią społeczną. Mieli się od kogo uczyć?

Naturalnie, gorliwe zaangażowanie, czyli ślepa wiara w ideologię, ma wiele wspólnego z religijnym zaczadzeniem. Zasada „cel uświęca środki” to woda na młyn działalności terrorystycznej. W latach 70. XX w. porwania i morderstwa nawet wysoko postawionych polityków Czerwone Brygady uznawały za skuteczne narzędzie, traktowały jak swego rodzaju misję. Zabójcy premiera Aldo Moro wierzyli, że racja stoi po ich stronie, działali jak inkwizytorzy. Może

pan pamięta, że w zrealizowanym przez mnie dramacie „Witaj, nocy” to oni okazują się w głębi duszy słabymi, bezwolnymi wykonawcami rozkazów swoich przywódców. A Moro jawi się jako człowiek nieustępliwy, konserwatywny, okazujący prawdziwe człowieczeństwo, które wraz z jego śmiercią przestało istnieć.

W „Porwanym” mamy odwrotną sytuację. Władza papieska jest nieustępliwa i silna, a słaby wydaje się żydowski chłopiec odebrany siłą rodzicom, poddawany przymusowo katolickiej indoktrynacji.

Historię brutalnego uprowadzenia i konwersji Edgarda Mortara poznałem dzięki książce napisanej przez prawicowego autora, broniącego papieskiego stanowiska. W imię gwarancji zbawienia przez Jezusa, młodego, wrażliwego bolończyka, wychowywanego do siódmego roku życia w pobożnej rodzinie żydowskiej zmuszono do wyrzeczenia się swoich duchowych korzeni. Sprawa do dziś bulwersuje, chociaż przymusowa ewangelizacja niby zniknęła. Uznałem to za znakomity temat. Film nie jest zrealizowany przeciwko instytucji Kościoła, makiawelizmowi chrześcijaństwa czy

nietolerancji Piusa IX. Opisuje fenomen psychologiczny prowadzący do zanegowania własnej tożsamości i zaakceptowania racji swego oprawcy.

Mówimy o syndromie sztokholmskim?

Tak, ale nie tylko. Mortara został potajemnie ochrzczony przez służącą pracującą w domu jego rodziców. Powiedzmy, że ta prostytutka i naiwna kobieta miała dobre intencje. Zrobiła to, aby – w jej mniemaniu – uchronić dziecko przed wiecznym potępieniem. Nie przewidziała jednak konsekwencji. Kilka lat później na podstawie nowego prawa nakazującego, by wszyscy ochrzczeni, niezależnie od ich kulturowego dziedzictwa, otrzymali solidne katolickie wykształcenie, żandarmi papiescy odebrali chłopca rodzinie i na mocy rozkazu Świętego Oficjum wywieźli do Rzymu, gdzie bezpośrednio podlegał kontroli Piusa IX. Dziecko osadzono w Domu Katechumenów i Neofitów, w seminarium przeznaczonym dla Żydów i muzułmanów. Miało się tam nawrócić. Rygorystyczna edukacja przygotowywała do kapłaństwa.

Mortara ostatecznie został księdzem.

Wielokrotnie próbował też nakłonić swoich bliskich, by przeszli na katolicyzm.

Jako nastolatek trochę się buntował, nieśmiało walczył z systemem zastępującym mu rodzinę, podnosił rękę na przybranego ojca-papieża. Jednak w wyobraźni starał się godzić obie religie. Uporczywie powracał do niego poetycki sen, symbolizujący tęsknotę za miłością matczyną, w którym usuwa gwoździe z figury ukrzyżowanego Chrystusa. Matka, najpotężniejsza postać dla dziecka, uosabia czułość oraz wierność w stosunku do tradycji. Dla biologicznego ojca, gdyby w grę wchodziło odzyskanie syna, zaakceptowanie kompromisu z hierarchiami nie nastęrczałoby żadnego problemu. Matka, strażniczka judaizmu, nie wyraziłaby na to zgody.

Do porwania doszło, gdy obalano monarchie, w Europie umacniały się zasady liberalnej demokracji.

Sprawa stała się głośna, była komentowana przez żydowską diasporę.

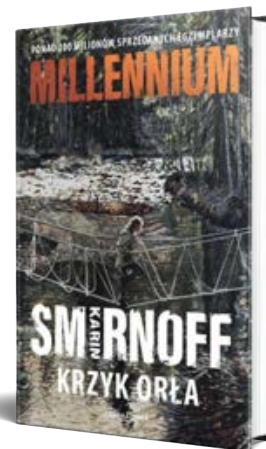
Urosła do rangi międzynarodowego skandalu. Jak to więc możliwe, że chłopak się ugiął?

Przemoc fizyczna i psychiczna wobec małego Edgarda ilustruje desperacką, niezwykle cyniczną grę słabnącej potęgi, która próbuje za wszelką cenę powstrzymać własny upadek. W reżimach ►

WARTO WIEDZIEĆ & WARTO POZNAĆ

PROMOCJA

Kontynuacja bestsellerowej Trylogii Millennium Stiega Larssona.



Zanurz się w świat spisku i zdrady, starych wrogów i nowych przyjaciół, zasypanej śniegiem dziczy i korporacyjnej chciwości.

Lisbeth Salander POWRACA!

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

► totalitarnych często dochodzi do takich wstrząsów dających poczucie iluzorycznego zwycięstwa, krótkich spazmów przed ostateczną klęską. Oprócz nieludzkiego wymiaru tego haniebnego czynu chciałem opowiedzieć historię przerażenia małego Edgarda, jego bólu po przymusowej separacji z rodzicami, ale także jego wysiłków zmierzających do pojednania z nimi. Edgardo nigdy się nie wyparł braci, sióstr ani swoich krewnych. Nie zapomniał o swoim pochodzeniu. Nie pogodził się jedynie z faktem, że jego matka pozostała Żydówką aż do śmierci.

Można się domyślać, że jego główną motywacją była chęć przetrwania. To ten sam mechanizm, co w przypadku jezuitę misjonarza, który w feudalnej Japonii został mnichem buddyjskim, ukazany przez Martina Scorsese w „Milczeniu”?

Niekoniecznie. Na tym polega odmiennność tej historii. Mój bohater naprawdę się nawrócił, przez całe swoje dorosłe, świadome życie pozostał wierny papieżowi Piusowi IX. Dlaczego? Najprostszym wytłumaczeniem jest to, że był wtedy za młody, zbyt podatny na wpływy, aby móc się świadomie bronić i przeciwstawić argumentom. Wybór miał prosty: konwersja albo śmierć. Oczywiście nie próbuję sprowadzić wszystkiego do jednej przyczyny, takiej jak strach. Na pewno jednak owo nawrócenie, bez cienia wątpliwości radykalne, czyni jego charakter jeszcze bardziej ciekawym i tajemniczym.

Pius IX, który był osobiście odpowiedzialny za porwanie Mortary, został beatyfikowany w 2000 r. Watykan nigdy nie prosił o przebaczenie za ten akt przemocy. Co pan o tym sądzi?

Pamiętam rozczarowanie żyjących potomków Mortary z powodu zakończenia trwającej prawie cały miniony wiek beatyfikacji (proces rozpoczął się oficjalnie 11 lutego 1907 r.). Nawet dla części kleru finał był wielkim zaskoczeniem. Niewiele rozumiało, dlaczego Kościół usprawiedliwia ten czyn. Gdy pytałem o to w kręgach watykańskich, tłumaczono mi, że powodem beatyfikacji Piusa IX było to, że procedura miała miejsce za papieża Jana

Pawła II, który był zagorzałym obrońcą wiary katolickiej. Ale myślę, że chociaż pana rodak naprawdę wierzył w świętość swego poprzednika, to biorąc pod uwagę realne dokonania Piusa IX, ta beatyfikacja jest niewiarygodna. Wiem, że rodzina Mortarów próbowała protestować, niestety bezskutecznie.

Skandalem interesował się Steven Spielberg. Może pan wie, dlaczego odstąpił od pomysłu nakręcenia o tym film?

Zrezygnował kilka dni przed rozpoczęciem zdjęć. Czasami tak się w życiu układa, że coś nie wychodzi i trzeba odpuścić. Do prasy poszła informacja, że nie udało się znaleźć głównego wykonawcy, czyli młodego aktora, który potrafiłby unieść trudną i wymagającą rolę. Moim zdaniem powodem było to, że Spielberg w końcu się zorientował, że jest to włoska historia, którą należałoby nakręcić w lokalnym języku, najlepiej w dialekcie bolońskim. W Hollywood obowiązuje angielski, więc zdawszy sobie sprawę, że efekt byłby podobnie rozczarowujący co „Spartakus” Kubricka, wycofał się. Ja nie miałem tych dylematów.

Znaczącą część swojej twórczości poświęca pan analizie politycznego i religijnego fanatyzmu...

Gdy zaczynałem karierę reżyserską pod koniec lat 60. ubiegłego wieku, panowała zupełnie inna temperatura sporów politycznych. Lewicowe partie się radykalizowały. Ich liderzy uważali, że muszą za wszelką cenę przejąć władzę, by rządzić w imieniu klasy robotniczej. Właściwym krokiem prowadzącym do tego celu było zneutralizowanie wpływów burżuazji. A najlepiej wyrugowanie jej z życia publicznego, tak jak to zrobił Mao. Albo Stalin. Panowało przyzwolenie na nasilający się różnej maści ekstremizm. Ja też w pewnym momencie poparłem komunistów i ich metody. Pociągała mnie wizja przekucia społeczeństwa w nowy, lepszy organizm metodami rewolucyjnymi. Uległem zaślepieniu. To nie trwało długo. Wtedy zrozumiałem, na czym polega destrukcyjna siła dogmatyzmu i jakie spustoszenia wywołuje.

A teraz odnotowujemy odradzanie się fundamentalizmu po prawej stronie sceny politycznej. Alternatywa dla Niemiec staje się głównym graczem we wschodnich landach. Premierką Włoch jest konserwatystka i populistka Giorgia Meloni.

Nie widzę w tym większego zagrożenia. Nawet jeśli w Stanach religia wykorzystywana jest przez mniejszość czy radykałów do siania nienawiści i szerzenia nietolerancji, demokracja pozostaje stabilna. Spory między lewicą i prawicą we Włoszech nie prowadzą już do rozwiązań przemocowych. Najbardziej wpływowym, najbogatszym ludziom zależy oczywiście na zachowaniu przywilejów, lecz nie na tyle, by bali się tych, którym marzy się zamach stanu i zmiana porządku. Pomimo wojny w Ukrainie, zbrojnego konfliktu izraelsko-palestyńskiego oraz wielu wyraźnie odczuwalnych na świecie napięć, powrotu do faszyzmu nie ma i nie będzie. Wszyscy wiemy, że panuje olbrzymia dysproporcja w dostępie do dóbr materialnych, co wywołuje wściekłość. Przerabialiśmy to ostatnio we Francji, gdzie pod wpływem protestów przeciwko rosnącym kosztom utrzymania, wzrostowi składek na ubezpieczenia społeczne i podatkom od cen ropy obawiano się eskalacji żądań i wzrostu niepokojów społecznych. Nic takiego nie nastąpiło. Po wielkiej debacie narodowej protesty wygasły.

Czy religia odgrywa jeszcze decydującą rolę w życiu publicznym we Włoszech?

Mimo licznych skandali pedofilskich Kościół ma ogromny wpływ na wybory ludzi, głównie w sferze moralności, ale i w kształtowaniu postaw skrajnie nietolerancyjnych. Fanatyzm będzie istniał zawsze. Nie da się go wypłenić. Tam, gdzie trzeba bronić zasad i pryncypiów, zawsze znajdują się grupy przekraczające granicę, kierujące się wyłącznie swoją racją. Kościół w swojej długiej historii świeci tu przykładem wręcz wzorcowym. Pocieszające wydaje mi się to, że chociaż Meloni, liderka skrajnie prawicowej partii o symptomatycznej nazwie Bracia Włosi, stworzyła najbardziej prawicowy rząd nad Tybrem od czasów ojca faszyzmu Benito Mussoliniego, nacjonalistyczna, populistyczna prawica nie słucha ślepo Watykanu. Czołowi politycy, działacze, aktywiści nauczyli się, że sednem życia społecznego jest umiejętność zawierania kompromisów. Także w obrębie różnych religii.

ROZMAWIAŁ JANUSZ WRÓBLEWSKI



Marco Bellocchio (ur. 1939 r.) – jeden z najwybitniejszych reżyserów europejskich. Także scenarzysta, producent filmowy. Studiował m.in. filozofię na katolickim uniwersytecie w Mediolanie. Jest jednym z głównych przedstawicieli kina kontestacyjnego. Jego debiut „Pięści w kieszeni” (1965 r.) w szokujący sposób rozprawia się z obłudą więzi rodzinnych. „W imię ojca” (1971 r.) ostro atakuje system edukacji. „Skok w pustkę” (1980 r.) pogłębia obraz patologii rodzinnych. „Czas religii” (2002 r.) ukazuje dylematy ateizmu. „Zdrajca” (2019 r.) zagląda w duszę mafijnego bossa syjącego przyjaciół.



PO RAZ PIERWSZY W POLSCE
≡ 2023 INTERNATIONAL ≡
OPERA AWARDS

GALA WRĘCZENIA NAJWAŻNIEJSZYCH
NAGRÓD ŚWIATA OPERY

9/11/2023 godz. **19.00**

Bilety na www.teatr Wielki.pl i w kasach teatru



Patron medialny

Sponsorzy

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Opera
The world's leading opera magazine



mazars

NEXUS

RIVER AND MERCANTILE

Skomlenie

„The Palace” Romana Polańskiego wchodzi do kin bez reklamy, w ograniczonej liczbie kopii i w aurze sromotnej klęski. Czy reżyser musi się aż tak bardzo wstydzić swojego nowego filmu?

JANUSZ WRÓBLEWSKI

To najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek nakręcił” – rozwiewał złudzenia branżowy „The Hollywood Reporter” po premierze na festiwalu w Wenecji, gdzie film dosłownie mieszało z błotem. „Hotelowa komedia o bandzie zamożnych idiotów to nieśmieszna porażka” – drwił magazyn „Variety”, zaś „Screen Daily”, pastwiąc się nad wszechobecną na ekranie tandetą, ostrzegł, że nad „The Palace” unosi się „nieświeży humor stęchłego odoru domu starców”. Litości nie miał też popularny „Deadline”, krzycząc już w nagłówku, że ten okropny film „czyni z kontrowersyjnego reżysera pośmiewisko”.

Po takim przyjęciu na jednej z najważniejszych imprez filmowych na świecie, gdzie – dla przypomnienia – jeszcze niedawno czczono Polańskiego, przyznając mu honorowego Złotego Lwa za całokształt twórczości oraz obsypywano go pomniejszymi, lecz bardzo pożądanymi nagrodami za „Rzeź” oraz „Oficera i szpiega”, stało się to, co musiało się stać. Kariera 90-latka definitywnie się załamała. Jeśli zdoła się podnieść, zdobycie środków na następny projekt będzie graniczyć z cudem.

Uciec przeszłości

„The Palace”, jak wcześniej „Oficera i szpiega”, ma zamkniętą drogę na najbardziej dochodowy rynek anglojęzyczny. Prawdopodobnie nawet tradycyjnie gościnną i wyrozumiałą dla Polaka Francja nie zdecyduje się na kinową dystrybucję. Film sprzedano zaledwie do kilku europejskich krajów, w tym do Włoch i Bułgarii.

Do tego dochodzi przeszłość Polańskiego. Wypominając mu ją, internauci dziwią się, że zmiażdżone przez krytykę dzieło nie trafiło od razu do niszowych kanałów telewizyjnych, gdzie ten typ niesmacznej, praśnej rozrywki, podlanej sosem obleśnych żartów o pingwinach kopulujących z psami, przemknąłby niezauważony.

Polacy jako jedni z nielicznych na świecie mogą się przekonać na dużym ekranie, ile warta jest kampania nienawiści wymierzona tyleż w film, co i samego Polańskiego, za którym nieprzerwanie od pół wieku ciągnie się odium obyczajowych skandali, coraz to nowych oskarżeń o wykorzystywanie seksualne, problemów prawnych, odsiadki w więzieniu, aresztu domowego i wciąż grożącej reżyserowi ekstradycji do Stanów Zjednoczonych. Dopóki kręcił arcydzieła, wybaczano mu przewiny, przyznawano Oscary, wręczano honorowe statuetki. Gdy jednak #MeToo przyspieszyło, a feministki zwały szyki, jednocząc siły przeciwko przestępcom seksualnym, i zażądały, by nietykalnym dotąd gwałcicielom celebrytom i pedofiliom bez względu na wszystko wymierzać sprawiedliwość, tolerancja się skończyła.

Polańskiemu odebrano członkostwo w Amerykańskiej Akademii Filmowej (stracił je także Bill Cosby), wyrzucono go z francuskiej Akademii, odwróciło się od niego wielu wpływowych współpracowników. Także z udziału w „The Palace” kolejno wycofywały się głośne nazwiska. Jak donosiły zagraniczne media – m.in. broniąca Polańskiego Catherine Deneuve, gwiazda „Wstrętu”. Żadna z platform streamingowych nie była zainteresowana tą produkcją. Na stosunkowo niski budżet, szacowany między 17–22 mln dol., ostatecznie musieli się złożyć Włosi, Szwajcarzy i Polacy. Wkład Francuzów, najhojniejszych ostatnio sponsorów artysty, pozostał czysto symboliczny (w ostatniej chwili dołączył paryski agent sprzedaży Goodfellas).

Scenariusz napisał sam Polański, korzystając z pomocy wiernego przyjaciela z czasów młodości Jerzego Skolimowskiego (to ich drugie spotkanie od czasu „Noża w wodzie”) oraz Ewy Piaskowskiej, m.in. współproducentki nominowanego do Oscara „IO”. Troje Polaków, dla których komedia nie jest pierwszym wyborem ani ich najsilniejszą bronią.

Chociaż „The Palace” nie jest najbardziej kompromitującym wyczynem Polańskiego (ten tytuł bez wątpienia należy się



erotycznej komedii „Co?” z 1972 r.), do publicznej linczu wszyscy się teraz chętnie przyłączają. Paliwem jest m.in. kolejne oskarżenie o napaść seksualną z czasów kręcenia „Chinatown”, upublicznione w tych dniach przez kobietę przedstawiającą się jako Jane Doe. Na rzetelną krytykę nie pozostawia to dużo miejsca. W tym kontekście komu by się chciało wyłuskiwać, co Polański próbuje zakomunikować swoim mało apetycznym filmem? W grę wchodzi poważne zarzuty, więc jak rozdzielić dzieło od biografii reżysera i jego zszarganej reputacji? Oceniać sam przekaz bez przejmowania się, kto to mówi i za co jest ścigany?

We własnej bańce

„The Palace” to zjadliwa satyra na nierówności klasowe i nieszczerłość relacji międzyludzkich. Przypomina wczesne dokonania Polańskiego („Matnię”, „Ssaki”). To komedia pociągnięta tak grubą kreską, że wszystko zamienia się w niej natychmiast w nieprzychylnie smutną groteskę, bardzo czarną, bardzo gorzką i niestety kręcącą się wokół tematów, które skłaniają raczej do płaczu niż do śmiechu.

Film nagrawa się zarówno z głupoty sytych i bogatych, jak i z lęku przed końcem świata. Akcja toczy się 31 grudnia 1999 r., w milenijną noc sylwestrową, w luksusowym hotelu w Gstaad, turystycznym



miasteczku położonym w szwajcarskich Alpach, gdzie Polański od dziesięcioleci spędza czas, jeżdżąc na nartach. Zwabione obietnicą szampańskiej zabawy zjawia się tam szemrane towarzystwo – od ruskiej mafii, hochsztaplerów w rodzaju Bernarda Madoffa, po tęsknym okiem wypatrujące młodych mężczyzn wiekowe damy, nałogowo uzależnione od chirurgii plastycznej. Bazując na ich obsesjach wyglądających na czyste wariactwo, Polański stworzył farsę o wzajemnym przyciąganiu bogactwa i seksu – portret zbiorowy upadającej elity XX w.

Jak to często bywa w przypadku psychohologów w podeszłym wieku, niestety w niemodnym stylu. Clint Eastwood, Woody Allen, Manoel de Oliveira – by wymienić najbardziej znanych – przekroczywszy próg 85 lat, padli ofiarą zamknięcia się w bańce swoich wyobrażeń o sztuce. W przypadku Polańskiego rozczarowanie okazało się szczególnie dotkliwe. Wystarczy poczytać złośliwe komentarze, że byłoby wielką szkodą, gdyby ten film miał się okazać faktycznie ostatnim w jego dorobku, gdyż w zasadzie mógłby nie powstać.

Pomysł, by do publiczności wychowaną na „Pulp Fiction” – która w dodatku zna na pamięć „W trójkącie” Rubena Östlunda, olśniewająco inteligentną komedię na ten sam temat – przemawiać archaicznym językiem lat 60., głęboko

zanurzonym w przebrzmiałej konwencji teatru absurdu, wydaje się tyleż odważny i przekorny, co samobójczy. Powierzenie głównych ról dawno przegastym gwiazdom też trudno uznać za przynętę. Szczególnie że przyszło im grać kukiełki w operetkowym tańcu życia i śmierci – karykaturalne postaci, niewzbudzające choćby cienia współczucia czy empatii. Dojrzały aktorzy potrafią być uroczy, tajemniczy, tragiczni, wystarczy im tylko dać szansę zaprezentowania swego talentu, co w kinie nie raz się zdarzało i udawało. U Polańskiego otrzymali zadanie bycia parodią samych siebie. Są jak zombie z dorobionymi, żałośnie szkaradnymi, zniekształconymi facjatami. Ich ciała wyglądają jak mające się za chwilę rozsypać truchła, pod którymi nie ma nic prócz chęci zaspokojenia nigdy niegasnących fantazji seksualnych i żądzy napchania pomarszczonych brzuchów najwyższej jakości kawiozem, swoistą odmianą świeżej krwi, co poniekąd zostało już ośmieszony w „Nieustraszonych zabójcach wampirów”.

Tak się kończy świat

Niczym pajac ze spaloną na żółto twarzą Mickey Rourke gra oszusta finansowego, a zarazem dziwkarza, któremu już tylko pieniądze w głowie, rozwiązała przeszłość dopada go jednak w postaci zjawiającego

się nagle dorosłego syna wraz z żoną oraz dwójgim małych dzieci – owoc dawno zapomnianego dwudniowego romansu w czeskiej Pradze. Fanny Ardant wciela się w przekwitłą markizę dogadzającą swojemu pieskowi, który nie potrafi załatwić fizjologicznych potrzeb na mrozie, co rodzi nie lada problemy, ale z pomocą śpieszy przystojny hydraulik. Johnowi Cleese, słynnemu ekszłonkowi grupy Monty Python, przypadła rola 97-letniego miliardera obchodzącego pierwszą rocznicę ślubu z 22-letnią puszystą łowczynią posagów. Skład osobliwego gabinetu figur woskowych dopełnia Luca Barbareschi jako napompowany testosteronem i alkoholem, budzący zainteresowanie kilku pokoleń pań, emerytowany gwiazdor porno. Jest też Joaquim de Almeida w roli chirurga kosmetycznego zafiksowanego na ekskrementach oraz Milan Peschel, któremu udało się stworzyć najciekawszą w tym filmie kreację zakompleksionego maminsynka, kryptogeja i bankiera, decydującego się pomóc w przekręcie na niewyobrażalną skalę.

Jaka bulwarówka, takie panoptikum – lub na odwrót – aż się prosi skwitować. Ale czai się w tym pewien okrutny, autoironiczny zamysł. Uwielbiający czarny humor 90-letni Polański oraz pięć lat młodszy Skolimowski mizantrop, choć obaj się do tego oficjalnie nie przyznają, na pewno odczuwają ciężar czasu i nieuchronność zbliżającej się śmierci. Dźwigają na barkach piętno swego losu, zmagają się z odchodzeniem, nie dysponują jednak nadmiarem energii jak kiedyś. Zamiast subtelnego pocieszenia czy wyciszenia, być może w ramach odreagowania, postanowili razem ostentacyjnie wylać żale na rzeczywistość. Raz jeszcze, śmiejąc się przy tym zdecydowanie za głośno, zdarli z niej patynę, by odsłonić ukrytą brzydotę ludzkich instynktów. Pojechali po bandzie, drwiąc z wiecznej naiwności młodych i udawanej pychy starości.

Chcieli zabiwić się widokiem bezwstydnej chciwości, wędnących ciał i zapewne dobrze im znanej seksualnej frustracji. Surrealistyczny obrazek spółkujących zwierząt (jedynych szczęśliwych istot w ich filmie) to nic innego jak pokazanie języka sobie i widzom. Życie płata figle. Nie wiadomo, co jest komu pisane ani co w nas siedzi. Wszystkim rządzi absurd. Ludzie wolą żywić nadzieję, że końca świata nie będzie, wierzą, że bogactwo nie deprawuje. A oni ze szczeniacką przekorą, mrugając okiem, że ich to nie dotyczy, powtarzają za T.S. Eliotem: „Oto jak kończy się świat/ Oto jak kończy się świat/ Nie z hukiem ale skomleniem”. ■



Kim są ci ludzie

Małgorzata Halber

Nie wiem kto to – piszą, a w zdaniu tym migocze duma. To nie pierwszy raz, gdy widzę „nie wiem kto to” pisane w internecie nie jako wyraz skrępowania, lecz jako podkreślenie swojego kapitału kulturowego. „Nie wiem” oznacza, że jestem ponad jakichś Remiguszów Mrozów czy też osoby z seriali. Duma, że ja wiem, kto to jest Hegel, Adam Bodnar, ksiądz Boniecki czy Zygmunt Bauman, no, może Agnieszka Holland. Ja jestem osobą mądrą. Osobą inteligentną. Osobą wartościową. Ponieważ nie wiem, kto to jest jakiś tam Stuu czy Fagata.

Jest jeszcze wersja „dobrze, że nie wiem kto to” będąca – jak rozumiem – wyrazem ulgi: „kolejna rozdmuchana przez prasę sensacja, cieszę się, że nie musi zaprzętać mojej uwagi”.

Przede wszystkim zaś dzieje się to wszystko (ci jutuberzy, te jakieś skandale i ujawnianie przemocy) w internecie. W rzeczywistości wirtualnej. To nie jest naprawdę, więc nie trzeba się tym przejmować, co to jest w ogóle ten jutub. Ale oczywiście musimy chronić młodzież.

Jest coś zachwycającego w tym, jak „nie wiem kto to i nie mam zamiaru się dowiadywać” szybko przeszło do „ratujmy nasze dzieci” i wizji Sylwestra Wardęgi przesłuchiwanego przez Zbigniewa Ziobrę.

Nie dało się już tak łatwo ignorować tej sensacji, kiedy pojawiły się skryny rozmów dorosłych mężczyzn namawiających dziewczyny do czynności seksualnych. To był ten moment zwrotu: duma z niewiedzy została zastąpiona potrzebą moralnego potępienia. „Może i nie wiem, kim są ci ludzie, ale z pewnością powinni być ukarani”.

Więc ja chętnie odpowiem, kim są ci ludzie, chociaż – jak to się mówi w internecie – nikt nie pytał.

Otóż są to młodzi mężczyźni wychowani w kraju, w którym pięćdziesięcioletni prezydent telewizyjny z dumą i wielokrotnie powtarzał, że jego żona jeszcze się nie urodziła. W kraju, gdzie wyśmiewana jest idea wyrażenia zgody na stosunek seksualny. W którym korwinowskie „zawsze trochę się gwałci” było zabawnym powiedzeniem przez wiele lat. Podobnie jak myśl Ziemkiewicza „kto nigdy nie wykorzystał nietrzeźwej, niech rzuci kamieniem” oraz Andrzeja Kerna o tym, że każdy mężczyzna nosi przy sobie narzędzia gwałtu. One są.

Istnieją. Są „anegdotyczne” i samej pewnie zdarzyło mi się je cytować, oczywiście prześmiewczo.

Jutuberzy szukający partnerek wśród czternastolatek stali się więc nagle dla moich rówieśników postacią uogólnionego innego zła czyhającego na polskie dziecko. Polskie dziecko, dziewczynkę – zaznaczmy. A przecież jest naszym kulturowym obowiązkiem bronić czci kobiet. Co z tego, że te same kobiety sygnalizowały problem wykorzystywania nieletnich przez jutuberów już kilka lat temu. Czci będziemy bronić, ale dziewczyna mówiąca wprost, że zachowanie jej byłego partnera, takie jak np. szantażowanie jej kompromitującymi zdjęciami, została zrehabilitowana dopiero w momencie, gdy sprawę nagłosił mężczyzna – wspomniany Wardęga.

Chociaż „rehabilitacja” to mocne słowo, bo przecież „wiadomo, że sama mu te zdjęcia wysłała, więc o co jej chodzi”. Ona sama latami uważana była za osobę niezrównoważoną, a co za tym idzie, jej doniesienia o wykorzystywaniu seksualnym są po prostu nieważne. Zresztą o czym ja mówię, przecież nieważne są również te, które ujawniły sprawę. W dalszym ciągu w Polsce brakuje języka do opisanego osoby, która doświadczyła nadużyć seksualnych. Mówi się o niej „ofiara”. Ofiara nie ma sprawczości, była

jest przedmiotem przemocy. W Stanach Zjednoczonych postanowiono kilka lat temu tę narrację zmieniać i tam używa się słowa „survivor”. Były jakieś nieśmiałe próby tłumaczenia tego terminu na polski jako „przetrwanka”, ale sam sufix „-nka” po polsku ma nieadekwatny, zmiękczejący wydźwięk.

Żeby naprawdę dowiedzieć się czegoś o Pandora Gate, należy się załogować się do TikToka. To jest doświadczenie pokolenia, które TikToka wybiera jako swoją platformę internetową. Jego użytkownicy reagują natychmiast, bo oni dobrze wiedzą, kim są „ci ludzie”. A są bohaterami ich dzieciństwa.

Niektóre dyskusje na TikToku przypominają mnie o zawrót głowy – np. dywagacje, jaka jest różnica między piętnastolatką i siedemnastolatką. Inne są już klasyczne: „dlaczego dopiero teraz”, „te dziewczyny robią to dla sławy”, „rzucić oskarżenia jest łatwo”. Absolutnie nie nowego. Nowe natomiast jest to, że ta młodzież, a dokładniej: młodzież-kobiety, które mają być chronione, każdy z tych komentarzy punktuje. I robią to masowo. Format TikToka pozwala na to, żeby odpowiadały na konkretny wybrany typ nagonki („przez pięć lat miała zanik pamięci i co?”) w formie krótkiego nagrania wideo. I robią to. Codziennie. Masowo. Szczerze mówiąc, patrzę na nie i jestem zachwycona. Również tym, jak mówią z przejęciem „jezu, ja też miałam dwanaście lat i pisałam do dwudziestolatka”. Ale przede wszystkim dodaje mi otuchy ilość filmów pt. „mam dosyć tych odklejeńców, zawsze zwalających winę na ofiarę”.

Można udawać, że nie wie się, o co chodzi, albo że to afery dla młodszych pokoleń. Albo uważać, że zaraz minie i pojawi się kolejna. Błąd. Tu dzieje się coś więcej. Rebecca Solnit napisała: „historia milczenia jest kluczem do historii kobiet”. I te młodsze ode mnie kobiety, korzystając z dziwnego środowiska TikToka, codziennie wypuszczają w świat komunikaty przeciwstawne wesołemu zdaniu: „moja żona jeszcze się nie urodziła”. Nie wiem, kto wygra, ale w dalszym ciągu to jest wojna.



Małgorzata Halber (ur. 1979 r.) – pisarka i rysownicza, absolwentka Wydziału Filozofii na UW, studiowała grafikę na ASP, zadebiutowała książką „Najgorszy człowiek na świecie”. W 2020 r. opublikowała razem z Olgą Drendą „Książkę o miłości”.



Zjedźmy ich

I jak jest? – zapytałem nieśmiało sąsiadkę.

– Wciąż tu są, chociaż już dawno się skończyło – odparła, wskazując wiszące plakaty. – Nie wiadomo, co z nimi zrobić.

– Widziałem takie torby zrobione z banerów reklamowych. Ale kto by chciał nosić przegranych. A i z niektórymi wygranymi też nie wszędzie można się pokazać – odpowiedziałem.

– Podobno naukowcy wyhodowali bakterie, które potrafią jeść plastik. Może i z nimi sobie poradzą – nie ustępowała.

– Co roku przybywa 350 mln ton tworzyw sztucznych. Nie zdążą ich zjeść, a już na pewno nie do kolejnych wyborów. Ale może niektórych da się użyć ponownie – zasugerowałem koncyliacyjnie.

Spojrzała na mnie tak, że zerwałem ten, co się trzymał jednym rogami, wsadziłem do kosza, wsiadłem na rower i pojechałem do pracy.

Po ataku na World Trade Center Umberto Eco napisał esej, w którym rozważał, jak bronić się przed fundamentalistami, którzy wykorzystują demokratyczne państwa i społeczeństwa do uprawiania na ich terytorium działalności antydemokratycznej, a nawet terrorystycznej. A co najważniejsze, jak to uczynić, nie rezygnując z kluczowych wartości Zachodu, w tym zwłaszcza z przyjaznej polityki migracyjnej i tolerancji kulturowej. Dla zilustrowania pułapki, w której się znaleźliśmy, Eco użył mikropowiastrki filozoficznej. Otóż wyobraźmy sobie, że w naszym sąsiedztwie osiedla się rodzina imigrantów ludożerców, którzy co niedziela, zgodnie ze swoimi przekonaniem religijnymi, zjadają na obiad człowieka. Jako społeczność tolerancyjna i szanująca przekonania religijne innych jesteśmy w kropce. Według Eco mamy trzy możliwości. Pierwsza to uzasadniona zemsta. Aby jej dopełnić, należy wybrać się do kraju, z którego przybyli ludożercy i także zjeść stosowną liczbę ich współobywateli. Korzystamy z tej opcji nieprzerwanie... Najnowsze przykłady to: Bałkany, Irak, Afganistan, Syria, Gaza... Drugą możliwość stanowi edukacja. Trzeba za jej sprawą skłonić naszych ludożerców, aby poznali, na czym polega zachodnia demokracja liberalna, i nauczyli się cenić jej prawa i wartości, tym bardziej jeśli uznają Zachód za upragnione miejsce do życia. Ten wariant polityki asymilacyjnej ma jednak istotną słabość, zakłada bowiem szczerą chęć poznania innej kultury niż własna oraz – co jest daleko trudniejsze – gotowość do przeprowadzenia krytyki własnych przekonań. Zaostrzona polityka migracyjna, handel wizami, płoty i mury na granicach jasno dowodzą naszej niewiary w edukację międzykulturową. Trzecią wreszcie opcją polega na niekończących się negocjacjach, podczas których obie strony korygują swoją tożsamość kulturową lub polityczną oraz naruszają swoje „niewzruszone” przekonania. A zatem, owszem, akceptujemy rytuał zjadania człowieka, ale niech będzie

on wykonany z ciasta. Takie negocjacje są nużące, najczęściej nie zadowolają w pełni żadnej ze stron, podsycają nostalgię za znikającą tożsamością, owocują ruchami nacjonalistycznymi

i szowinistycznymi. Tak, to wszystko prawda. Niemniej alternatywą, której ani na chwilę nie powinniśmy tracić z oczu, jest konflikt między Żydami i Palestyńczykami w Gazie. Nikt na świecie nie potrafi dziś wymyślić innej relacji między nimi niż chęć wzajemnego pożarcia się.

Nie tylko dlatego uważam przypowieść Eco za niezmiennie aktualną. Rozszerzam tę aktualność na bieżące problemy demokracji wywołane wewnętrznymi wojnami kulturowymi. Naszym dylematem jest, jak pokojowo i życzliwie żyć ze sobą po każdych kolejnych wyborach, w których strony robiły wszystko, aby krańcowo spolaryzować społeczeństwo na nas i ludożerców. Pierwsze dwie opcje już zostały zapowiedziane, czyli słuszne rozliczenia przestępstw tam, gdzie zostały popełnione, oraz zmiany w edukacji i mediach publicznych. O tym, że można by negocjować Polskę dogodną dla wszystkich obywateli, nikt się na razie nie zająknął. Ale też nie widzę nikogo, poza autorami projektu „Umówmy się na Polskę”, kto byłby przygotowany do takich negocjacji. Jeśli więc jedynym pomysłem zwycięzcy będzie przykładowe zjedzenie wrogów, to z pewnością liberalni demokraci staną się ludożercami w oczach przegranego elektoratu. „Nie to mnie mierzi, iż odczuwamy całą barbarzyńską ohydę tego postępowania, ale to, iż oceniając trafnie ich błędy, tak ślepi jesteśmy na własne” – pisał 500 lat temu Michel de Montaigne w rozdziale „O kanibalach”. Przypominając o aktach nienawiści, któreśmy „widzieli za świeżej pamięci nie między odwiecznymi wrogami, ale między sąsiadami i ziomkami, co gorsza, pod sztandarem pobożności i religii” (przeł. T. Boy-Żeleński).

Jak więc zachować nadzieję, tracąc resztki optymizmu, że możliwe jest pokojowe życie wszystkich ze wszystkimi? Jak pomyśleć o takim niemożliwym, żeby podobna myśl nie obrażała naszej inteligencji i wiedzy? Nadzieja w literaturze – tej sztuce myślącej i mówiącej wyobraźni. Ona może mnie nazwać imieniem, którego w gniewie nie odrzucę, nie wyprę się, ale zachowam choć na chwilę lektury, ćwicząc się w trudnej mądrości, która każe mi założyć, że wszyscy jesteśmy ludożercami. Lub bez trudu możemy się nimi stać.

„zrozumcie
ludzi jest dużo będzie jeszcze
więcej więc posuńcie się trochę
ustąpić
kochani ludożercy

[...]

Nie zjadajmy się Dobrze”

Tadeusz Różewicz, „List do ludożerców”, fragment

RYSZARD KOZIOŁEK



Mój interes

Dlaczego Polacy głosują wbrew swojemu interesowi? – pyta Bronisław Wildstein w wyborczym felietonie w „Sieciach”. „Wbrew swojemu interesowi” oznacza tu, że głosują inaczej, niż chciałby autor, summa summarum – nie na PiS. Słowem: tak jak ja. Zadumałam się nad sobą: nie dość, że zagłosowałam wbrew swojemu interesowi, to jeszcze tego nie spostrzegłam, nie wspominając już o świadomości przyczyn. Na szczęście istnieje pan Bronisław Wildstein, który chętnie objaśni mi świat. O ile pozwolą na to moje ograniczenia, bo jako jedna z pogardzanych przez niego „emancypacjonistek” nie jestem oczywiście zbyt bystra. Pan Bronisław Wildstein konstatuje z goryczą: „Po wyborach zaszedłem do kawiarni, gdzie młodzi ludzie świętowali swoje, jak to określali, obalenie komuny. Przerzucali się sloganami wbijanymi im do głowy przez totalną propagandę, przez które żaden argument czy niewygodne spostrzeżenie nie miały szansy się przecisnąć”.

Jakaż to zasmucająca scena: dojrzały mędrzec wchodzi nierozpoznany między hałaśliwą gawiedź i zostaje ze swą mądrością jak samotna kolumna na gruzach świątyni, jak bezpańska jabłoń w jesieni obarczona plonem, który mógłby wykarmić całą wioskę, a którego nie ma komu zebrać. W skreślonym przez niego od niechcienia portreciku triumfujących młodych barbarzyńców trudno mi było nie rozpoznać siebie, mimo że nie jestem już młoda, a to onieśmieliło mnie w kwestii jego felietonu – bo a nuż nie pojme? I już miałam odejść od tej krynicy mądrości, nie napiwszy się z niej ani łyka, aż nagle mnie olśniło: przecież niedawno przecisnęło się przez moją głowę sześćset stron felietonów Wildsteina, pozbieranych z gazet i wydanych przez PIW w ramach dzieł zebranych bądź wybranych, tego już nie pomnę, pod jakże bezpretensjonalnym tytułem „Wojna, zaraza i nicość”. Skoro tamte się przecisnęły, to może i ten jeden się jakoś przepcha, a ja się dowiem, dlaczego głosuję przeciwko sobie.

Trzeba przyznać, że autor nie trwoni czasu czytelników i już w pierwszym zdaniu ujawnia swoją największą bolączkę: „Donald Tusk zdobył ponad pół miliona głosów w Warszawie, bijąc tym samym wszelkie rekordy”. Tusk zdobył te głosy, ale Wildstein wie, że nie zasłużył na zwycięstwo: w toku swojej politycznej kariery nie robił przecież nic innego, jak tylko zdradzał, wyprzedawał i uciekał za Odrę. Co prawda moja pedanteria „emancypacjonistki” od razu podpowiada, że wynik Tuska pobili może rekordy, ale na pewno nie wszelkie, bo kandydujący do Senatu Adam Bodnar otrzymał głosów jeszcze więcej: 628 442. No ale kim ja jestem, żeby liczyć lepiej od Wildsteina?

Choć może – szatan emancypacji forsuje we mnie taką tezę – to jednak nie jest drobiazg bez znaczenia, że najwięcej głosów w wyborach dostał były rzecznik

praw obywatelskich. W związku z tym mam dla pana Bronisława Wildsteina szereg pytań pomocniczych: ażaliż nie sugeruje to, że pod rządami PiS mieliśmy w Polsce problemy z respektowaniem praw obywatelskich? Czy policja nie przekroczyła wielokrotnie swoich uprawnień? Czy wolność zgromadzeń nie była uznaniowo ograniczana? Czy większość sejmowa nie okazywała pogardy wyborczyniom i wyborcom opozycji, pomiatając jej reprezentantami? Czy Trybunał Konstytucyjny nie upodobił się do ponurego cyrku? I wreszcie czy nie nasłuchiłam się przez ostatnie osiem lat, że jestem ideologią, nie człowiekiem, a równość małżeńską zobacze w Polsce wyłącznie po odejściu Kaczyńskiego, bo to on będzie decydował o tym jednoosobowo, dopóki nie utraci władzy.

†
Dziś żyjemy
w czasach chaosu,
a w takich epokach
orientację tracą
wszyscy.

†
Dziś pytanie, dziś odpowiedź. „Osobiste doświadczenia człowieka stanowią znikomą część jego wiedzy” – stwierdza nasz myśliciel. – Jego sądy w przeważającej mierze warunkowane są przez wspólnotę, w którą łączy go tożsamość kultury. W oparciu o jej zasady dokonuje rozumowania i odwołuje się do proponowanych przez nią wzorów”. Niestety człowiek nie zawsze „dokonuje rozumowania” w oparciu o odpowiednie zasady, albowiem w historii zdarzają się wstrząsy. Na przykład dziś żyjemy w czasach chaosu, a w takich epokach orientację tracą wszyscy oprócz pana Bronisława Wildsteina. Szatan oświecenia, nadal czynny, podważa fundamenty cywilizacji tak skutecznie, że Polacy przestali rozumieć własne symbole narodowe, nawet jeśli wydaje im się, że są do nich przywiązani. Przypinają sobie te białe-czerwone serduszka od Tuska, ale już nie rozumieją, co jest dla nich dobre.

Według pana Bronisława Wildsteina pozbawieni narodowego fundamentu chwytamy się „Gazety Wyborczej”, POLITYKI i telewizji TVN, żeby nie runąć w przepaść relatywizmu. A tam czekają już na nas fachowcy, którzy potrafią wbić do głowy wszystko, zapewne również podprogowo – na zasadzie, że oglądasz sobie „Azję Express”, a tu neurony same ci się układają w świecące słowo TUSK. Nic dziwnego, że potem na sam dźwięk nazwiska „Kaczyński” uciekasz jak kobieta przed pałąk teleskopową na warszawskim proteście z listopada 2020 r.

A przecież mogło być tak pięknie: gdybym „dokonała rozumowania” w oparciu o odpowiednie zasady, to zamiast uciekać przed Kaczyńskim pod skrzydła opozycji, całowałabym dzisiaj rękę, która mnie bije, dziękując prześladowcom za obronę moich interesów, PIW zaś już do końca świata wydawałby grafomanię Wildsteina.

RENATA LIS



My, naród?

Wzruszające jest słowo „naród”. Narodziło się tu wielu i są! Wielka społeczność,

wielka wspólnota krwi i historii. Trochę „substancja biologiczna” (żeby zacytować znanego biskupa), a trochę symboliczna. Genem i wiarą, krwią i bliźnią spójna. Uwodzicielska moc słowa „naród” wynika z czegoś, co filozofia nazywa analogią. Każdy naród jest narodem na swój wyjątkowy sposób, a nie przez to, że podpada pod jakąś definicję i spełnia naznaczone w niej kryteria.

Wynalazcy współczesnego pojęcia narodu, twórcy poszczególnych ideologii nacjonalistycznych, lepił swe wizje z tego, co było pod ręką. Dobrze, gdy była to demokracja i prawo zrównujące wszystkich obywateli. Mieli szczęście Amerykanie i Francuzi, bo zafundowano im takie właśnie, polityczne pojęcie narodu. Jest ono nie mniej narcystyczne i naiwne niż pospolite idee narodowe, oparte na egzaltacji religijnej i mitach bohaterskich, a za to sprzyja utrwalaniu liberalnej demokracji.

W każdym przypadku nacjonalizmu – od czysto liberalnego po najbardziej obskurancko-bigoteryjny – chodzi wszelako o to samo, czyli unieważnienie różnic klasowych, a nawet (jeśli się da) religijnych i etnicznych, aby ponad nimi wytworzyć wspólnotę opartą na zbiorowym przeżyciu chwały, samouwielbienia i pokrewnych narcystycznych wzruszeń, kanalizowanych następnie w czci dla przywódców „państwa narodowego” jako depozytariuszy stosownych symboli narodowej wspólnoty. Jest to wspinała metoda budowania masowego, ponadklasowego poparcia politycznego, a jeśli nowy i świeży mit narodu przyprawi się jeszcze solą lęku przed obcymi i pieprzem nienawiści do sąsiadów lub jakichś mniejszości, to można już ruszać na wojnę. Entuzjazm mas zapewniony!

To prawda, że narody i państwa narodowe wymyślono w XIX w. Prawdą jest i to, że nacjonalizm był demoniczną siłą, napędzającą wojny minionych dwóch stuleci. Gwoli sprawiedliwości trzeba dodać, że również demokracja zawdzięcza wiele państwu narodowemu – przynajmniej w krajach, gdzie do opowieści o tożsamości narodowej dodano coś na temat praw jednostki i swobód konstytucyjnych. Jednak nic by z tego – ani złego, ani dobrego – nie było, gdyby nie „prapojecia” narodów, znane już w starożytności i zachowane nawet w najbardziej uniwersalistycznych strukturach kulturowych, jak Rzym, średniowieczne imperium katolickie czy jego prawosławny odpowiednik na Wschodzie. Dziś nazywa się je greckim słowem *ethnos*, a dawniej mówiło się z łacińska „nacja”.

Etnos czy nacja to trochę więcej niż plemię, a trochę mniej niż naród. Tożsamość nacji polega na topografii, języku, zwyczajach, muzyce, stroju, kuchni i innych elementach cywilizacji materialnej i niematerialnej. Nie ma tu jeszcze polityki, mitów historycznych, a nawet religii, a za to jest to, co pozwala odróżnić Kastylijczyka od Katalończyka albo Czecha od Polaka. Będzie to język, a być może też czapka, rodzaj pitego alkoholu i parę

innych drobiazgów. Nic groźnego – ot akurat tyle, żeby się pobić w karczmie.

Nacje może i uważały się za lepsze od nacji sąsiednich, lecz zwykle nie miały ambicji politycznych. A jednak niektórzy książęta już w średniowieczu zaczęli wykazywać jakieś patriotyczno-etniczne uczucia, a pewnym nacjom zaczęło nawet zależeć, aby ich pan i władca był „swój”. Nie było to częste zjawisko, lecz właśnie ta książęca swojskość pozwoliła na zakiełkowanie takich protonacjonalistycznych projektów politycznych, jak zjednoczenie Niemiec, a potem Italii. A gdy raz powiedzie się podbój w imię jedności, to do stworzenia narodu już tylko krok.

Nasza sytuacja była szczególna, bo proces narodotwórczy przebiegał w Polsce drogą identyfikacji ofiary z ciemnością. Polacy nigdy nie byli nacją, bo pojęcie Polaka narodziło się w późnym średniowieczu jako kategoria czysto klasowa. Polakami nazwała samą siebie szlachta poddana królowi polskiemu i wyznająca katolicyzm. Natomiast dzisiejsi Polacy są potomkami owych staropolskich Polaków jedynie w minimalnym stopniu, zasadniczo wywodząc się od ciemniejszych i wyzyskiwanych przez nich ludów. Dawni Polacy tak silnie podkreślali swoją radykalną odrębność i wyższość w stosunku do przodków Polaków współczesnych, że wymyślili sobie legendę o swym sarmackim pochodzeniu. A jednak jakoś udało się w wieku XIX i XX stopniowo przekonać lud, że „panowie”, „mieszczanie” i „chłopi” są z jednego szczepu i jeden stanowią naród. Nie starczyłoby jednak nawet stu Sienkiewiczów, aby tego dokonać. Potrzebna była do tego polska szkoła, radio oraz, niestety, również wojna. A gdy ćwierć wieku po wojnie pojawił się na dobitkę telewizor, i to w każdym domu, wszyscy bez mała mieszkańcy PRL uznali się za Polaków. Czego nie zdołał dopełnić Piłsudski na Kasztance, w końcu dokazała Krystyna Loska.

Tworzenie narodów to złożony proces. Pisarze, sportowcy, aktorzy i prezenterzy telewizyjni mają w nim swój udział, podobnie jak politycy i duchowni. Jednakże w ostatecznym rozrachunku te rozmaicie kształtowane tożsamości zwane narodowymi często są płytkie. Narody, które nie mają silnych, rozpoznawalnych *ethnosów*, nie mają starych tradycji regionalnych, które trzeba „kultywować”, istnieją głównie „w telewizji”. Wspólny język, flaga, hymn, kształt znaków drogowych, kilka marek napojów alkoholowych, kilkadziesiąt piosenek, parę tuzinów aktorów i sportowców to skąpa pożywka dla zbiorowych egzaltacji, nie mówiąc już o jakiejś głębszej wspólnocie politycznej.

A gdy takowej brak, paru cwaniaków wywijających flagą i banknotami w trymiga może przejąć na własność „państwo narodowe”. Bo nacjonalizm jest silny tam, gdzie naród jest słaby i podatny. Uważajmy!

JAN HARTMAN

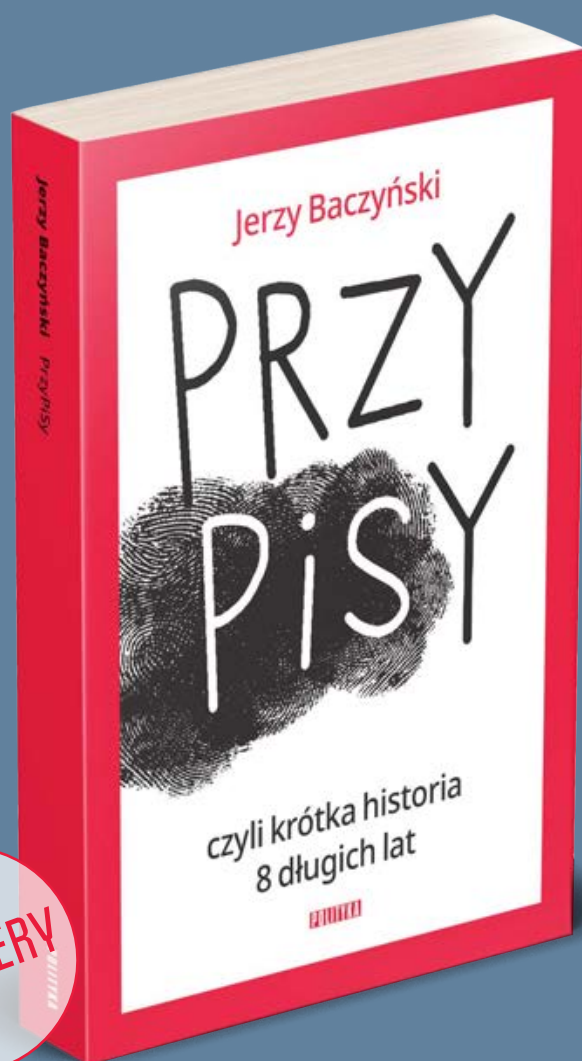
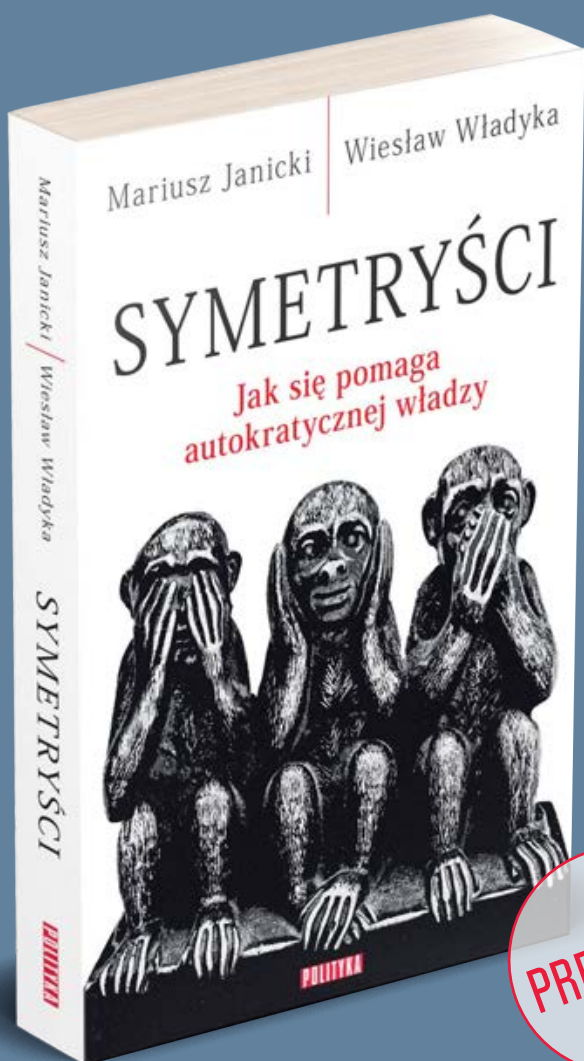
POLITYKA poleca

Książka
**MARIUSZA JANICKIEGO
i WIESŁAWA WŁADYKI**

Analiza zjawiska symetryzmu
dokonana przez autorów
tego pojęcia.

Książka
JERZEGO BACZYŃSKIEGO

Osobisty dziennik podróży
przez Polskę pod rządami PiS
i przenikliwa krytyka
populistycznej władzy.



PREMIERY

Do kupienia w księgarniach i na sklep.polityka.pl



Nagroda im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego

Wśród 8 listopada w redakcji POLITYKI ogłoszono nazwiska laureatów XVI edycji Nagrody

Fundacji im. Janiny Paradowskiej i Jerzego Zimowskiego. W tym roku „za dzielność obywatelską” uhonorowani zostali: prezes zarządu Ruchu Samorządowego TAK! Dla Polski i były wieloletni prezydent Sopotu, obecnie poseł, **Jacek Karnowski** oraz Zespół Teatru im. Juliusza Słowackiego w Krakowie i jego dyrektor **Krzysztof Głuchowski**.

Jacek Karnowski otrzymał wyróżnienie „za osobisty przykład i zaangażowanie w organizację oporu polskich samorządów wobec prób centralizacji państwa”, a Teatr i jego Dyrektor – „za odważne, wierne i konsekwentne stanie na straży wolności artystycznej, niezłomną i solidarną obronę demokratycznych wartości i procedur oraz ważny wkład w kształtowanie postaw obywatelskich”. Obszerniejszą relację z tej uroczystości zamieścimy w najbliższym numerze.

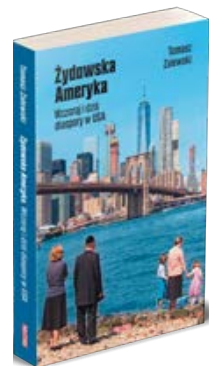
Żydowska Ameryka

Zapraszamy na spotkania z Tomaszem Zalewskim, autorem wydanej właśnie przez POLITYKĘ książki „Żydowska Ameryka. Wczoraj i dziś diaspory w USA”.

W czwartek 16 listopada o godz. 18 zapraszamy Państwa do Krakowa, do Żydowskiego Muzeum Galicji (ul. Dajwór 18) – spotkanie poprowadzi Jacek Stawiski, historyk i dziennikarz, dyrektor Muzeum.

Z kolei **w środę 22 listopada o godz. 18** zapraszamy do Warszawy – do Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN (ul. Anielewicza 6), gdzie z Tomaszem Zalewskim rozmawiać będzie Agnieszka Zagner, autorka bloga „Orient Express” poświęconego problemom Bliskiego Wschodu. Wstęp jest wolny.

REDAKCJA



GALERIA POLITYKI / MAREK KWIATKOWSKI



© MAREK KWIATKOWSKI

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzeżli ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Sołska,
Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław

Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO

Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

SEKRETARZ REDAKCJI

Artur Podgórski
Agnieszka Mazurczyk (asystent),
tel. 22 451-60-39;
Małwina Dziedzic (redaktor działu Opinie)

REDAKTOR WYDANIA

Olga Jędrzejczak tel. 22 451-60-22

Wydania specjalne:

Leszek Będkowski tel. 22 451-60-15
Jolanta Zarembina tel. 22 451-61-40

DZIAŁY REDAKCYJNE

RECEPCJA tel./faks 22 451-60-37/38

DZIAŁ POLITYCZNY I KOMENTARZ

Mariusz Janicki (kier.),
Anna Dąbrowska, Rafał Kalukin,
Adam Krzemiński, Paweł Reszka,
Ewa Siedlecka, Adam Szostkiewicz,
Wiesław Władysław, Jacek Zakowski

DZIAŁ KRAJOWY

Jacek Kowalczyk (kier.),
Martyna Bunda (z-ca kier.),
Ewa Wilk (koment.),
Zbigniew Borek, Joanna Cieśla,
Juliusz Cwieliuch, Edyta Gietka,
Katarzyna Kaczorowska,

Marcin Kołodziejczyk, Violetta Krasnowska,
Marta Mazuś, Joanna Podgórska,
Piotr Pytlakowski, Ryszarda Socha,
Agnieszka Sowa

DZIAŁ EKONOMICZNY

Paweł Tarnowski (kier.),
Joanna Sołska (z-ca kier.),
Adam Grzeszak, Cezary Kowanda,
Marcin Piątek

DZIAŁ ZAGRANICZNY

Witold Pawłowski (kier.),
Łukasz Wójcik (z-ca kier.),
Marek Ostrowski (koment.),
Artur Domostawski, Jagienka Wilczak,
Jędrzej Winicki

współpraca: Tomasz Walat (Sztokholm),
Tomasz Zalewski (Waszyngton)

DZIAŁ KULTURY

Bartek Chaciński (kier.),
Aneta Kyzioł (z-ca kier.),
Jakub Demiańczuk,
Mirosław Pęczak, Piotr Sarzyński,
Justyna Sobolewska, Dorota Szwarzman,
Janusz Wróblewski

DZIAŁ NAUKA/PROJEKT PULSAR.PL

Karol Jalochocki (kier.),
Katarzyna Czarnecka (z-ca kier.),
Marcin Rotkiewicz,
Edwin Bendyk (koment.),
Agnieszka Krzemińska, Paweł Walewski

DZIAŁ HISTORICZNY

Marian Turski (kier.), Tomasz Targarski

STALI FELIETONIŚCI

Jan Hartman, Sławomir Mizerski,
Daniel Passent, Stanisław Tym

DZIAŁ PROJEKTÓW SPECYJALNYCH

Zofia Lesniewska, tel. 22 451-61-93

DZIAŁ DOKUMENTACJI

Iwona Kochanowska (kier.),
tel. 22 451-61-44, tel./faks 22 451-61-37

PION CYFROWY

Joanna Chmielecka (dyr.)
POLITYKA.PL Łukasz Lipiński (szef serwisu),
Zbigniew Pendel (z-ca),
Aleksandra Zelazińska (z-ca, media społecznościowe), tel. 22 451-87-88,
Norbert Frątczak, Anna Kowalska,
Agata Szczerbiak, Agnieszka Zagner

WYDANIA CYFROWE Anna Dobrowolska (red. prow.)

GRAFIKA I TECHNIKA

DZIAŁ GRAFICZNY Joanna Mucho (kier.),
DZIAŁ FOTO Wojciech Leliński (kier.)
KOREKTA Zofia Kozik (kier.)

ADMINISTRACJA, FINANSE

RECEPCJA tel. 22 451-60-89,
Jadwiga Kucharczyk (dyr.),
Halina Cibor (gl. księgową)

PION WYDAWNICZY

Piotr Zmelonek (dyr.), tel. 22 451-61-85
Anita Brzostowska (z-ca dyr.)

DYSTRYBUCJA

Marcin Paśnicki (kier.), tel. 22 451-61-92

PROMOCJA Dominika Nowak-Kajtowska,

tel. 22 451-62-02

DZIAŁ IT Piotr Filipowicz (kier.)

BIURO REKLAMY

RECEPCJA tel. 22 451-61-36,
e-mail: reklama@polityka.pl
Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama wyjazdowa)

Za treść ogłoszeń redakcja ponosi odpowiedzialność w granicach wskazanych w ust. 2 art. 42 Ustawy Prawo Prasowe

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl
Infolinia: tel. 67 210 86 30,
e-mail: infolinia@polityka.pl
Monika Grabowska,
tel. 22 451-61-00, 451-61-15
e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA
www.polityka.pl/cyfrowa
Infolinia: tel. 22 336-75-80,
e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA Spółka z o.o. SKA
BGZ BNP Paribas S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez Wydawcę jest zabroniona, nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w POLITYCE jest zabronione. Przedruki: Justyna Sadowska, tel. 22 451-61-50, e-mail: przedruki@polityka.pl

DRUK Quad8

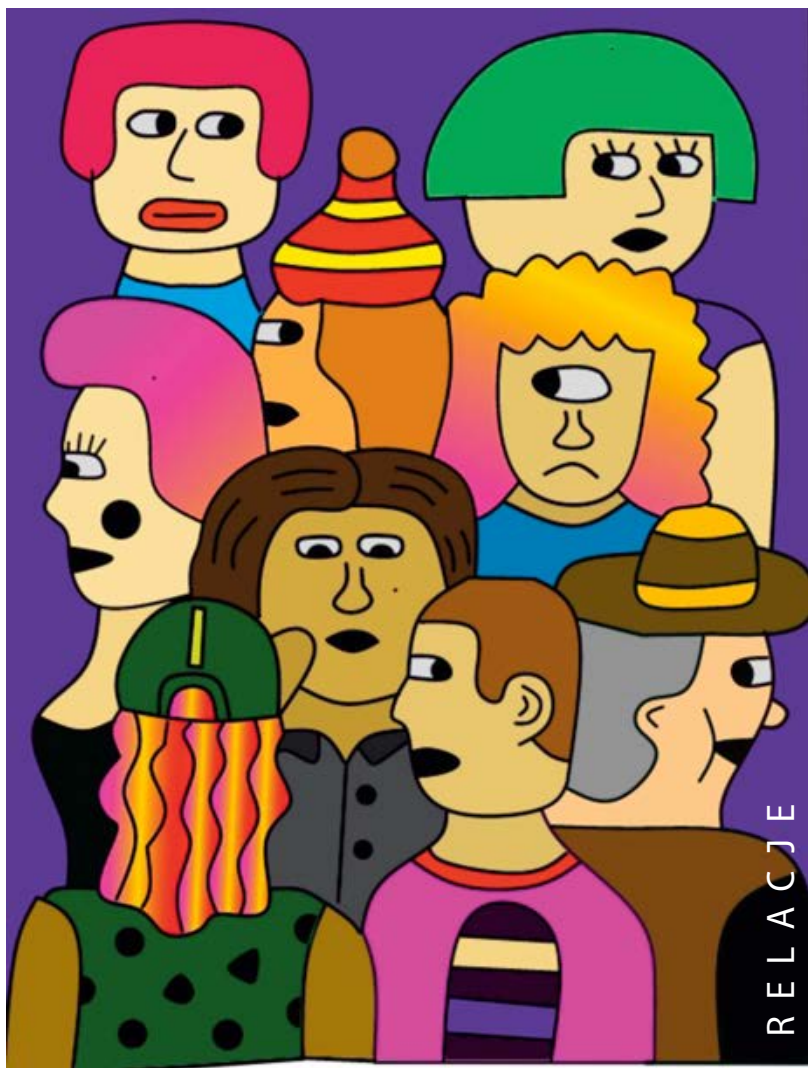
www.izbaprasyl.pl

PBC

lepa

PRINTED IN POLAND

BIURO REDAKCYJNE



„Zetki” chcą być brane na poważnie

Spółczesność się starzeje, tym bardziej współpraca starych z młodymi jest konieczna – postuluje prof. Tomasz Sobierajski w najnowszej książce „Pokolenia. Jak uczyć się od siebie nawzajem”.

GRAŻYNA MOREK: – Młodzi zaskoczyli wszystkich w tych wyborach, a pan twierdzi, że możemy się po nich spodziewać jeszcze więcej niespodzianek.

TOMASZ SOBIERAJSKI: – Młodsze pokolenia zazwyczaj nie interesują się polityką. Jednak tym razem



Tomasz Sobierajski

– socjolog, metodolog, wakcynolog społeczny (zajmuje się percepcją szczepień), badacz socjomedyczny, trener komunikacji interpersonalnej i medycznej.

świadomość problemów, które za moment dostaną w spadku po starszych generacjach, sprawiła, że młodszy wyborcy uruchomili się ponadprzeciętnie. Kolektywny zryw jest ich siłą. Cztery lata, które upłynęły od poprzednich wyborów, to dla młodych ludzi kawał życia. Dużo się w tym czasie wydarzyło: pandemia, kryzys ekonomiczny, wojna, kryzys migracyjny, a to jeszcze nie koniec. Rządzący doprowadzili do zapaści w publicznej edukacji, mieli do zaoferowania jedynie nowy przedmiot, osławiony – hit, wycieczki patriotyczne i nagonkę na LGBTQ+. Katastrofa klimatyczna przeraża młodych swoją nieuchronnością, a bierność władz wkurza. Dzisiejsi dwudziestolatkowie, moi studenci, mówią: dobrze wiemy, że jesteśmy pierwszym pokoleniem po drugiej wojnie światowej, które nie będzie miało lepiej niż nasi rodzice i dziadkowie.

A starzy ciągle im powtarzają, że powinni pracować więcej i ciężiej.

Z badań wynika, że każda kolejna generacja pracuje ciężiej i dłużej niż poprzednia. Mówienie, że „zestokom” nic się nie chce, że są roszczeniowi i bezczelnie, to bezpodstawna generalizacja. Młodszy mają dużo żalu do starszych pokoleń. Nie dość, że leczą się z ich wychowawczych zaniedbań, chłodu emocjonalnego, będącego najczęściej wynikiem wojennych traum odziedziczonych przez ich rodziców po dziadkach, to mają żal zarówno o przemilczanie pewnych tematów – u nas się przecież nigdy nie potrafiło w domach rozmawiać swobodnie o miłości, seksie – jak i o powtarzanie jak mantrę „ucz się i pracuj, to się dorobisz”. Oni widzą, że to nie działa.

W swojej książce pisze pan, że starzy powinni skończyć z odwiecznym „ja wiem lepiej”. A co mogą zrobić młodzi, by lepiej zrozumieć perspektywę osób urodzonych 20 czy 50 lat wcześniej?

Wystarczy się wzajemnie dobrze posłuchać, by zauważyć, że mamy w gruncie rzeczy podobne potrzeby, i to nas łączy. Czy nie chcemy, żeby żyło nam się w Polsce tak po prostu dobrze? Życie w zgodzie międzypokoleniowej gwarantuje ciągłość kulturową, poczucie tożsamości, a jednocześnie jest warunkiem innowacyjności i rozwoju. Po raz pierwszy zaczęła o tym mówić jeszcze w latach 70. ubiegłego wieku antropolożka prof. Margaret Mead. Badaczka prześledziła dynamikę rozwoju społeczeństw w dziejach i odkryła pewne prawidłowości. Otóż w czasach, gdy zmiany społeczne zachodziły powoli, a ludzie żyli w świecie podobnym do świata przodków, rosła rola autorytetu starszyny, oparta na wiedzy z przeszłości. Starsi mieli doświadczenie i przekazywali je z pokolenia na pokolenie. Była to kultura patriarchalna, bez nastawienia na dialog. Natomiast w czasach gwałtownego przyspieszenia, a w takich żyjemy obecnie, rozwija się tzw. kultura refiguratywna, czyli skoncentrowana na przyszłości. Wraz z jej nastaniem naturalnie musi się zmienić kierunek relacji, na pierwszy plan wychodzi młodsze pokolenie. Wiedza i doświadczenie starszych nie wystarczają już nie tylko do zrozumienia, jak funkcjonuje ten świat, ale i przewidzenia, „zaprojektowania” jego przyszłości. To zmusza społeczeństwo do międzypokoleniowego sojuszu.

W życiu publicznym wyraźnie widać, jak niektórym wciąż trudno przełknąć fakt, że „dzieciaki” mogą mieć rację.

Gorzej, że nawet pokolenie X, urodzone w latach 60. i 70., które na własnej skórze doświadczyło krytyki ze strony „starszyny” (zarzucano mu nijakość, brak tożsamości, brak ideałów), narzeka na młodych i marudzi „co z was wyrośnie”. Podmiotowość młodszych pokoleń jest faktem. Społeczeństwo się starzeje, tym bardziej współpraca starych z młodymi jest konieczna.

Dziś jedną z trudniejszych w realizacji jest potrzeba usamodzielnienia się, wyprowadzki na swoje. Z powodu pandemii gwałtownie przybyło w Polsce dorosłych mieszkających u rodziców. Jednak nie wydaje się, żeby to specjalnie sprzyjało zacieśnianiu między-pokoleniowych relacji.

Raczej wywołuje frustrację, ale to nie tylko nasz problem. My mamy gniazdowników i gniazdowniczki, których nie stać na to, żeby mieszkać samodzielnie. Włosi mają swoich *bamboccioni*, wielkie bobasy. Podobnie jest m.in. w Grecji, Hiszpanii. W tych krajach jeszcze na długo przed pandemią mówiło się o „pokoleniu tysiąc euro”, które nie ma szans na samodzielne utrzymanie się. Statystyki pokazują, że w Polsce mniej więcej cztery na dziesięć osób z pokoleń Y i Z żyje pod jednym dachem z rodzicami. Czy to może oznaczać wskrzeszenie tradycji wielopokoleniowych rodzin i daje szansę starym i młodym na ponowne zbliżenie? Wydaje się, że nie ma powrotu do tamtego modelu, do życia „na kupie”. Młodzi wracający do domów rodzinnych z konieczności, nie z własnej woli, przyzwyczaili się do bycia na swoim. Z badań wynika, że igreki i zetki ekonomiczny przymus mieszkania z rodzicami odczuwają jako porażkę na drodze do dorosłości. Jak tylko mogą, dokładają się do wydatków, partycypują w budżecie, by zachować jaką taką autonomię. Nie jest prawdą, że najmłodsze pokolenia generalnie takie są: leniwe, dlatego nie chcą się usamodzielnic i pasożytują na rodzicach. Kolejna szkodliwa generalizacja. Problem w tym, że z powodu kryzysu ekonomicznego mamy do czynienia z opóźnionym startem w dorosłość. Kto może, niech w tej sytuacji młodym pomaga, bo to, żeby stanęli na nogi, jest w interesie nas wszystkich.

Może powinno się zachęcać młodych, by bardziej garnęli się do polityki i tą drogą walczyli o swoje?

Cechą młodych ludzi jest widzenie czarno-białe. Politykę jednoznacznie oceniają jako złą, niemoralną. Młodzi wierzą w kolektyw, w zrywy, akcje i widzą konieczność współdziałania, dlatego znacznie bardziej angażują się w inicjatywy oddolne, w NGO-sy.

W książce podkreśla pan też, że igreki i zetki bardziej dbają o rozwój umiejętności społecznych niż starsze generacje. Co to oznacza w praktyce?

Chodzi o tzw. kompetencje miękkie, czyli umiejętność komunikacji, elastyczność, gotowość do podejmowania nowych zadań, zdolność adaptacji do zmieniających się warunków, entuzjazm i generalnie pozytywne nastawienie. Dziś młodzi pracownicy chcą tylko takich szefów i sami takimi szefami mają szansę być w przyszłości.

Te cechy przydają się w pracy, w efektywnym zarządzaniu, na kierowniczych stanowiskach, ale nie tylko. Ktoś, kto rozwija u siebie umiejętności społeczne, lepiej poradzi sobie w kryzysie. Uwierzmy młodym, oni naprawdę często wiedzą lepiej. ■

Slash ukośnik slesz

OMÓW
SŁO
T

Mogę pożyczyć slash kupić – oznajmił szesnastoletni syn autora tego tekstu. I nie chodziło mu o płytę Slasha z grupy Guns N’Roses, którą lubi, tylko o spójnik „lub”. A pożyczyć lub kupić chciał książkę. Kilka dni wcześniej ojciec innego dziecka slash nastolatka zwrócił mi uwagę na to, że tak się teraz przenosi z polszczyzny pisanej do mówionej tzw. ukośnik. Czyli ten znak, o którym Bisz rapował: „Stoję tu sam jak ukośnik, w połowie, zarazem po słowie i przed” i który nie jest nawet znakiem interpunkcyjnym, co najwyżej pisarskim. Biorąc pod uwagę fakt, że więcej dziś piszemy, niż mówimy i kierunek przenosin bywa raczej odwrotny, jest ciekawym pomysłem, by ten znak pisarski wprowadzać do polszczyzny mówionej.

Angielski odpowiednik słowa „ukośnik” to właśnie „slash”. Jak zwykle po angielsku wychodzi krócej, więc już od paru lat w polszczyźnie funkcjonuje w tej wersji. W ubiegłym roku trafiło nawet do utworu „2/10” hip-hopowej grupy Dwa Sławy: „Niech leci w górę statystyka/ Ja mówię tobie: dwa slash dycha/Jak tylko tyle masz, to wypad” (to 2/10 jest wieloznaczne, w pewnym momencie pojawia się ha-

sło „2/10 – czy to moja płytka u Flinta?” oznaczająca możliwą ocenę autora znanego też z łamów POLITYKI). Pytanie: jak to spolszczyć slash spolonizować? Na razie wygrywa wersja „slesz”.

W sieci ktoś komentuje pożytki z czytelnictwa: „kiedy ludzie zrozumieją, że czytanie jakichkolwiek książek nie sprawi, że będą mądrzejsi slesz lepsi od ludzi, którzy nie czytają w ogóle”. Zwolennikiem pisowni „slesz” okazał się autor komentarza „Ja miałem bekę slesz wu te ef”, opisującego stan pomiędzy ubawem (beka) a zaskoczeniem (WTF – od ang. *what the f...*). Słownik Miejski.pl idzie dalej, twierdząc, że slash to także „połączenie popularnych słów »slay« oraz »smash«, używane, kiedy zdarzyło się coś niezwykłego, bardzo pozytywnego”. A ponieważ od czasu do czasu wydarza się coś niezwykle pozytywnego, niewykluczone, że i o tym znaczeniu też pewnie kiedyś będą pisać gazety. Slash czasopisma.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

I tak już lecę, skręciłem blanta jak precel.

Świecie, nie rozumiesz mojego vibe’u, tylko mój becel

Guzior, WTC, 2020 r.

becel = pieniądze



Zbroja z motywami kaszubskimi



Rzemiosło, lokalność i oryginalny pomysł. Tym dziś polskie marki zdobywają globalny rynek mody.

Trzeba cały czas zaskakiwać, starać się robić coś, na co jeszcze nikt nie wpadł. Choćby biżuterię przyczepianą do staników. – *Małe sekretniki w kształcie serca, otwierane, by móc włożyć do nich zdjęcie kogoś bliskiego lub wypisać inicjały* – tłumaczy zagraniczny sukces bielizniarskiego Le Petit Trou jego założycielka Zuzanna Kuczyńska. Marka obecna jest w najważniejszych sklepach internetowych globu, jak Farfetch czy Net-a-Porter, ale i w domach towarowych Galeries Lafayette, Bloomingdales, Browns. Tym samym należy do grona rodzimych twórców, którym udało się przebić w świecie mody.

Znajdziemy wśród nich MISBHV, założone w 2007 r. przez Natalię Maczek i utrzymane w estetyce kultury klubowej i lat 90., Undress Code (głównie bielizna i stroje plażowe), Zofię Chylak (minimalistyczne torebki sprzedawane na zapisy), Alexandrę K (także torebki, ale wegańskie) czy wreszcie Magdę Butrym, protegowaną Carine Roitfeld, eksredaktorki naczelnej paryskiego „Vogue’a”. Oprócz tego, że wszystkie zaczynały w Polsce, łączy je oryginalny pomysł na siebie i lokalna produkcja. Oraz rzemiosło. A to klucz do zdobycia uwagi i portfela dzisiejszego



Michał Zaczynski – dziennikarz lifestylowy, ekspert branży mody, autor podkastów i bloga michalzaczynski.com, wykładowca ASP w Łodzi.

kosmopolitycznego klienta. Weźmy dzianiny utworzonej przez Paulę Kozłowską marki Kai Kotto. Już same paręset rządów i kilkadziesiąt tysięcy oczek wielobarwnych swetrów, mozolnie powstających na japońskiej maszynie dziewiarskiej z lat 80., robi wrażenie. Albo skomplikowane techniki płatnerskie Katarzyny Konieczki, znanej z mocno wyszukanych inspiracji (vide: eksperymenty medyczne).

Karierom wszystkich tych osób pomogły też gwiazdy. Kamizelkę Kai Kotto założył kilkakrotnie piosenkarz Harry Styles. W zbrojach Konieczki chodziła Lady Gaga, a koronę do nich kilka miesięcy temu założyła – jak na królową popu przystało – **Madonna, w okładowej sesji włoskiego „Vanity Fair”**. W projektach Butrym widziano Beyoncé czy Kylie Jenner, a torebki Alexandry K rozsławiła organizacja PETA, kupując jedną z nich dla Meghan Markle, by „nawrócić” księżnę na dobrą, to jest przyjazną zwierzętom drogę. A wszystko to, relacjonowane na Instagramie czy TikToku, natychmiast idzie w świat.

Świetnie radzą sobie w nim też polskie sieciówki. Sportowe 4F podczas ostatnich dwóch olimpiad ubrało dziewięć reprezentacji narodowych: – *Widzimy, że ma to wpływ na rozpoznawalność marki. Od 2020 r. otworzyliśmy ponad 30 nowych sklepów własnych. Obecnie dynamicznie rozwijamy się w Rumunii, gdzie zostaliśmy partnerem sieci siłowni Stay Fit Gym. Do ambasadorów marki dołączyli słowacki kajakarz Jakub Grigar oraz rumuńska lekkoatletka Alina Rotaru-Kottmann* – mówi Igor Klaja, prezes OTCF, właściciela marki 4F. Zagraniczne rynki odpowiadają już za ok. 11 proc. obrotów firmy.

W Mediolanie z kolei swój pierwszy z planowanych dwóch salonów otworzył właśnie Reserved. To trudny rynek. Klient jest tu świadomy, rozpuszczony i kapryśny. Jednak Reserved – tak jak w przypadku wejścia na rynek brytyjski – stosuje taktykę tworzenia zarówno nowych koncepcji wewnątrz, jak i specjalnie szykowanych na debiut kolekcji. W tym przypadku – o nazwie Ciao Milano! – z garniturami z welen, skórzanymi kurtkami, a nawet kozuchami. Gdzieś tam ozdobionymi – a tego konkurencja mieć nie może z oczywistych względów – motywami kaszubskimi czy z Zalipia.

Czy owa ornamentyka świadczy o modzie na Polskę? Niekoniecznie. Tu chodzi o szeroko pojętą lokalność, a ta w dobie globalizacji trendów czyni markę w oczach odbiorców wiarygodną i pociągającą. Bo mody na Polskę, bądźmy szczerzy, nie ma. Przez chwilę, jakieś osiem lat temu, świat interesował się kreatorami ze Wschodu, ale proponowany przez nich ironiczny postkomunistyczny, czyli dosłownie bazarowy, szyk szybko się znudził.

Mowa, oczywiście, o świecie wielkiej mody i cenach sięgających dziesiątek tysięcy euro. Owszem, polskie marki także się cenią – bawełniana parka MISBHV kosztuje 5770 zł, bolerko Butrym ze sztucznego misia – 12 400 zł, mają jednak świadomość, że z luksusowymi domami mody nie mają co się ściagać na pokazy, własne butik i idący w miliardy marketing. Za to na dobry pomysł, wykonanie i oryginalność miejsce w świecie – zresztą nie tylko mody – zawsze się znajduje. ■



„Kto decyduje co jest niemożliwe”. „Zrób komuś dzień dobry”. „Patrz przez okna nie Windowsy”. „Nie rozmawiaj z nieznajomymi bo jeszcze kogoś poznasz”. Na tego typu napisy można trafić, chodząc po mieście, są na chodnikach czy elewacjach budynków. Stoi za nimi Loesje, czyli kto?

O, Holenderka!

Są na naklejkach, plakatach, w miejskiej przestrzeni. Zawsze bez przecinków, napisane taką samą czcionką i zawsze z podpisem „Loesje”. Są wynikiem pracy zbiorowej – powstały na warsztatach kreatywnego myślenia albo pracy indywidualnej. Ze strony internetowej Loesje każdy może pobrać szablon i używać za darmo, pod warunkiem że cel jest niekomercyjny. Tylko o co w tym wszystkim chodzi i kim są do czorta te Loesje?

Mimo zwodniczego dla polskiego ucha i oka „e” na końcu, nie jest to nijaka organizacja, a kobiece imię, i do tego holenderskie. Wymawia się je „Lusze”, ale można mówić też „Lusia”. Nazwisko zaś jest ukryte co najmniej tak dobrze jak prawdziwe dane Banksy’ego...

Loesje powstało jako projekt wspierający wolność słowa i wypowiedzi w holenderskim Arnhem 24 listopada 1983 r. Jak wspominają pionierzy tej akcji, impulsem była chęć okiełznania niepokoju, jaki wywoływała ówczesna sytuacja społeczno-polityczna, z żelazną kurtyną, zimną wojną i rosnącym zagrożeniem nuklearnym. U nas Kora śpiewała, że czeka na „wiatr, co rozgoni ciemne skłębione zasłony”, a po drugiej stronie „Lusia” pisała, że „świat jest na wyciągnięcie ręki” i że „woli wyprzedzić czasy”. Gdy padł mur berliński, inicjatywa sygnowana przez holenderską dziewczynę rozlała się na wschód Europy. W międzyczasie Loesje ujawniła swoją rodzinę sygnując kolejne hasła: rodziców, dziadków, brata, ciocię Ritę, a także wietnamskiego kumpła, Nama. To on stworzył i podpisał na przykład takie hasło: „Kochaj Wietnamczyki jak oni Tobie”.

W Polsce pierwsze „lusiowe” hasła powstały już w 1989 r., ale dopiero kilka lat temu organizacja przeżyła u nas prawdziwy rozkwit. W lokalnym oddziale pracują lingwistki i tłumaczki, czyli osoby, które codziennie pracując ze słowami, po godzinach – podczas warsztatów Loesje – szukają ich nowych konfiguracji. Zwięzłość

TREND

i wdzięczność przekazu wylansowana przez holenderską grupę padła u nas zresztą na podatny grunt. Bo o tym, że lubujemy się w tworzeniu krótkich form przekazu, mógł się przekonać każdy, kto albo uczestniczył w ostatnich latach w wielkich marszach ulicznych, albo choćby oglądał zdjęcia kartonowych transparentów w internecie. Niektóre z nich miały proste postulaty, nakazujące stawowemu drobiowi odpłynąć w siną dal, inne zaskakiwały poziomem abstrakcyjnego myślenia i grammi słownymi, jak te podpatrzone na strajkach kobiet: „Odeszły mi wody rodzimy rewolucję” czy „Kto mieczem wojuje ten od pochwy ginie”. Podczas jednego z protestów powstało nawet „pogotowie słowne”, a periodyk teatralny „Dialog” wziął pod lupę językową twórczość strajkujących. Polacy nie gęsi, swój język sprzeciwu wszak mają.

Wracając jednak do naszej 40-letniej Loesje... W innych krajach europejskich rozkwita jej ogólnotematyczna twórczość albo taka, która jest nakierowana niczym ostrze wiecznego pióra na konkretny cel. Z okazji 75. rocznicy zakończenia drugiej wojny światowej Loesje zorganizowały akcję z mottem „Wojna & Pokój jak będziemy pamiętać przyszłość”, której młodzi uczestnicy ćwiczyli się w tworzeniu pacyfistycznych haseł. Z kolei w Albanii hasła wykorzystano do edukowania o zmianach klimatycznych i lansowania proekologicznych postaw, a wśród nich była np. następująca odezwa: „Nie karm misia polarnego politycznym kitem daj mu krę”. Pojawia się też dużo haseł zachęcających do krytycznego spojrzenia na to, co pokazują media. W sieci można znaleźć zdjęcie małego Nigeryjczyka Obinny Juniora, który trzyma swoje – jak mówi – ulubione hasło Loesje: „Mając tyle kamer powinniście pokazać pełny obraz”. Jest i inny plakat, który jak ulał pasuje do obecnej sytuacji na Bliskim Wschodzie: „Izrael Palestyna Czy po drugiej stronie muru naprawdę czai się potwór”.

Jeśli więc według biblijnej Księgi Rodzaju na początku było słowo, według Loesje na początku były refleksje. I to bardzo dobre. ■



Ola Salwa

– absolwentka psychologii, dziennikarka z 20-letnim stażem. Píše o filmie, modzie i zjawiskach społecznych, konsultuje scenariusze, jest członkinią Europejskiej Akademii Filmowej.

Miss włoskich wiosek

Taormina, „perła Sycylii”, dołączyła do włoskich miast, które od lat zmagają się ze zjawiskiem nadmiernej turystyki. Ale zamierzają z tym walczyć.

Kolejka zaskrzypiała i ruszyła z miejsca. Stałam w wagoniku o przeszklonych ścianach wraz z sześcioma innymi turystami. W zachwycie uwieczniali na telefonach widok stromych wzgórz schodzących do lazurowego morza. Kiedy po kilku minutach jazdy zatrzymaliśmy się w Taorminie, pasażerowie wysypali się z kolejki i złazi z tłumem, który wypełniał każdą uliczkę tego malowniczego miasteczka.

W Taorminie jest wszystko, co stanowi o uroku Sycylii – antyczny teatr, barokowy kościół, wąskie ulice i jeszcze węższe uliczki, na każdym rogu zimne **gelato** lub odświeżające *aperitivo*. Jednak jest tu także sporo okropnych rzeczy, które pojawiły się wraz z gęstniejącym tłumem – sklepy czołowych światowych marek (wejścia do niektórych pilnują ochroniarze), paragony grozy w restauracjach i ścisk na każdym tarasie widokowym.

Wygląda na to, że Taormina, „perła Sycylii”, dołączyła do włoskich miast, które od lat zmagają się ze zjawiskiem nadmiernej turystyki. Do Wenecji, która planuje wprowadzenie opłat wstępu dla odwiedzających, którzy nie zostają na noc. Do Rzymu, który wprowadza kary 250 euro za siadanie na schodach hiszpańskich, żeby zapobiec ich niszczeniu. Prawdopodobnie w tym roku Włochy pobiją przedpandemiczny rekord – spodziewają się przyjazdu aż 68 mln turystów. Być może tłumy w Taorminie to częściowo efekt serialu „Biały lotos”, w którym miasteczko pojawiło się jako tło opowieści o mrocznych przygodach luksusowych turystów. A może wcale nie. Może po prostu najłatwiej tu trafić.

Taormina, Syrakuzy, Agrigent – kiedy tylko wpadłam na pomysł podróży na Sycylię, internet natychmiast podsunął mi miejsca, które powinnam odwiedzić. Prawda o współczesnych podróżach jest taka, że w momencie, kiedy wysiadamy z samolotu, wpadamy w tunel przyszykowany dla nas przez przemysł turystyczny, który prowadzi nas dokładnie tam, gdzie wszystkich innych. A przecież w wielu miejscowościach Sycylii znajdują się wąskie uliczki, kamienice z okrągłymi balkonami i klimatyczne place, na których mieszkańcy popijają *aperitivo*. Pasta w trattorii jest tam tak samo pyszna, a oliwa w lokalnym sklepie nawet lepsza niż ta w seryjnych kioskach



z pamiątkami. Nie ma tam natomiast tłumów, a ceny nie szczybią pod niebo.

Na przykład w Sperlindze w sycylijskiej prowincji Enna możemy podziwiać średniowieczny zamek i domostwa wykute w skale. A w pobliskiej Calascibette wybudowanej na początku X w. podczas dominacji Normanów marmurową fontannę i jeden z największych placów na Sycylii. Możemy też odwiedzić Buccheri na zboczu Mount Lauro z ruinami zamku Normanów i licznymi kościołami. W wiosce mieszkali ludzie, którzy tradycyjnie zajmowali się zbieraniem i konserwowaniem śniegu, który

zamieniali w lód. Wciąż można obejrzeć tutaj śnieżne piwnice *neviera*.

Sperlingę, Calascibettę i Buccheri łączy to, że znajdują się na liście „Najpiękniejszych włoskich wiosek” (*Borghi piu belli di Italia*), która skupia 349 mało znanych miejscowości w kraju.

Zdjęcia na stronie www.borghipiubelliditalia.it zapierają dech w piersiach – wioski, które przycupnęły na szczycie góry, wioseczki na wyspach albo takie z domami pomalowanymi na wszystkie kolory tęczy. Nie wiem, czy byłabym w stanie spośród tych piękności wybrać jedną miss. Jednak większość leży z dala od rynny, w którą płynnie wpadamy, realizując przewidziany dla nas turystyczny program. Historyczne budynki często niszczeją, mieszkańcy nie mają możliwości zarobku i wyprowadzają się do miast. Pojawia się realna groźba, że zostaną całkiem opuszczone.

Więc jeżeli potrzebujecie przewodnika, który pomoże wam opuścić utarte szlaki, polecam zwiedzanie Włoch tropem pięknych wioszek. My prosto z zatłoczonej Taorminy udaliśmy się do jednej z nich – jedliśmy tam najsmaczniejszą pizzę, piliśmy najlepsze *limoncello*, leżeliśmy na najpiękniejszej plaży i mieszkaliśmy w klimatycznym vintage apartamencie. Ale nie napiszę, gdzie to było. Każdy powinien sam udać się na poszukiwania najpiękniejszej wioski. Podpowiem tylko, że podobne listy funkcjonują też w innych krajach – we Francji, Hiszpanii, a nawet w Japonii. Za odwiedziny podziękują wam nie tylko mieszkańcy wiosek, ale także ludzie, którzy żyją w popularnych wśród turystów destynacjach i mają dosyć napierających tłumów. ■



Urszula Jabłońska

– reporterka, autorka książek: „Człowiek w przystępnej cenie. Reportaże z Tajlandii” oraz „Światy wzniesiemy nowe”.

Sosny płaczą, ludzie się śmieją

Słyszeliście o **retsinie**? Doprawiane żywicą wino z Grecji zalicza triumfalny comeback.

Wszyscy to przeżyliśmy. Słońce świeci, morze szumi, w brzuchu burczy, w tawernie przy plaży czekamy na kalmary, a karczmarz przynosi dzban schłodzonego wina. Ma dziwny, żywiczny smak, ale w tych okolicznościach przyrody wchodzi jak woda, a przy tym jak żadne inne pasuje do mocnych smaków greckiej kuchni: oleistej ryby, gryzącego czosnku, kwaśnej cytryny, pikantnych ziół. Nazywa się retsina.

Starożytni Grecy sadzili winorośl wszędzie, a dionizjak był podstawą nie tylko diety, ale i całej helleńskiej kultury. Mieli też wiele zaskakujących na pierwszy rzut oka pomysłów. Wino podawali rozcieńczone wodą, bo – poza dionizjami – upijanie się było uważane za oznakę złego gustu albo wręcz świętokradztwo. Winogrona na najlepsze wina zbierano nocą, by fermentacja zaczęła się w chłodzie (dziś do tego pomysłu się wraca) i tłoczono je w dłoniach. Jako konserwantu nie stosowano siarki (wprowadzili ją dopiero Rzymianie), do wina dolewano nieco morskiej wody albo też na powierzchni trunku przechowywanego w glinianych amforach umieszczano cienką warstwę bakterioobójczej żywicy sosnowej. Tak narodziła się retsina.

Technika dodawania żywicy do wina, już nie jako konserwantu, ale substancji aromatyzującej, powróciła do łask pod koniec XIX w. Niepodległa już Grecja rozwijała się dynamicznie, miasta takie jak Ateny rozrastały się, a w nich – karczmy i tawerny. Szykarze skupowali winogrona od okolicznych chłopów i robili z nich wino, które dosmaczali żywicą. Po 1945 r. produkcję uprzemysłowiono, jakość spadła, na retsinę przeznaczano najpośledniejsze trunki – żywica i tak maskowała ich wady. Jej wyrób stał się specjalnością zwłaszcza Attyki, najgorętszego w Grecji regionu, leżącego na południu i wschód od Aten. Rośnie tu szczep savatianó, którego dziwne smaki – wosk, siano, słonecznik raczej niż świeże owoce – dobrze łączyły się z żywicą. Jednak reputacja Attyki bardzo ucierpiała z powodu coraz niższej jakości retsiny, w końcu jedno i drugie zaczęło utożsamiać z winem najgorszym z możliwych.

Wychodzenie z dołka trwało lata. Największe marki retsiny, takie jak Kourtaki czy wszechobecna (półlitrowe butelki z charakterystyczną „zawleczką” i zieloną etykietą) Malamatina poprawiły jakość, ale konsumenci – zwłaszcza ci młodszy oraz „znawcy” – nie chcieli dać retsinie kredytu zaufania. Jest to napój plebejsko-dziaderski, a my pijemy wina nowoczesne i porządne, na przykład megapopularną aromatyczną malagousię.

Jaskółka nowej wiosny paradoksalnie przyleciała nie z Attyki, tylko z północnej Grecji – Macedonii. Rodzina Kechris zamiast z savatianó zrobiła retsinę z najlepszej greckiej odmiany winorośli – assýrtiko. Zamiast



W I N O

rozwodnionego cienkuszka – skoncentrowane, wyraziste wino leżakowane w dębie. Zamiast butli zjeżdżałego, przemysłowego oleju sosnowego – mała dawka zbieranej ręcznie w starych gajach nadmorskich żywicy o konsystencji masła i cudnie czystym aromacie. Swoją rewolucyjną retsinę Kechrisowie nazwali „Tear of the Pine” – „Łza sosny”.

Wzbudziła sensację. Olimp zadrzał, retsinę do karty win zaczęły wprowadzać drogie restauracje. Zamówienie kieliszka „Łzy” z obciachu zamieniło się w modę. W ślady Kechrisów poszli inni butikowi producenci z całej Grecji, jak słynna Gaia Estate ze swoim Ritinitis Nobilis, tak delikatnie doprawionym żywicą, że smakuje niemal jak normalne – świetne! – wino białe. W zeszłym roku na konkursie 50 Great Greek Wines wyłaniającym najlepsze wina Hellady szok i niedowierzanie – Troupis Pitys Ritinitis z Arkadii znalazło się na drugim miejscu. Zaś w tegorocznej edycji konkursu w pięćdziesiątce znalazły się aż cztery retsiny.

Dziś nowoczesne, czyste jak łza, subtelnie sosnowe wina żywiczne są na ustach wszystkich Greków i w kartach szanujących się jakościowych restauracji od Salonik po Kretę. Pasują genialnie do odmłodzonej greckiej kuchni, no i mają coś jeszcze – wina o takim smaku nie robi nikt inny na świecie. ■



Wojciech Bońkowski

– pierwszy polski Master of Wine. Współtwórca portalu Winiocy i pisma o winie „Ferment”.

Retsina Kechribari, 33 zł (melideli.pl)

Gaia Ritinitis Nobilis, 66 zł (winagrecji.pl)

Mylonas Retsina, 58 zł (winagrecji.pl)

Aoton Retsina, 14 euro (internety zagraniczne)

Kechris Tear of the Pine, 16 euro (internety zagraniczne)

W „Sieciach” dramatyczny apel pt. „Ostrzegamy Polaków – wolność słowa jest zagrożona jak nigdy wcześniej”. Niewielki fragment tego kuriozum: „Ostrzegamy, że siły polityczne czujące się zwycięzcami wyborów, już dziś potężnie medialnie, dominujące we wszystkich obszarach, zamierzają całkowicie zlikwidować wolność słowa i pluralizm w Polsce. Zapewne po to, by w ciszy i ciemności bezkarnie niszczyć państwo i okradać Polaków, jak to już bywało w przeszłości”. Chodzi zapewne o okres 2015–23.

O możliwych zmianach w relacjach Kościół–państwo pisze publicysta „Gościa Niedzielnego” Andrzej Grajewski: „Ta sytuacja [zmiana władzy] jest jednocześnie szansą na stworzenie nowych, być może lepszych rozwiązań, m.in. ustanowienie bardziej przejrzystych mechanizmów i procedur w kwestiach finansowych oraz uregulowania kwestii przekazywania dokumentacji z archiwów kościelnych na potrzeby prowadzących postępowań sądowych. Pozwoli zagospodarować energię i zapał ludzi świeckich działających tam, gdzie państwo wycofa Kościółowi swe wsparcie. Wreszcie daje możliwość głoszenia Ewangelii w sposób w pełni wolny, bez oglądania się na instytucje stale przemijającej postaci tego świata”. Autor przyznaje, że Kościół był przez PiS zniewalany. Na własne życzenie.

Piotr Semka („Do Rzeczy”) ma już pełną jasność i wie, co będzie: „w ramach reedukacji społecznej usprawiedliwiany będzie ponowny monopol jednej części społeczeństwa przy lekceważeniu wrażliwości drugiej części. Co więcej, łamanie prawa będzie się odbywało pod dumnym hasłem przywracania normalności, choć będzie czymś na odwrót – monopolem jednych i lekceważeniem wrażliwości drugich. A pod parawanem powrotu do standardów demokratycznych budowany będzie system, który za pomocą

PiS wcale nie chce przechodzić do opozycji. Zamierza zejść do podziemia. Po ośmiu latach samodzielnej władzy, którą z nikim nie musiał się dzielić, PiS będzie się znów porównywać do żołnierzy wyklętych – Michał Szułdrzyński, „Rzeczpospolita”.

półperswazji, półaksamitnej represji będzie miał zapewnić, że już nigdy prawica tożsamościowa nie będzie miała szansy na sukces wyborczy”. Oczywiście „lekceważenie wrażliwości drugich” dotąd było w porządku. Semka już się wspina na półaksamitny krzyż.

Swoją przynależność do „prawicy tożsamościowej” potwierdził rzecznik praw dziecka Mikołaj Pawlak, pisząc w felietonie dla portalu niedziela.pl: „Gdy nad szkolnymi tablicami zamiast krzyży powszechnie zadomowią się pseudotęczowe kolorowe szmaty, a w niektórych dzielnicach miast – półksiężycy, będziemy żyć w świecie, w którym będą rządzić pokolenia wychowane bez wartości i zasad, nieznające granic i nieumiejące walczyć ze złem; które nie będą umiały przekazywać takich wartości swoim dzieciom. I wtedy dzisiejsze policyjne statystyki zaczniemy wspominać jako czas szczęśliwości i bezpiecznej oazy pokoju”. Kadencja tego pana kończy się 13 grudnia 2023 r. Jeszcze jedna sprawa do załatwienia przez nowy rząd.

Kadencja tego pana kończy się 13 grudnia 2023 r. Jeszcze jedna sprawa do załatwienia przez nowy rząd.

Renata Grochal („Newsweek”) pochyla się nad sytuacją prezydenta Dudy i chętnie cytuje (a my za nią) prof. Jana Zimmermanna, promotora doktoratu Dudy: „On jest bardzo słaby, podatny na różne polecenia, rozkazy. W tej chwili nikt mu już nie będzie rozkazywać, wyzwolił się od Kaczyńskiego. Ale wciąż jest lojalny wobec PiS. Widać, że robi wszystko, by opóźnić powołanie nowego rządu. (...) Mógłby zostać szefem PiS, ale tylko przy pomocy Mastalerka, który stał się kluczową postacią, a Duda potrafi tylko śpiewać: »Brawo, brawo, bravissimo!«. Będzie zależny od Mastalerka. Za jedną rączkę będzie go prowadzić Agatka, za drugą Mastalerek, i tak będzie szedł do przodu. Sam nie jest w stanie nic zrobić”. Okrutna ocena.

Złośliwości Michała Ogórka („Angora”): „Prezydent Duda jest zdania, że w nowym Sejmie istnieją dwie różne konkurencyjne większości, każda popierająca innego kandydata na premiera. Dziwne rozumienie przez niego większości trudno nie przypisać temu, że jest wychowankiem środowiska, gdzie za największego uznaje się Jarosława Kaczyńskiego”.

W „Przeglądzie” Tomasz Jastrun nie boi się użyć ostrych słów: „Prezes zaczyna być pokazywany, jest strapiony i zagubiony. Przeżył szok, nie spodziewał się porażki, sam tak to diagnozuje, jak psychiatra: »Udało się znów stworzyć tę rzeczywistość urojoną«. I sugeruje, że to robota Rosji i Putina. A opozycja to ich agenci. Ten człowiek jest niebezpieczny dla siebie i innych. Przeszedł być cynikiem, jest obłąkany”. Teza mocna, ale bardzo wątpliwa.

Chętnie afiszujący się swym katolicyzmem felietonista i grafik (oraz wicenaczelnny) „Tygodnika Solidarność” Cezary Krysztopa, wsparty intelektualnie przez Marcina Brixena (obaj podpisani na rysunku), wyprodukował taki dowcip – naszkicowana kobieca postać mówi: „Proszę Państwa, 15 października skończyła się w Polsce Polska...”. Czy to przypadkiem nie jest owa sławetna pogarda elit dla suwerena?

K O Z A



© JAN KOZA

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne ✦

Poradnia Medycyny Sportowej

dla dzieci, młodzieży i dorosłych:

Badania wstępne, okresowe i kontrolne ✦

Orzeczenia sportowo-lekarskie ✦

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych ✦

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / neurolizy współczulne ✦

blokady / neurolizy nerwów obwodowych ✦

termolezja ✦

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne ✦

Dietetyka

Dietetyka kliniczna ✦

Dietetyka sportowa ✦

Porady dla dzieci i dorosłych ✦

Rehabilitacja

✦ Rehabilitacja ortopedyczna:

✦ stawów rzepkowo-udowych

✦ stawów barkowych

✦ kręgosłupa

✦ stawów kolanowych

✦ kontuzji sportowych

✦ po zwichnięciach stawów

✦ urazów mięśni

✦ więzadeł

✦ po złamaniach

✦ Fizykoterapia

✦ Masaż leczniczy

✦ Diagnostyka funkcjonalna

✦ Rehabilitacja w uroginekologii

✦ Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T

✦ Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców
w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

✦ Pełny zakres badań

Diagnostyka

✦ RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych.
CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCYNY SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

POZNAJ SWOJE PRAWDZIWE OBLICZE

Nie ma dwóch identycznych organizmów.
Statystyki zdrowia i kondycji
opracowane dla Ciebie.
Tylko dla Ciebie.



GARMIN®

Seria smartwatchy Venu® 3 | vivoactive® 5 | inteligentna waga Index™ S2